

SERIA KRYMINAŁÓW O PROKURATORZE
KONRADZIE KROONIE

CYRYL SONE



**NIGDY JUŻ
NIE
UCIEKNIESZ**

Najbardziej znany literacki prokurator ma wreszcie
poważną konkurencję! Konrad Kroon prowadzi mroczne śledztwo,
a kartki same się przewracają!

KATARZYNA PUZYŃSKA

CYRYL SONE

**NIGDY JUŻ
NIE
UCIEKNIESZ**

znak
koncept

Kraków 2023



CZĘŚĆ PIERWSZA

JESTEM WASZYM ODBICIEM

LILA

Gdyby Lila miała więcej szczęścia, a może i rozumu, nigdy nie dałaby wyrządzić sobie tyle krzywdy. Zawczasu dostrzegłaby znaki, wcisnęła hamulec bezpieczeństwa, zawróciła, umknęła, wybiegła w popłochu. Dziesiątki drobnych szczegółów, które krzyczały do niej, że trzeba uciekać.

Lila zlekceważyła je wszystkie. Nie uciekła. I nigdy już nie ucieknie.

– No powiedz proszę, jak masz na imię? Dziewczynko? Jak masz na imię?

Zło przyszło zupełnie nieproszone.

– Dlaczego jesteś taka smutna?

Była piękna. Zeszłej wiosny podchodziła do matury, grała w teatrze, kochała świat. Wiedziała, że już wkrótce go zdobędzie. Zaczaruje niskim głosem, uwiedzie dużymi ciemnymi oczami. Świat miał paść jej do stóp, planowała zostać aktorką. I faktycznie, ostatnie dni jej życia przypominały film, choć nie było to takie kino, o jakim marzyła. Zgłosiła się nie na ten casting, reżyser okazał się oszustem, a producent – bandytą.

– Dziewczynko, płaczesz? Dlaczego się nie uśmiechasz?

Ciągle widziała ich wykrzywione w lubieżnym grymasie usta, weneckie maski, niemęskie ciała.

Zamykała powieki, łykała piguły, gasiła światło, pędziła na oślep. Nic z tego. Oni ciągle tam byli. W rogu pokoju, na autobusowym przystanku, pod osiedlowym sklepem.

– Nie powinnaś płakać. Otwórz usta.

Nie potrafiła im uciec. Zmyć z siebie ich zapachu. Pozbyć się słonego smaku spoconej skóry. Zapomnieć widoku, dotyku, głosu.

– Jeszcze będziesz miała powody do płaczu. Ale zacznijmy od uśmiechu. O, tak lepiej.

– Śliczne ząbki.

– Cała jest śliczna. Taka niewinna.

– Dokładnie taka, jak potrzeba. Dokładnie taka, jaka miała być.

Żadne pieniądze nie zadośćuczynią podobnej krzywdzie. Żaden opatrunek nie wyleczy równie głębokich ran.

Lila wiedziała, że musi zniknąć. Rozpłynąć się w powietrzu, oddalić w niebyt. Ocalić przed zatraceniem.

Sprawdziła wszystko starannie. Kiedy kilka godzin później w mieszkaniu zjawił się prokurator, na ekranie monitora wciąż widniała strona z instrukcją prawidłowego wiązania wisielczej pętli.

Piątkowa uczennica. Nie chciała zostać kaleką, nie chciała cierpieć, po prostu chciała umrzeć. Szybko i bez bólu. Nikt nas nie zmusi do bohaterstwa, przekraczania granic własnego człowieczeństwa, życia za wszelką cenę. Klawisz „escape” czeka zawsze w -lewym górnym rogu klawiatury.

Skoczyła z krzesła.

Chwilę przed śmiercią Lila ujrzała całe swoje życie. Kilkaset obrazów skumulowanych w jednosekundowy teaser. Podsumowanie dziewiętnastu szczęśliwych lat.

W tajemniczym konspekcie życia planowano jej kilkadziesiąt rozdziałów; ku wielkiej rozpaczy autora wyrwano trzy czwarte kart, nieprzeczytane strony spłonęły rzucone w ogień. Cudowna opowieść skończona, zanim na dobre zawiązała się akcja.

Ostatnią rzeczą, którą tuż przed śmiercią zobaczyła Lila, były ich sztuczne twarze. Weneckie maski, szydercze uśmiechy, martwe serca. Nigdy im nie uciekła. I nigdy już nie ucieknie.

ROZDZIAŁ 2 | CZERWIEC TEGO ROKU

KONRAD KROON

Przyjechał do pracy jak zwykle spóźniony. Sekretarka poinformowała go, że u szefowej trwa właśnie narada. Konrad wparował do gabinetu, jakby zupełnie nic się nie stało.

W środku tłoczyło się kilkunastu prokuratorów.

– A co to za grobowe miny? Kawa się skończyła?

Rcjonowa nie miała najmniejszej ochoty słuchać jego żartów.

– Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale pracę zaczynamy o siódmej trzydzięci.

Wskazówki zegarka powoli zbliżały się do dziesiątej.

– Dobra, nie będę wam przeszkadzał...

– Odstaw tego cholernego kundla i wracaj tu na jednej nodze! – krzyknęła Rzeplińska.

Jej dobry humor zniknął wraz z pierwszym powiewem lata. Od kilku dni chodziła niezłe struta.

– Rozkaz – odparł Konrad, niedbale salutując. Teatralnie stuknął obcasem i obróciwszy się na pięcie, ruszył w stronę swojego pokoju. – Fender, za mną!

Kiedy pierwszy raz pojawił się w pracy z psem, wzbudził powszechną sensację. Z czasem obecność czworonoga przestała kogo-kolwiek dziwić. Kroon wszędzie chodził ze swoim srebrzystym husky, znalezionym w cokolwiek osobliwych okolicznościach w czerwcu zeszłego roku.

– Sorry, ale nie mogę cię zabrać – szepnął. – Magda ma chyba TE dni. Albo stary ją w domu wkurwił.

Wracając, zahaczył o kuchnię. Szybka pogawędka z ekspresem, wrócił na naradę chwilę przed jej końcem. Zebranie poczeka, opierdół poczeka, kawa nie poczeka. Zaczynaj poranek od zimnej kawy, a nie dotrwasz południa.

– ...podsumowując, Biedrzyckiej bardzo zależy, żeby nam dopiec. Musimy mieć się na baczności – oznajmiła szefowa.

– Chcesz uderzyć psa, to kij się zawsze znajdzie – odparła jedna z prokurotek.

Kroon przysiadł na parapecie.

– Nie wolno bić zwierząt. Prokuratorów zresztą też nie – mruknął.

Rzeplińska puściła jego uwagę mimo uszu.

– Dominika Biedrzycka nienawidzi naszej firmy od co najmniej piętnastu lat. Od kiedy umorzyliśmy śledztwo w sprawie zgonu jej córki. Nie myślcie, że będzie zachowywać się racjonalnie. To osobista wendeta.

– Piętnaście lat temu pracowaliśmy tu tylko ja i Konrad – wtrąciła prokurator Nowicka. – Z tym że ja byłam na macierzyńskim...

– A ja nie prowadziłem jej sprawy. – Kroon siorbnął kawę. – W ogóle źle się wtedy prowadziłem...

W rogu gabinetu siedziała młoda asesora. Była tu nowa, o wszystko co chwilę pytała.

– Ale o co w ogóle chodzi z tą Biedrzycką? Co to ma do naszych umorzeń?

Rzeplińska przewróciła oczami.

– Dominika Biedrzycka miała przed laty sprawę w naszej jednostce. Była modelką, samotną matką. Jej córka zachorowała na jakąś ciężką chorobę, nie chciano zastosować eksperymentalnej terapii, dziecko zmarło. No i Biedrzycka uderzyła do nas. Nie pamiętam już, kto to prowadził, ostatecznie skończyło się na umorzeniu. Lekarze nie popełnili żadnego błędu.

– Popełnili taki błąd, że się w ogóle zadawali z Biedrzycką – wtrąciła Nowicka.

– To była rozpacz matki. – Kroon zszedł z parapetu. – Trudno mieć do niej pretensje.

– Nieważne – bąknęła szefowa. – Kilka lat później Biedrzycka założyła Fundację Obywatelskiego Patrołu. Wzięła sobie za cel pracę urzędów, a przede wszystkim...

– Prokuratury – dokończyła Nowicka.

Rzeplińska zamknęła swój kajet.

– Jest teraz kimś w rodzaju społeczniczki...

– Chciałaś powiedzieć: piniaczki – skwitowała Nowicka. – I wywęszyła, że morzymy oszustwa na znikomkę tylko z uwagi na wartość szkody.

Kroon wyszczerzył zęby.

– Co jest działaniem oczywiście nieprawidłowym – dodał.

– Nieprawidłowym, ale wszyscy tak robią! – uniosła się Nowicka.

– Nie pamiętam, kiedy umorzyłem coś na znikomkę...
Szefowa ostentacyjnie klasnęła w dłonie, czym dała znać, że narada dobiegła końca.
– Możecie sobie gadać. Okręg zrobi nam kontrolę znikomek. Więc lepiej uważajcie. Z mojej strony to wszystko.
– Jak się nie obrócisz, dupa zawsze z tyłu... – jęknęła Nowicka.
– Pogadaliśmy, a teraz do roboty! A ty – Rzeplińska zwróciła się bezpośrednio do Konrada – zostań jeszcze chwilę. Mam dla ciebie prezent.

*

Prokuratorzy opuścili gabinet szefowej. W pokoju został tylko Kroon.
– Co to za prezent? Jajko Fabergé?
– Nie wiem, czy Fabergé, ale na pewno jajko. Zgniłe jajko – mruknęła Rzeplińska. Wskazała gruby stos akt.
– Zbuk. Znieważenie prezydenta? Sfałszowane wybory? Pancerna brzoza? – zgadywał Konrad.
Prokurator rejonowa pokręciła głową.
– Na szczęście nic z tych rzeczy. Żadnej polityki.
– Kryminałka?
– Starość rodem z archiwum X. Zawieszono śledztwo po Hejmie. Właśnie ujęto podejrzanego.
Kroon wrócił pamięcią do początków swojej pracy we wrzeszczańskim rejonie. Feliks Hejmo stanowił dla niego kogoś w rodzaju mentora. Ostry jak brzytwa, łeb na karku. W jego słowniku brakowało takich wyrazów jak „uległość” i „kompromis”. Konrad wiele mu zawdzięczał.
– Nikt już nie wie, o co w tej sprawie chodzi – westchnęła Rzeplińska. – Będziesz się musiał nieźle napocić, żeby to skończyć.
Kroon puścił do niej oczko. Piętnaście lat temu planował nigdy nie awansować. Chciał korzystać z życia, iść zawsze pod prąd, stale uciekać od zobowiązań i problemów. Zobowiązania zniknęły. Problemy zdjęły płaszcz, wciągnęły kapcie i zamieszkały razem z nim.
Był samotnym singlem po czterdziestce. Błękitny ptak z przetrąconym skrzydłem. Jedynym, co pozostało mu w życiu, była praca.
– Uwielbiam się pocić – powiedział, zabierając ze stołu akta.

ROZDZIAŁ 3 | MARZEC 2010

LILA

Lila obserwowała, jak palec Alexa powoli zjeżdża po gryfie, muskając struny tuż w okolicy mostka. Było coś seksownego w owym ruchu, nonszalanckim tańcu z gitarą, w tym, jak trzymał w ustach fajkę i nie wypuszczając jej ani na sekundę, niedbale nachylał się nad mikrofonem.

– No i, kurwa, zjebałeś, Eryk! – wrzasnął Michał, perkusista. – Miałeś wejść razem z werblem, a pierdolisz to chyba szósty raz!

Basista odwrócił się do kolegi z zespołu.

– Jakbyś trzymał rytm, tobym wszedł. Ale walisz w te bębny jak elektrokardiogram gościa z zaburzoną pracą serca. Raz szybciej, raz wolniej, raz wcale. Pieprzony paralityk!

– Lekarz się, kurwa, znalazł – bąknął Michał. – Wypierdolili cię z medycyny, zapomniałeś?

W pomieszczeniu unosił się gęsty dym. Salę prób oświetlało kilka żarówek Edisona, wypełniających wnętrze ciepłym, miękkim blaskiem.

– Zaraz ci wypierdolę – fuknął Eryk. Od zawsze był krewki.

– No to chodź! – wrzasnął Michał, wstając zza bębnow.

Lila z zainteresowaniem przyglądała się rozwojowi sytuacji. Spięcia w zespole zdarzały się praktycznie ciągle. *Sex, drugs & rock'n'roll*. Chłopaki żyły zgodnie z tą samą maksymą, którą wyznawali Bowie, Morrison czy Cobain. Niegrzeczni trzydziestolatkowie. Bezczelni, przystojni, sławni.

– No chodź, ty ruda pizdo! – warknął Eryk, rzucając się na perkusistę.

Nie pieścili się ze sobą zbyt. Ten się czubi, kto się lubi. Nie wiadomo, czy czuli do siebie więcej sympatii czy niechęci. Trudne charaktery. Fakt faktem, że gdy wychodzili na scenę, rozumieli się bez słów. Bogowie muzyki.

Grali po klubach, zaliczali wszystkie letnie festiwale, jarali, ćpali i nagrywali. Boże, jak oni cudownie umieli w koncerty. Lila nigdy nie słyszała czegoś równie prawdziwego; grali świeżo, grali szczerze, grali, nie licząc się z niczym i nikim.

Eryk przyłożył Michałowi w szczękę. Perkusista wywinął koziołka i runął na wzmacniacz. Konkretna rozróżba.

– No dobra – szepnął Alex. Poprawił pasek od gitary. – Pomizialiście się, a teraz wracamy do pracy.

Tyle wystarczyło, by zaprowadzić porządek. Nikt nie protestował, nikt nikogo za nic nie przeprosił. Alex po prostu powiedział, jak ma być. I tak było. Chwilę później z głośników popłynęła muzyka.

KONRAD KROON

Po imprezach w Sopocie rzadko kiedy spał w domu. A raczej... rzadko kiedy spał w swoim domu.

Wciągnął jeansy. Obcisłe spodnie podkreślały jego wysoki wzrost i szczupłą sylwetkę.

– Możemy zjeść razem śniadanie – zaproponowała nowo poznana dziewczyna, gładząc go po umięśnionym brzuchu.

– Przecież jedliśmy śniadanie. Śniadanie, obiad, kolację...

Impreza w Sfinksie, potem upojne dwadzieścia godzin bez wychodzenia z pościeli. Kochali się przez cały następny dzień.

– Usmażę ci naleśniki...

Kroon narzucił flanelową koszulę.

– Mam rano zajęcia. A potem lecę na trening.

Dziewczyna wyciągnęła się na łóżku.

– A co ty właściwie robisz? – spytała. – Nic o tobie nie wiem. Studiujesz coś?

– Filozofię – odparł, wkładając skórzaną kurtkę.

Stał w drzwiach. Zmierzył nieznajomą wzrokiem. Planował już więcej jej nie zobaczyć.

– I czego cię tam uczą, kolego filozofie?

Lekko zmrużył oczy. Dwa dni konkretnego melanżu. Czas stanąć na nogi i wrócić do dorosłego życia.

– Że lepiej zniszczyć swoją młodość, niż nic z nią nie zrobić...

DOMINIKA

Na korytarzu minął ją przystojny, młody prokurator. „Co taki miły gość robi w tym paskudnym miejscu?” – pomyślała.

– Prokurator Rejonowy panią prosi – oznajmiła sekretarka.

Kobieta weszła do gabinetu. Za stołem siedział starszy, tęgi mężczyzna. Nie sprawiał wrażenia sympatycznego.

– Myślałem, że już sobie pani dała spokój – burknął.

– Że sobie dałam spokój?

Facet wyciągnął kanapkę. Odwinął sreberko, poprawił ogórek, który właśnie wyłaził gdzieś bokiem.

– Pani wybaczy, ale nie miałem kiedy zjeść. – Ostentacyjnie zaczął przeżuwać. – A trzeba trzymać dietę. Odżywiać się regularnie. Małe porcje, ale pięć razy dziennie. Tak zalecił lekarz. Inaczej nie schudnę. A muszę schudnąć, bo serducho już nie takie jak kiedyś.

– Nic nie szkodzi... – odparła zmieszana.

– No więc sąd utrzymał w mocy postanowienie o umorzeniu śledztwa. Zapoznałem się z pani wnioskami. Nie ma w nich nic nowego. – Mlasnął. – *Roma locuta, causa finita.*

Dominika nie wierzyła w to, co słyszy. Przecież Daria odeszła na szpitalnym łóżku...

– Co to znaczy?

– To znaczy, że skończyliśmy. Temat zamknięty.

Zaczęły jej się trząść ręce.

– Za-za-zamknięty? – wyjąkała. – Przecież Daria...

– Pani Dominiko! – wrzasnął Prokurator Rejonowy. – Pani córka zmarła trzy lata temu. Lekarze zrobili wszystko, co w ich mocy. Nie popełnili żadnego błędu. – Znów mlasnął. – Sprawę zbadali wszyscy święci. I zgodnie przyznali jedno: w leczeniu Darii nie wykryto ani jednej nieprawidłowości!

Widział, że Dominika dygoce. Musiał to widzieć.

– Ona odeszła w szpitalu, nikt nawet nie zareagował, nikt jej nie reanimował...

– Żadnych nieprawidłowości – skwitował szef prokuratury.

Jak to możliwe? Przecież Dariusia miała w sobie tyle życia! Aż do samego końca; chodziła, śmiała się, żartowała...

– Ja nie chcę wiele. Chcę tylko... sprawiedliwości.

Mężczyzna zrobił wielkie oczy. Odłożył kanapkę na blat biurka.

– Sprawiedliwości? Na tym świecie? Nie ma czegoś takiego jak sprawiedliwość – oznajmił poważnie.

– I nie ja jestem temu winny. Życie i śmierć. Cholerna zagadka. Ale ktoś inny to wymyślił. Ten u góry. – Wskazał ręką na sufit. – Albo ten na dole. W każdym razie... nie mamy na to żadnego wpływu. Proszę zagryźć zęby. Proszę zacząć żyć. Pani jest jeszcze młoda, trzydzieści lat... piękny wiek. Jeszcze będzie pani miała niejedną córeczkę.

– Ale ja...

Rejonowy wstał zza biurka. Odprowadził ją do drzwi.

– Czas kończyć żałobę. I wziąć się w garść. To moja rada. Dob-ra rada. Proszę z niej skorzystać. Zaciśnię pani zęby i przestanie oglądać się na innych. Zdrowy egoizm. Trzeba żyć dla siebie. Bo ostatecznie... wszyscy umieramy w samotności.

LILA

Lila była drobną, ciemnooką blondynką. W małżowinie lewego ucha nosiła dziewięć kolczyków; jej ulubiona cyfra, fajnie mieć jakiś odchył, Lila szczerze wierzyła w magię liczb.

Uczyła się w gdyńskim liceum plastycznym, w tym roku podchodziła do egzaminu dojrzałości. Kiedy zdajesz maturę, czujesz, że świat stoi przed tobą otworem, że możesz wszystko, granicą spełnienia są jedynie ramy własnej wyobraźni. Lila nie wiedziała jeszcze, czego dokona, zdawała sobie jednak sprawę ze skali swojego sukcesu, czuła tę energię, ogień spełnienia tlił się żarem nastoletniej wiary w niemożliwe. Wszyscy wiemy, jak to się skończyło.

Po zajęciach wybrały się na klif.

– I jak ci się podoba Alex? – spytała Judyta.

Alex – charyzmatyczny lider jednego z najbardziej rozpoznawalnych alternatywnych zespołów w Polsce; król undergroundu, chodząca personifikacja tego, co fajne i gorące.

– Judka, ja bym się chyba mogła w nim zakochać – westchnęła Lila.

– Nic z tego. – Koleżanka wyciągnęła papierosa. Zdarzało jej się czasem popalać. – Alex jest zaklepany. To ja go wypatrzyłam.

Zachichotały.

– Jak będziemy po studiach, ja: znana aktorka, ty: wzięta architekt wnętrz, to sam będzie do nas wzdychał – zażartowała Lila.

Nastoletni romantyzm. Kto nigdy nie pisał wierszy w liceum?

Miała w sobie tyle naiwności. Tak łatwo ją było zranić.

Judyta zaciągnęła się dymem.

– Ale ja nie idę na studia.

– Hę? Jak to?

Dziewczyna spoglądała na zatokę. Siedziały naprawdę wysoko, piaszczysta ściana klifu wyrastała stromo ze wzburzonego, marcowego morza. Granatowa woda, błękitne niebo, kolory tak ostre, jakby ktoś w aplikacji podkreślił kontrast. *No filter*. Sama natura.

– Lilka, ja tak naprawdę nie wiem jeszcze, co chcę robić. Studia, praca, rodzina... to nie dla mnie. Muszę się zastanowić. Potrzebuję złapać oddech, nabrać perspektywy...

– Przecież nikt ci nie każe brać ślubu, Judka!

Przyjaciółka wyciągnęła z plecaka kanciasty aparat Polaroid. Dusza artystki. Uwielbiała robić zdjęcia.

– Uśmiechnij się.

– Po co?

Judyta klepnęła ją w ramię.

– Chcesz zostać aktorką, musisz być zawsze gotowa. No już! Pozuj!

Lila wyszczerzyła zęby. Białe jak śnieg, równiutkie, trzy miesiące temu zdjęła stały aparat.

– Cudownie.

Judyta potrząsnęła prostokątnym kartonikiem. Chwilę później na odbitce pojawiło się lekko rozmazane zdjęcie.

– Jak to nie chcesz iść na studia? A matura?

– Lilka, totalnie nie wiem nic o życiu. To jak randka w ciemno z przeznaczeniem. A ja chcę wiedzieć, co wybieram. Na co się decyduję.

Przyjaciółka ze zrozumieniem kiwnęła głową. Choć sama miała dość sprecyzowane plany, kumała rozkminy kumpeli.

– Potrzebuję zrobić sobie przerwę – kontynuowała Judka. – -Zobaczyć świat, dowiedzieć się czegoś.

Zadać parę pytań.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Brzmi super, ale co tak konkretnie chcesz zrobić?

– Alex zaproponował, że mogę pojechać z nimi w trasę. Robią tour po Europie.

– Tour po Europie? – powtórzyła Lila.

Judyta objęła ją w pasie. Wskazała dłonią w kierunku półwyspu.

– Zobaczyć Paryż i umrzeć. Prawda, że zajebicie?

KONRAD KROON

Marzec 2010. W tym roku stuknęły mu trzy dychy. Ale trzydziestka to taka nowa dwudziestka. Konrad nie wyglądał na swoje lata. A nawet jeśli wyglądał, to na pewno nie zachowywał się tak jak jego równolatkowie.

Krażek odbił się od bandy i pomknął w stronę bramki.

– Dajesz, Kroon! – krzyknął kolega.

Konrad podkreślił tempo. Wszedł ślizgiem, obrócił się plecami do Pawła i strzelił.

– Pięknie!

– No i kurwa, pozamiatane!

– Tak się to robi, pizdeczki!

Od wielu lat spotykali się z kumplami w Hali Olivii na amatorskich treningach hokeja. Znali się jeszcze z trzydziestej piątej, klasa o profilu sportowym, kuźnia talentów. Kilku kolegów zdecydowało się na zawodowstwo, grali w pierwszej lidze, zdobywali nagrody. Konrad nigdy nie miał dość talentu, by robić to profesjonalnie; szybko ocenił swoje szanse i bez żalu porzucił marzenia o sportowej karierze. Mimo to ciągnęło go na lód.

– Byłoby dobrze, gdyby nie te brzuchy. Nie przeszkadzają wam, panowie? – rzucił ktoś z oddali.

Zawodnicy spojrzeli w stronę trybun. Na plastikowym krzeselku siedział starszy mężczyzna w grubej puchowej kurtce i charakterystycznej biało-niebieskiej czapce „Stoczniowca”.

- Pan Antek?
- Trener?
- Trener!!!

Dawno go nie widzieli. Antoni Słomski był ich dawnym nauczycielem. Od kilku lat siedział na zasłużonej emeryturze.

– Jeździecie jak stare baby. Ja po operacji kolana szybciej się ruszam niż wy – burknął.

– Jakbyśmy byli w pana wieku, to też byśmy mieli tyle energii! – zawołał Kroon.

– Ale stare dziady już z nas! – wtrącił Paweł. – Mikoszewskiemu urodziła się druga córka, Porębski swoją zaraz pośle do pierwszej komunii.

Trener podniósł się ciężko na nogi. Ruszył powoli w stronę lodowiska.

– Dobrze was widzieć, chłopaki. Słyszałem od Pawlikowskiego, że dalej ciśnienie. Tak trzymać. – Zrobił krótką pauzę. – Konrad... mam do ciebie sprawę...

*

Usiedli w pobliskim barze. Piwo po trzy złote, legendarne zapiekanki, odgłosy przejeżdżających tramwajów. Oliwska pętla.

– Dalej robisz to, co robisz?

– Każdy orze, jak może – odparł Kroon. – Nic innego nie umiem.

Trener rozejrzał się dookoła. Ściszył głos.

– Nie wiem nawet, jak mam zacząć. Głupio mi cię tak prosić, ale... kuźwa, Konrad, doszedłem do ściany. Zresztą co ja gadam. Nie do ściany. Do pierdolonego Muru Chińskiego. Nie przeskoczę tego.

Konrad wziął łyk piwa. Gruby, szklany kufel.

– Może nie trzeba będzie skakać. Czasem wystarczy obejść problem dookoła.

– O Boże... – Mężczyzna złapał się za głowę. – Wiesz, mam córkę. Judytę. Świetna dziewczyna. Moje oczko w głowie.

– No pamiętam ją. Ile ma już lat? Z dziesięć?

– Osiemnaście. W tym roku zdaje maturę.

Kroon się uśmiechnął. Czas nie ma dla nas litości.

– Tylko pogratulować. Sport?

Trener zaprzeczył.

– ASP. Uczy się w gdyńskim plastyku, chce zdawać na akademię. Architektura wewnątrz czy coś takiego.

Kroon obserwował twarz Słomskiego. Znał się na mowie ciała, bez trudu oceniał, czy ktoś go kituje, czy mówi prawdę. Wyczuwał złe i dobre intencje, ludzkie dramaty ukryte pod maską powagi. Urodzony prokurator.

Wiedział, że mężczyzna jest na skraju załamania. Problem był poważny.

– Narkotyki albo nieszczęśliwa miłość – rzucił bez zastanowienia Kroon.

Słomski zerknął w dno kufła. Ostatnimi czasy często spoglądał na dno.

– Myślę, że i jedno, i drugie. Wkręciła się w muzykę. Została fanką jakiegoś zespołu, biega na próby, koncerty...

– Typowa nastolatka. Też kiedyś miałem band...

Mężczyzna spojrział Kroonowi głęboko w oczy.

– To nie jest zwykły zespół. Jakby wkręciła się w Maanam, Czerwone Gitary czy inny Lady Pank, miałbym to w dupie. Ale ci ludzie... to jakaś pieprzona sekta. Słyszałem ich piosenek, czytałem wywiady. To, jak mówią, jak się zachowują...

Kroon od dziecka kochał muzykę.

– Jakoś się nazywają? – spytał.

– UTERO – odparł Słomski.

Konrad poklepał go po plecach.

– Spokojnie. Słyszałem o nich. Trener się nie martwi. Chodzi o to, że malują oczy czy cytują Mansona? Taki image. Zresztą, są mega znani. Jedna z bardziej rozpoznawalnych polskich kapel. Jeśli ktoś lubi

alternatywę...

– Ni mnie grzeje, ni mnie ziębi, jaką grają muzykę. Za stary jestem na takie darcie ryja, ale nie w tym leży problem.

– To w czym?

Kroon znał kilka kawałków UTERO. Gackowa puszczała je regularnie w Trójce, Rojek promował zespół na Off Festivalu.

Słomski zagryzł usta.

– W tym, co zrobili Judycie.

Gwałt? Czyżby chodziło o gwałt?

– Skrzywdzili ją?

– Jeszcze nie. Nie fizycznie. Ale boję się, że dojdzie do tragedii.

Konrad pozwolił mężczyźnie mówić. Faza swobodnych zeznań.

– Do jakiej tragedii?

Często łapał się na tym, że wiele z jego prywatnych rozmów zamieniało się w przesłuchania.

– Ona nie jest sobą. Wyprali jej mózg. Ma taki nieobecny wzrok, odpowiada półsłówkami, przestała się uczyć. Właściwie w ogóle nie rozmawiamy. Wraca do domu cuchnąca papierosami...

– Każdy z nas kiedyś popalał.

– Sam kopcę jak smok! Ale nie w tym rzecz. Zacząłem czytać o sektach. O sygnałach, że coś jest nie tak. I wszystko się zgadza. Ten ich lider, Alex, to jakiś cholerny szaleniec. Namieszał jej w głowie.

Konrad spojrział za okno. Po ulicy przejeżdżał właśnie tramwaj.

– Jeśli Judyta ma osiemnaście lat i spędza z nim czas z własnej woli, to nic nie zrobimy. Każdy dorosły może wybrać, jak chce. A ona, w świetle prawa, jest już dorosła.

– Nie ma na to jakiegoś paragrafu?

Kroon tylko pokręcił głową.

– Przykro mi.

Siedzieli chwilę w ciszy.

– Trener da mi telefon.

Mężczyzna wyciągnął z kurtki aparat. Kroon przejął urządzenie i wbił do pamięci swój numer.

– Mam nadzieję, że to tylko przejściowa fascynacja. Gdyby jednak działo się coś złego... proszę dzwonić. Jeśli Judyta ugrzęźnie w jakimś bagnie, pomogę ją wyciągnąć.

ROZDZIAŁ 4 | CZERWIEC TEGO ROKU

PATRYCJA RADKE

Wysiadła z taksówki. Był piątek wieczór, na dworze wciąż jeszcze świeciło słońce, a ona właśnie wracała do domu z randki. Chujowej randki. Gdyby miała napisać jakąś książkę, dostać się na topkę Empiku, wskoczyć na listę ogólnopolskich bestsellerów, pisałaby pewnie o tych wszystkich nieudanych randkach, na które posłał ją Tinder.

Kilkunastu koleś, każdy odklejony. Piotruś Nigdy Nie Dorosnę Pan, Johnny Bravo, Uwielbiam Milczeć Jacek, Zobacz Moją Furę Paweł, Mamusia Mi Mówiła Michał, Nałogowo Obgryzam Paznokcie Rafał, Wychowaj Mnie Marek, Moja Była To Prawdziwa Suka Mateusz, *et cetera, et cetera*.

Patrycja Radke. Młoda mecenaska, adwokatka z kilkuletnim stażem, doświadczona singielka. Doktorat z samotności.

– Czemu zawsze trafiam na samych pochlastów? – mruknęła, wchodząc na klatkę. – Zgraja debili i tylko jeden normalny. Który akurat nie był gotowy na związek...

KONRAD KROON

Odkąd zerwał z Zużą, praktycznie przestał wychodzić do ludzi. Przez chwilę wydawało mu się, że jakoś da sobie z tym wszystkim radę, poznał fajną dziewczynę, gadka się kleiła. Nic z tego. Wieloletnia miłość nie umiera tak łatwo. Nie był gotowy na nowe otwarcie.

Jeśli nie życiem, to chociaż pracą, czymś należało zająć czas.

– Idziemy, piesku – rzucił do Fendera, otwierając drzwi auta.

Czarne audi TT, szpanerski samochód idealny dla bezdzietnego czterdziestoparolatka.

Wyciągnął z bagażnika torbę z aktami.

– Dzisiaj nie pobiegamy za długo – wyjaśnił zwierzęciu. – Jutro po południu upływa mi cztery / osiem. Muszę to wszystko dzisiaj przeczytać.

Husky zwiesił smutno pysk. Zupełnie jakby rozumiał.

– Mogłeś przyczepić się do kogoś bardziej normalnego. Więc nie narzekaj. Masz, co chciałeś.

*

Siedział całą noc nad sprawą odziedziczoną po Feliksie Hejmie. Powrót do przeszłości. Grube akta śledztwa poświęcone gwałtom na dwóch młodych dziewczynach. Rzeczą działa się w roku 2010. Stary prokurator przesłuchał kilku świadków, postawił zarzuty sprawcy i zawiesił postępowanie. Podejrzany zbiegł za granicę, nikt nie wiedział, gdzie jest. Aż do teraz.

– Zachciało się wrócić do Polski – szepnął Kroon, przewracając kolejną kartę akt. – Ojczyzna wita.

NIKODEM

Myślał, że się wywinie, że ponad dekada na obczyźnie zmyje jego winy, zasypie piachem, pogrzebie wraz z dziesiątkami innych grzechów. Przecież to już musiało się przedawnić...

Zwinęli go na lotnisku. Wrócił do Polski na pogrzeb matki, ale na cmentarz nigdy nie dotarł. Zatrzymanie, komisariat, wycieczka do wrzeszczańskiej prokuratury. Trafił na Kroona. Trudno trafić gorzej.

W celi skręcił sobie naprędce jakąś bajeczkę. Potem sprzedał ją prokuratorowi. Nic z tego. Mężczyzna nie uwierzył w jego wersję wydarzeń.

– To było tak dawno temu... serio.

Nikodem zasłaniał się niepamięcią. Przecież dziś był zupełnie innym człowiekiem niż wtedy. Miał spory brzuszek, na głowie potężne zakola, do których włosy stanowiły wyłącznie dodatek. Czternaście lat temu wyglądał całkiem inaczej. Czternaście lat robi swoje. Uciekł za granicę, w Anglii poznał kobietę, zrobili sobie kilkoro dzieci. Pracował na czarno, wyrobił jakieś lewe papiery. Nawet jeśli nabroił, to przecież każde grzechy się w końcu kiedyś przedawniają. Źle to sobie wszystko wykalkulował.

– Odmawiam odpowiedzi na to pytanie. Panie prokuratorze, ja naprawdę nie pamiętam!

Pamiętał to dobrze. Wspomnienia odżyły, kiedy tylko zajechał do Wrzeszcza. Dom Steffensa, gorące lato 2010. Nieźle wtedy nabroił.

– Nie przyznaję się.

Dwie młode dziewczyny. Jagoda i Edyta. Brzydko postąpił. Ale nie on jeden.

– Nie musi się pan przyznawać – odparł Kroon. – Chociaż z drugiej strony... – Prokurator zerknął do

akt.

– Co z drugiej strony? – spytał przerażony Nikodem.

– Przydałyby się panu jakieś okoliczności łagodzące.

Okoliczności łagodzące? Po prostu bzyknął dwie młode siksy. Na pewno same tego chciały. W Domu Steffensa? Na chuj by tam przychodziły, jeśli nie lubiły seksu.

No zgwałcił je. Zdarza się. Ale przecież grzech Nikodema wcale nie był największy. Lecz czy Nikodem zdawał sobie z tego sprawę?

Słyszał różne historie – o tym, co wyprawiało się w Domu Steffensa, o tym, jak ginęły dziewczyny. Porządne laski z bogobojnych domów. Niewinne ofiary.

Nikodemowi obilo się co nieco o uszy. Makabryczne opowieści, które najlepiej było zapomnieć. Których w żadnym wypadku nie wolno było nikomu zdradzić. Zło czało się za rogiem. I cały czas pilnowało, by prawda nie wyszła na jaw.

KONRAD KROON

– Magda, skończyłem przesłuchiwać tego całego Nikodema. Do niczego się nie przyznał, dowody na niego słabe jak woda w sraczu.

– Konrad! – obruszyła się szefowa.

Kroon przysiadł koło jej biurka.

– Hejmo zwałił sprawę. Pospieszył się z tymi zarzutami. Bał się, że ktoś inny to umorzy, a chciał dorwać gościa.

– Walnął zarzuty na pałę?

Konrad spojrzał na poślódkę teczkę.

– Wiem, że Nikodem Rucki je zgwałcił. Hejmo miał czuja do ludzi. A podejrzany... przez cały czas kłamał. Mimo że nie otworzył gęby.

Wbudowany wariograf. Kroon zawsze wiedział, czy ktoś go kituje.

– Jest takie stare powiedzenie: wsadzić kogoś na dowodach to żadna sztuka – westchnęła Rzeplińska. – Piętnaście lat temu to się sprawdzało, ale dziś... Uwal tę sprawę. Puść go do domu z dozorem. A potem to umórz. Nie chcę mieć kolejnego gola.

– Nie mogę go puścić. Bo on to zrobił. Słyszałaś kiedyś o Domu Steffensa? – spytał Konrad.

– Chyba nie.

– To był taki klub dla bogatych biznesmenów. Na zaproszenia. Niedaleko Opery Bałtyckiej. Nazwano go na cześć fundatora parku, chociaż Franz Steffens nigdy w nim nie mieszkał.

Rejonowa przewróciła oczami.

– Wiesz, jak interesuje mnie historia.

– Mniejsza z historią. Do klubu przychodzili starzy bogaci faceci i młode modelki. Jak myślisz, co się tam działo?

– To co zawsze, gdy pieniądz wita się z biedą – odparła Magda.

Kroon otworzył akta. Pokazał szefowej zdjęcia z oględzin.

– Widzisz te ślady? To rany, jakie Nikodem Rucki zostawił na ciele drugiej ofiary.

– O kurwa... – zakląła szefowa, która na ogół unikała podwórkowej łąciny.

– Pamiętam, jak Hejmo opowiadał mi o tamtej sprawie. Wiedział, że to, co odkrył, to ledwie wierzchołek góry lodowej. Nie zdążył skończyć śledztwa.

Szefowa oddała mu akta. Nie chciała na to patrzeć.

– Podobno zmarł na raka.

– Nowotwór złośliwy. Hejmo bał się, że ten, kto przejmie po nim sprawę, umorzy to z braku danych. Dlatego awansem postawił zarzuty Nikodemowi Ruckiemu. Żeby jego następca musiał drażyć głębiej.

– A teraz ktoś odziedziczył ten cały syf sprzed czternastu lat. I traf chciał, że jesteś to ty.

PATRYCJA RADKE

Spotkali się na sądowym korytarzu. Niezręczna sytuacja. Od czasu kiedy Kroon dał jej kosza, jakimś dziwnym trafem nigdy na siebie nie wpadli. Nie pogadali.

– Ty tutaj? – spytał Konrad. – Idziesz na Ruckiego?

A dokąd niby? Była sobota, w sądzie poza dyżurującą sędzią nie było nikogo.

– No tutaj – bąknęła.

Atmosfera napięta niczym stalowa struna; garota, która zaraz pozbawi kogoś głowy.

– Kto cię ustanowił?

Zgodnie z procedurą o zatrzymaniu informuje się osobę wskazaną przez podejrzanego. Nikodem Rucki zadzwonił do siostry, ta naprędce ogarnęła mu adwokatkę. Kontakt do Patrycji wzięła od najlepszej kumpeli, której Radke prowadziła sprawę o rozwód. Rozwód, gwałt, ta sama liga. Czyż nie?

– Siostra zatrzymanego. Jeszcze nawet nie miałam okazji z nim pogadać.

Konrad poprawił toę.

– Przyjemny typ. Bierze od życia, co chce. I nie ogląda się na innych.

– To trochę jak ty – rzuciła Patrycja.

A więc wycieczka osobista. Nie powinna była tego mówić. Konrad dał jej kulturalnego kosza, nie zachował się jak świnia, nie zachował się jak typowy facet.

– Jak ja? – spytał Kroon.

Dziewczyna się zmieszała. Palnęła bez sensu, chciała mu dowalić za to, że nie może znaleźć chłopaka. Odpłacić za cały świat. Głupio zrobiła.

– Sorry. Miałam ciężki tydzień – odparła, próbując jakoś załagodzić sytuację.

Konrad tylko się zaśmiał.

– Wiesz, różne rzeczy można o mnie powiedzieć. Ale na pewno nie to, że biorę cokolwiek od życia...

KONRAD KROON

Poszło po jego myśli. Przynajmniej połowicznie.

– Chodź do mnie na chwilę – powiedziała sędzia Grażela.

Była starszą kobietą chwilę przed stanem spoczynku. Taka dobrotliwa babuleńka, kuśtykała na lewą nogę, zawsze się uśmiechała.

Posiedzenie dobiegło końca. Nikodem Rucki został aresztowany na okres dwóch miesięcy. Kroon wnioskował o trzy, dostał miesiąc mniej.

– Słuchaj, ta sprawa jest słaba jak barszcz – mruknęła sędzia, zamykając za sobą drzwi. – Przeglądałam akta i... nie wiem, co ty chcesz z tego wysmarować.

– Najlepiej skazanie – odparł Konrad.

Grażela tylko pokręciła głową.

– Wiem, że masz nosa do takich pokręconych śledztw. Że w ogóle masz nosa. Ale tutaj? Rzekomy gwałt sprzed czternastu lat, prawie żadnych świadków, żadnej biologii...

– On to zrobił – przerwał jej Kroon. – Najpierw jednej, potem drugiej.

Sędzia ciężko opadła na fotel.

– I myślisz, że po tylu latach uda ci się znaleźć jakiś dowód? Bo wiesz, że bez dowodów nikt go nie skaże. Pamiętasz o tym, jak wygląda procedura?

– *Beyond reasonable doubt* – odparł Konrad, posługując się -frazą z anglosaskiego systemu prawnego. Ponad rozsądną wątp-liwość.

Grażela westchnęła.

– Polska to nie Ameryka. Nie wystarczy, że wygłosisz płomienną mowę, którą uwiedziesz ławę przysięgłych. Będziesz się musiał nieźle nagimnastykować.

– Dużo ćwiczę – mruknął. – Hokej, bieganie... ostatnio zacząłem nawet podnosić ciężary.

– Obyś nie połamiał sobie pleców.

*

Siedział na szczycie Góry Gradowej i obserwował panoramę miasta. Za nim wznosił się Krzyż Milenijny, ufundowany z okazji początku nowego tysiąclecia. Tyle lat historii, tyle zagmatwanych biografii, doświadczeń, cierpień i zawiedzionych nadziei. Człowiek. Najbardziej pokręcony gatunek we wszechświecie.

Konrad zawodowo zajmował się ludzkimi tragediami. Specjalista od nieszczęść i trudnych śledztw. Rycerz z chityny, który za wszelką cenę musiał dotrzeć do prawdy.

Obok niego pojawiła się Zuza. Ostatnio często nawiedzała jego myśli.

– Brakuje mi tych naszych rozmów – wyszeptał.

– Tylko rozmów? – spytała, unosząc się lekko nad trawą.

– Bliskości mi brakuje. – Wciągnął mocno powietrze. – Oddechu, zapachu, dotyku. Mieliśmy idealny

układ. Robiłaś, co chciałaś, ja żyłem z dnia na dzień. Świat się jakoś powoli kulał do przodu. Dlaczego musiałaś to wszystko zniszczyć?

Kawałek dalej siedziała para zakochanych nastolatków. Szczebotali coś jak młode pisklęta, praktycznie cały czas się chichrali. Nie zwracali uwagi na samotnego mężczyznę po czterdziestce, który mówił do siebie.

– Ty tu jesteś od znajdowania odpowiedzi na trudne pytania.

– I co mam teraz zrobić?

Zuza odleciała kawałek dalej. Na tle nieba rysowały się ciemne kontury stoczniowych dźwigów.

– Najlepiej zadzwoń do Maciejewskiego, żeby przepisał ci nowe prochy.

Konrad tylko się zaśmiał.

– Po prochach nie mogę jasno myśleć. A muszę rozgryźć pewną sprawę... Pamiętasz Feliksa Hejmę?

Wzruszyła ramionami.

– Być może.

– Opowiadałem ci kiedyś o nim. Stary wyga. Pracowaliśmy razem we Wrzeszczu. Zmarł wiele lat temu.

Zuza usiadła koło niego.

– Wszystkich nas to czeka.

Puścił jej uwagę mimo uszu. Ostatecznie prowadził przecież wewnętrzny dialog. Lekki zespół urojeniowy. Nie musiał się ze wszystkiego tłumaczyć.

– Dostałem po nim do prowadzenia zawieszono śledztwo. Gwałt na dwóch młodych dziewczynach. Hejmo postawił zarzuty awansem, brakowało mu dowodów, krótko potem zmarł. No a teraz policja dorwała sprawcę.

– I co chcesz, żebym ci powiedziała?

– Na którym rozwidleniu skręcić w prawo? Na którym odbić w lewo? – szepnął, drapiąc Fendera pod pyskiem.

Srebrzysty husky spojrzał na Zuzę. Zupełnie jakby on też ją widział.

– Powiem ci, co masz zrobić. Zrób to, co potrafisz najlepiej. Dokop się do prawdy. Nie odpuszczaj. Idź własną drogą.

– Myślałem, że stać cię na więcej.

Prychnęła.

– Konrad, ja nie istnieję. Jestem tylko twoją fantazją. Więc nie poradzę ci nic ponad to, co sam możesz wymyślić.

Zerknął w kierunku stoczni. Dwa lata temu prowadził sprawę śmierci młodej dziewczyny. Kroon zrobił wszystko tak, jak powinien – przesłuchał świadków, pozyskał opinie. I zgubił najważniejszą z przesłanek.

– Czuję, że te dwa gwałty Nikodema Ruckiego to jedynie wierzchołek góry lodowej. Że ofiar było więcej. Że sprawca nie działał sam.

Fender podniósł się na cztery łapy. Coś wzbudziło jego zainteresowanie.

– Przesłuchaj ich wszystkich jeszcze raz – odpowiedziała Zuza. – I tym razem nie polegaj na innych. Bo ostatecznie... możemy ufać tylko samym sobie.

MALWINA

Z głośników dobiegała dziwna, tantryczna muzyka. Spokojne akordy wygrywane na elektrycznej gitarze, lekko chrupki dźwięk lampowego wzmacniacza, samotny tamburyn zamiast perkusji. Sztuka niepokoju zakłęta w dźwiękach rockowej ballady.

Głos wokalisty recytował coś o końcu świata. Albo o kresie ludzkiego życia. Skala makro, skala mikro, czyjs świat się na pewno w tej chwili kończył.

Malwina kolejny raz krzyknęła, zagłuszając melodię.

– PRZESTAN!

Stalowa igła tańczyła na czarnej powierzchni winylowej płyty, po raz dziesiąty odgrywając tę samą piosenkę. Przekleństwo wiecznego powrotu.

– Proszę... – wychrypiała dziewczyna.

„A którzy czekali błyskawic i gromów, są zawiedzeni. A którzy czekali znaków i archanielskich trąb, nie wierzą, że staje się już”¹.

– Proś dalej. Błagaj o litość. Błagaj, żebym przestał – odparł nieznajomy.

„Dopóki słońce i księżyc są w górze, dopóki trzmiel nawiedza różę, dopóki dzieci różowe się rodzą, nikt nie wierzy, że staje się już”.

– Przestań. Proszę... Nikomu nie powiem... – Jej ciało znów przeszył nieopisany ból. – Aaaaa!

– Nie przerywaj sobie. Krwawi bogowie chcą słyszeć, jak płaczesz. Pragną twojej ofiary. – Mężczyzna w masce pogładził ją po szyi, okręcił wokół palca pozłacany wisiołek z zielonym agatem. Trofeum łowcy.

Na dworze toczyło się normalne życie. Dorośli wracali właśnie z pracy, dzieci odrabiały lekcje. Pociąg wjechał na stację, sprzedawca obniżył cenę na wczorajsze pieczywo.

– Ja nie wytrzymam... nie wytrzymam. Ja...

Uderzył ją w twarz kawałkiem deski. Poczula słodki smak krwi, kolejny raz zalała jej usta. Gdyby nie to, że leżała na brzuchu, pewnie by się nią zadławiła.

Spuchnięty język dotknął dziury po zębie.

– Wszystko wytrzymasz. Jesteś twardsza, niż myślisz – oznajmił głos.

– Będziemy musieli się sporo natrudzić, żeby cię zaspokoić – dodał drugi z mężczyzn. Poprawił Malwinie przepaskę na oczach. Nie mogła ich zobaczyć.

– Ale poradzimy sobie – zapewnił oprawca. – Bo wiemy, że takie suki jak ty kochają ból.

– Innego końca świata nie będzie, dziecino.

1 Czesław Miłosz, *Piosenka o końcu świata*, w: tegoż, *Wiersze wszystkie*, Kraków 2021, s. 218.

KONRAD KROON

Nikogo na dzisiaj nie wzywał.

– No klient mówi, że do pana prokuratora – poinformował ochroniarz. – A ja tu nikogo nie mam wpisanego...

Konrad poprawił słuchawkę.

– Jeszcze raz, jak się nazywa?

Mężczyzna spojrział na dowód osobisty nieznanego.

– Stromski. A nie, przepraszam. Słomski. Antoni Słomski.

Klik, klik, klik. Trener? Trener!

– Pan go wpuści. Trzecie piętro. Niech wjedzie windą.

– Się wie, panie prokuratorze.

Chwilę później ktoś zapukał nieśmiało do drzwi jego gabinetu.

– Proszę!

– To ja – zaczął trener. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Byłem akurat w okolicy i pomyślałem...

Musiał być naprawdę zdesperowany, by tu przyjść. Antoni Słomski nie lubił prosić się o łaskę. Twardy, honorowy facet.

– Trener wejdzie! Co za niespodzianka! Zrobić kawki, herbatki?

Gość uniósł obie dłonie.

– Naprawdę nie trzeba. Zawracam ci gitarę, a... Słuchaj, potrzebuję pogadać. Czy możemy?

– Pewnie, że możemy. Koleżanka jest akurat na macierzyńskim, mam pokój tylko dla siebie.

– Chodzi o moją córkę.

Judyta Słomska. Konrad miał pamięć jak słoń, poza tym błyskawicznie łączył fakty. Trzy miesiące temu trener skarżył się na problemy z dzieckiem. Zagubiona nastolatka, zafascynowana światem sztuki. *Sex, drugs & rock'n'roll*. Kontrkultura, mocne makijaże, wyzywające teksty.

Nadopiekuńczy ojciec przeraził się, widząc, czego słucha jego „mała”. A przecież to była tylko muzyka. Jakie zło może płynąć z muzyki?

– Proszę usiąść.

Kroon zdjął z krzesła kupę akt. Nie mieściły się już w szafie.

– Opowiadałem ci, że córka biega za takim jednym zespołem...

– UTERO – powtórzył z głowy prokurator. – Psychomiłość osiemnastoletniej licealistki. Plecak kostka naszpikowany agrafkami, koszulka z okładką płyty Joy Division, wpinki z mordą Cobaina.

Trener pogładził dłonią wąs. Staropolski atrybut prawdziwego mężczyzny. Słomski zapuścił go jeszcze podczas studiów na gdańskim AWF-ie.

– Wyprowadziła się z domu. Odcięła od nas. Matka Lili, jej najlepszej przyjaciółki, mówiła, że Judka w kółko gada o jakimś Aleksie. To ten wokalista. Świata poza nim nie widzi. Liczy się tylko Alex. Nas ma totalnie w dupie. Nie odbiera telefonów, nie bierze pieniędzy...

– Większość rodziców ucieszyłaby się, że córka tak szybko odłączyła kroplówkę z hajssem.

– Większość rodziców ucieszyłaby się, gdyby ten skurwiel, który namieszał jej w głowie, trafił za kraty!

Kroon obserwował twarz trenera. Komunikacja niewerbalna. Słomski rzadko kiedy panikował. Jeżeli bał się o Judytę, to znaczy, że coś było na rzeczy.

– Trenerze... to, co pan za chwilę ode mnie usłyszysz, może wydać się trudne. Ale muszę to powiedzieć.

– Wał – palnął krótko Antoni.

Konrad odchrząknął. W weekend niezłe zaimprezował, trochę rozwalił sobie gardło.

– Prokuratura i policja reagują dopiero, jeżeli coś się już wydarzy. *Post factum*. Nie możemy kogoś zamknąć za same zamiary. Jeżeli ktoś z tego zespołu ma złe intencje, ale na zamiarze się kończy, to jesteśmy w dupie. Musimy poczekać.

– Aż zdarzy się tragedia – podsumował gorzko Słomski.

– Czy Alex wyrządził jej jakąś krzywdę? Pobił, nie wiem... zmolestował, przetrzymuje wbrew jej woli?

Trener ciężko sapnął.

- Nie. Po prostu namącił jej w głowie.
- Bardzo mi przykro, ale jeszcze niejeden namąci jej w głowie.

Słomski klasnął w dłonie. Błyskawicznie zerwał się z krzesła.

– Myślałem, że mi pomożesz. Zawsze wydawałeś się równym chłopakiem. Widać kiepsko znam się na ludziach.

Kroon doskoczył do niego.

– Trzy miesiące temu obiecałem, że pomogę. A ja nie rzucam słów na wiatr.

– To po co odpierdalasz tu tę całą szopkę? Że prokuratura ma związane ręce, że policja musi czekać, aż wydarzy się jakaś tragedia...

Konrad położył mu dłoń na ramieniu.

– Przyszedł pan do prokuratury, więc czułem się w obowiązku wytłumaczyć, na czym polega moja praca. I procedura. A teraz powtórzę to, co powiedziałem w marcu: pomogę panu. I nie jako prokurator. Jako Konrad Kroon.

JUDYTA

W mieszkaniu unosił się gęsty dym. Dziewczyny siedziały na kanapie i jarały zioło. Gruby blant przekazywany z ręki do ręki, trzy lata za posiadanie, trzy za częstowanie, przecież mogły łoić tanie wino, a jednak wybrały to, co nielegalne; już w raju wiedzieli, że zakazany owoc smakuje jakoś lepiej.

– To mój ulubiony kawałek – powiedziała Judyta, słysząc, jak Eryk zaczął coś brzdąkać na akustyku.

Multiinstrumentalista. W zespole odpowiadał za partie basu, oprócz tego regularnie przygrywał na klawiszach. Czasem dołączał do Alexa na drugiej gitarze.

– Zrobiłaś się czerwona – szepnęła jej na ucho Lila.

– Cholernie mi gorąco – spieszyła się dziewczyna.

Podeszła do okna i lekko uchyliła drzwi balkonowe. Kochała Dolny Wrzeszcz. Ojciec mówił, że mieszka tu sama patologia. Pieprzony bufon. Za komuny dostał przydziałkę w spółdzielczym bloku, myślał, że jest królem życia. A gównu o życiu wiedział.

Judyta nie zamierzała wegetować jak jej rodzice. Pragnęła więcej. Czuć, widzieć i słyszeć. Korzystać z kolorów i smaków; kochać, tęsknić i płakać.

– JEBANE ĆPUNY! – wrzasnął lokator z sąsiedniego mieszkania. – ZARAZ ZADZWONIĘ NA PSIARNIĘ, ŻE PALICIE TO GÓWNO!

No tak. Życie sąsiedzkie wymagało pewnej korekty.

– Zamknij ten balkon, Judka – polecił Michał.

– Niczego nie zamykaj! – obruszył się Eryk, nie przerywając gry na gitarze. – To pierdolony menel. Zawsze tak szczeka, ale nic nigdy nie zrobił.

Judka spojrzała z rozbawieniem na członków zespołu.

– Raz w życiu moglibyście powiedzieć to samo.

– Jest tu w chuj ciepło – fuknął Eryk. – Jaja mi się kleją.

– Kup sobie mydło. Zwykle pomaga w takich sytuacjach – zgasił go Michał.

Dziewczyny myślały, że zaraz znów ktoś dostanie po mordzie. Całkiem nieoczekiwanie Eryk podszedł do perkusisty i podał mu zimnego browara.

– Nie chcę zmywać z siebie testosteronu. Laski lecą na zapach prawdziwego mężczyzny.

Gadał jak odklejeniec, ale faktycznie cieszył się niezłym powodzeniem. Przystojny brunet, kolczyk w języku, długa grzywka. Każdy z chłopaków miał w sobie to coś. Eryk, Michał i Ksawery. Ale najważniejszym ogniwem, tym, które spajało całą drużynę i prowadziło ją na skraj marzeń, był bez wątpienia...

– Alex! – warknął basista. – No gdzie, do cholery, ten skurwiel?!

Rzeczywiście, Alex miał w sobie coś z rasowego skurwiela. Apolliński gen gwiazdy; niewytłumaczalny dar ciągnięcia tłumów, oszukiwania, zwodzenia. Był muzykiem i na takiego wyglądał. Długie włosy, broda, oczy jak u bernardyna – lekko smutne, jakby ktoś chwycił go za powieki i pociągnął w dół. A jednak w tych oczach, w tym hipnotyzującym spojrzeniu, kryła się cała jego magia, cały czar, sekretny urok prestidigitatora, który spoglądając melancholijnym, lekko nieobecnym wzrokiem, trzecią ręką niepostrzeżenie kradł ci serce. Alex łamał serca, odkąd tylko pamiętał, i choć zawsze był typem wyrzutka, nigdy nie potrafił uwolnić się od grupki wyznawców; zafascynowanych jego pierwotnym magnetyzmem

kobiet i mężczyzn, którzy na jedno skinienie skoczyliby w ogień, zaczęli rabować, mordować i gwałcić. Taki był właśnie Alex, takim zapamiętali go Judyta i Kroon, tak widzieli go wszyscy wokół.

– Przecież wy za chwilę gracie – rzuciła Lila.

– No brawo, młoda – fuknął Eryk. – Widzę, że starzy nauczyli zegarka.

Michał uderzył pałeczką w futrynę drzwi.

– Najwyżej wyjdą na scenę później. *Whatever*. – Judyta wzruszyła ramionami. – I tak wszyscy przyjdą specjalnie na nich.

– Dawno nie graliśmy w Trójmieście – mruknął Michał.

– Serio, misiu, boisz się o frekwencję? – spytała Lila. – Ja się boję, że policja znów odłączy wam prąd. Przez mieszkanie przetoczyła się salwa śmiechu.

– To, kurwa, zagramy *unplugged!* – zawołał Eryk. – Albo wzniciemy jebane zamieszki!

KONRAD KROON

Wszedł na MySpace, odsłuchał kilka kawałków UTERO, później odpalił torrenta i ściągnął całą płytę. Nie kradnij muzyki, prokuratorze.

Całkiem fajnie grali. Wokalista miał niski, mocny głos, ale równie sprawnie radził sobie w górnych rejestrach. New Rock Revolution przywróciło modę na gitarowe brzmienia; w roku 2010 zespół Alexa płynął na tej samej fali, która wyniosła na szczyty list przebojów takie zespoły jak Placebo, Interpol czy Muse.

– Kurwa, dobre gówno – stwierdził Kroon, wsadzając do kieszeni przenośny odtwarzacz mp3.

Konrad obiecał Słomskiemu wyjaśnić sprawę jego córki. Podejrzał, że trafi na zagubioną nastolatkę, która nieszczęśliwie za-kochała się w jednym z najbardziej rozpoznawalnych muzyków krajowej sceny alternatywnej. „Ona mówi, że kocha jego. Tylko jego, żadnego innego”¹. Książkowy *case*. Oczekiwał historii jak wiele innych – nieszczęśliwa miłość, niezdrowa fascynacja. Kroon nie spodziewał się, że trafi na Alexa. Ani tego, że wpadnie w jego sidła.

– Zmykam do Stacji! – krzyknął współlokatorce. – Wpadasz też?

– Nie, nie wiem. Może. Jak będę, to będę – odparła Wanda.

Wyskoczył na korytarz i szybko zbiegł po schodach. Wynajmował mieszkanie na gdańskiej Żabiance. Kawałek dalej, w Starej Oliwie, mieścił się jego rodzinny dom. Kroon odziedziczył po rodzicach trochę gotówki i właśnie tę nowoczesną, modernistyczną bryłę, wciśniętą pomiędzy historyczną tkankę zabytkowych willi. „Kiedys puszcę ten syf z dymem. Wpierdolę tam buldożer i rozwalę każdą cegłę, każdą belkę, każdy kawałek betonu”.

Dzieciństwo nie kojarzyło mu się dobrze. Pochodził z trudnej rodziny – ojciec pił, matka udawała, że nic się nie dzieje. W liceum Konrad był już wychowywaną przez despotycznego wujka półsierotą.

– No jak tam, Pawełku? – zawołał do słuchawki telefonu. – Ja zaraz wsiadam w SKM-kę.

– Myję zęby i lecę.

– Czyli dzisiaj będzie w końcu ta noc? *One night stand* z najlepszą laską w klubie?

Paweł sapnął coś do telefonu. W gębie miał akurat pełno pasty Colgate. *Ahoj, panie bobrze!*

– Nie chcę zapeszać, ale dziś może wydarzyć się naprawdę wiele. Czuję, że jestem w formie.

– To widzimy się na miejscu! Dozo!

Pociąg wtoczył się powoli na stację. Konrad zajął miejsce w długiej kolejce pasażerów udających, że chcą kupić bilet. Gdyby kanary z Renomy sprawdzały, czy ktoś nie jedzie na gapę, wszyscy mieli alibi.

– Sorry, stoisz tu? – spytała jakaś dziewczyna.

– Stoję – odparł Kroon. – Ale chętnie puszcę cię przed siebie.

Co by o nim nie mówić, nie wyglądał w tej chwili na typowego prokuratora. Trampki Converse, rurki, pasek z ćwiekami, bluza w biało-czarne paski. Fryzurę też miał raczej młodzieżową: dłuższe włosy i opadająca niedbale na czoło prosta grzywka.

– Nie, spoko – odparła nieznajoma. – I tak nie mam kasy na bilet.

Konrad się tylko uśmiechnął.

– Ja mam. Ale wolę ci za ten hajs postawić browara.

Dziewczyna odwzajemniła uśmiech.

– Jedziesz może do Stacji?

Oceniła go po wyglądzie. Taki gość jak on w taką noc jak ta mógł jechać tylko na *indie party* do Stacji DeLuxe.

– Pewka. A ty?

– Ja jeszcze do koleżanki. Ale wpadniemy potem do klubu.

– To się widzimy. – Konrad nonszalancko zaszalutował. Ów sztubacki gest towarzyszył mu jeszcze przez wiele przyszłych lat.

Tym sposobem zajechał do Wrzeszcza. Szybkim krokiem ruszył Dmowskiego w stronę Grunwaldzkiej, tam odbił w kierunku centrum.

Stacja DeLuxe mieściła się w budynku po dawnej stacji benzynowej i w roku 2010 była jednym z modniejszych lokali w Gdańsku.

– Siemasz, Pawełku! – Zbił pionę z kumplem.

– Kondzio, aleś się odstawił. Chodź, napijemy się po browarku.

Zamówili przy barze, później stanęli sobie na zewnątrz. Paweł lubił zapalić, Konrad częstował się jedynie, gdy ktoś oferował mu blanta. Czysta nikotyna nie dawała mu absolutnie żadnej satysfakcji.

– Kurwa, tylu ludzi to Wrzeszcz jeszcze nie widział.

Faktycznie. W tamtych czasach Trójmiasto dopiero uczyło się imprez pod chmurką. Ciepła majowa noc w połączeniu z zachodnią muzyką, jakiej nie grali w radiu, stanowiła obietnicę naprawdę udanego wieczoru. Ponad tysiąc osób zaznaczyło na Facebooku, że weźmie udział w piątkowych rejuwach na rogu Bohaterów Getta i Grunwaldzkiej.

DJ-e puszczali głównie zagraniczne, raczej taneczne kawałki. Od czasu do czasu, ku uciesze tłumu, wplatali do setu stare polskie piosenki. Był więc *Kolorowy wiatr* Górniakowej i *Co mi Panie dasz* Bajmu. A przede wszystkim było mocne gitarowe granie i sporo elektroniki.

– Kurwa, Dizzie Rascal! – zawołał Paweł, próbując przebić się przez wszechobecny hałas.

– Bonkers, suko! – krzyknął Kroon.

LILA

Gdyby nie kojące działanie alkoholu i innych, nieco mocniejszych używek, pewnie byłiby nieźle wkurzeni. Godzina koncertu już dawno minęła, Alex w dalszym ciągu nie pojawił się w mieszkaniu na Wajdeloty.

– Chuj, gramy bez niego! – krzyknął Eryk. – *Show must go on.*

Zamówili szybko taksówkę i wyskoczyli na zewnątrz. Alex nie używał telefonu, nie korzystał z mediów społecznościowych. Funkcjonował całkowicie analogowo. Jeżeli się z kimś umawiał, to zwykle stawiał się na spotkanie. Chyba że akurat miał inne plany.

Taki właśnie był Alex. Chodził zawsze swoimi ścieżkami i tylko czasem zabierał ze sobą innych. Ale nikt nie mógł mieć pewności, jak długo będą razem wędrować.

– Kurwa, ale tłum! – zawołał Michał.

– Dobrze, że podłączyliśmy się już rano – stwierdził Eryk. – Inaczej byłaby lipa.

Menadżer zespołu skinął na właściciela klubu.

– Mieliście być godzinę temu – fuknął brodaty mężczyzna.

– Ciesz się, że w ogóle jesteśmy – warknął Eryk.

Lila obserwowała, jak chłopaki ładują się na scenę, jak podłączają instrumenty. Brakowało wyłącznie jednego elementu. Wtedy też pośród tłumu pojawił się On.

KONRAD KROON

Konrad widział instalujących się muzyków. Bez przywitania zaczęli grać pierwszy kawałek. Perkusja, gitara i bas. Na środku sceny czekał samotny mikrofon.

– To jest sam instrumental? – spytał Paweł.

– A chuj ich wie – odparł elokwentnie Kroon.

Chwilę później pośrodku tłumu pojawił się wysoki, chudy mężczyzna. Włosy sięgały mu do ramion, twarz była wypełniona przez gęstą brodę. Pokonywał ławicę krzyczących nastolatków, które łapały go za ubranie, wzdychały, piszczwały.

Alex podszedł do niewielkiej sceny, wskoczył na podwyższenie. Jakby nigdy nic chwycił za mikrofon i zaczął śpiewać.

Widownia oszalała. W tej chwili tłum na imprezie był tak wielki, że ludzie blokowali okoliczne ulice. Nie każdy miał szansę zmieścić się w ciasnym lokalu. Dzięki wystawionym na zewnątrz głośnikom wszyscy jednak mogli przekonać się, jak gra UTERO. A grało naprawdę pięknie.

– Umieją w koncerty – osądził z miną znawcy Paweł.

– Umieją... – odparł cicho Kroon.

Uwielbiał obserwować ludzi. Jak nikt znał się na ich gestach, tikach i ruchach. Jednym spojrzeniem potrafił wyrobić sobie zdanie o człowieku, zajrzeć do jego duszy, włamać się do umysłu.

Przez cały koncert próbował odgadnąć, kim, do cholery, jest Alex. Przypominał trochę Rasputina, z tym smutnym, nieobecny wzrokiem, ciemną posturą, dziwnymi ruchami. Kręcił się wokół statywu mikrofonu, lekko ugięte nogi trącały pudło gitary.

Czy był szarlatanem? A może po prostu genialnym artystą?

– Daleś radę! – krzyknęła jakaś dziewczyna.

Kroon obrócił się za siebie.

– To ty... – szepnął, jakby właśnie ktoś wybudził go z transu.

– No ja, ja – odparła nieznajoma z kolejki. – To co z tym obiecany piwem?

LILA

Sąsiedzi wezwali policję. Musieli ją wezwać. Bo przecież nigdy jeszcze tylu ludzi nie wylazło naraz na ulicę. Jak były strajki, to też wyszło sporo ludzi. Ale wtedy nikt się nie prosił o niebieskich.

– Judka, pały! – krzyknęła Lila.

Policjanci wyszli z radiowozu i zaczęli legitymować ludzi. W powietrzu unosił się charakterystyczny aromat marihuany.

– Przepraszam, pan tu jest organizatorem? – Funkcjonariusz zagaił właściciela lokalu, nalewającego właśnie piwa.

– No ja. A co się stało?

– Ma pan zezwolenie na organizowanie imprezy masowej?

– To nie jest żadna impreza masowa. – Właściciel rozłożył bezradnie ręce. – Zwykła potańcówka w klubie.

Policjant rozejrzał się po okolicy.

– W klubie ma pan może setkę gości. A na Grunwaldzkiej stoi z tysiąc osób.

No i tak to właśnie niebiescy zepsuli wszystkim zabawę.

– Wyłączamy korki, panowie! Mamy tu zagrożenie porządku publicznego.

Kiedy funkcjonariusze ruszyli w stronę sceny, muzycy rzucili się w tłum. Eryk, Michał i Ksawery. Jedynie Alex zniknął gdzieś bez śladu. Nikt nie wiedział, gdzie się znów podział.

– Spierdalamy, dziewczyny! – krzyknął Eryk, chwytając Judkę za rękę. – Mamy za dużo dragów, żeby dać się złapać psom...

KONRAD KROON

Kiedy zjechali niebiescy, właśnie całował się z dziewczyną z SKM-ki, siedząc na nieczynnym dystrybutorze paliwa. Zauważył ich dopiero, gdy ci zażądali dokumentów.

– Dowodzik poproszę – rzucił policjant.

Karolina podała mu szaroróżowy prostokąt.

– Nie wziąłem – bąknął wyraźnie zrobiony Kroon.

– Torebka. Chcę zajrzeć do środka – polecił funkcjonariusz, wskazując na saszetkę typu nerka.

„Męska torba, a nie żadna torebka, cioto” – pomyślał Konrad. Serce szalało, lecz usta jak zwykle zachowały zimny spokój.

– Trochę skarbów – wyjaśnił. – Zupełnie nic specjalnego.

– Proszę otworzyć.

Kroon posłusznie rozpiął zamek. Klucze, telefon, portfel.

– A pani? Co ma pani w tej torebce?

Karolina nagle spąsowiała. Konrad skumał, że w środku musiała trzymać zioło.

– Aaaa podpaski, szminkę...

– Pani pokaże – polecił policjant.

W tym momencie Kroon wyciągnął swoją legitymację. Wręczył kartonik mężczyźnie.

– Już wystarczy tych cyrków, posterunkowy. Poszpanowaliście blachą, a teraz dajcie nam w spokoju wrócić do domu.

– Pan prokurator? – zdziwił się policjant. Chłopak nie wyglądał na prokuratora; bardziej na studenta

historii sztuki. – Przepraszam, nie wiedziałem.

– To już wiesz. – Kroon poklepał go po plecach. – Idziemy, -Karolina.

Odeszli w kierunku Politechniki.

– Ta szmata to prawdziwa? – spytała dziewczyna. – Czy beka?

– Beka. Ale łknęli.

– To dobrze. – Karolina odsapnęła. – Bo mam przy sobie z dziesięć gramów zioła.

OMAR

A jednak go znalazł. Ukrył się w mieszkaniu kolegi kuzyna, który robił w stoczni. Ale nie wiedział, że przed Nim nie da się ukryć. Że Jego wszechobecny wzrok przenika ściany; Jego nadnaturalny węch wszędzie wyczuje zapach zdrajcy. Bo od Niego nie można się uwolnić.

Chłopaki weszły tam jak do siebie. Dwóch zamaskowanych typów, uzbrojonych w kastety i teleskopowe pałki. Drzwi z dykty należało jedynie mocniej popchnąć, skrytkę w ścianie obstukać bejsbolem.

Za cienką plecówką mieściło się malutkie pomieszczenie wykrojone z obrysu kuchni. Tam się schował.

– Szczur pierdolony! – wrzasnął jeden z mężczyzn, wyciągając Omara na zewnątrz.

Nawet się nie bronił. Sparaliżował go strach.

– Ojciec przesyła pozdrowienia! – krzyknął drugi napastnik, wymierzając ofierze cios w kolano.

Rzucili go na dywan.

– Panowie, ja przecież nic nie zrobiłem! Z nikim nie gadałem, nikomu niczego nie powiedziałem! – pisał Omar.

Każdy głupi się tak tłumaczy.

– Z rodziny da się wyjść tylko w jeden sposób. Przez trumnę.

– Chłopaki, ja...

Zdzielili go pałką po twarzy.

– *Chłopaki to są w agencjach towarzyskich!* Nie widziałeś tego filmu, pakistańska pizdo?!

W Azerbejdżanie nie mają Canal Plus?

Gdzie Pakistan, gdzie Azerbejdżan? Poza tym Omar urodził się w Berlinie, był niemieckim Turkiem, od dwudziestu lat mieszkał w Polsce. Ale przecież nie o to w tym wszystkim chodziło.

– Miałeś zajebistą szansę nie być jebaną kurwą. I spierdoliłeś!

– Jak spierdoliłem?! Wycofałem się, ale z nikim...

Znów cios w twarz.

– Od mamy i taty też się wycofałeś? Myślisz, że da się tak po prostu zerwać więzy krwi?

Chwycili go pod ramię i przywiązali do krzesła.

– Co wy robicie?

– Milcz, suko!

Omar zaczął płakać. Taki duży, a taki strachliwy.

– Tylko nam się tu nie zesraj – polecił napastnik. – Trzymaj to!

Podali mu do ręki dwa przewody elektryczne.

– Nie zabijajcie mnie! Błagam!

– Jak ładnie będziesz mówić, to może przeżyjesz. Ale nie możesz tego puścić, kumaszu, Pakistańcu?

Weź włącz jakąś muzykę!

Drugi z mężczyzn rozkręcił na cały głos radio. Akurat leciał Perfect.

– Jak będziesz kłamał, to podkręcimy napięcie. A jak puścisz przewody, to strzelimy w łeb. Kumaszu?

Omar dał znak, że rozumie.

– No to jedziemy z tym głównym!

Włączyli prądnice.

1 Myslovitz, *Bunt szesnastolatki* (piosenka), *Sun Machine*, 1996.

ROZDZIAŁ 7 | CZERWIEC TEGO ROKU

KONRAD KROON

Nie lubił odkładać niczego na później. Od razu po posiedzeniu aresztowym zlecił policji ustalić aktualny adres pokrzywdzonych, po czym złożył do sądu wnioski o wyznaczenie terminu posiedzenia w trybie artykułu 185c Kodeksu postępowania karnego. W 2010 w sprawach o gwałt przesłuchania przeprowadzali policjanci lub prokuratorzy. Obecnie przepisy wymagają, by czynność tę wykonał sąd w tak zwanym „błękitnym pokoju”.

– No to chyba zaraz będziemy zaczynać – rzucił do Patrycji.

Siedzieli za szklaną szybą: Konrad, Patrycja i protokolantka. Po drugiej stronie znajdowali się pokrzywdzona oraz sędzia wraz z biegłym psychologiem.

– Pani Edyto, niestety musimy wrócić do sprawy sprzed czter-nastu lat. Była pani wtedy przesłuchiwana przez prokuratora Feliksa Hejmę – zaczęła sędzia. – Pamięta pani to...?

– Pamiętam wszystko dokładnie – powiedziała przez zaciśnięte usta.

Ściągnięta twarz, zawzięcie trzymająca na wodzy buzujące w środku emocje. Zupełnie jakby kobieta cały czas nie wierzyła, że oto w końcu nadejdzie sprawiedliwość. Jakby jedno nieostrożne słowo miało wpędzić ją znów w objęcia tego, od którego stale próbowała uciec.

– Dorwaliście go, tak? – spytała niepewnie. – Policja mówiła, że go macie.

– Podejrzany został ujęty. Ale o tym będzie pani informowana dokładnie przez prokuraturę. Teraz zaś potrzebujemy jeszcze raz wysłuchać tej historii. Po drugiej stronie szyby, w osobnym pomieszczeniu, znajdują się pan prokurator oraz pani adwokat. Przysłuchują się naszej rozmowie i za pośrednictwem systemu informatycznego będą także zadawać pytania.

Kobieta westchnęła.

– To było tak dawno temu... ale, jeśli ten sk... jeśli ten drań ma zapłacić za to, co zrobił, to powiem, co będzie trzeba.

– Wystarczy, że powie pani samą prawdę – powiedziała sędzia. – Nic więcej nie potrzebujemy. Na sam początek muszę panią pouczyć o obowiązku zeznawania prawdy. Za zeznanie nieprawdy grozi kara pozbawienia wolności do lat ośmiu. A więc zaczynajmy...

Edyta Nowaczyk opowiedziała sędzi o wszystkich wydarzeniach, do których doszło w Domu Steffensa. Opisała pobieżnie, jak została zmuszona do stosunku, jak Nikodem się na niej wyżywał. Pamiętała ból i upokorzenie. Widziała przed sobą jego twarz.

– Strasznie naokoło gada – stwierdziła Radke. Była obrończą podejrzanego, musiała trzymać jego stronę.

– A ty chciałybyś o tym gadać? – zgasił ją Konrad.

Wiadomo, że nikt nie chciał o tym mówić. A mimo to, aby doprowadzić do skazania, Kroon potrzebował zadać kilka nieprzyjemnych pytań. Na tym polegała jego praca. Tylko tą drogą mógł dotrzeć do prawdy.

Planował posłać Nikodema Ruckiego za kratki. A jeśli Rucki nie działał sam, dowiedzieć się, kto jeszcze maczał w tym palce.

– Czy byli jacyś bezpośredni świadkowie zdarzenia?

Pokrzywdzona zaprzeczyła.

– Chciałam zatrudnić się tam jako kelnerka. Nikodem Rucki przeprowadzał ze mną coś na kształt rozmowy kwalifikacyjnej. Podczas jednej z imprez roznosiłam drinki, to była taka praca na próbę. Chciał zobaczyć, jak sobie radzę.

– Czyli do gwałtu doszło w klubie? – spytała sędzia na polecenie Kroona.

– Nie. Wyszliśmy z Domu Steffensa, Rucki wsadził mnie do swojego samochodu. Był strasznie podekscytowany, mówił, że super sobie poradziłam. W pewnym momencie spytał, czy wiem, że to nie jest taka zwykła dyskoteka. Zaczął coś bredzić o wolnej miłości, braku granic.

Brzmiała wiarygodnie. Konrad nie miał wątpliwości, że zeznaje prawdę. Ale potrzebował czegoś więcej.

– Czy pamięta pani jakiegokolwiek nazwisko? Kogoś z klubu, z kim rozmawiała pani tamtej nocy?

Kobieta zaprzeczyła.

– Niestety. Przyszłam tam na pałę, jakaś laska na ulicy wręczyła mi ulotkę. Potem gadałam tylko

z Ruckim.

– A klienci? – spytała sędzia, odczytując z ekranu pytanie Kroona. – Pamięta pani jakieś twarze?

– Twarze? – zdziwiła się dziewczyna. – Przecież tam można było wejść tylko w maskach!

WIKTOR

Obudził się koło dwudziestej pierwszej. Wrócił do domu z długiej podróży przez Stany i dopadł go jet lag. Taki prawdziwy, wywołany różnicą stref czasowych, a nie narkotykami. Bo Wiktor Duchnowski od dwóch lat był czysty.

Po długiej terapii doszedł w końcu do tego momentu w życiu, w którym postanowił na nowo nawiązać kontakt z rodzicami. Nie liczył na to, że się zmienia, nie liczył na to, że mu odpuszczą. Przyszedł na świat pośród Duchnowskich i brał ich takimi, jacy są. Nie jest zadaniem dziecka wychowywanie rodzica. A starych Wiktora za cholerę nie szło wychować.

– Stasiu, co tu się, kuźwa, dzieje? – spytał gospozię.

– Pani Elżbietka urządziła dziś botoks party. Taki wieczorek dla kobiet...

Chłopak machnął ręką.

– Wiem, co to jest botoks party. Po prostu myślałem, że już z tego wyrosła.

Duchnowscy mieszkali w nowoczesnej willi na gdyńskiej Kamiennej Górze: trzy piętra, dwa duże tarasy, basen, garaż na cztery samochody. Ostentacyjne bogactwo. Grzech pychy podniesiony do najwyższej z potęg.

Wiktor powoli zszedł na dół. Wrócił dziś nad ranem, myślał, że spędzi trochę czasu z matką. Tak mu pisała na komunikatorze: „Wróć do domu. Posiedzimy trochę razem, tak jak wtedy, kiedy byłeś mały”. No to posiedzieli.

Gdy rozstał się z Julką, postanowił uciec na Wyspy. Znalazł tam pracę, do wszystkiego doszedł sam. Nie korzystał z kontaktów ojca ani siostry. To był pierwszy raz, odkąd wizytował rodzinny dom.

– A co ty, Elu, striptizera zamówiłaś?! – zawołała starsza, dobrze zakonserwowana kobieta. Miała burzę rudych włosów i szlafrok. Zresztą, tego wieczoru wszyscy goście nosili szlafroki.

– Martuś, ty stara zboczuch!

– No ładny taki, umięśniony, to chyba dla nas! Do zabawy! – zapiąła kobieta. – Nie mów, że to tylko masażysta!

Duchnowska postukała się w czoło.

– To mój syn, wariatko! Wiktor!

Kobieta udała zmieszaną. Tak naprawdę wcale nie było jej wstyd. Ani teraz, ani nigdy wcześniej.

– To gdzieś ty go przed nami chowała! Przecież on wygląda jak Brad Pitt! Tylko wyższy!

– No i młodszy – wtrąciła trzecia z uczestniczek imprezy.

Duchnowska przytuliła syna.

– Musiałam go ukryć, bo tylko mnie postarza. Nie mogą pomyśleć, że jestem taką starą matką.

– Jaką starą, jaką starą! – oburzyła się Marta. – Przecież my wszystkie ledwie kilka miesięcy po osiemnastce!

Kobiety się zaśmiały. Imprezowały w przestronnym salonie, którego okna wychodziły na oświetlony żeliwnymi latarniami ogród. Nic tu do niczego nie pasowało.

– Dobry wieczór – wyszeptał Wiktor. Brakowało mu tej pewności siebie, która niosła go na skrzydłach przez ostatnie dwadzieścia kilka lat. Spokorniał i wydorósł.

– No nie wiem, w kogo on się wdał – osądziła wylewna kobieta. – Bez urazy, ale Janek nigdy nie był taki przystojny.

Jan Duchnowski, ojciec chłopaka, należał do grona najbardziej wpływowych trójmiejskich biznesmenów.

– No jak to w kogo? – spytała retorycznie Elżbieta. – W matkę!

– Przecież ja go na modela muszę wziąć! – Marta podała chłopcu rękę. – Pewnie mnie nie pamiętasz, jak się ostatnio widzieliśmy, byłeś jeszcze dzieckiem. Marta Bosacka.

– Uważaj na nią – wtrąciła trzecia z kobiet. – To stara zboczucha.

– Agencję modelek prowadziłam! – obruszyła się Bosacka.

Kobiety przejęły od gospozi kieliszki z prosecco.

– Ale już nie prowadzisz – ucięła krótko Duchnowska. – Od wielu lat. Jakbyś była mężczyzną,

wsadziliby cię do ciupy jak tego całego Harveya Weinsteina.

– Bo wy to takie cnotki niby jesteście – prychnęła Marta. – A trzeba brać z życia pełnymi garściami!

PATRYCJA RADKE

Po przesłuchaniu pierwszej pokrzywdzonej wyszli na korytarz. Do następnego posiedzenia mieli ponad godzinę.

– Co powiesz na szybki obiad? – zaproponował Kroon.

Powinna odmówić. Unieść się honorem, okazać wyższość. Bo przecież to on dał jej kosza. Ale z drugiej strony... wyglądałoby to, jakby dalej jej zależało. A przecież jej nie zależało. Chyba. Może. Kurwa. Zależało jej jak cholera.

– Zdążymy?

– Kawalek stąd jest taki mały bar. Nic wymyślnego; foodtruck i trochę leżaków. Ale wciągnąłbym burgerka.

Wzruszyła ramionami. Ostatnio tylko tak się wzruszała.

– Niech będzie.

*

Zamówili po kanapce i usiedli przy niewielkich stolikach z beczek.

– Ładnie ją cisnęłaś – stwierdził Konrad.

– W jakim sensie?

– No te twoje pytania...

Był od niej starszy i bardziej doświadczony, ale na Boga, ona też już od jakiegoś czasu działała na rynku! Czy wszyscy faceci muszą traktować ją tak protekcyjnie?

– Pamiętasz, że jestem obrończynią z wyboru? Wiesz, na czym polega moja rola?

Kroon przygryzł burgera.

– Wiem – odparł z pełnymi ustami. – Dlatego nigdy nie mógłbym zostać papugą. Bronić pedofilów albo takich zwyrolu jak ten cały Nikodem Rucki...

– Każdy ma prawo do obrony. To fundament naszego systemu prawnego.

Gadała jak jakaś potłuczona belferka. Ale on też zachowywał się jak pierwszy lepszy dziennikarzyna. Przecież kumał, o co chodzi w jej pracy!

– Niby fundament – mlasnął – a jednak takiemu jak Rucki trzeba by po prostu solidnie dopierdolić. Nie znoszę przemocowców.

Jakoś ją to wszystko zirytowało. Siedział tu taki pewny siebie, z gęby kapał mu sos, i myślał, że jest pępkiem świata. Może i był dobrym prokuratorem, może i był przystojny, ale...

– A jak tam, Zuza? Skończyłeś już żałobę czy dalej modlisz się do jej ołtarzyka?

Uch, co za cios! Nie planowała pojechać tak ostro. Samo wyszło.

Odłożył kanapkę i wytarł serwetką twarz.

– Dalej nie wiem, gdzie jest. Zghostowała mnie.

Spojrzała mu głęboko w oczy. Przestał zgrywać kozaka, przestał dominować przestrzeń swoją pewnością siebie. Był zagubiony. Samotny. Stęskniony. Był taki jak ona.

– Przykro mi.

Pokiwał spokojnie głową.

– Mi też.

Nie tak to wszystko zaplanował. Kiedy poznał Zużę, jego świat wyglądał zupełnie inaczej. To dla niej się zmienił.

– Nigdy nie żyłam w takim długim związku – stwierdziła poważnie Patrycja.

– Ja żyłam. Ale tylko raz.

KONRAD KROON

Wrócili na posiedzenie. Rozmowa z Patrycją wzbudziła w nim smutek, który tak usilnie próbował przegnać ze swojego życia. Lepiej kochać nieszczęśliwie niż nie kochać w ogóle. Lecz jeśli kochasz nieszczęśliwie, to... co potem?

Usiedli w gabinecie.

– Poprzednio odmówiła składania zeznań – przypomniała Patrycja. – Myślisz, że po czternastu latach

zmieniła zdanie?

– Daj mi trochę poczarować – odparł Kroon.

*

W 2010 Jagodę Malicką, pierwszą z ofiar Nikodema Ruckiego, przesłuchał osobiście prokurator Krzysztof Kielrowski, który przez krótki czas prowadził postępowanie w jej sprawie. Straumatyzowana kobieta została zmuszona do tego, by opowiedzieć nieznanemu mężczyźnie o tym, jaką krzywdę wyrządził jej inny obcy facet. Ze szczegółami, w cztery oczy, bez żadnej taryfy ulgowej. Podwójna wiktyimizacja: najpierw cios zadał sprawca, później przedstawiciel organów ścigania.

Kielrowski rozmawiał z nią tak, jakby to Malicka była winna całego zajścia. Wypytywał o szczegóły, próbował złapać na jakiejś nieścisłości. Zmusił ją, by przeżyła to wszystko jeszcze raz. Tego ciężaru nie dało się udźwignąć. Jagoda Malicka formalnie odmówiła składania zeznań.

Jakiś czas później, kiedy pojawiła się druga ofiara, śledztwo trafiło w ręce bardziej doświadczonego śledczego – prokuratora Feliksa Hejmy. Hejmo połączył oba gwałty wspólnym mianownikiem Nikodema Ruckiego. Ustalił sprawcę, postawił mu zarzuty. Ale Jagoda Malicka dalej milczała jak grób. Tego, co spartolił Kielrowski, nie dało się tak łatwo naprawić.

Czternaście lat później Rucki został zatrzymany. Ale sprawa dalej była niedorobiona, jak źle ugniecione ciasto.

Konrad wiedział, że jeśli chce czegokolwiek się dowiedzieć, będzie musiał działać niestandardowo. Sprawić, by Malicka jednak się przełamała.

Kroon zdawał sobie sprawę z błędów, jakie popełniono na samym początku śledztwa. Z Jagodą Malicką musiała pogadać kobieta. I to nie pierwsza lepsza babka, ale prawdziwy ekspert od empatii.

„Hej, Flara. Gratuluję dorwania Ruckiego”.

„To nie ja, panie prokuratorze. To kryminalni” – odparła skromnie funkcjonariuszka.

„Może i nie ty go dorwałaś, ale to ty pomożesz mi go wsadzić za kraty”.

Polecił jej ustalić aktualny adres Jagody i z nią pogadać. Flara była świetną policjantką, a przede wszystkim – była kobietą.

Rozmowa nie należała do łatwych, ale Flarkowska przez wiele lat pracy na komisariacie we Wrzeszczu zajmowała się głównie przemocą domową. Teraz, po awansie do miejskiej, jej niezwykłą empatią i umiejętnością komunikacji z drugim człowiekiem Konrad cenił bardziej niż złoto. Flara zrobiła to, co było trzeba.

*

Czekali na rozpoczęcie przesłuchania. Kroon i Radke spoglądali zza weneckiego lustra na przestraszoną kobietę. Była niewiele starsza od Patrycji, a wyglądała, jakby właśnie dobijała do pięćdziesiątki. Trudno uwierzyć, że czternaście lat temu pracowała jako modelka.

– Możemy zaczynać? – spytała protokolantka.

– My jesteśmy gotowi – odparł Konrad. Wskazał palcem w stronę szyby. – Oby tylko ona była również gotowa.

Mecenas poprawiła się na krześle.

– Za chwilę się przekonamy.

Sędzia pouczyła Jagodę Malicką o obowiązku zeznawania prawdy oraz odpowiedzialności karnej grożącej za składanie fałszywych zeznań. Później przeszła do meritum.

– Czy wie pani, w jakiej sprawie została tu wezwana?

– Wiem. I chcę zeznawać – oznajmiła twardo kobieta.

Jagoda Malicka opowiedziała wszystko ze szczegółami. O tym, jak zatrudniła się w agencji modelek, o tym, jak podczas jednej z sesji wizytowała Dom Steffensa. Działy się tam różne rzeczy. Luksusowy lokal dla mężczyzn można było odwiedzać wyłącznie na zaproszenia. Wyłącznie w maskach. Ale to nie był zwykły klub go-go.

Dom Steffensa pretendował do miana świątyni sztuki, w której panowała niczym nieograniczona wolność. Kręcili się tam aktorzy, malarze i muzycy. Artystyczna bohema. Miłość podawano sobie z rąk do rąk niczym opłatek; duch rewolucji moralnej lat sześćdziesiątych unosił się w powietrzu wymieszany z zapachem

ginu, szampana i drogich damskich perfum.

– To miała być zwykła sesja zdjęciowa – wyjaśniła Jagoda. – Pozowałam w bieliźnie, nawet nie ściągałam stanika. Po wszystkim podszedł do mnie ten... przepraszam...

Dali jej czas, by doszła do siebie. Nikt nic nie mówił.

– Proszę się nie spieszyć – rzekła spokojnie sędzia.

Na twarzy dziewczyny pojawiły się łzy. Wyparła to wszystko. Zakopała w odmętach pamięci, w zakamarkach umysłu, do których nigdy nie zaglądała. Ale to nie zniknęło.

Rozmowa z Flarą na nowo obudziła tamte emocje. Jagoda musiała to przepracować. Policjantka poleciła jej dobrego psychologa, zaoferowała wsparcie.

– Już w porządku – powiedziała, ocierając policzki. – Nikodem był ochroniarzem w Domu Steffensa. Nie pracował bezpośrednio przy sesji, ale... kręciło się tam tylu ludzi. Blendy, lampy, aparaty. Zdjęcia się przeciągały, a on zaoferował, że podrzuci mnie do domu. Widziałam, jak rozmawiał z laską z agencji. Wydawał się porządnym chłopakiem.

Kroon podyktował protokolantce pytanie. Na ekranie sędzi pojawił się komunikat z wiadomością tekstową.

– Jak miała na imię ta dziewczyna z agencji?

– Nie pamiętam już. Anna? Anika? Anita? Jakoś na A.

Konrad przysunął się do protokolantki. Polecił zadać kolejne pytanie.

– Pamięta pani dane tej agencji modelek? – spytała sędzia.

– Cholera... to była taka duża firma. Mieli nawet własne bill-boardy. Jej szefową była ta babeczka od kosmetyków Aura.

Sędzia odczytała pytanie Kroona.

– Wie pani, jak się nazywała?

Pokrzywdzona zagryzła wargę.

– Taka znana bizneswoman. Boszkowska? Czekaj... znaczy, proszę poczekać. Bosacka. Marta Bosacka.

Bingo. Konrad zanotował w pamięci to nazwisko. Już wiedział, gdzie drążyć dalej.

ZUZA

To było bardzo dziwne lato, pełne nieoczekiwanych spotkań i trudnych do wytłumaczenia zbiegów okoliczności. Konrad i Zuza poznali się kilka lat temu w Krakowie, kiedy on jeszcze studiował na UJ-ocie, a ona, jak to miała w zwyczaju, błąkała się beztrąsko po świecie, wiedzona kaprysem i zmiennym wiatrem losu.

Od tego czasu wpadali na siebie raz na jakiś czas, zawsze szczerze ucieszeni na swój widok, wiecznie niezdolni do złożenia jakiej-kolwiek obietnicy; nieumiejący powiedzieć nic innego ponad banalne „do następnego”. Oboje nie znosili zobowiązań, wtedy na Plantach to on nawet bardziej niż ona wystrzegał się wszystkiego co trwałe, wiążące czy ostateczne.

Czasem pisywali do siebie listy, jak przedwojenni kochankowie, ale przecież gdyby naprawdę chcieli, gdyby którekolwiek z nich chciało, mogliby po prostu do siebie zadzwonić, wysłać SMS-a, zostawić notkę na portalu społecznościowym. W XXI wieku łatwiej było się znaleźć niż kiedykolwiek indziej w historii, odszukanie zagubionej szkolnej miłości zajmowało zazwyczaj jeden wieczór; jedną, długą, wywracającą życie na całe dekady noc.

A jednak ta dwójka żyła zupełnie na przekór wszelkim prawidłom, na przekór rozsądkowi, a jak się miało później okazać, również na przekór własnym potrzebom. Przynajmniej do czasu.

– Lubię, jak tak patrzysz zamyślona w pustkę – szepnął Kroon, gładząc palcem jej policzek. – Robi ci się wtedy taki dziwny grymas; dolna warga ucieka ci lekko w prawo, brwi wędrują w okolice powiek.

– Skąd wiesz, że w pustkę? – spytała Zuza. – A może tam, gdzie patrzę, jest coś więcej niż tylko nicość?

Leżeli nago na nierozłożonej kanapie, przykryci jedynie lekkim kocem. Na dworze i tak było cholernie gorąco. Lecz przecież reguły sztuki miłosnej nakazują, by po spełnionym akcie nakryć czymś ciało; kurtyna w teatrze, papieros w ustach.

– Na przykład co?

– Może widzę wszystko? To, co przed nami, to, co za nami? To, co było, jest i będzie?

Konrad obrócił się na bok.

– Czasem zastanawiam się, gdzie znikasz, kiedy się nie widzimy. – Spojrzał w sufit. – Wracasz tam do góry?

Zuza odstawiała na betonową posadzkę kieliszek z winem.

– A może tam na dół? – mruknęła.

Kochali się w pracowni jej kumpla. Zuza marzyła o takiej przestrzeni: pośród ceglanych hal, z widokiem na stoczniove dźwigi. Surowa, nieprzetworzona materia. Nie zmieniałaby tu niczego. No może wstawiła łóżko. Bo lepiej kochać się na łóżku niż na starej kanapie z rozwalonymi sprężynami.

– Często zaglądam tam na dół. To moja praca – stwierdził, przejmując od niej niedopałek papierosa. Wrzucił go do słoika po kompocie. Sam nie palił. Szkoda płuc.

– No tak. Pan prokurator – rzuciła niedbale. – Nigdy nie pasowałeś mi na kogoś, kto się ugania za złodziejami.

Tylko się zaśmiał.

– Ależ ja się za nikim nie uganiam. To robi policja.

– To co właściwie robisz?

Podniósł z ziemi kieliszek.

– Patrzę, czy czegoś nie spierdolili. I wypełniam kwity.

Zuza zerknęła na niego z rozbawieniem.

– Tym bardziej mi to nie pasuje. Buntownik z wyboru, który tyra za biurkiem ku chwale ojczyzny. Do pracy też chodzisz w trampkach?

– Do pracy jeżdżę rowerem. – Wziął łyk wina. – Ale prawo naprawdę mnie jara. Wiem, że trudno to skumać takiej sfreakowanej artystce jak ty, ale naprawdę jest w tym coś więcej niż tylko artykuły i paragrafy.

Wstała z kanapy. Konrad obserwował jej nagie ciało, gdy zmierzała powoli w stronę wielkiego loftowego okna. Oparła się o parapet.

– I to jest życie, które sobie wymarzyłeś? – spytała.

– Życie i marzenia to dwie osobne kategorie. Nie są od siebie ani lepsze, ani gorsze. Są po prostu inne.

Kroon również wstał. Podszedł do Zuzy, oparł dłonie o jej nagie uda, dotknął brodą skrytego pod burzą loków czoła.

– Mam taką jedną sprawę, która nie daje mi spokoju – zaczął.

– Czyli jednak chcesz mi poopowiadać o pracy?

Delikatnie skubnął jej usta.

– Nie. To prywatne zmartwienie mojego dawnego przyjaciela. Muszę mu pomóc, zupełnie *incognito*.

Poza służbą.

Musnęła palcami umięśniony tors kochanka. Konrad dużo ćwiczył, a Zuza, jako hedonistka, lubiła zadbane ciała.

– Służbą – szepnęła mu na ucho. – Jak to pięknie brzmi.

Zupełnie zignorował jej zaczepkę.

– Córka mojego trenera zabujała się w jednym muzyku. Ojciec się boi, że młoda coś sobie zrobi; całkowicie odcięła kontakt, przestała gadać z rodziną...

– Brzmi jak opowieść o niejednej nastolatce – stwierdziła i ugryzła go lekko w ucho.

Kroon objął ją w talii.

– Tak brzmiało. Ale poszedłem na jego koncert i... Zuza, trudno to wytłumaczyć. Wiesz, że znam się na ludziach. Od dziecka. I ten koleś... Nigdy nie spotkałem jeszcze kogoś takiego. Równie pokręconego. Widziałem to w jego oczach. Czułem tę dziwną energię.

– Myślisz, że mógłby zrobić dziewczynie krzywdę?

Konrad puścił na chwilę jej nagie ciało. Spojrzał za okno. Posępne sylwetki dźwigów KONE odcinały się od fioletowo--pomarańczowego nieba. Skryta przed światem stocznia wciąż czekała na swój wielki renesans.

– Kiedy Słomski do mnie przyszedł, pomyślałem to samo co ty. Że koleś po prostu martwi się o córkę, zbuntowaną, zagubioną nastolatkę. Ale wtedy poszedłem na koncert tego całego Alexa. Spojrzałem mu w oczy i... wtedy to zobaczyłem.

– Że byłby zdolny ją skrzywdzić?

– Że byłby zdolny zrobić znacznie więcej.

KONRAD KROON

Z okien PRL-owskiego punktowca przy ulicy Polanki widać było nie tylko minaret, ale i wieżę kościoła. Stara miejska anegdota głosiła, że komunistyczne władze wydały zgodę na wzniesienie meczetu, by dopiec proboszczowi nowo powstającej parafii. Ile prawdy kryło się w owej legendzie, trudno stwierdzić. Faktem jednak jest, że na niewielkim skądinąd Osiedlu Młodych mieściły się dwie świątynie. I jak na stare gdańskie standardy przystało, żyły ze sobą we względnej zgodzie.

– Nie słodziłem, bo nie wiem, ile sypiesz – powiedział Słomski, niosąc w ręku tacę z herbatami. Cienkie szklanki schowane w wiklinowych koszykach. Szyk lat siedemdziesiątych.

Konrad spoglądał to na minaret, to na wieżę kościelną. Później przeniósł wzrok nieco dalej, w kierunku wielkiej ściany zieleni.

– Całe życie gapię się na ten sam las. Najpierw u starych w Oliwie, potem u siebie na Żabiance. Myśli pan, że kiedyś ucieknę od tych przeklętych drzew?

– Nie lubisz drzew?

– Sam nie wiem. Za dzieciaka je uwielbiałem. Z jednej strony mają w sobie coś pierwotnego, dzikiego. Z drugiej mam wrażenie, że ciągle na mnie patrzą. Zwłaszcza ostatnio.

Słomski postawił na stole dwie filiżanki.

– To jak z tym cukrem?

– Nie słodzę.

Konrad odszedł od okna.

– Poznałem w końcu tego całego Alexa.

Trener łypnął na niego spode łba.

– Wezwałeś go na przesłuchanie?

Znowu to samo. Przecież nie mógł go wezwać.

– Tłumaczyłem już to trenerowi. Koleś nic na razie nie zrobił.

– Ukradł mi córkę. To mało? – fuknął mężczyźna.

Kroon przysiadł na starym fotelu.

– Sama się ukradła. Ma osiemnaście lat.

Słomski trzasnął dłonią w stół.

– Przeszedłeś tu mnie wnerwiać czy pomóc? Bo sam już nie wiem.

„Każdy dobry uczynek zostanie ukarany”. Do jasnej cholery! Przecież musiał widzieć, że grają do tej samej bramki!

– Poszedłem na jego koncert. I nie zobaczyłem niczego niepokojącego. Po prostu zafascynowaną nastolatkę i kolesia, który grał na gitarze.

Blef. Kroon nie mógł powiedzieć mu prawdy. Nie mógł powiedzieć, że zajrzał w duszę Alexa. Że spojrzął w jego oczy i się przeraził.

– Dzięki za cynk.

– Będę miał go na oku. Jeden nieostrożny ruch i go przymknę. Zrobię, co trzeba. Ale na razie kolesz jest czysty jak łąza.

FLARA

Justyna Flarkowska była jedną z najbardziej obiecujących młodych policjantek. Siedziała właśnie na korytarzu wrzeszczańskiej prokuratury, kiedy ktoś złapał ją za ramię.

– Orientuj się! – krzyknął Kroon.

Flara zerknęła za siebie.

– Dzień dobry, panie prokuratorze.

– W końcu cię dopadli? – zażartował Konrad. – Dałaś komuś w łapę?

– Chyba nie miałabym czego dać. Wiecznie lecę na debecie – odparła policjantka.

Kroon przysiadł obok niej na drewnianej ławce.

– Przywiozłaś jakiegoś podejrzanego?

Flarkowska zaprzeczyła.

– Pokrzywdzoną do sto dziewięćdziesiąt siedem.

– Czyli robisz za taksówkę – podsumował prokurator. – Kto ją słucha?

Flara skrzywiła lekko usta.

– Kieltrowski.

Konrad uderzył dłońmi w kolana.

– No to nie wiem, kto ma większego pecha. Podejrzany czy pokrzywdzona. Krzysiek nosi w sobie tyle delikatności co Roman Bratny.

W pomieszczeniu panował lekki półmrok. Samotna świetlówka wyrabiała nadgodziny. Już dawno należałoby ją wymienić.

– Trochę obawiam się, co z tego wyniknie. Dziewczyna wydawała się naprawdę przerażona. I zamknięta w sobie.

– Jak Krzysiek ją przesłucha, to laska targnie się na linę. Serio, on powinien pracować wyłącznie na aktach. Żadnego kontaktu z żywymi ludźmi.

– Nie wypada mi krytykować innego prokuratora – odpowiedziała dyplomatycznie Flara.

– Zawsze taka ostrożna. Wysoko zajdziesz. Słyszałem, że naczelnik proponuje ci miejską?

Na twarzy policjantki zagościł delikatny uśmiech.

– Skąd pan to wie?

– Ludzie gadają. Zresztą, nie moja sprawa.

Flara splonęła rumieńcem. Kręciła z naczelnikiem. Ten romans miał ją pozbawić awansu przez następnych czternaście lat. Wieczna podoficer. Wieczna aspiryna.

– Niech pan nie słucha plotek.

W tym momencie drzwi do gabinetu Kieltrowskiego stanęły otworem.

– Możesz ją zabrać, Flara – fuknął prokurator. – Dziewczyna nic nie chce gadać. Nie wiem, po kiego grzyba zwracałaś mi gitarę.

Kroon spojrzął porozumiewawczo na Flarkowską. „A nie mówiłem?” – głosił wyraz jego twarzy.

KONRAD KROON

Feliks Hejmo był z pewnością najbardziej doświadczonym prokuratorem w całym Wrzeszczu. Pracował w dziale śledztw, tak zwanym trzecim DS-ie, prowadząc same najtrudniejsze postępowania. Na

początku swojej kariery Konrad także planował awansować „na śledztwa”, porzucić drobnicę, zająć się kryminalną esencją prokuratorskiej pracy. Wtedy jednak trafił na sprawę Brodowicza.

– Hej, możemy pogadać? – spytał Kroon, wchodząc do pokoju Hejmy.

– O pracy? – mruknął mężczyzna, nie wychylając się znad wysokiej sterty akt.

Konrad wzruszył ramionami.

– Trochę tak, trochę nie. Potrzebuję rady kogoś mądrzejszego od siebie.

Hejmo tylko się zaśmiał.

– O mądrzejszego od ciebie to będzie trudno. – Odsunął się od biurka. – Ale może przynajmniej znajdzie się ktoś bardziej zgorzkniały. Chodź!

Starszy prokurator chwycił swój znoszony słomkowy kapelusz i ciężko podniósł się z fotela. Zgarnął ze stołu fajki, po czym ruszył w stronę korytarza.

– Wciąż karmisz nowotwór?

Hejmo zamknął drzwi do pokoju.

– Taki mamy układ: ja go karmię, on mi daje jeszcze kilka dni odroczenia kary.

– Czyli jesteś pierdolonym kapusiem – podsumował Konrad.

– Po tylu latach robienia z recydywą uczysz się, jak oszukiwać system. – Zakaszłał. – Bo każdy system da się oszukać.

Wyszli na zewnątrz. Na całym terenie kompleksu nie wolno było palić. Ledwie metr za płotem ziemię wyścielał miękki dywan z kiepów.

Konrad patrzył, jak jego kolega z trudem wyciąga zapalniczkę. Cholernie trzęsły mu się dłonie.

– Może ci pomóc? – zaproponował.

– Spierdalaj! – obruszył się Hejmo. – Mój rak, mój krzyż. No co tam chciałeś, młody?

Kroon upewnił się, że nikt nie patrzy. Ostatnia grupka palaczy wracała właśnie wężykiem w stronę budynku sądu. Zostali sami.

– Mam takiego starego przyjaciela, który wpadł w kłopoty.

Stary prokurator zaciągnął się dymem.

– Zerwij z nim kontakt, nie odbieraj telefonu, udawaj, że go nie znasz.

Cały Hejmo.

– Tak będę robił za dziesięć lat. Na razie mam jeszcze w sobie całkiem sporo empatii.

– Wyleczysz się z tego.

– Pewnie tak – przyznał Kroon.

Nigdy nie wyleczył się z empatii. Nawet wtedy, kiedy zgrywał hardego drania.

Po estakadzie Rakoczego przemykały samochody.

– No dawaj, co cię tam gryzie – mruknął Feliks, poprawiając kapelusz, który chronił jego łysinę przed palącym czerwcowym słońcem.

– Mój dawny trener ma córkę. Osiemnastoletnią córkę.

– Zakochałeś się – wszedł mu w słowo Hejmo.

Konrad zbył tę uwagę machnięciem ręki.

– Co tydzień się zakochuję. Ale zawsze nazajutrz okazuje się, że to nie to.

– Na Zachodzie bez zmian... No i co z tym twoim trenerem?

– Uważa, że jego mała dostała się do sekty. I prosi mnie o pomoc.

Feliks odpalił kolejnego papierosa. Kiedy wchodził w ciąg, potrafił za jednym posiedzeniem wyjarać pół paczki fajek. Po trzeciej siedział w robocie i tłukł nadgodziny. Otwierał wtedy zawsze okno, kładł nogi na biurko i kopał jak smok. Do piętnastej musiał jednak zachowywać pozory. Co godzinę wychodził przed budynek, by naładować nikotynowe akumulatory solidną dawką fajczanu.

– No i co chcesz zrobić?

Kroon wzruszył ramionami.

– Nie wiem jeszcze. Dziewczyna przebywa tam dobrowolnie, jest pełnoletnia, nie robią jej żadnej krzywdy.

– No to dupa – orzekł surowo Hejmo.

– Dupa... – przyznał Konrad. – A jednak... – Raz jeszcze upewnił się, że nikt nie patrzy. Za płotem stał pan Gienek, ochroniarz. Rozmawiał z kimś przez komórkę.

– A jednak wiesz, że musisz pomóc.
– Słuchaj, byłem na koncercie tego całego typu, który zawrócił jej w głowie. I zrozumiałem, że tej historii nie zwieńczy *happy end*.

Hejmo zakaszłał.

– A czy jakkolwiek historię z naszej pracy wieńczy *happy end*?

Kroon przestąpił z nogi na nogę.

– Rzecz w tym, że ja nie chcę, żeby to była historia z naszej pracy.

– Spokojna głowa. Póki jej nie zgwałci albo nie zabije, pies z kulawą nogą się tym nie zainteresuje.

Prokuratura działa dopiero, kiedy mleko się rozleje.

Konrad dobrze o tym wiedział. Każdy sam odpowiada za swoje życie. A jeśli wybierze źle, to spotka go kara. I prokurator.

– Dzięki. Pomogłeś – mruknął Kroon.

Hejmo zgasił papierosa o płot, po czym rzucił niedopałek na ziemię. Kolejny kiep do kolekcji. Dywan stale się powiększał.

– A co chciałeś usłyszeć? Ile lat tu pracujesz?

– Kilka.

Prokurator nachylił się nad młodszym kolegą.

– Firma mu nie pomoże. Policja mu nie pomoże. Laska ma osiemnaście lat, może robić, co chce. A jeśli zależy ci na przyjacielu, zrób wszystko, żeby przejrzała na oczy. Zanim jej sprawa trafi na twoje biurko. Albo, co gorsza, na moje biurko.

LILA

Lila z Judytą siedziały na betonowym falochronie. Turkusowa latarnia strzegła wejścia do portu, morze delikatnie się bujało, kołysane popołudniowym wiatrem.

– Bosz, jak ja się boję tych egzaminów.

– Chciałaś powiedzieć wyników – sprostowała Judka.

Przyjaciółka machnęła ręką.

– Maturę zdamy na pewno. Mówię o wstępnych do filmówki.

Piły igrzostwo prosto z butelki, snując plany na przyszłość. W tym wieku każdy ma wielkie marzenia.

– Jeśli ciebie nie wezmą, to kogo? Jesteś piękna, mądra, ekspresyjna...

– Ale mam wadę wymowy – ucięła Lila.

– Lekką. Zresztą uważam, że to twoje „er” jest superseksowne – oceniła Judka.

Lila wzięła łyka udawanego szampana. Patrzyły na Bałtyk.

– Tak bardzo o tym marzę. Bo to jest to, co chcę robić w życiu.

– Wiesz, co powiedział mi kiedyś Alex? „Nie oglądaj się na innych. Bierz od świata to, czego pragniesz.

Albo znacznie więcej”.

Alex. Ich przewodnik, który niczym Charon przeprowadzał je w dorosłość.

– No a ty? – spytała Lila.

– Ja dalej nie wiem. Ale nie muszę wiedzieć i to też jest okej. Bo ciągle szukam.

Przyjaciółki spoglądały w stronę zatoki. Na redzie stało kilka wielkich kontenerowców.

– Przez całe liceum mówiłaś o architekturze wewnątrz.

Judka prychnęła.

– To było marzenie moich starych. Przez osiemnaście ostatnich lat wkładali mi do głowy swoje poglądy, jakby odkryli receptę na szczęście. Ale wiesz co? Wcale nie są szczęśliwi. I nigdy nie byli.

Na potwierdzenie swoich słów nastolatka wygrzebała z plecaka paczkę fajek. Otworzyła kartonowe pudełko, lecz zamiast papierosa wyciągnęła przygotowanego wcześniej blanta.

– Co ty robisz? – przestraszyła się Lila. – Weź to schowaj, jeszcze ktoś zobaczy!

Judka zapaliła skręta. Zaciągnęła się, po czym przekazała go przyjaciółce.

– W dupie to mam. Za bardzo przejmujemy się tym, co zrobią inni. Co o nas pomyślą. A przecież tylko raz przychodzimy na świat, tylko raz żyjemy, tylko raz umieramy.

To również były słowa Alexa.

– No dobra, a jak przyjdą pały?!

Nastolatka rozejrzała się wokoło.

– Widzisz tu gdzieś radiowóz? Ja widzę tylko morze, kamienie i falochron. Żadnej psiarni.

Lila nigdy nie była taka odważna. Uważała na słowa, baczyła na gesty. Aż przykre, że kilka miesięcy później trafiło właśnie na nią. Ale życie nie jest sprawiedliwe.

– Bardzo się zmieniłaś w ciągu ostatniego półrocza.

– Przepieprzyłam prawie osiemnaście lat swojego życia. Czas dorosnąć. I przestać się stać ze wszystkim srać.

Jej usta opuścił kłęb szarobrazowego dymu.

– Naprawdę cię nie poznaję – zaśmiała się Lila. – Ale nadal kocham w każdej postaci.

Seneka mawiał, że kto jest odważny, jest wolny.

– ODWAGI!!! – zawołała Judka.

– Przestań! – Lila chichotała.

Przyjaciółka stanęła na nadmorskim gładzie.

– Nie wiem jeszcze, czego chcę od życia, ale wiem, że wkrótce to znajdę. I wezmę wszystko. Tak jak uczył mnie Alex. – Obróciła się w stronę Sopotu. Na pobliskiej plaży siedziało kilkanaście osób. Złożyła ręce w rurkę i krzyknęła prosto do nich: – HEJ, WY! PRZESTAŃCIE UCIEKAĆ! BO NIGDY JUŻ NIE UCIEKNIECIE! PRZED SOBĄ NIE DA SIĘ UCIEC!

Lila pociągnęła ją za sukienkę.

– Siadaj! Wariatko ty!

Obie śmiały się wniebogłosy.

– Wiesz, co ci powiem, Byrna? – spytała Judka.

– No co, ty szajbusko?

– Że od dziś wszystko będzie wyglądać inaczej. Ten świat tylko czeka na to, aby go zdobyć. I zdobędziemy go we dwójkę. Tak jak uczy nas Alex. Przysięgam ci to!

Falochron w Nowym Porcie stał się świadkiem kolejnej poważnej rozmowy o tym, że trzeba zmienić swoje życie. Żaden spowiednik nie usłyszał nigdy tylu obietnic i postanowień, co ten szary betonowy nasyp.

KONRAD KROON

Siedział na balkonie i słuchał muzyki. Dość głośno, ale nie tak głośno, by komuś przeszkadzać. W jednym ręku kieliszek czerwonego wina, w drugim telefon. Surfował po necie.

– Ostrzegam, że będę palić – powiedziała współlokatorka, wychodząc z dużego pokoju. Mieszkali tu we trójkę, komuna jak na studiach. Konrad mógł spokojnie samodzielnie wynająć jakieś mieszkanie; na dobrą sprawę mógł też wziąć kredyt i kupić sobie własne.

– Ostrzegam, że ostatnio na Żabiance sporo osób uczy się latać.

Wanda przysiadła obok niego.

– Ten spadochroniarz z trzeciego bloku to twoja sprawka? – spytała, wspominając sąsiada samobójcę.

– Mówiłem mu, żeby przestał kopcić.

Dziewczyna przejęła od niego kieliszek z winem.

– Nawet dobre – powiedziała. – Chociaż wolę białe. Co ty takich smutów słuchasz?

Z głośnika lecieli akurat Zeppelini. *Babe I'm Gonna Leave You*.

– Zawsze mnie tak bierze na początku lata – mruknął. Faktycznie ostatnimi czasy robił się coraz bardziej nostalgiczny.

– Czas się ustatkować, typie. Trzydziestoletni prokurator, który mieszka na kwadracie z dwiema lesbijkami.

Kroon zabrał jej papierosa, po czym manifestacyjnie zgasił go o barierkę.

– Jak musisz tu siedzieć i przeszkadzać w kontemplacji, to chociaż mnie nie truj.

Spojrzała na niego badawczo.

– Czy ty się zakochałeś?

Coś było z nim nie tak. Nadto drażliwy, milczący, niedawno odmówił im kilku wspólnych imprez.

– Jak kiedyś się zakocham, to proszę, wsyp mi jakieś prochy do drinka, a potem wrzuc mnie nieprzytomnego do Strzyży.

– Prawdziwy romantyk – podsumowała. – Zgrywasz twardziela, ale gdzieś tam pod skórą po prostu pragniesz się zakochać. Albo już to zrobiłeś.

Konrad chwycił kieliszek z winem i przesiadł się na drugą stronę balkonu. Rozmowa skończona.

Wyciągnął telefon.

Wanda prychnęła, po czym wróciła do dużego pokoju.

– Ech... – westchnął, scrollując Facebooka.

Współlokatorka miała rację. Od jakiegoś czasu Konrad czuł dziwną, trudną do wytłumaczenia tęsknotę. I pustkę. Nie potrafił zidentyfikować jej źródła.

Przez całe życie uciekał od związków i poważnych zobowiązań. To dlatego nie posiadał własnego mieszkania, to dlatego nigdy nie umawiał się na drugą randkę. Jediną osobą, z którą chciał spędzać coraz więcej czasu, była...

– Dość! Nie mogę się tak nakręcać! – szepnął, wciąż widząc w myślach Zuzę. Wszedł do pokoju, wsadził do odtwarzacza inną płytę, po czym znów wrócił do swojej samotni na balkonie.

Z głośników dobieły się wesołe dźwięki syntezatora. Hipisowska muzyka w odsłonie lat dwutysięcznych. MGMT.

„I’m feelin’ rough, I’m feelin’ raw, I’m in the prime of my life”¹.

– Ja pierdolę, to o mnie – mruknął.

W tym roku stuknęło mu trzydzieści lat. Konrad czuł, że oto ma przed sobą ten ostatni w moment, w którym może dokonać czegoś ważnego. Wybrać właściwą drogę.

„Let’s make some music, make some money, find some models for wives”.

– Czas się ustatkować, typie – prychnął, cytując słowa współlokatorki. – W życiu Warszawy!

Kilka lat temu sparzył się na sprawie Brodowicza. To wtedy postanowił nigdy więcej nie angażować się w pracę. Planował znaleźć sobie inny cel. Ale na linii horyzontu wciąż nie widział żadnych szczytów, na które mógłby się wspiąć. Po prostu kręcił się w kółko.

„I’ll move to Paris, shoot some heroin and fuck with the stars”.

– A może to jest jakiś pomysł? Przyjechać trochę heroiny i wywalić do Francji? – powiedział, spoglądając w kierunku zachodzącego słońca. Zawsze uciekamy na Zachód. – Zobaczyć Paryż i umrzeć...

*

Przeglądał program tegorocznych letnich festiwali. Od dziecka uwielbiał muzykę. Za gówniarza sam założył z kumplami zespół, dziewczynom w Topolówce się podobało. Potem wyjechał na studia do Krakowa. UTERO. Ostatnie ogłoszenie tegorocznego festiwalu na Błoniach.

– Kim jesteś? – spytał, spoglądając na zdjęcie Alexa. – I czego chcesz?

Konrad znał się na ludziach. Bez większego trudu potrafił ich szufladkować, katalogować, oceniać. I nigdy się nie mylił. Jakiś dziwny szósty zmysł pozwalał mu zawsze zajrzeć w duszę drugiego człowieka.

Wtedy na koncercie w Stacji DeLuxe Kroon pokusił się o zerknięcie w oczy charyzmatycznego muzyka. Przeraził się tym, co w nich zobaczył.

Za kilka dni UTERO grali w Krakowie.

– A co, ty jednak wybierasz się z nami na Selectora? – Wanda zajrzała mu przez ramię. – Paweł mówił, że masz dyżur w weekend.

Miał dyżur. To prawda. Ale Krzysiek Kielrowski przebąkiwał coś ostatnio, że z chęcią by się zamienił.

– Są jeszcze bilety? – spytał bez większego zastanowienia.

Musiał jechać do Krakowa. Musiał raz jeszcze zobaczyć Alexa. Spojrzeć w te smutne oczy, zrozumieć jego tajemnicę.

– No są – odparła współlokatorka. – Ale jeszcze w zeszłym tygodniu mówiłeś, że za chuja nie pojedziesz.

– Nigdy nie mów nigdy – odparł Kroon, klikając w ikonkę sklepu z biletami.

NIKOLA

Nikola nie była pierwszą zaginioną tego lata dziewczyną. Nie była też ostatnią. Nikt jej nie szukał, nikt po niej nie płakał. Sierota.

Jej cały świat tworzyli chłopak i garstka przyjaciół. A ci okazali się bardzo złymi ludźmi.

Chciała coś powiedzieć, chciała zaprotestować, ale nie dano jej takiej szansy.

– Milcz, kurwo!

Kiedy włamali się do mieszkania, był środek nocy. Weszli po cichu, zupełnie jakby ktoś dał im klucze.

– Jedno słowo, a cię zapierdolimy.

– I tak cię zapierdolimy.

Narzucili jej na głowę poszewkę od poduszki i szczelnie zawinęli taśmą. Nie starali się wyrządzić jej krzywdy, nie starali się też być przesadnie ostrożni.

– Fajnie, że jest taka mała.

– Kompaktowa.

Nie zdążyła zobaczyć ich twarzy, nie zdążyła zaprotestować. Może i dobrze, że nie stawiała oporu. Wybiliby jej zęby, a potem i tak zrobili swoje. Tacy zawsze biorą, co chcą.

– Wpierdalamy ją do środka, dawaj. Żeby nas kamery nie nagrały.

Wydawało się, że jadą razem na wczasy. Mieszkanie opuściła dwójka mężczyzn niosących wielką walizkę. Widywano ich tu wcześniej. Przyjaciele. Nikola leciała chyba gdzieś na wakacje. Drobna brunetka, sama nie dałaby rady z tak wielkim kufrem. Pewnie poprosiła ich o pomoc. *A friend in need is a friend indeed.*

Siedziała zwinięta w kłębek, nadgarstek kaleczyła jej stalowa linka. Doigrała się.

– Dajemy do windy!

– Niby taka mała, a jednak kurestwo waży swoje!

Ostrożnie dobieraj przyjaciół, dziewczyno. Mama cię nie -uczyła?

– No dobra. Wciskaj minus jeden.

Nikola nigdy nie miała prawdziwej mamy. Nikt nie czytał jej bajki o Czerwonym Kapturku. Nauczono ją tylko, by nie ufać nieznanym. Nikt nie wspominał, że owa reguła tyczy się również przyjaciół.

LILA

Obserwowała, jak Alex w skupieniu stroi gitarę. Kawalek dalej Eryk śmiał się z czegoś z Michałem.

Żyli tu jak w jednej wielkiej rodzinie. Członkowie zespołu UTERO tworzyli coś na kształt komuny: muzycy, technicy, menadżer i groupies spędzali razem praktycznie cały czas, tak na scenie, jak i poza nią. Nikt nie potrzebował przestrzeni, nikomu nie było duszno. Jediną osobą, która najmniej trzymała się pozostałych, był Alex, ale jego nikt nawet nie próbował zmusić, by komukolwiek tłumaczył się z tego, co robi.

Charyzmatyczny wokalista stanowił kogoś w rodzaju nieformalnego przywódcy grupy. Ojcował im, ale jak na prawdziwego tatę przystało, rzadko kiedy angażował się w życie rodziny. Kiedy jednak coś sobie ubzdurał, jego słowo było święte. Nikt nigdy nie dyskutował z Alexem.

– O kurwa, ale się zjarałem – zaśmiał się Michał. – Dziś mogę nie trzymać rytmu.

– Jakbyś kiedyś trzymał – zgasił go Eryk. Podał mu niewielki foliowy woreczek.

– Nie no, nie chcę...

– Bierz! – polecił chłopak. – To cię postawi na nogi.

Michał przejął od niego pakunek. Spojrzał w stronę dziewczyn.

– Idziesz, Lila?

Nastolatka spłonęła rumieńcem.

– Wiesz, że my nie ćpamy.

– Mów za siebie! – zawołała Judka, zrywając się z kanapy. Podbiegła do perkusisty.

Lila czuła lekki strach. Kręcił ją świat muzyki, wiedziała, że tak trzeba żyć, żeby tworzyć wielkie rzeczy. Tak uczył Witkacy.

„Są ludzie, którzy skarżą się na intensywność stylu w literaturze: wolą kaszkę na mleku niż abisyńskie suki prażone żywcem na bringhauserach i podlewane sokiem ya-yoo. Ale mnie się zdaje, że każdy powinien pisać jak najintensywniej, na ile go tylko stać, i to tak samo w subtelnościach, jak i w brutalnościach”².

Albo grubo, albo wcale.

– No dawaj! – ponagliła ją przyjaciółka. – Zioła też nie chciałaś, a jednak ci się spodobało.

To prawda. Lila piła czasem tanie wino, ale ogólnie raczej nie ciągnęło jej do używek. Ciekawość to pierwszy stopień do piekła. Kiedy Judka namówiła ją na pierwszego blanta, przeraziła się, jak przyjemne było to uczucie. Niektórych granic lepiej nie przekraczać.

– Właśnie tego się boję – odparła Lila. – Że mi się za bardzo spodoba.

Michał skręcał właśnie dziesięciozłotowy banknot. Mimo sławy nigdy nie śmierdział groszem. Wszystko wydawał.

Wtedy do rozmowy niespodziewanie włączył się Alex.

– Znasz tę piosenkę?

Zaczął brzdąkać coś na gitarze. Kilka prostych dźwięków zagranych na dwóch najcieńszych strunach.

MGMT.

– No tak – spieszyła się Lila.

– „I’ll move to Paris, shoot some heroin and fuck with the stars”³ – zanucił mężczyzna. – No dawaj, dziewczyno.

Lila widziała, jak na nią patrzy. Magnetyczne spojrzenie, hipnotyzujący, lekko smutny wzrok złodzieja ludzkich serc.

To była jej próba wody, zwierciadło prawdy. Nowożytne ordalia. Pokaż, kim jesteś w rzeczywistości. Udowodnij, że nie mieszka w tobie szatan. Albo raczej... że właśnie w tobie ma on swój dom.

Dziewczyna przejęła od Michała zwinięty banknot. Dwie białe kreski. Raz jeszcze spojrzała na Alexa.

– Zobaczysz, jakie to fajne – zapewnił.

Lila nieśmiało zbliżyła zwitek do ułożonych ścieżek narkotyku. Zatkęła palcem lewą dziurkę i się zaciągnęła. Gwałtowny przypływ mocy. Aż ją zaswędziało w nosie.

– *Encore*, dziecko – polecił Alex.

Nastolatka posłusznie przyłożyła rulonik do drugiej dziurki. Siła, energia, moc. Brak granic, barier i reguł. Wolność i strach.

– Lubię takie pojętne uczennice – wyszeptał mężczyzna.

KONRAD KROON

Bardzo cieszył się, że znów odwiedza Kraków. Pierwszy raz przyjechał tu w ciemno na studia. Nigdy wcześniej nie był w tym mieście; wybrał najdalszy możliwy kierunek, żeby uciec od wujka.

Konrad należał do grona najlepszych studentów, proponowano mu asystenturę na UJ-ocie. Poważna praca, perspektywa dorosłego, odpowiedzialnego życia. Kroon wybrał podróż po samym sercu Ameryki. Później niespodziewanie wrócił nad Bałtyk, by rozpocząć karierę w prokuraturze. Karierę, z której bardzo szybko postanowił zrezygnować.

– I co? – spytała Wanda. – Łezka się w oku kręci?

– Łać mi się chce.

Kroon zniknął w toalecie.

– Czy z nim się da poważnie pogadać? – bąknął Paweł.

– A skąd ja mam wiedzieć? To twój kumpel z podwórka.

– Przecież mieszkacie razem – nie dawał za wygraną.

– Konrad rzadko kiedy sypia na chacie – wtrąciła Kasia, partnerka Wandy.

Rzuciła na łóżko walizkę. Wynajęli kwatery na Krowodrzy, kwadrans spacerkiem od Błoni.

Kroon wrócił do pokoju.

– A wy co? Dalej debatujecie na mój temat?

– Jesteś najciekawszym, co nas w życiu spotkało, typie – palnęła Wanda.

– Nie tylko was – mruknął Konrad, skacząc na łóżko.

*

Na głównej scenie grało Metronomy. Przyjaciele wbili się w tłum i całkiem konkretnie zrobieni dygali w rytm muzyki.

– Trochę fałszuje – ocenił Paweł.

– Twoja stara fałszuje – podsumowała go Kasia.

Żarty z podstawówki.

– Twoja stara przeszła Mario w lewo. A gdzie Wanda?

Konrad wzruszył ramionami.

– Chyba do kibla poszła.

Przyjaciółka pojawiła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Hej, patrzcie, kogo znalazłam! – zawołała. – To Lucy, moja kumpela z Poznania.

Kroon zmierzył nowo przybyłą wzrokiem. Niewysoka blondynka, kolczyk w lewej brwi, raczej ładna. Nawet bardzo ładna.

– Tu mamy Pawełka, Kasię znasz, a to...

– Konrad jestem – powiedział, nachylając się nad jej uchem.

– Lucy – szepnęła.

W powietrzu zaiskrzyło. To nie były efekty pirotechniczne ani światło lasera, które promieniowało znad sceny. Zupełnie jakby znali się już wcześniej. „Każdy przecież początek to tylko ciąg dalszy, a księga zdarzeń zawsze otwarta w połowie”⁴.

Stanęli koło siebie. Lucy przyłączyła się do tańca.

– Uwielbiam ich! – krzyknęła dziewczyna, wskazując głową w kierunku sceny.

„Oboje są przekonani, że połączyło ich uczucie nagle. Piękna jest taka pewność, ale niepewność jest piękniejsza”⁵. Kroon mógłby przysiąc, że gdzieś już ją widział.

– Mieszkasz w Poznaniu? – zagał.

– W Warszawie! – zawołała, próbując przebić się przez gwar muzyki. – Ale studiowałam w Krakowie. Za cholerę nie mógł sobie przypomnieć, skąd ją znał. Ale przecież musiał ją znać.

„Sądzą, że skoro nie znali się wcześniej, nic między nimi nigdy się nie działo. A co na to ulice, schody, korytarze, na których mogli się od dawna mijać? Chciałabym ich zapytać, czy nie pamiętają – może w drzwiach obrotowych kiedyś twarzą w twarz? Jakies »przepraszam« w ścisku? Głos »pomyłka« w słuchawce? – ale znam ich odpowiedź. Nie, nie pamiętają”⁶.

– Chodź, chcę ci coś pokazać – szepnęła mu na ucho.

– Co?

– Nie pytaj, tylko chodź.

Wyciągnęła go z tłumu.

– Spójrz tam. – Wskazała w kierunku Salwatoru.

– Niczego nie widzę – odparł.

– Bo musisz zamknąć oczy.

Posłusznie wykonał jej polecenie. Wtedy go pocałowała.

LILA

Chłopaki z ekipy szykowały się do wyjścia na scenę. Eryk żartował, Michał walił pałeczkami w śmietnik, Ksawery przeskakiwał z nogi na nogę.

– Rozwalicie system – zapewniła Judka.

Lila rozglądała się za Alexem. Wyrzała z namiotu.

Wokalista klęczał kilka metrów dalej, schowany pomiędzy dwoma wielkimi skrzyniami na sprzęt sceniczny. Dziewczyna ostrożnie zakradła się w jego stronę.

Medytował. Ścisnął w dłoniach wielki złoty sygnet wysadzany czarnym kamieniem i szeptał coś do siebie.

Lila podeszła nieco bliżej. Niby nie robiła nic złego, a jednak bała się, że zostanie zauważona.

– Będzie potrzebny nowy odsłuch! – krzyknął jakiś technik wybiegający od strony głównej sceny.

„Fuck!” – pomyślała Lila. Przestraszyła się, że Alex skuma, że jest obserwowany. Muzyk jednak nie zareagował. Zupełnie nie przeszkadzał mu hałas. Klęczał skupiony na ziemi i kontynuował swoją dziwną melorecytację.

Lila próbowała wychwycić choćby pojedyncze słowo. Nic z tego. Wyraz zlewały się w jeden długi ciąg śpiwnych głosek.

Nastolatkę korciło, żeby podejść jeszcze bliżej. Alex przyciągał ją do siebie niczym magnes. Nie tylko metafizycznie, ale całkiem realnie. W pewnym momencie dziewczyna zorientowała się, że nieświadomie wciąż kroczy w jego stronę. Zatrzymała się dopiero, kiedy jej kolana dotknęły pleców muzyka.

Alex obrócił się i mocno chwycił ją za rękę.

– Nigdy więcej tego nie rób – powiedział lodowatym głosem. – Nigdy więcej. Bo pożałujesz.

KONRAD KROON

Nad nimi widać było niemal wszystkie gwiazdy czerwcowego niebo-skłonu. Bezchmurna ciepła noc.

– Serio, mam wrażenie, że już się kiedyś spotkaliśmy – powiedział Konrad.

– Ja też. Ale chyba bym zapamiętała.

Kroon spojrzał w niebo.

– Sam bym zapamiętał.

Rzadko kiedy zdarzało mu się zgubić jakiś ważny szczegół albo o nim zapomnieć. Choć czasem usilnie się starał, nie potrafił niczego wymazać z pamięci. A niektóre ze wspomnień najlepiej posłałby w niebyt.

– Mogliśmy się spotkać na jakiejś imprezie.

– Jakbym cię spotkał na jakieś imprezie, to nie dałbym ci odejść wolno.

W ustach prokuratora zabrzmiało to jak czerstwy żart. Ale ona nie wiedziała, czym Kroon zajmował się na co dzień. Przystojny trzydziestolatek w rurkach i bluzce w paski.

– Naprawdę masz na imię Lucy?

Ludzie nadawali teraz dzieciom konkretnie odjechane imiona.

– A co ci nie pasuje?

– Taki średnio polski ten rzeczownik.

Dziewczyna przygryzła zębami język.

– Może nie jestem Polką?

– Urodziłaś się w Poznaniu, studiowałaś w Krakowie, mieszkasz w Wawie. Polka jak w mordę strzelił. Zaśmiała się.

– A jeśli cię okłamałam?

Nie okłamała. Tego akurat był pewien. Zawsze wiedział, kiedy ktoś go kitował.

– Głupio zaczynać znajomość od kłamstwa. Zwłaszcza taką znajomość.

Znów się pocałowali.

– Masz rację. No więc jestem Polką.

Konrad spojrział na zegarek.

– Chcę skoczyć na jeszcze jeden koncert. UTERO. Ale potrzebuję wiedzieć, jak to jest z tym twoim imieniem.

– Och, nie odpuszczasz, co?

Odpuszczał tylko wtedy, gdy nie powinien.

– Czasem mi się zdarza. To co?

Zaśmiała się.

– Mam na imię Łucja. Ale Lucy bardziej do mnie pasuje.

Dziewczyna wyciągnęła z torebki podpaskę. Wygrzebała z woreczka niewielki kartonik.

– *Lucy in the Sky with Diamonds* – podchwycił Kroon. – Ktoś tu lubi Beatelsów.

– Ktoś tu lubi kwas. Chcesz?

Konrad pokręcił głową.

– Nie biorę takich rzeczy.

Łucja dalej trzymała w dłoni dwie porcje narkotyku.

– Wanda wspominała coś, że jesteś prawnikiem. To dlatego nie chcesz?

Gdyby Wanda powiedziała jej, co naprawdę robi Kroon, nigdy w życiu nie zaproponowałaby mu LSD. Poczęstować prokuratora kwasem to jak pokazać dresiarzowi swojego -nowego iPhone'a.

– Nie. Nie dlatego – odparł.

– No to o co cho? – Nie dawała za wygraną.

– Mam własne jazdy. I nie potrzebuję do tego kwasu.

ALEX

Stał na scenie. Nigdy się tym nikomu nie chwalił, ale cholernie bał się grać. Tysiące par oczu wpatrzonych tylko w niego. W jego każdy gest, ruch czy znak.

Nasze życie wypełniają symbole. Alex bardzo wierzył w symbole. Jak też w to, czego musi dokonać.

Tyle razy mógł się wycofać. Wybrać prostszą drogę; przyjazny trakt pozbawiony wyrzeczeń, ofiar i krwi. Ale nie wszystkim dane jest lekko żyć.

Chwycił gryf gitary i delikatnie uderzył w strunę. Niski dźwięk, wzmocniony ciepłym brzmieniem lampowego wzmacniacza. Nachylił się nad mikrofonem.

– *Wasze dzieci są takie, jakie je sprawiliście... te dzieci, które przyszły do was z nożami, są waszymi dziećmi. To wy ich nauczyliście. Ja ich nie nauczyłem. Po prostu pomogłem im dorosnąć...*⁷

Zespół grał prostą, tantryczną melodię. Te same spokojne dźwięki powtarzane w kółko.

– *Możecie zwalić winę na mnie, ale ja jestem tylko tym, co jest w każdym z was ukryte. Mój ojciec jest waszym systemem... Jestem tylko tym, co ze mną uczyniliście. Jestem tylko waszym odbiciem.*

Perkusista wybijał marszowy rytm.

– *Wasze dzieci są takie, jakie je sprawiliście... Te dzieci, które przyszły do was z nożami, są waszymi dziećmi. To wy ich nauczyliście. Ja ich nie nauczyłem. Po prostu pomogłem im dorosnąć...*

Na scenie rozpylono sztuczną mgłę. Ciemne sylwetki członków zespołu odcinały się od jasnej smugi światła reflektorów, padającej na ich plecy. Czterech bogów zniszczenia. Czterech Jeźdźców Apokalipsy.

– *Możecie zwalić winę na mnie, ale ja jestem tylko tym, co jest w każdym z was ukryte. Mój ojciec jest waszym systemem...*

Alex zamknął oczy. Wyobrażał sobie wszystko to, co przed nim. Wymiar zadań wydawał się kosmicznie ogromny.

Dotknął ustami mikrofonu, recytując ostatnie ze słów granego utworu.

– *Jestem tylko tym, co ze mną uczyniliście. Jestem waszym odbiciem.*

1 MGMT, *Time to Pretend* (piosenka), *Oracular Spectacular*, 2005.

2 Stanisław Ignacy Witkiewicz, *Nikotyna, alkohol, kokaina, peyotl, morfina, eter + Appendix + Niemyte dusze*, Warszawa 2016.

3 MGMT, *Time to Pretend*, dz. cyt.

4 Wisława Szymborska, *Miłość od pierwszego wejrzenia*, w: *też*, *Wiersze wszystkie*, Kraków 2023, s. 486.

5 Tamże, s. 485.

6 Tamże.

7 Hasło: *Charles Manson*, Wikicytaty, https://pl.wikiquote.org/wiki/Charles_Manson (dostęp: 20.07.2023).

CZĘŚĆ DRUGA

IUDEX SUSPECTUS

KONRAD KROON

Niektórych zbrodni nigdy nie udaje się wyjaśnić. Są też takie, w których dopiero po wielu latach prawda puka w wieko trumny, wygrzebuje się z ziemi i w końcu, zupełnie nieproszona, wychodzi chyłkiem na powierzchnię.

Latem 2010 w Trójmieście doszło do popełnienia przestępstw na dwóch młodych dziewczynach. O ich nieszczęściu dowiedziała się policja; prokurator ustalił sprawcę i bez litości postawił go w stan oskarżenia.

W rzeczywistości ofiar było jednak znacznie więcej. Sprawcy karmili się cierpieniem, poili ufnością, sycili strachem. Nikt nie sygnął. Nikt nie uderzył w stół, nie zabił na alarm, nie wezwał pomocy. Z zastawionej pułapki nie dało się uciec.

Niektórych zbrodni nigdy nie udaje się wyjaśnić. Są też takie, które aż krzyczą o to, by ktoś po latach odkrył nazwisko kata. A w sprawie Domu Steffensa tylko jedna osoba mogła dojść do tego, jak wyglądała prawda.

– Nie zamierzam odpuszczać, Flara – rzucił do słuchawki.

– Wiem, że pan nie zamierza – odpowiedziała policjantka. – Ale Marta Bosacka to gruba ryba. Zna się z politykami, biznesmenami... Nie warto jej drażnić.

Konrad podrapał po pysku Fendera. Srebrzysty husky leżał obok biurka, leniwie spoglądając na wielką stertę akt. Jakby to on musiał ją przeczytać.

– Drażnić? – spytał retorycznie Kroon. – Ja chcę ją tylko przycisnąć do muru. Zmusić, by dała mi to, czego potrzebuję. Nazwiska, informacje, adresy. A jeśli jest zamieszana w tę całą sprawę gwałtów... by ofiarowała mi na tacy swoją głowę.

– Ona chyba nie lubi robić prezentów.

– To nie będzie prezent – skwitował Kroon.

Flara poprawiła się na krześle.

– To co to będzie?

– Sprawiedliwa odpłata.

*

Od razu po przesłuchaniu Jagody Malickiej Kroon wystawił wezwanie dla Marty Bosackiej. Czternaście lat temu miała ona stać na czele agencji zatrudniającej modelki do pracy w Domu Steffensa.

Tożsamości samego właściciela klubu nigdy nie udało się ustalić. Konrad zwrócił się do odpowiednich organów o nadesłanie dokumentacji, zasięgnął informacji z sądowych rejestrów. Budynek należał do fikcyjnej firmy założonej na jakiegoś słupa. Za spółką stał cały szereg lewych podmiotów, kryjących szczerze rzeczywistych inwestorów. To był martwy trop. Należało szukać żywej zwierzyny.

Ktoś zapukał.

– Proszę! – zawołał Konrad.

W drzwiach pojawił się starszy adwokat w towarzystwie nieco tylko młodszej od niego kobiety. Bosacka miała burzę czerwonych loków oraz swobodny, młodzieżowy strój, który sprawnie maskował jej prawdziwy wiek. Kochała młodość.

– Uszanowanie, panie prokuratorze – powiedział mecenas Wykopkowski, puszczając klientkę przodem.

A więc Bosacka bała się przyjść sama. Wykopkowski bronił głównie największych oprychów. Zaufany człowiek Jana Duchnowskiego i innych podejranych biznesmenów.

– Proszę, usiądźcie państwo – polecił Kroon. – Pani Marta została wezwana w charakterze świadka, ale naturalnie nie widzę przeciwwskazań, by korzystała z pomocy fachowego pełnomocnika.

„Przynajmniej nikt później nie zarzuci mi, że naruszyłem jej prawo do obrony” – pomyślał Konrad.

Petenci zajęli miejsce na plastikowych krzesłach.

– Czy wie pani, w jakiej sprawie została tu wezwana?

– Nie – odparła kobieta.

Bo przecież nie mogła wiedzieć, o co chodzi. Na wystawionym wezwaniu figurowały jedynie data, godzina i sygnatura sprawy. Kroon nie zamierzał uprzedzać jej zawczasu, o co chce spytać.

– Już wyjaśniam. Choć oczywiście na samym początku, by formalności stało się zadość, pouczam panią o obowiązku zeznawania prawdy oraz odpowiedzialności karnej za jego naruszenie. – Wręczył jej odpowiedni druk. – Proszę się zapoznać i pokwitować.

Wykopkowski chrząknął.

– Znamy procedurę – sapnął mecenas. – Proszę, przejdźmy do meritum.

Konrad okazał Bosackiej wizerunek Nikodema Ruckiego.

– Czy zna pani tego mężczyznę?

Zaprzeczyła. Nawet nie udawała, że mu się przygląda.

– Nie.

Konrad obserwował jej mimikę.

– Proszę się dobrze zastanowić.

– Panie prokuratorze, jestem właścicielką dobrze prosperującej firmy kosmetycznej. W przeszłości prowadziłam wiele innych biznesów. Poznaję dziesiątki, przepraszam, setki osób. Czy myśli pan, że je wszystkie pamiętam?

Skubana. Wiedziała, co mówić, żeby nic nie powiedzieć.

– A pamięta pani? – spytał Kroon.

– Nie pamiętam – odparła.

Rucki zmienił się przez te czternaście lat. Przytył, wyłysiał. Konrad wyciągnął kolejne zdjęcie.

– To ten sam mężczyzna. Fotografia pochodzi z roku 2010.

Bosackiej nieznacznie drgnęła lewa powieka.

– Nie kojarzę go.

– Spokojnie, proszę się zastanowić.

Wzruszyła ramionami.

– Może mi gdzieś mignął, może nie. Trudno powiedzieć.

– Panie prokuratorze, czternaście lat to jednak spory szmat czasu – wtrącił Wykopkowski. – A my nie młodniejemy.

– Och, nie młodniejemy, ale się też nie starzejemy. – Bosacka zachichotała. – Co nie zmienia faktu, że nie pamiętam tego mężczyzny.

Kroon cały czas ją uważnie obserwował. Czy kłamała? Trudno powiedzieć. Czy była z nim szczerą? Na pewno nie.

– Jagoda Malicka. Kojarzy pani to nazwisko?

Znów zaprzeczyła.

– Czternaście lat temu starała się o pracę w pani agencji modelek. I padła ofiarą gwałtu.

– Boże, to straszne! – wykrzyknęła.

Zareagowała aż nadto przesadnie.

– Czy ktoś rozmawiał z panią na ten temat?

– Chryste Panie, nie! Kiedy to się stało?!

Nie nadawałaby się na aktorkę.

– Czternaście lat temu. W Domu Steffensa.

– I macie sprawcę?! – zawołała.

– Pracujemy nad tym – odparł sucho Kroon. Nie zamierzał dzielić się z nią szczegółami śledztwa.

Wykopkowski poprawił krawat.

– Panie prokuratorze, wyrażamy pełną gotowość, by wyjaśnić tamtą sprawę.

– Wspaniale. Będę potrzebował pełnej dokumentacji związanej z pracą agencji. Nazwiska pracowników, ich adresy. Wszystko, co pozostaje w pani dyspozycji.

Bosacka mimowolnie ruszyła kącikiem ust. Ścisnęła dłonie.

– Obawiam się, że to już nie będzie możliwe. Dokumenty zostały zarchiwizowane, a po tylu latach... Wszystko trafiło do sortowni na Szadółkach. I poszło z dymem.

– W takim razie proszę, by mi pani wskazała chociaż jakieś nazwiska. Kogokolwiek, kto w tamtym czasie pracował w klubie albo w agencji.

Wzruszyła ramionami.

– Byli różni ludzie. Ale tamten biznes prowadziłam wyjątkowo krótko. Zamknęłam go właśnie

w dziesiątym roku.

– Coś musi pani pamiętać. – Kroon nie odpuszczał.

Kobieta nieświadomie zaczęła tupać nogą.

– Naprawdę nic.

– Jedno nazwisko – szepnął.

– Ani pół nazwiska...

Pewne tajemnice lepiej zabrać ze sobą do piachu. O innych milczeć jak grób. I za nic w świecie nie pozwolić, by prawda przedostała się na powierzchnię.

– Na pewno został pani choć jeden dokument. Nazwisko właściciela klubu, imię zaufanego współpracownika.

Bezradnie rozłożyła ręce.

– Zupełnie nic. Bardzo chciałabym pomóc, ale dalibóg to strasznie zamierzchłe czasy. Gdyby zwrócono się do mnie z tym wcześniej...

Miała rację. Gdyby Feliks Hejmo pociągnął ten wątek czternaście lat temu, być może już dawno rozwikłałby zagadkę Domu Steffensa. Ale nie zdążył.

– Zwracam się z tym do pani dziś. I obiecuję, że nie odpuszczę.

Wykopkowski zrobił naburmuszoną minę.

– Panie prokuratorze, toż to brzmi jak groźba!

Bosacka uciszyła go gestem ręki.

– Mecenasie, niech prokurator draży. To jego praca. – Spojrzała na Kroona. – Proszę obiecać mi, że pan nie odpuści. Dla tamtej kobiety. Dla sprawiedliwości.

A może jednak mogłaby zostać aktorką?

– Nie odpuszczę – zapewnił ją Kroon. – Dla tamtej kobiety. I dla sprawiedliwości.

FLARA

– No nie wiem, czy to dobry pomysł – mruknęła do słuchawki.

– Jedyne, jaki miałem – odparł Konrad. – Bosacka coś ukrywa. A to nasz ostatni trop.

Justyna Flarkowska od kilku tygodni pracowała w Komendzie Miejskiej. Czternaście lat temu jeden pechowy romans zniszczył jej marzenia o policyjnej karierze. Jak widać, pewne grzechy się jednak przedawniają.

– Bosacka zna pół miasta. I nowego Wojewódzkiego.

– Kubę? – zażartował Kroon.

– Jego pewnie też zna. Chociaż chodziło mi o komendanta.

Siedziała w aucie pod domem Bosackiej. Rezydencja mieściła się na Osowej, jednej z granicznych dzielnic Gdańska. Oprócz okazałego domu na terenie posesji znajdowało się też kilka budynków mieszczących siedzibę należącej do kobiety firmy.

– Capniemy i komendanta, jeśli będzie trzeba – powiedział -Kroon, nalewając sobie kawy.

Wisieli na telefonie: prokurator w swoim mieszkaniu, szykujący kanapki, Flara w samochodzie, gotowa, by przeprowadzić przeszukanie.

Zegary wybiły piątą pięćdziesiąt. Za dziesięć minut ekipa wchodziła do środka.

– Coś czuję, że wolałby pan, żebym wróciła na komisariat. Bo po takiej akcji na pewno znów mnie tam ześlą.

– Masz nakaz? – spytał. – Masz moją pieczęć na postanowieniu?

– No tak – odparła.

– To się nie przejmuj. Tylko działaj.

Łatwo mu było mówić. To nie on musiał przeczesać kilka tysięcy metrów kwadratowych w poszukiwaniu starych, zagubionych dokumentów. Dokumentów, których równie dobrze mogło już tam nie być.

– Dlaczego zawsze dają się wciągnąć w taki syf?

– Bo podobnie jak ja uwielbiasz taplać się w bagnie.

KONRAD KROON

– CZY TY OSZALALEŚ?! – krzyknęła szefowa. – Okręgowy do mnie dzwonił! Podobno wszedłeś z drzwiami do domu Bosackiej!

Konrad spojrział za okno.

– Nie chcieli otworzyć, to kazałem grzecznie zapukać.

– Kto był taki mądry?! Chyba nie Flarkowska!

Oczywiście, że nie Flarkowska. To Kroon o wszystkim decydował.

– Pamiętasz, jak wygląda procedura? – spytał retorycznie. – Wzywamy do dobrowolnego wydania rzeczy. A potem ostrzegamy, że w razie odmowy przeprowadzimy przeszukanie i przymusowe odebranie.

Magdalena Rzeplińska złapała się za głowę.

– Odkleiłeś się. Odciałeś od rzeczywistości i fruwasz gdzieś tam pod chmurami!

– Zawsze miałem w sobie coś z marzyciela...

Szefowa nerwowo tarła policzek.

– Co mnie podkuśliło, żeby wziąć cię na te śledztwa?! Tyle lat cię namawiałam! Stałeś okoniem, mówiłeś, że masz wywalone w pracę. Pojawiałeś się w robocie, kiedy chciałeś, wychodziłeś po kilku godzinach. Myślałam, że przeginasz. Ale teraz?! To, co się dzieje, przechodzi ludzkie pojęcie! Praktycznie mieszkasz w firmie, a na dodatek myślisz, że jesteś jakimś cholernym szeryfem! Brudnym Harrym czy Melem Gibsonem ze *Szklanej pułapki*!

– *Zabójczej broni.*

– Co?! – warknęła.

– Chodziło ci o *Zabójczą broń*. W *Szklanej pułapce* grał Bruce Willis.

Rzeplińska miała ochotę wyskoczyć przez okno. Liczyła powoli do dziesięciu, ale to nie pomogło. Jeden, dwa, trzy, ja pierdołę!

– Bosacka ma wszędzie wtyki. I jakbyś serio coś na nią kręcił – rozłożyła ręce – twoja brocha. Ale sprawa dotyczy zupełnie kogoś innego. A ty strzelasz do muchy z armaty!

– Uczepiłaś się tego Kuby Wojewódzkiego. Z Muchą to stare dzieje...

Nie skumała.

– Co? Zresztą, nieważne... Konrad! Okręgowy zażądał wyjaśnień. Kto odpowie za zniszczenie mienia?!

Konrad wzruszył ramionami.

– Jeśli ktoś odpowie, to tylko Skarb Państwa. Ale nie wydaje mi się. Bo przecież odmówili wykonania nakazu.

Prychnęła.

– Gadaj z idiotą. Najpierw sprowadzi cię do swojego poziomu, a potem pokona doświadczeniem. Chociaż coś tam znaleźliście?

Powoli chłódła. Ich rozmowy często tak wyglądały. Konrada trudno było przegadać.

– Jeszcze nie wiem. Flara próbuje się przez to wszystko przekopać.

– Obyś miał rację. Bo jak nie... osobiście wyślę cię na dywanik do Okręgowego.

FLARA

Wpadła po uszy. Najpierw musiała się użerać z ochroniarzem Bosackiej, później po konsultacji z Kroonem wydać rozkaz o wyważeniu drzwi. Potem poszło już z górki. Przeszukanie dwóch dużych domów i trzech magazynów zajęło im prawie dobę.

– Tyle razy mogłam zmienić pracę – westchnęła.

Zabezpieczyli kilkadziesiąt kartonów z dokumentami i jeszcze więcej nośników danych: pendrive'ów, płyt i dyskietek. W 2010 wciąż jeszcze czasem używało się dyskietek.

– Ładny masz tu burdel – powiedział kolega z wydziału, zaglądając do jej pokoju.

– Burdel to dopiero będzie, jak się przez to wszystko przekopię.

Zgodnie z oczekiwaniami mecenas Wykopkowski złożył zażalenie na przeszukanie. Na szczęście dla Flary i Kroona sąd przychylił się do stanowiska organów ścigania. Przeszukanie było legalne, celowe i zasadne.

Przez dobre dwa tygodnie Flara przeglądała zabezpieczone dokumenty. Jak przystało na prawdziwą pracoholiczkę, robiła to po godzinach, kosztem wolnego czasu. Kosztem rodziny i syna.

Oprócz sprawy gwałtów prowadziła równoległe kilkanaście innych postępowań. Ktoś powie, że dużo. Ktoś inny, że nikt jej nie kazał wkładać munduru.

– No nie wierzę! – wykrzyknęła nieco zbyt głośno. Na szczęście o tej godzinie nikomu już nie

przeszkadzała.

W końcu trafiła na to, czego szukała. YOUR GIRL – AGENCJA EVENTOWA. Pierwszy ślad w wycieczce po Domu Steffensa. Kolejny krok, który przybliżał ich do prawdy.

Znalazła pierwsze nazwisko.

– O kurwa...

Rzadko kiedy przeklinała. Teraz jednak tylko takie słowa cisnęły się jej na usta.

– On tego nie wytrzyma...

Obracała w dłoniach kartkę z danymi fotografki, która czternaście lat temu na zlecenie agencji wykonywała zdjęcia modelek.

– Przecież to Zuza – wyszeptwała policjantka. – Wielka miłość Kroona.

KONRAD KROON

Zaszedł do kuchni odpalić kawę; w kuchni spotykali się zawsze wszyscy, od wieków. Ten jeden zwyczaj łączył prokuratorów, urzędników i pracowników korporacji. Kuchnia jako miejsce ucieczki; automat z kawą symbolem chwilowego powrotu do normalności.

– A ty co? Roboty nie masz? – rzucił Konrad koledze na powitanie.

Kieltrowski siedział pod oknem. Wyglądał na przybitego.

– Nieboś zabrał mi sprawę tego gwałtu – mruknął.

Wiesław Niebołęcki od wielu lat szefował wrzeszczańskiej prokuraturze. Już dawno mógł siedzieć na emeryturze, ale twierdził, że tylko praca trzyma go przy życiu. Prokurator Okręgowy był jego dobrym kumpem, z Apelacyjnym co piątek grał w pokera, upijając się przy tym do nieprzytomności. Ci trzej stanowili prawdziwy relikwiarz minionych czasów: kiedy to prokurator był przyjacielem władzy, udziałem władcy swego księstwa, którego nie obowiązywały żadne reguły, normy czy standardy.

Kroon przysiadł obok Kieltrowskiego.

– Jeszcze nikt w tej firmie nigdy nie narzekał, że ma za mało roboty. Chcesz, oddam ci kilka moich śledztw.

Żartowniś.

– Nie każdy ma tak wywalone na wszystko jak ty – burknął Krzysiek.

Konrad kliknął ekspres z kawą.

– Nie każdy. Chyba że pracuje w prokuraturze.

– Denerwujesz ludzi, wiesz o tym? Włóczy się po korytarzu, skacowany po weekendzie, i z tą swoją bezczelną miną środkowym palcem obwieszasz światu, co o nim myślisz. Pieprzony złoty chłopiec! A my tu naprawdę chcemy coś osiągnąć.

Konrad pochylił się nad Kieltrowskim.

– I co udało ci się osiągnąć tym spiętym poślądkiem, Krzysiu?

Mężczyzna zerwał się od stołu.

– Zaraz ci przywalę!

Kroon skumał, że najwyższy czas odpuścić. Lubił przekomarzać się z Kieltrowskim, ale w gruncie rzeczy uważał go za równego gościa. Przynajmniej jak na prokuratora.

– Dobra już. Przecież wiesz, że cię podpuszczam. Komu to oddał? Hejmie?

– Taa... – błyskawicznie ochłonął. – Dziadek się zaraz przekręci, ale wciąż potrzebuje nowych emocji.

Jak seksoholik.

Konrad miał ochotę coś jeszcze powiedzieć. Żarty same cisnęły mu się na usta. W ostatniej chwili ugryzł się w język.

– Wiesz, takie rzeczy powinny trafiać na śledztwa. Trudne sprawy, w których trzeba dłubać.

– Ech, ale ja już rzygam pijanymi kierowcami i złodziejami piwnic. Nie po to poszedłem na prawo.

– Nikt z nas nie szedł po to na prawo, Herkulesie.

Kieltrowski spojrzał w kubek z kawą. Zimna.

– Tobie to nie przeszkadza, bo sobie inaczej ustawiłeś priorytety. Odkąd poślizgnąłeś się na sprawie Brodowicza, przychodzisz tu tylko po to, żeby podpisać listę. Biegasz z imprezy na imprezę, zaliczasz kolejne laski, przepijasz całą wypłatę. Ale ja mam narzeczoną, myślę o założeniu rodziny. Chcę, żeby moje nazwisko coś znaczyło.

– Zobaczysz, Krzysiu, jeszcze zostaniesz szefem tego całego cyrku.

Kolega pokręcił głową.

– Jakbym miał taki mózg jak ty, to może i tak. Ale ja nigdy nie byłem zdolny. Całe życie jechałem na czwórach, na wszystko musiałem hardo pracować. Noc w noc zakuwałem do sprawdzianów i wejściówek, a i tak rzadko kiedy udawało mi się coś zaliczyć na piątkę.

– Jak chcesz, możemy coś razem zaliczyć w piątek...

– Kroon, ty sukinkocie! Czy z tobą idzie w ogóle poważnie pogadać? Jak biały z białym? Czy, kurwa, zawsze musisz pajacować?

Konrad wstał od stołu. Po weekendzie w Krakowie miał naprawdę szampański humor. Łucja... znaczy

Lucy. Co za odjechana laska! Rzadko kiedy miał ochotę umówić się na drugą randkę, a tu... Wisieli na telefonie, pisali SMS-y, ślali wiadomości.

– Sorry, że się nie wczułem. – Klepnął go w plecy. – Będzie dobrze, dzieciak. I zapamiętaj moje słowa: przyjdzie dzień, w którym zostaniesz szefem tego całego cyrku. Tylko nie spinaj tak dupy.

FELIKS HEJMO

Hejmo był prokuratorem z krwi i kości. Zaczynał jeszcze za komuny; narwany gówniarz, który myślał, że zjadł wszystkie rozumy, że potrafi oszukać system. Podobnie jak Kroonowi, na samym początku kariery trafiła mu się polityczna sprawa: działacz Solidarności podejrzewany o brzydkie kontakty z nieletnimi. Służby spreparowały na niego dowody, Hejmo łyknął to wszystko jak młody pelikan. Dostał łatkę komucha; nowa Polska nie pozwoliła mu opuścić rejonu.

Przez dwadzieścia lat, które upłynęły od obalenia PRL-u, Hejmo stale udowadniał, że jest prawdziwym specem w swojej dziedzinie. Nie angażował się w politykę, nie marzył o awansach. Po prostu łapał przestępców. Nigdy nie wybaczone mu pomyłki z lat osiemdziesiątych. Od pewnych win za cholerę nie idzie uciec.

– Kurwa, ale tu nakopciłeś – mruknął Kroon, wchodząc do jego pokoju.

Hejmo spojrzał na chłopaka zza gęstej chmury dymu.

– Jest piąta. Od półtorej godziny siedzę w domu.

– Właśnie widzę – wykrztusił Konrad, z trudem przebijając się do okna. – Nie mogłeś otworzyć?

– Przeszkadza mi hałas. A muszę pomyśleć.

Kroon zerknął na okładkę akt. Artykuł 197 – gwałt.

– To to śledztwo, które zajmował Kiełtrowskiemu?

– Dzieciak spierdolił sprawę. Równie dobrze mógł od razu wrzucić zawiadomienie do niszcarki.

Konrad wystawił głowę na zewnątrz. Pilnie potrzebował tlenu.

– To prawda – przyznał, rzucając przez ramię. – Coś jeszcze z tego urzeźbisz?

Stary prokurator właśnie zapalał kolejnego papierosa.

– Pokrzywdzona odmówiła składania zeznań. Próbowiałem przesłuchać ją jeszcze raz, ale gównu z tego wyszło. Zamknęła się w sobie.

– Kto złożył zawiadomienie?

– Rodzice. Znaczą matka. Powiedziała, że córka została skrzywdzona. Bez większych szczegółów. Przytargała nieboraczkę na komisariat, Flara przywiozła ją do nas.

– Flara sama ją mogła przesłuchać – stwierdził Kroon.

– Kiełtrowski uparł się, by wszystko robić osobiście. Dzieciak ma parcie na sukces. Piekielnie chce się wykazać. Gdyby to ode mnie zależało, od razu bym go wypierdolił.

Kroon wiedział, że będzie tego żałować. Po prostu nie mógł się powstrzymać.

– Za komuny tak robiliście, co? – wałnął z przekąsem.

– Zaraz ci wpierdole, gówniarzu – obruszył się Hejmo. – Obiję ci tę ładną buźkę i żadna już cię nie wpuści do łóżka.

W młodości Feliks trenował boks.

– Im nie chodzi o buźkę...

Zarechotali.

– Ściągnąłem do siebie domniemanego sprawcę, Nikodema Ruc-kiego. Powiedział dokładnie to, czego się spodziewałem.

– Że laska sama chciała – zgadł Konrad.

Hejmo przytaknął.

– Spotkali się w klubie, poleciała na jego auto, szybki numer. Jak nie zaprosił jej na drugą randkę, przysłała na policję. Żadnych obrażeń, żadnej biologii.

– No to masz jeden na jeden. A właściwie to nawet tego nie masz, skoro laska odmówiła składania zeznań. Musisz to umorzyć.

Na twarzy Feliksa pojawił się dziwny, orli grymas. Nastroszył brwi i zmrużył lekko oczy.

– I to jest właśnie coś, czego nie nauczą cię w szkole, Konradku. Albo to masz, albo nie.

– Mówisz o jaraniu dziesięciu paczek fajek dziennie? – palnął Kroon.

– Mówię o docieraniu do sedna sprawy. Nikodem Rucki jest rasowym drapieżnikiem. Widziałem to w jego oczach. Bierze dziewczyny i robi z nimi, co chce. Zgwałcił Jagodę Malicką, a później kłamał mi

w twarz.

Konrad spojrział na Hejmę.

– I co z tego? Jak mu to udowodnisz?

Mężczyzna pogładził się po starannie wypolerowanej łysinie.

– Jeszcze nie wiem. Ale udowodnię. To nie była jego pierwsza ofiara, nie będzie ostatnia. Prędzej czy później powinie mu się noga. I wtedy go dorwę.

Kroon wyciągnął mu z palca końcówkę papierosa, po czym zgasił w wielkiej, szklanej papierośnicy.

– I nie mów, że to nie jest podejście rodem z tamtej epoki. Dajcie mi człowieka, a znajdę na niego paragraf.

Feliks delikatnie uniół kąciki ust.

– Są rzeczy, o których nie przeczytasz w komentarzach do Kodeksu karnego. Bo nasza praca to coś więcej niż artykuły i paragrafy. Już ci to mówiłem. Czasem jakiś cichutki głos z tyłu głowy każe drążyć dalej. I wtedy za nic w świecie nie wolno odpuścić. Zapamiętaj tę radę.

ALEX

W Sopocie, mniej więcej w połowie drogi między Grand Hotelem a Parkiem Północnym, nieopodal dawnych łazienek, urządzono sezonowy klub muzyczny Zabawa i Sztuka. W roku 2010 był to z pewnością najmodniejszy lokal plażowy w Polsce: z wielkimi białymi baldachimami, drogimi drinkami i zadbanymi bogatymi ludźmi opalającymi się nad niewielkim turkusowym basenem.

Nasza historia opowiada o zupełnie innym klubie, innych osobach i innych zbrodniach. Jej korzenie sięgają jednakże tego samego roku 2010, niespokojnego lata pełnego nieoczekiwanych spotkań przeplatanych dziwnymi zbiegami okoliczności.

Podobno przypadek jest ilorazem człowieka oraz jego zamiarów. Ludzie uwikłani w sprawę Domu Steffensa płynęli w stronę tragedii zupełnie celowo i świadomie, pojeni krzywdą, karmieni cierpieniem. Trudno licytować się na okrucieństwo, a jednak czyny, jakich się dopuścili, z pewnością walczyły o miejsce na podium w kryminalnej sztafecie zła.

Lato 2010. W Zabawie i Sztuce organizowano właśnie prestiżową imprezę uwieńczoną pokazem mody. *Sopot Fashion&Style* – prawdziwy festiwal blichtru i przepychu.

– O kurwa, prawie jak Miami – podsumował Eryk.

– Pachnie pieniądzem – dodał Michał.

Z okazji wydarzenia zagrodzono sporą część plaży. Na piasku ułożono dywany, pomiędzy długimi rzędami krzesełek zbudowano wybieg. Scenerię dopełniały ustawione w donicach prawdziwe palmy.

– Pierwszy raz w życiu płacą mi za to, że nie muszę grać – zdziwił się basista.

– Płacą ci za użyczenie wizerunku – wyjaśnił menadżer. – Za to, że bogate dziady i stare baby będą sobie z tobą cykać fotki. Tak się buduje prestiż imprezy.

– Zabawa i Sztuka – podchwycił Eryk, rozglądając się po twarzach gości. – No, niezłe te „sztuki”.

Pośród stolików kręciło się mnóstwo skąpo odzianych dziewczyn.

– One tu przyszły tak same z siebie? – spytał Michał.

Menadżer zmrużył oczy.

– Opłacili je, tak samo jak was. Dziadki chcą się czuć luksusowo.

– I oni je tutaj później... ten? – Eryk zrobił głupią minę.

Nastąpiła chwila ciszy. Milczący do tej pory Alex oderwał wzrok od morza i przeniósł go na twarze uczestników imprezy. Roześmiani mężczyźni w drogich koszulach, opalone kobiety obwieszane złotą biżuterią.

– Jak masz pieniądze, to wolno ci wszystko – rzekł spokojnie.

Czterech zbuntowanych chłopaków, walczących z systemem anarchistów, zaproszonych na wielką kapitalistyczną fiestę. Stali pod jedną z palm w swoich kowbojkach, rurkach i wytartych T-shirtach. Zupełnie tu nie pasowali.

– Cześć! – zawołała trzydziestoletnia dziewczyna w sukni. – Dominika Biedrzycka, pisaliśmy ze sobą!

– Tomek jestem – odparł menadżer. – A to UTERO, w pełnym składzie.

Dominika spojrzała na czwórkę muzyków.

– Zarezerwowałam wam krzesełka w pierwszym rzędzie. Do pokazu jeszcze chwilka, możecie spokojnie pokręcić się tu i popozować do zdjęć. Mamy kilku akredytowanych dziennikarzy, tam jest kamera

TVN-u...

– Spoko – powiedział Tomek. – To co, siadamy?

Zajęli miejsca. Po kilkunastu minutach na scenie pojawił się konferansjer, znany dziennikarz pewnej śniadaniówki, i ogłosił rozpoczęcie imprezy.

Na wybieg dumnie wkroczyły pierwsze modelki. Szczupłe, wysokie dziewczyny ubrane w wymyślne kreacje. Same kobiety. Żadnego mężczyzny.

Alex obserwował pokaz. W pewnym momencie jego uwagę przykuła jedna z organizatorek. Kręciła się po backstage'u, w uchu słuchawka, w ręku notatnik z harmonogramem wydarzenia.

– Fajne laski, ale tak poza tym to zajebista nuda. – Eryk ziewnął.

– Zaraz będzie przerwa, strzelicie sobie po kielichu – pocieszył go menadżer.

– Mamy open bar, dobrze zrozumiałem? – spytał muzyk.

– No macie, macie...

Alex jak zwykle był obecny jedynie ciałem. Siedział na plastikowym krzeselku, zawadiacko uśmiechał się, gdy jakiś fotograf cykał mu zdjęcie. Robił dokładnie to, za co mu zapłacono. Potrzebował pieniędzy. Nawet najlepszy plan może roztrzaskać się o brak gotówki. Projekt Alexa wymagał nie tylko samozaparcia, ale również i kilku dodatkowych zer na koncie.

Obserwował tajemniczą dziewczynę, która przemykała pomiędzy modelkami. To nie mógł być przypadek. Alex nie wierzył w przypadki.

– Koniunkcja planet – szepnął, nie spuszczać jej z oka.

Pokaz trwał. Modelki w pośpiechu zmieniały stroje, by co chwila fascynować widzów nowymi kreacjami. W końcu ogłoszono przerwę.

– No to teraz nawalimy się jak świnię – walnął Eryk.

Ruszyli w stronę baru.

– A ty gdzie? – zawołał menadżer, patrząc, jak Alex oddala się w zupełnie inną stronę.

– Zostaw go, Tomek – polecił perkusista. – On długo nie ugrzeje tyłka w jednym miejscu.

Wokalista przemykał między gośćmi. Szedł w stronę zaplecza scenicznego, zręcznie lawirując pośród zatopionych w rubasznych konwersacjach biznesmenów.

– Hej, Anita – powiedział swoim niskim, głębokim głosem.

Wyglądała, jakby właśnie zobaczyła ducha.

– Alex? – wyszeptała.

– Na to wychodzi.

Anita była zabiegana, organizacja pokazu kosztowała ją sporo energii, nieustannie musiała myśleć o kilkudziesięciu rzeczach naraz. A jednak to nieoczekiwane spotkanie przekłuło bańkę, w której tkwiła. Przypomniało o innych czasach, innym życiu, innych problemach. Zupełnie jakby obudziła się z długiego snu.

– Ja...

Nie wiedziała, co powiedzieć. Jeszcze sekundę temu jej umysł zajmowały wyłącznie sprawy zawodowe: prezenter skarży się na niedziałający odsłuch, komuś pogmiotła się sukienka, jedna z dziewczyn skrzyła kostkę.

– Też się cieszę, że cię widzę – odparł Alex. – Po tylu latach.

Dziewczyna klęczała na dywanie, nachylona nad wielką tabelką z planem imprezy. Tleniona blondynka o wielkich, lekko skośnych oczach.

„No co z tym mikrofonem?!” – krzyknął ktoś do słuchawki. „Ja pierdolę, kto odpowiada za ten cały burdel?!”

Zimny prysznic. Musiała wrócić na ziemię. I to prędko.

– Przepraszam cię... mam tu urwanie głowy... może potem pogadamy?

– Będę czekał.

*

Kiedy ostatni pokaz dobiegł końca, na niebie pojawiły się fajerwerki, a z głośników popłynęła muzyka. Goście, całkiem już wstawieni, kręcili się po prywatnej plaży.

– No ja mówię, że was kojarzę – śmiał się jakiś grubszy biznesmen z branży budowlanej. Na szyi złoty łańcuch, wyglądał, jakby co tydzień zalewał czyjeś zwłoki cementem. – A wy byście mnie chłopaki mogli

zagrać *Białego misia*?

– Raczej nie nasz repertuar – odparł spokojnie Eryk. Menadżer pouczył go, by za bardzo nie pyskował. Przyszli tu dla kasy.

– Wiecie, koleżki, żeby tu coś takiego żywszego poleciało, a nie jakieś tiruriru! – Spojrzał w stronę DJ-ki. – Ja zaraz tego pacana każę wypierdolić. By do tańca zagrał, disco polo fajne takie, to wszyscy zaraz by się poderwali, o, chodź tu, Elka, pokręcisz dupką!

Alex potrzebował pieniędzy. Ale nie takich pieniędzy. Stał kawałek dalej i wpatrzył się w Bałtyk.

– Co ty tu robisz? – spytała Anita.

Dawno nie słyszał jej głosu.

– Chciałbym cię spytać o to samo. Zniknęłaś tak nagle...

– Sam mnie tego nauczyłeś.

Sztuka rozplywania się w powietrzu. Delikatnego stąpania po horyzoncie zdarzeń, zabawy czasem i przestrzenią.

– Uczeń przerósł mistrza – ocenił Alex.

Obrócił się do niej. Z oddali dobiegały hałasy imprezy, tuż za nimi szumiało morze.

– Wyjechałam z kraju. Wróciłam dopiero kilka miesięcy temu.

Przypadek? Pojawiła się właśnie teraz, kiedy realizował swój największy plan?

– I jak ci się podoba?

– Wiele się zmieniło. Bliżej wam do Zachodu.

Szczery uśmiech. Z gardła Alexa dobiegł serdeczny śmiech.

– „Wam”? To już nie czujesz się częścią tego kraju?

– Nigdy się nie czułam – odparła.

Usiedli na piasku.

– Prawdę powiedziawszy, ja też nie – przyznał muzyk. – Zajął się modą?

Przytaknęła.

– Ściągnęli mnie przez jedną zagraniczną agencję. A ty? Co właściwie teraz porabiasz?

Zastukał palcami o kolana, wygwizdując dźwięki pewnej znanej melodii.

– Dalej gram.

– Myślałam, że ci się to znudziło. Pajacowanie dla innych.

Anita wiedziała. Zawsze wiedziała, kim był naprawdę.

– Został mi do odegrania jeszcze jeden akt. *La grande finale*.

– Zobaczyć Paryż i umrzeć, co?

Jak mógł ją wtedy zgubić?

– Spojrzeć śmierci w oczy i zaśmiać się głośniej od niej – wyszeptał.

– Anita, no Anita! Co to za dezercja! Jesteś mi potrzebna, dziecko! – zawołała jakaś kobieta. Obrócili się niemal w tym samym momencie. – Romantyczny wieczorek na brzegu morza! Nie płacę ci za flirtowanie!

Miała burzę czerwonych loków i wyzywającą granatową suknię.

– Przepraszam, pani Marto, musiałam chwilę ochłonąć.

Alex z zaciekawieniem obserwował nowo przybyłą. Ta odwzajemniła zainteresowanie.

– No dobrze, wybaczone. Jeśli z kimś się zgubić, to tylko z takim mężczyzną. – Bezwiednie otworzyła usta. Spoglądała na Alexa, prawdziwego samca, z jego długimi włosami i gęstą brodą. Wyglądała, jakby chciała zerwać z niego koszulę, rzucić w piasek, całować i pieścić przez całą noc.

– Pani Marto, to mój przyjaciel...

– Oj przestań z tą „panią”! Postarzasz mnie tylko! – Bosacka podała mu dłoń. Czerwone paznokcie, pierścionek od Tiffany’ego. – Mów mi Marta.

Muzyk puścił do niej oczko. Realizacja planu wymaga narzędzi. Najlepiej porządnych, firmowych narzędzi. Bogatych, wpływowych, gotowych zrobić dla niego wszystko.

– Bardzo mi miło, pani Marto. Alex jestem.

ZUZA

Prostokątny pirs mola Południowego cumował niczym lotniskowiec na samym skraju wejścia do portu. Patrząc od strony morza, widziało się najpierw ten szary, betonowy pas lądowiska. Dopiero później dostrzec można było zabudowania. Po prawej pięły się -wieże Sea Towers, po lewej schowała się marina, a dalej

ciągnęła plaża.

Zuza czuła dziwny pociąg do Gdyni. Miasto stanowiło dla niej swoisty symbol tego, że zawsze można zacząć wszystko od początku. Uciec od problemów i raz jeszcze ułożyć sobie nowe życie. Zuza nigdy nie starała się niczego zbudować, w ucieczce była jednak prawdziwą mistrzynią. Cholernie bała się zobowiązań. Poza tym wiedziała, że wszystko, co trwałe, oznacza przede wszystkim nudę.

„Najwyższy czas się ustatkować” – radziła babcia. „Trzy krzyżyki na karku, nie możesz tak wiecznie z kwiatka na kwiatek skakać. Trzeba się na kogoś w końcu zdecydować. Rodzinę założyć”.

Nie chciała zakładać rodziny, nie chciała mieć dzieci, nie chciała się dzielić z nikim swoją wolnością. Wczoraj malowała obrazy, dziś była fotografką, jutro zajmie się modą. Świat ma tyle odcieni, smaków i barw. Pragnęła skosztować jak najwięcej z nich.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła ósma. Ustawiła się ze znajomymi koło pomnika rybek na początku bulwaru nadmorskiego. W mieście trwały właśnie Cudawianki, punktem wieczoru był koncert Morcheeby.

– Czas się zbierać – stwierdziła. Wstała z falochronu i ruszyła w stronę plaży.

Ze sceny dochodziły dźwięki muzyki. Ludzie kręcili się po skwerze, pijąc skitrane pod bluzami tanie wina.

– Hej, Zuza – powiedziała Marysia, znajoma z ASP.

– Cześć wszystkim! – Zuza pomachała członkom ekipy.

– To jest Mariusz, Igor, Krótka i Sergiusz. A to Zuza. Poznajcie się.

Marysia napisała do niej kilka godzin temu, Zuza postanowiła dołączyć na spontanie. Poza koleżanką z ASP nie znała tu nikogo.

Usiedli na piasku i wyciągnęli papierosy.

– Wracając do tego, o czym rozmawialiśmy przed chwilą – zaczął jeden z chłopaków. – *Autor widmo* to dla mnie totalna porażka. Polański próbuje usilnie wrócić na piedestał, na którym *nota bene* nigdy nie powinien się znaleźć...

– On się nie znalazł – wtrąciła Krótka, boleśnie przeciągając każdą głoskę. – Nigdy nie był na podium, Hollywood zainteresowało się nim z litości, powojenny sierota, ale gdyby nie ta wstawka martyrologiczna, to co najwyżej kręciłby ideologiczne gnioty do Polskiej Kroniki Filmowej.

Kolega niedbale machnął dłonią z papierosem.

– Musimy oddać, że *Nóż w wodzie* wyraźnie zaznaczył jego odrębność jako twórcy...

– Rozumiem nagrody, ale to kino wtórne, wymuszone, conceptualnie nieświeże – pisnęła dziewczyna.

Zuza czuła rosnącą irytację. Miała ochotę na imprezę, tymczasem siedziała na piasku z bandą neurotycznych malkontentów i przysłuchiwała się, jak krytykują jednego z jej ulubionych reżyserów.

– Ilu z was dostało Oscara? – spytała.

Spojrzeli na nią jak na trędowatą.

– Ta nagroda już dawno straciła na znaczeniu. Zresztą jako przejaw kulturowej dominacji białego uprzywilejowanego mężczyzny nigdy nie powinna stanowić jakiegokolwiek wyznacznika artystycznej wartości, *au contraire* należy ją traktować jako symbol piętna i niewolniczego systemu, a każdy prawdziwy artysta manifestacyjnie powinien odciąć się od tych ideologicznych dybów globalizacji...

– Ideologicznych dybów? – powtórzyła z niedowierzaniem Zuza. Średnio grały ją Oscary, ale Polańskiego po prostu uwielbiała.

– Krótka jak zwykle wiedzie nas na pole walki o lepszy świat – wyjaśnił Mariusz. – Ale nie zmienia to faktu, że kino, jakie prezentuje ów zamerykanizowany Polaczek, jest w najlepszym wypadku średnią rozrywką dla niewykształconych warstw społecznych, szukających w kulturze przede wszystkim szybkiego spełnienia, a nie prawdziwej wartości artystycznej, chcącej...

Zuza podniosła się na nogi. *Enough is enough*.

– Skoczę po browarka.

– Właściwie też bym się napił...

Dziewczyna już jednak tego nie słyszała. Albo nie chciała słyszeć. Szybkim tempem oddaliła się w stronę baru.

„Co za barany” – pomyślała.

Grzecznie stanęła w kolejce po piwo. Na myśl o tym, że będzie musiała wrócić do grupki domorosłych krytyków filmowych, robiło jej się niedobrze.

- Co dla ciebie? – spytał barman.
- Piwko...
- Nalej dwa kieliszki białego wina. Albo najlepiej od razu daj nam całą butelkę. Spojrzała za siebie. Kroon stał tuż za jej plecami i zawadiacko się uśmiechał.
- Konrad! – wykrzyknęła z radością.
- *

Na plaży grała właśnie gwiazda wieczoru. Zuza i Kroon leżeli na kocu wśród drzew okolicznego wzgórza i się kochali.

- Uratowałeś mnie – powiedziała, kiedy było już po wszystkim.
- Widzisz, czasem na coś się przydam.

Dotknęła jego nagich pleców. Dwadzieścia jeden stopni. Takie ciepłe noce zdarzały się ostatnio coraz częściej.

- Ale ominął mnie koncert – zauważyła. – Strasznie jesteś niecierpliwy.
- Po prostu boję się, że jeśli będę zbyt długo czekał, to stracę dobrą okazję.
- I tym jestem dla ciebie? Dobrą okazją?

Delikatnie musnął jej szyję. Zaczął od obojczyków, później stopniowo przesunął się w stronę podbródka.

– Jesteś jak kwiat paproci – wyszeptał jej do ucha. – Pojawiasz się raz do roku, a później niespodziewanie znikasz.

– Nieprawda. W tym roku widzimy się już drugi raz.

– Dlatego złapałem cię, zanim zniknął. Kwiat paproci, który kwitnie dwukrotnie? Takie rzeczy dzieją się tylko w bajkach.

KONRAD KROON

Mknął rowerem do pracy. W przytroczonej do bagażnika sakwie schował koszulę i czystą bieliznę, garnitur czekał już na niego w gabinecie. Jechał Grunwaldzką w stronę Wrzeszcza, na wysokości zajezdni tramwajowej odbił w las.

Wciąż myślał o jednym.

„Cholera, co to w ogóle jest za historia?!” – zawołał myślach. „Skąd ona się tam wzięła?”

– Przepraszam, pomógłby mi pan po tych schodach? – spytała jakaś staruszka, ciągnąca za sobą wielki wózek z zakupami. Wyrwała go z zadumy.

– Pewnie – odparł.

Zeskoczył z roweru, wniósł kobiecie bagaż, po czym sprawnie zbiegł na dół.

– Och, pan taki kochany. A one naprawdę mnie zadziwiają. – Wskazała na schody. – Ciągłe rosną. Z każdym rokiem coraz wyższe.

– Niektóre rzeczy, tak jak osoby, nigdy nie przestają zaskakiwać. Dobrego dnia życzę. I mniej stopni do pokonania.

– Och, żeby to było takie łatwe. – Staruszka się zaśmiała.

Konrad wjechał na nasyp, po którym przed wojną biegła linia kolei kokoszkowskiej, i pomknął w kierunku Brętowa.

Zuza. Dziewczyna pojawiała się w jego życiu średnio raz na rok. Poznali się jeszcze na studiach, właściwie od razu zostali kochankami. I przyjaciółmi.

Mijał właśnie betonowy wiadukt powszechnie zwany Mostem Weisera. Piętnaście lat później owo miejsce miało uwieńczyć pewną tragiczną historię. Dziś jednak przedwojenna kładka stanowiła jedynie tło codziennej podróży przez las.

Kroon programowo unikał głębszych relacji. A jednak od czasu festiwalu w Krakowie zaczął budować coś na kształt... związku?

Niczego sobie nie obiecywali. Lucy wydawała się wyluzowana, podobnie jak Konrad po prostu cieszyła się życiem. A jednak pisali codziennie, planowali wspólnie przyszły czas.

„Może wpadniesz do mnie w następny weekend?” – zaproponowała. „Już kupiłem bilety” – odpowiedział po ledwie kilkunastu sekundach.

I nagle w tym kosmosie, który jakimś cudem zaczął się sam porządkować, niespodziewanie pojawiła

się Zuza. Kim, do chole-ry, była ta niezwykła dziewczyna? Czego od niego chciała i co najważniejsze: czego właściwie on chciał od niej?

Spędzili ze sobą cudowną noc. Nie chodziło wyłącznie o seks, nie chodziło tylko o rozmowę. Chodziło o coś ulotnego. O wibracje powietrza, smak spotkania i dźwięk ciszy. Pamiętał, jak pachniał wtedy wiatr, jak biło jego serce, jak śmiały się jej oczy.

Nigdy nie planowali zostać parą. Ale wciąż tkwili wzajemnie w swoich liniach życia.

– Co ja właściwie do niej czuję? – szepnął, wyjeżdżając z lasu.

Nie potrafił nazwać owego dziwnego uczucia, które żywił do Zuzy.

Jak to podobno powiedział Bukowski? *Nie przestałem o tobie myśleć, chciałbym ci tyle powiedzieć. Chciałbym napisać do ciebie, że chcę wrócić, że tęsknię za tobą i że myślę o tobie. Ale ja ciebie nie szukam. Nawet do ciebie nie piszę. Nie wiem, jak się masz. I tęsknię za tym.*

Cóż czuł więc do Zuzy? Być może właśnie tęsknotę.

FELIKS HEJMO

– A co ty żresz, sałatę, Wiesiu? Jak królik?

– Kurwa, nie pytaj nawet. Lekarz mi kazał.

Hejmo rozsiadł się wygodnie w fotelu. Wyciągnął paczkę z papierosami.

– Fajkę?

– Przecież tu nie można palić – sapnął szef, otwierając szeroko okno. Ostentacyjnie dał znak koledze, by ten przysunął się bliżej szyby.

Feliks zignorował ów gest dobrej woli. Założył nogę na nogę.

– Może ty planujesz długie życie. Ja natomiast spakowałem już walizki i tylko czekam, aż po mnie zadzwonią.

– Ze szpitala?

„A przecież każdy włos jak nasze lata policzony”¹.

– Nie znoszę szpitali. Poczekam na kolegów z „Zieleni”. Czarny worek, piach i po sprawie. Żadnego długiego umierania.

Niebołęcki wsadził widelec do miski i nabrał sporą porcję warzyw.

– To ja już jednak wolę sałatę – mruknął. – Chociaż jednego bym się z tobą napił.

– No to dawaj...

Na stole pojawiły się dwa kieliszki. Ciepła wódka. Bez popity.

– Za młodość Feli, za wieczną młodość!

– Za szybką śmierć – odparł Hejmo. – I godność. Żeby nikt nigdy nie musiał sprzątać naszego gówna.

Wychylili po kolejce.

– A propos sprzątania gówna... Co z tym gwałtem, który dałem ci po Kiełtrowskim?

Hejmo zaciągnął się fajką.

– Krzysiek spalił na starcie. Za to jak przesłuchał pokrzywdzoną... ja bym go wypierdolił.

– Niestety nie mam takiej mocy. Poza tym wiesz, że wiecznie jedziemy na deficycie ludzi.

– Zadufany w sobie partacz – ocenił surowo prokurator. – Chociaż kiedyś do roboty brali gorszych. Jak tę całą Jowecką. Pamiętasz ją?

– Tępa pizda...

Szef nalał im jeszcze po kieliszku. Wymownie spojrzął na kolegę.

– Widzisz, synku, jakie to niedobre? A tatuś musi – sapnął Hejmo i szybko wsadził do ust papierosa.

Wóda i szlugi. Cudowny eliksir.

– No to co z tym gwałtem? – spytał Niebołęcki.

– Ustaliłem, że ofiar było więcej. Przynajmniej jedna. Tę drugą przesłuchałem sam, i tadam!

Powiedziała wszystko, co było trzeba. Edyta Nowaczyk chciała się zatrudnić jako kelnerka w Domu Steffensa.

Szef wykrzywił usta. Nie znosił suszonych pomidorów.

– W czym?

– W Domu Steffensa. To taki luksusowy burdel we Wrzeszczu. Nigdy tam nie byłeś?

– Nie stać mnie na luksusowe burdele – odparł Wiesiek.

– Nikodema Ruckiego też by nie było stać. Oficjalnie pracował jako ochroniarz, ale chyba robił bardziej za chłopca na posyłki.

– Przynieś, podaj, pozamiataj.

Hejmo nalał im jeszcze po jednym. Niby nie planowali balować, ale czasem po prostu samo jakoś tak wychodzi.

– No więc Rucki sprawdzał, czy się nadaje na kelnerkę...

– Swoim wackiem to sprawdzał? – spytał Rejonowy.

– Wacka wyciągnął dopiero później. Dziewczyna skończyła pracę, zaoferował, że podrzuci ją do domu.

Potem zmusił młodą do stosunku.

Niebołęcki skończył jeść sałatkę. Wziął miskę i ciężko doczłapał się do drzwi gabinetu.

– Pani Halinko! – krzyknął w stronę sekretarki. – Opłucze mi to pani. Żona potem krzyczy, że takie brudne do domu przynoszę...

– Pewnie, szefie – odparła kobieta.

Trzasnął drzwiami.

– No i do czego to zmierza?

– Do tego, że mam dwa gwałty i jedną osobę wskazywaną jako sprawca.

– No to szybkie zarzuty, akt oskarżenia i lecis. Zdasz do końca miesiąca?

Czerwiec, czyli półrocze. Półrocze, a więc statystyka. Logika, Fizyka i Statystyka. A z nich wszystkich największa jest Statystyka.

– To nie jest kolejny numerek do zaklepania. – Hejmo zaciągnął się fajką. – Mam dwie skrzywdzone dziewczyny, dwa zniszczone życia.

– A tam skrzywdzone. Jakby były takie delikatne, toby się w burdelu nie zatrudniły – zachnął się Rejonowy.

Feliks planował coś odpowiedzieć, ale zamiast tego zaczął kaszleć. Sucho, mocno, jakby zaraz miał się udusić.

– Chcesz wody? Albo wódy?

Prokurator dał ręką znać, że potrzebuje przede wszystkim spokoju. Po dłuższej chwili sam doszedł do siebie.

– Ty mi tu Lepperem nie zajeżdżaj. Wiesz, co Rucki zrobił tej drugiej ofierze? Pokazać ci zdjęcia z oględzin?

– A chociaż są na golasa?

– Stary zboczuch – spunktował go Hejmo.

– To nie chcę. Po co sobie robić apetyt.

Feliks wyciągnął z paczki kolejnego papierosa. Po sekundzie namysłu schował go jednak do środka.

– Stawiam zarzuty Nikodemowi Ruckiemu. Muszę go przesłuchać. Poprzednio rozmawialiśmy w złoty osiemdziesiąt trzy, teraz zaproszę go do siebie w kajdankach.

– To już słuchałeś go jako świadka? – spytał szef.

– Po tym, co Kielrowski zrobił z pierwszą ofiarą, nie miałem wyjścia. Wezwałem go jako świadka, ten oczywiście wszystkiemu zaprzeczył. Powiedział, że laska sama chciała.

– Może ta druga też chciała.

Hejmo obracał w dłoni nową paczkę fajek. „Radomskie. Ale jak pan major woli, to Franz ma camele”

2.

– Nie chciała.

– Pracując w burdelu?

– Słuchaj, to też jest rzecz, nad którą się muszę pochylić. Gadałem z policjantką, mówi, że ten cały Dom Steffensa to jakaś podejrzana akcja.

Szef oparł się na łokciach.

– Tylko nie rozgrzebuj tego za bardzo. Bo wpadniesz w takie bagno, że już nie wypłyniesz na powierzchnię.

Hejmo spojrzał na Niebołęckiego. Znali się jeszcze z „tamtych czasów”. Dwa stare komuchy.

– Czy ty coś wiesz?

– Nic nie wiem. Wiem tylko, że jak się za bardzo dłubie, to potem trudno skończyć sprawę – bąknął.

Feliks czuł, że jest kitowany. Rejonowy właśnie mydlił mu oczy.

– Przecież sam mi to dałeś do prowadzenia!

– Radzę ci jak przyjacielowi. Ruckiemu należały się zarzuty, dopierdol mu. Ale Dom Steffensa zostaw w spokoju.

– Wiesiek, ty stary dziadzie! Mów, o co chodzi!

Niebołęcki skoczył do okna. Trzasnął nim z całej siły.

– Słuchaj, to legalnie działający biznes. I wielu ważnym osobom zależy na tym, aby tak zostało.

– Do kurwy nędzy! Przecież my jesteśmy prokuratorami!

Szef zniżył głos.

– Prokuratorami najniższego szczebla. W pierdolonym rejonie. I wyżej wała nie podskoczymy.

– Nie wierzę, że to słyszę. Komuna skończyła się dwadzieścia jeden lat temu, Wiechu!

Niebołęcki poczerwieniał.

– NIE POU CZAJ MNIE! Ja się wtedy nie zeszmaciłem tak jak ty! Nikomu z Solidarności nie dojechałem!

Hejmo poderwał się na nogi.

– Zaraz się doigrasz! – W tym momencie poczuł kłujący ból w klatce piersiowej. Znow zaczął kaszeć. Zgiął się wpół i ciężko wylądował na krześle.

– Feli? Feli!

Hejmo próbował złapać oddech.

– HALINA! – Niebołęcki wrzasnął na sekretarkę.

Sekundę później w gabinecie pojawiła się przestraszona urzędniczka.

– Feliks nam tu zaraz zejdzie! Dzwon po karetkę!

– Nic... nic... mi nie jest – wychrypiał Hejmo. – Zamknij drzwi.

– Na pewno? – spytała kobieta.

Mężczyzna wracał do żywych.

– Na pewno. Muszę pogadać z Wieśkiem.

– Jakby co, to jestem tuż za ścianą...

Sekretarka zniknęła w sąsiednim gabinecie.

Usiedli przy stole. Niebołęcki nalał im po czwartej kolejce. Pacjent przeżył, karetka niepotrzebna, można wrócić do picia.

– Nikodemowi Ruckiemu należały się zarzuty. Za te dwie dziewczyny. Wywiózł je z klubu, zgwałcił na obcym terenie. Trzeba mu dopierdolić. Ale Dom Steffensa? – Zrobił krótką pauzę. – Nie dziwi cię, że nikt się tym nigdy nie interesował? Ani Policja, ani służby, ani politycy? Że nikt z tych prawicowych świętoszków nie walczył z walącym po oczach nierządem? Albo żaden z lewackich polityków nie apelował o uszanowanie praw kobiet?

– Miałem rację. To jest śmierdzące gównno.

– Miałeś rację – szepnął Rejonowy. – I moja dobra rada jest taka: trzymaj się od niego z daleka.

NIKOLA

Nikola siedziała w niewielkim pokoju przykuta długim łańcuchem do betonowej podłogi. W pomieszczeniu panował półmrok. Obok dziewczyny leżał poźółkły, pokryty licznymi plamami materac. Wyglądał, jakby ktoś na niego zwymiotował.

Dostała jedzenie i picie. Poza kilkoma szturchnięciami, właściwie nikt nie wyrządził jej żadnej krzywdy. Uwięzili ją, zostawili jedzenie oraz wiadro na załatwianie potrzeb fizjologicznych. Później zamknęli za sobą drzwi.

Znała imiona swych porywaczy. Nie musieli kryć przed nią twarzy, jeszcze kilka dni temu traktowała ich jak członków rodziny. Przyszywanych braci. Krewnych, których nigdy nie miała.

„Trzymaj przyjaciół blisko, a wrogów jeszcze bliżej”, powiadają. Gdzie jednak trzymać przyjaciół, którzy tak naprawdę są naszymi wrogami?

Umysł dziewczyny zalewał potok myśli; chaotyczna kaskada lęków, nadziei i strachu. Gdybała o tym, co się teraz może stać. A stać miało się jeszcze wiele.

*

– Co z nią teraz zrobimy? – spytał pierwszy głos.

– Będziemy grzecznie czekać. Tak jak nam kazano.

Oprawcy siedzieli w sąsiednim pomieszczeniu. Jeśli Nikola mocno wyteżyła słuch, była w stanie wyłapać część wyrazów i zdań.

– Skoro i tak jest spalona, to może byśmy...

– Serio chcesz ją teraz bzykać? – spytał drugi głos.

– No wiesz. Żeby się nie zmarnowała...

– Dostaliśmy jasne polecenie. Żadnej krzywdy. Mieliśmy ją tylko porwać. A potem pilnować.

– No, ale przecież i tak ją w końcu zajebie. – Pierwszy głos nie dawał za wygraną. – Bo przecież On jej już nie wypuści. Jak ty sobie to wyobrażasz? Że po tym wszystkim laska wyjdzie spokojnie na ulicę?

– Myślisz, że jesteś taki mądry? Jakby chciał wyruchać Nikolę, już dawno by to zrobił. A On lubi karmić się strachem. Po chuj trzyma ją w takiej ciemnicy? Po chuj zabronił nam z nią gadać? Chce, żeby sfiksowała. Żeby się bała. Widziałeś *Łowcę jeleni*?

– Nie.

– Gównu widziałeś – mruknął drugi głos. – Obejrzyj kiedyś. Zagraj w rosyjską ruletkę. Strach jest największym skurwysynem. Gorszym niż przemoc.

– No niby jo...

– Znałeś kiedyś takiego chuja jak On?

Pierwszy pokręcił głową. Nikola tego nie widziała, ale przecież musiał zaprzeczyć. Bo nie było gorszego skurwysyna niż On.

– No właśnie – kontynuował drugi głos. – Wiesz, jak On działa na babki. Jak na nie patrzy tymi smutnymi oczami, jak one patrzą na niego. Każda chce mu wskoczyć do łóżka. Ale dla niego to za mało. On potrzebuje czegoś więcej. To psychol...

– Nie gadaj tak!

– Bo co? Bo mnie podpierdolisz? Zresztą, On sam się chwali, że jest szajbusem.

– No niby tak – zgodził się pierwszy głos.

– Więc słuchaj uważnie. Ja ci powiem, co On robi. Przecież mógłby ją spokojnie wziąć siłą. Ale nie o to w tym chodzi. Najpierw będzie trzymał Nikolę w tej norze i pozwalał, by jej wyobraźnia pracowała. I dopiero kiedy ją zniewoli, kiedy ją zniszczy... wtedy robi swoje. Tak jak to robi ze wszystkimi innymi. Bo od niego po prostu nie da się uciec. Ani żywym... ani martwym.

1 Stanisław Sojka, *Tolerancja (Na miły Bóg)* (piosenka), *Neopositive*, 1992.

2 *Psy*, reż. Władysław Pasikowski, Studio Filmowe „Zebra”, 1992.

PATRYCJA RADKE

Żeby mieć przyjaciół, trzeba o nich dbać. Podlewać, pielęgnować, przesadzać do większych doniczek. Wzrastać razem z nimi, być na bieżąco. Przycinać martwe pędy.

Patrycja nigdy nie przykładła większej wagi do tematu znajomych, gdyż tych zawsze było pełno. Koleżanki z podstawówki i gimnazjum, przyjaciele z liceum – w niewielkim Starogardzie trudno się było nie spotkać. Na studiach też ciągle coś się działo. Imprezy, wypadki za miasto, ploteczki w wydziałowej restauracji. Później przyszedł czas aplikacji, szaleństwo nieco się uspokoiło, ale Patrycja wciąż żyła w przekonaniu, że gdyby co, z łatwością znajdzie kogoś, z kim da się wyskoczyć do kina, na kawę, dyskotekę. Tymczasem ludzie pozakładali rodziny, zdziaździeli, przestało im się chcieć. Codzienne pogaduszki zamieniły się w podglądanie swojego życia na Facebooku, prawdziwe relacje – w lakoniczne komentarze pod zdjęciami z wakacji.

W pewnym momencie Patrycja zdała sobie sprawę z tego, że w gruncie rzeczy nie za bardzo ma z kim pogadać. Krąg znajomych skurczył się do najbliższych trzech koleżanek, a te ciągle znajdowały jakieś wymówki. Ostatnią osobą, na którą wciąż mogła liczyć, był Gracjan.

– Cieszę się, że do mnie napisałaś. Jakiś taki mam ostatnio gorszy okres.

– *Same here* – odparła Radke. – U mnie nie lepiej.

Przycupnęli na siedzisku z palet i zajadając frytki, obserwowali, jak ulica Elektryków, imprezowa stolica Trójmiasta, powoli budzi się do życia.

– Wszyscy mnie wkurwiają. Myślałem, że na *home office* będzie jakoś łatwiej. Jestem w biurze raz na tydzień, a i tak jak widzę te zblazowane mordy...

– Przynajmniej masz robotę. Doceń to.

– A ty nie masz? Mówiłaś, że ostatnio zaczęło się kręcić.

Patrycja zagryzła kolejną frytkę.

– Ja nie wiem, czy to się kiedykolwiek zacznie porządnie kręcić. Wpada kilka lepszych zleceń, człowiek myśli, że wychodzi na prostą, a tu wiesz... ten później tłumaczy, że stałej współpracy by nie chciał, tylko jedną poradę, inny niby płaci, ale dzwoni przez całą dobę, a jak wyciszam telefon, to wysyła pierdyliardy SMS-ów, że czemu nie odbieram...

– Ludzie psy – podsumował Gracjan.

– Żebyś wiedział.

Stuknęli się drinkami.

– Ostatnio spotykałem się z takim jednym typem. I kumaj: niby nie moja bajka, bo on wkręcony w sport, no ale gadka się kleiła, wyglądało na coś poważnego.

– A ty chcesz czegoś poważnego? – spytała Patrycja.

– Stara, no raczej.

– Myślałam, że ci się podoba takie skakanie z kwiatka na kwiatek.

– Bejbe, ja zaraz będę miał trzydziecę. Czas zawiązać do portu. Potrzebuję kogoś na stałe. Żeby kumał moją bekę, lubił te same seriale i... gotował. Musi umieć gotować!

„Konrad gotował” – skojarzyła automatycznie Radke.

– Czyli po prostu szukasz męża, Gracjan – podsumowała.

– Totalnie szukam.

– No i co z nim?

Kolega machnął ręką.

– Wszystko było spoko--loko, randkowaliśmy, mówił, że on też potrzebuje spokoju. No i potem widzę go na mieście z jakimś typem, szli za rękę...

– Co za pajac!

– Pobllokowałem go wszędzie. Ale Pati, tak mi było źle...

Objęła przyjaciela.

– Wyobrażam sobie.

O tej porze muzyka na Elektryków stanowiła raczej tło, a nie główny element spektaklu. Na niebie wciąż świeciło słońce. Ludzie odwiedzali stocznię, by zjeść i trochę pogadać. Około dwudziestej drugiej następowała zmiana warty: ci grzeczniejsi wracali do domów, imprezowicze zamawiali taksówki.

DJ przeplatał spokojne elektroniczne kawałki ze starymi hitami. W pewnym momencie sięgnął do przebojów z roku 2010. Kilkanaście lat temu o UTERO mówiło się niemal wszędzie. Niepokorny kwartet gościł na falach radiowych stacji, grał na wszystkich ważniejszych festiwalach, miał sporą rzeszę wiernych fanów. I nagle, nie wiedzieć czemu, po prostu zniknął.

– No a jak u ciebie? – zagaił Gracjan. – Już sobie dałaś spokój z tym prokuratorem?

– Ostatnio gadaliśmy...

– BEJBE! – wykrzyknął kolega. – Mówiłem ci, że masz go zbanować! Pisałaś do niego najebana z imprezy? SMS-y wstydu?

Radke dawno nie była na imprezie. Tylko się zaśmiała.

– Po prostu prowadzimy razem jedną sprawę.

Gracjan studiował z Patrycją prawo, ale w odróżnieniu od niej nie zdecydował się na aplikację. Od razu po magisterce zatrudnił się w korporacji. O postępowaniu karnym miał raczej mgliste pojęcie.

– Ja ci mówię, co z oczu, to z serca. Najlepiej jakbyś oddała to komu innemu.

– Klient dobrze płaci – odparła. – Poza tym Konrad niczego ode mnie nie chce.

– Dupek – podsumował kolega, który w tej chwili złapał fazę na porządne użalanko.

Czy Kroon zachował się jak świnia? Chyba nie do końca.

– Wiesz, ja...

– Powiedz to! Nazwij go dupkiem! Chcę usłyszeć, jak to mówisz! – nalegał Gracjan. – Żeby ci się to utrwaliło w mózgu! Historia skończona! *Never ever!*

Gdzieś pod skórą Patrycja czuła, że nie może tego zrobić. Zaczęli się spotykać krótko po tym, jak Konrad rozstał się z Zuzą. Kroon nie składał żadnych deklaracji. Po prostu próbowali.

– On niczego ode mnie nie chce.

– Masz nazwać go dupkiem! – powtórzył kolega.

Konrad dość szybko powiedział jej, że nie jest gotowy na kolejny związek. Że po kilkunastu latach z Zuzą nie potrafi tak łatwo o niej zapomnieć.

– Stary... sama nie wiem. Nie oszukał mnie, nie zdradził. Trochę się w nim zabujałam, ale...

– Boże, jesteś niepoprawną romantyczką!

– On chyba nie chciał, żebym była kimś na zapas. Jego poprzednia laska zryła mu łeb.

– To była jakaś artystka, co?

Piosenka zwolniła nieco tempo. Spokojne akordy wygrywane na elektrycznej gitarze, lekko chrupki dźwięk lampowego wzmacniacza, samotny tamburyn zamiast perkusji. Sztuka niepokoju zaklęta w dźwiękach rockowej ballady.

– Nazywała się Zuza – przypomniała dziewczyna. – I z tego, co mówił mi Kroon, miała naprawdę zryty beret.

– Dawaj jakąś pikantną historię.

– Kurde, nie powinnam...

– Pati, no dawaj! – prosił Gracjan.

Radke spojrzała w kierunku DJ-ki. Przez chwilę zatopiła się w melodii.

– Mieli otwarty związek – zaczęła po chwili. – Ale tylko ona z tego korzystała. Konrad był jej wierny.

– Brzmi jak frajer – podsumował kolega.

– Do tego Zuza bardzo lubiła... – próbowała to ubrać w dobre słowa. – Przekraczać granice.

– W sensie, granice seksu?

– Tak. Kręciły ją jakieś hardkorowe tematy. Konrad nie mówił zbyt wiele, ale... Wydaje mi się, że była psycholką.

– Zboczuchą? – Gracjan próbował zrozumieć, w czym leżał problem.

Patrycja raz jeszcze wsłuchiwała się w piosenkę. Głos wokalisty recytował coś o końcu świata. Albo o kresie ludzkiego życia. Skala makro, skala mikro, czyjś świat się na pewno w tej chwili kończył.

– Chyba nie chodziło tylko o seks. Moim zdaniem ona jest zaburzona.

– Co drugi typ na ulicy jest zaburzony.

– Ale nie tak. Zuza ma w sobie coś z psychopatki.

Gracjan dojadł ostatnią frytkę.

– Prokurator chodzi z seryjną morderczynią. W sumie fajna parka.

Radke westchnęła.

– Już nie chodzi. Na szczęście. Ostatnio znalazłam na chacie jego książkę. Jakoś nie mogę się zebrać, żeby mu oddać.

– NIE RÓB TEGO! – Kolega się wzdrygnął. – Wrzuć mu do skrzynki, zostaw na wycieraczce. Albo najlepiej wypierdol do śmietnika i zapomnij.

Dziewczyna zaczęła chichotać.

– Trochę głupio. On bardzo lubi książki, a ta jest z autografem.

– To zostaje wycieraczka – stwierdził poważnie Gracjan. – A co to za książka?

– *Weiser Dawidek* – odpowiedziała Patrycja.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Nie znam. Nie czytałem.

– Ja też nie – przyznała z rozbrajającą szczerością Radke. – To podobno coś o Gdańsku. Mówił, że żeby zrozumieć to miasto, muszę ją przeczytać.

Gracjan spojrział w kierunku stoczniowych dźwigów.

– Bejbe, nikt nigdy nie zrozumie tego miasta. Ani takich typów jak twój Kroon.

FLARA

W sprawie Ruckiego czas działał na ich niekorzyść. Sąd zgodził się na aresztowanie mężczyzny jedynie na okres dwóch miesięcy. Kroonowi dano wyraźnie do zrozumienia, że nikt nie przedłuży mu środka. A na pewno nie bez nowych dowodów.

Flara przewertowała stopy papierów znalezionych w posiadłości Marty Bosackiej. Dokumentów związanych bezpośrednio z Domem Steffensa nie ujawniono. Właściciele klubu jeszcze czternaście lat temu zadbali o to, by skutecznie zatrzeć wszelkie ślady, które mogłyby naprowadzić organy ścigania na ujawnienie ich personaliów. Czy Marta Bosacka była jedną z właścicielek? To należało dopiero udowodnić.

– No co tam, Flara? – spytał Kroon tuż po tym, jak podniósł słuchawkę. Nawet nie spytał, kto dzwoni.

– Panie prokuratorze, przekopałam się przez tę całą makulaturę, którą zabezpieczyliśmy u Bosackiej.

Dwa tygodnie to robiłam.

– Wiesz, że ja ci za nadgodziny nie zapłacę.

– Gdyby ktoś miał mi płacić za nadgodziny, to nasze państwo już dawno ogłosiłoby bankructwo.

Kroon poprawił słuchawkę.

– W końcu ogłosi bankructwo, zobaczysz. Jedziemy tą samą drogą, którą jechała Grecja i Argentyna.

A jak splajtujemy, to z twojej policyjnej emeryturki...

– Codziennie uświadamia mi pan, że źle wybrałam swój zawód. A ja dalej w to brnę.

Prokurator się zaśmiał.

– Nazywamy to syndromem sztokholmskim. Ale nie martw się. Ja się ostatnio daję tak samo dymać tej firmie jak i ty.

– W końcu mówi się, że to służba – stwierdziła Flara. – W każdym razie znalazłam trochę dokumentów związanych z agencją modelek. Jakies wydruki maili, kilka potwierdzeń przelewów, kopii umów...

– Dużo tego?

Odruchowo pokręciła głową. A przecież Kroon nie mógł tego widzieć. Gadali przez telefon.

– Nie. Większość musieli zniszczyć. To, do czego udało mi się dokopać, to ledwie okruchy zebrane ze stołu.

– Da się je do czegoś dopasować? Ustalić, jakie serwowano danie?

Biła się z myślami. Wiedziała, jak bardzo Kroon przeżył stratę Zuzy. Wiedziała, jak bardzo zabolę go to, co odkryła.

Jedną z osób pracujących dla Marty Bosackiej był nie kto inny, jak wieloletnia partnerka Konrada. Prędzej czy później prokurator musiał poznać prawdę.

– Mam kilka nazwisk...

Kroon siorbnał właśnie kawę.

– No ale jakiś konkretny? Ktoś, kim się interesujemy?

„Ktoś, kim się interesujemy?” – powtórzyła w myślach. „Cholera. Przecież złamię mu serce. Musi być inny sposób!”

– Same *noname'y* – powiedziała z trudem. – Sprawdzalam w bazach, niektóre z adresów są już

nieaktualne, nie mam też żadnych telefonów. Będzie trzeba trochę pojeździć i popytać.

– Mam przedzwonić do naczelnika kryminalnych? – spytał -Konrad.

– Na razie sobie poradzę. Nie wiem wprawdzie kiedy...

Kroon odstawił kubek z kawą.

– Musisz się pospieszyć. Na dwa tygodnie przed końcem aresztu muszę mieć przesłuchanych świadków, którzy potwierdzą wersję pokrzywdzonych. Sypną coś na Ruckiego albo jeszcze lepiej, powiedzą, co naprawdę działo się w Domu Steffensa. Inaczej sąd nie zgodzi się, by zatrzymać go dłużej w ciupie. A wtedy sprawa nam się rozmyje.

– Kumam – odpowiedziała.

– Ta sprawa tak śmierdzi, że mimo upływu tych czternastu lat odór dalej wali po nosie. Dom Steffensa podlegał ochronie konserwatora, pewnej nocy cudownie spłonął, na działkę wjechały spychacze i zasypały wszystko ziemią.

– Ale przecież do gwałtów nie doszło w klubie – zauważyła policjantka.

– Nie chodzi tylko o te dwa gwałty. Czuję, że tam działo się znacznie więcej. Jedno jest pewne: Rucki miał czyjeś przyzwolenie, żeby tak się zachowywać. Co najmniej przyzwolenie. Nie wiem, czy stała za tym Bosacka, czy ktoś inny.

– Czyli my nie idziemy tylko po Ruckiego? – spytała funkcjonariuszka.

– Nie, Flara. Idziemy po to, po co szedł Hejmo. Idziemy po prawdę.

ZUZA

Wnętrze pofabrycznej hali przypominało ogromną pajęczynę. Nylonowe sieci były wszędzie: udrapowane pod sufitem, wiszące na ścianach, wypełniające podłogę. Reflektory skierowano w kilka wybranych miejsc magazynu; snopy światła rozpląwały się w sztucznej mgle, delikatnie oświetlając zawieszony na linach nagie ciała.

Jedna z dziewczyn próbowała przebić się przez grubą warstwę plastikowego kokonu. Najpierw wydobyła palce, chwilę później w powstałym otworze pojawiły się usta. Łapczywie nabierała powietrza.

Wisiała dobre siedem metrów nad ziemią. Każdy zbyt gwałtowny ruch groził upadkiem. Ale musiała uciec. Musiała się stąd wydostać.

– *Si'l te plaît aide moi!* – krzyknęła.

„Może odnajdziesz w wyludnionym domu bukiet włosów na ściętej pościeli”¹.

Dziewczyna wyszarpała w folii większy otwór. Już mogła oddychać.

– *C'est moi* – wyrecytowała. Dokładnie tak, jak ją nauczono.

Z trudem przecisnęła przez dziurę swój tułów. Podobnie jak pozostali była całkiem naga.

„Okrutne piękno żelaznego świata oświetlać będzie naszych snów podziemia. Ziemia zapłonie jak zamierzchna lampa i nasze ciała będzie w chłam przemieniać”.

Nagle ktoś skierował na nią mocne światło reflektora. To już nie był delikatny, oniryczny blask rozmytej we mgle lampy. Sen dobiegł końca. Właśnie wkraczała na scenę.

Zuza stała schowana za jedną z pajęczyn.

– Piękna – wyszeptła. – Młoda, niewinna i czysta. Idealna.

– Każda na początku wydaje się czysta – odparł mężczyzna obsługujący halogen.

„Okrutne światło przemiennego świata oziębia nasze wspólne ciężkie serce. Jeżeli nawet zabłądzimy w gwiazdach, to tylko twoje serce nas uśmierci”.

Dziewczyna wysunęła nogę z kokonu. Siedziała okrakiem na foliowej klatce, która ledwie chwilę temu nie pozwalała jej oddychać.

Chwyciła jedną z pajęczyn. Skoczyła.

Zuza podniosła aparat.

– *Magnifique* – powiedziała cichutko fotografka.

Dziewczyna tańczyła na linie niczym baletnica. Okręcała się na sznurze, balansowała w powietrzu, związała się, mdlała, uciekała.

„I w dobijaniu śmiertelnie raniony do gwiazd, do których żywi nie słyszeli. I w ocaleniu kruchej łyzy z ogromu może zdążymy ci jeszcze dopomóc”.

Nagle do spektaklu włączyli się pozostali, dotychczas niemi aktorzy.

Zuza obserwowała podniebny balet nagich ciał, zastanawiając się, czyj pokręcony umysł potrafił

stworzyć tak piękną i straszliwą zarazem wizję.

Ale знаła odpowiedź na to pytanie. I знаła ten umysł.

Reżyser stał ledwie kilka metrów za nią. Poznali się wiele lat temu w Paryżu. Mężczyzna nosił wiele imion, aktualnie żądał, by nazywać go François. Zuza знаła kilka poprzednich wcieleń szalonego artysty. I żadne z nich nie było do końca normalne.

Undergroundowa sztuka. Przekraczanie granic tego, co przy-zwoite, legalne i dozwolone. Teatr jako ostateczna forma prezentacji bytu. Ucieczka od wszelkich norm czy ograniczeń.

Z głośników dobyła się powolna, tantryczna muzyka. Miarowy rytm perkusji, spokojne dźwięki akustycznej gitary.

Stara hala rezonowała echem przeraźliwego męskiego śpiewu. Bo każda opera potrzebuje solisty.

– Kurwa, normalnie ciary mam – powiedział operator reflektora.

– Ja też – odparła Zuza.

Naprawdę czuła podniecenie. Jak zawsze, kiedy pracowała z Nim.

WIKTOR

A jednak musiał uciec. Łudził się, że po ponad roku spędzonym za granicą, po dwóch latach terapii jest na tyle silny, by móc wrócić do rodzinnego domu. Nie miał jednak w sobie dość mocy.

Zawsze uchodził za bananowego dzieciaka, który wszystko i wszystkich miał za nic. Przystojny chłopak wywodzący się z jednego z najbogatszych trójmiejskich domów. Wiktor Duchnowski – syn słynnego biznesmena Jana Duchnowskiego. Pierworodny faceta, którego macki oplatały całe Pomorze.

Dwa lata temu Wiktor zdał obie sprawę z tego, że w końcu musi stanąć na własne nogi. Odciać się od toksycznej rodziny, wyprostować swoje ścieżki. I to właśnie zrobił.

– Sorry, cykniesz nam razem fotkę? – spytała jakaś dziewczyna.

– Pewnie. – Wziął od niej telefon i kliknął kilka razy w przycisk sztucznej migawki. – Zobaczcie, czy spoko.

Nieznajoma z koleżanką spojrzały na ekran.

– Super! Wielkie dzięki.

Chłopak usiadł na lotniskowej ławce. Kiedy wracał do domu po ponad rocznej tułaczce, łudził się, że rodzice się zmienili. Że zrozumieli, czym była jego manifestacyjna ucieczka, spostrzegli, gdzie popełnili błąd. Ale Duchnowscy żyli tak jak przedtem. Żyli dla siebie, bez oglądania się na innych.

„Po prostu dalej mają mnie w dupie” – pomyślał.

Wpatrywał się w tablicę odlotów. Wciąż nie wyświetlono numeru właściwej bramki. Przyszedł tu wcześniej, znacznie wcześniej, niż powinien. Leciał do Luton.

– Wiktor?! – zawołał ktoś z oddali.

Zerknął za siebie. W poczekalni siedziała jakaś starsza kobieta, na głowie burza czerwonych włosów, pod pachą torebka od Chanel. Skądś ją kojarzył.

Uśmiechnął się, po czym uciekł wzrokiem w stronę płyty lotniska.

– No Wiktor! Wiktor Duchnowski! – powtórzyła kobieta, siadając tuż koło niego. Ściągnęła przeciwsłoneczne okulary. – Nie pamiętasz mnie? Marta jestem!

A więc musieli rozmawiać.

Raz jeszcze spojrzął na jej twarz. Teraz, bez tych okularów, ją poznał.

– Pani Bosacka? – spytał nieśmiało.

– Jaka tam pani! – udała obrażoną. – Taka ze mnie stara rura? Tak źle wyglądam?

Kobieta wyjątkowo dbała o swoją urodę. Walczyła, by zawsze wyglądać młodo. Operacje, lasery, botoks, kwas...

– Przepraszam. Po prostu jest pani koleżanką mojej mamy – wyjaśnił.

Bosacka machnęła ręką.

– A ty znowu z tą „panią” mi tu wyskakujesz!

– Tak mi się wymknęło.

– To już lepiej niech ci się nie wymyka. Czasem trzeba trzymać gębę na kłódkę. Ojciec cię nie nauczył? – zaatakowała.

Wiktor totalnie nie rozumiał, o co jej chodzi. Przysiadła się do niego, zaczęła jakiś dziwny temat, a potem zaczęła strofować. Dziwna baba.

– Przepraszam – powtórzył.
– Już tak nie przepraszaj. – Puściła mu oczko. – Pokora w życiu jeszcze nikomu nigdy nie pomogła.
A ty jesteś Duchnowski. – Bierzesz od życia zawsze to, co chcesz. Podobnie jak ja.
Kiedyś tak właśnie funkcjonował. Dopiero na terapii skumał, że wychowali go na pieprzonego egoistę.
– Dobrze, nie będę.
Bosacka złapała go za policzek.
– A co ty taki cichutki? Janek nigdy nie był taki cichutki. Zwłaszcza kiedy gadał z kobietami...
– Nie jestem swoim ojcem.
Uśmiechnęła się.
– To widzę. Jesteś o wiele przystojniejszy. Powiedz, dokąd lecisz?
– Luton – rzucił krótko.
Bosacką wyraźnie ucieszyła ta odpowiedź.
– I weź tu nie wierz w przypadki! A ty wiesz, że ja mam dom w Londynie?
Na pewno miała. Stary Duchnowski też miał. I co z tego.
– W którym miejscu? – spytał z grzeczności.
– Tuż obok Regent's Park. Nie taki fajny jak Kulczyków, ale wiesz... biedy nie ma.
– Fajna dzielnica – mruknął.
Wiktor mieszkał na byłych terenach portowych. Sam zarabiał na swoje utrzymanie, nie chciał korzystać z pomocy rodziców. Jak na dwa lata na Wyspach, udało mu się całkiem sporo osiągnąć.
– Bo ty, słyszałam, że rezydujesz w Londynie?
Przytaknął. Na tablicy właśnie pojawił się numer właściwej bramki.
– Muszę już lecieć.
– Czekaj! – powstrzymała go. – Mamy jeszcze sporo czasu. Śpieszy ci się tam do tego biedowiska?
Poczekalnia dla lotów Non Schengen mieściła się w najstarszej części lotniska.
– Jeszcze chciałem skoczyć do sklepu...
– Słuchaj, nie chciałbyś mnie odwiedzić?
Kiego diabła miałbyście? –
– Yyy, nie wiem...
– Zostaję tam na tydzień. Krótkie zakupy, trochę rozrywki. W weekend robię imprezę.
– Fajnie. – Naprawdę nie wiedział już, co ma jej odpowiadać. Nic go to nie interesowało.
Bosacka poprawiła okulary. Spojrzała na niego zalotnie.
– Nie chciałbyś do mnie wpaść?
Co to w ogóle było za pytanie? Młody chłopak i jakaś stara znajoma jego matki, od której swoją drogą próbował uciec. Nie chciał już dłużej żyć w świecie Duchnowskich.
– Prawdę powiedziawszy, chyba nie – odparł stanowczo. Tak uczyli go na terapii. – Mam tam swoje życie.
– Wiem, o czym myślisz. Stara baba i nudna impreza dla podstarzałych oldbojów.
– Nie chciałem pani urazić. Ale po prostu...
Bosacka nachyliła się do niego. Przekroczyła pewną granicę intymności. Czuł jej drogie perfumy, czuł zapach jej oddechu. Niemal dotykała ustami jego policzka.
– Ciągnęłam koks, jak tylko to gówno pojawiło się w kraju. Jeśli myślisz, że jesteś fajny, bo zaliczyłeś kilkadziesiąt lasek i kilka trójkątów... u mnie na imprezach seks nie jest tylko dodatkiem. Jest daniem głównym podniesionym do rangi sztuki. Więc nie patrz, proszę, na mnie jak na zwariowaną kumpelę twojej matki. Wpadnij w piątek, a pokażę ci, co to znaczy prawdziwa zabawa. Co robią dziewczyny i chłopaki, którzy dla mnie pracują. Młode aktoreczki, niewinne licealistki...
Duchnowski przełknął głośno ślinę.
– Pani... znaczy Marto...
– Nawet nie wiesz, co ci oferuję. A robię to z czystej sympatii. Po prostu mi się spodobałeś.
To wszystko było jakieś nierealne. Wiktor nie chciał korzystać z jej propozycji. Kiedyś faktycznie kręciło go takie życie, kiedyś czułby pewnie podniecenie... ale dziś? Zaczął znów się bać. Tak, jak bał się dwa lata temu, kiedy poznał Ją.
– Muszę lecieć do bramki – wydukał.

Bosacka chwyciła go za koszulę.

– Nie ma fantazji, która nie znalazłaby zaspokożenia w moim domu. Obiecuję ci, że takiej zabawy nigdy wcześniej ani nigdy później nie doświadczysz. Bo są takie marzenia, od których nie da się uciec.

FLARA

Zaparkowała na klepisku za prokuraturą. Obeszła budynek, machnęła ochroniarzowi blachą i wbiegła schodami na górę. Laski z Instagrama co rano uprawiały jogging; jej została jedynie rezygnacja z windy. Odwieź dzieciaka do szkoły, siedź osiem albo i więcej godzin w robocie, ugotuj obiad, posprzątaj chatę i jeszcze rano wytrzaśnij chwilę na jogging. Najlepiej wstawaj o czwartej albo w ogóle się nie kładź.

Wspinaczka po schodach stanowiła idealny symbol jej życia. Od dziecka zawsze miała pod górkę.

– Fender! – zawołała.

Pies zbiegał właśnie w przeciwną stronę. Chwilę później na horyzoncie pojawił się Kroon.

– A ty dokąd? – Przystanął na spoczniku. – Nie mów, że do mnie.

– No między innymi do pana.

– To chodź ze mną. Muszę wyprowadzić tego burego kundla.

Fender obrócił głowę. Gdyby mógł mówić, pewnie odgryzłby się prokuratorowi równie życzliwym tekstem. „Idziemy wyprowadzić tego starego kawalera, który uwielbia chrzanić sobie życie”.

– Właściwie trochę się spieszę...

– Odrobina świeżego powietrza cię nie zabije.

Wyszli z budynku i skręcili w stronę niewielkiego stawu.

– No więc stworzyłam listę kilku osób, które pracowały u Bosac-kiej. Udało mi się skontaktować z pierwszym gościem, mieszka gdzieś na Karwinach. Podjechałam do niego i trochę z nim pogadałam.

– Jesteś niezastąpiona. Każdy inny policjant wysłałby telefonogram. A ty się tłukłaś obwodnicą do Gdyni.

– Odbieram to jako komplement.

– Tak właśnie miałaś to odebrać.

Fender pobiegł gdzieś przed siebie. Spacerowali wąską, zarośniętą krzakami ścieżką. Kiedyś w tym miejscu były łąki, teraz jak grzyby po deszczu wyrastały nowe osiedla.

– No i co to za jeden? – spytał Kroon.

– Pracował jako ochroniarz w Domu Steffensa.

Prokurator zmrużył oczy.

– I Bosacka go zatrudniała? Są na to jakieś papiery?

– Formalnie nie. Ale jakiś przelewik poszedł.

Skręcili pod górę.

– No i co dalej?

– Nic dalej – odparła policjantka. – Chciał go pan przesłuchać osobiście. Więc za dużo z nim nie gadałam.

– Kiedy do mnie przyjedzie?

– Wręczyłam mu wezwanie na jutro. Powiedział, że się stawia.

Kroon skinął na Fendera. Należało wracać do prokuratury.

– Nie pierdolisz się w tańcu.

– Nie pierdolę się w pracy. Tańczę beznadziejnie.

Husky nie wydawał się zadowolony, że spacer dobiega końca. Tak to jest wiązać się ze starym kawalerem.

– A coś go pytałaś o Bosacką?

– Nie chciałam spalić. Przyznał, że piętnaście lat temu pracował w klubie. Stare czasy. Wyglądało, jakby nie chciał do tego wracać.

Stanęli pod płotem.

– Ale będzie musiał wrócić – rzekł z powagą Kroon. – Każdy kiedyś musi gdzieś wrócić.

1 Marek Grechuta, *Może usłyszysz wołanie o pomoc* (piosenka), *Droga za widnokres*, 1972.

KONRAD KROON

W lipcu 2010 stocznia stanowiła prawdziwe miasto w mieście. Ogrodzona z jednej strony wodą, z drugiej betonowym płotem, strzegła dostępu do swych terenów niczym zazdrosna kochanka. Aby wejść do środka należało okazać przepustkę. Oprócz robotników wpuszczano tam niemal wyłącznie artystów, którzy w starych pofabrycznych halach urządzili loftowe studia i pracownie.

Coraz głośniej mówiono o planowanej wielkiej przebudowie. Przymierzano się powoli do stworzenia nowej dzielnicy zwanej Młodym Miastem, której serce miał stanowić nowoczesny gmach Euro-pejskiego Centrum Solidarności.

Dwa lata później na stocznię wjechały buldożery i rozpoczęła się konkretna demolka. Nie brano jeńców. Słynne Wzorcownia, Stołówka, Modelarnia czy Pochylnia zamieniły się w pył. Władze nie dostrzegały wartości postindustrialnej architektury. Sporo unikalnej zabudowy legło w gruzach, zaś na tymczasowym metalowym płocie ktoś umieścił graffiti: CHUJE KIEDYŚ TO MY ZBURZYMY WASZE MIASTO.

Autorstwo napisu przypisywano Maćkowi Salamonowi, jednemu z najbardziej rozpoznawalnych gdańskich grafików. Oficjalnie do stworzenia manifestu nikt się nie przyznał. Ale wszyscy, którzy mieli jakies związki ze stoczną, wiedzieli, że od tej pory nic już nie będzie takie samo.

Jaskółkę zmian, zapowiedź otwarcia stoczni na świat zewnętrzny, stanowiło założenie klubu Buffet. Był to pierwszy taki lokal odwiedzany tłumnie przez ludzi funkcjonujących na co dzień po drugiej stronie płotu. Nowoczesna imprezownia wybudowana na warszawską modłę w zabytkowym budynku galerii sztuki. Wnętrze dominowały beton i modna zachodnia muzyka.

Konrad mijał właśnie Pomnik Poległych Stoczniovców. Kiedy dojechał do bramy, zeskoczył z roweru i rzucił ochroniarzowi:

– Ja do Buffetu.

Mężczyzna nawet nie odpowiedział. Odkąd otwarto klub, weekendowa kontrola stanowiła czystą formalność. Kończyła się pewna epoka.

Kroon przypiął swój rower do płotu obok kilkadziesiątu innych czekających grzecznie jednośladow. Taki panował tu zwyczaj: do Buffetu jeździło się wyłącznie na dwóch kółkach. Kilka lat później, kiedy stara stocznia przestała istnieć, również po tym lokalu nie było już śladu. Wtedy jednak, ledwie po drugiej stronie nowo powstałej drogi, otworzono Ulicę Elektryków. Przyroda nie znosi próżni. W lipcu 2010 roku ulica Elektryków była jednakże wciąż jedynie pisaną małą literą pustą przestrzenią pomiędzy dwoma starymi halami do produkcji statków.

– Ale jazda – powiedziała Lucy, która drałowała za chłopakiem na drugim rowerze.

– Beka, co?

– No beka. I mam go tu tak po prostu zostawić? Nikt nie -ukradnie?

Mieszkając w Polsce, trudno nie zadać takiego pytania.

– Jak ktoś ci ukradnie – odparł Konrad – to sama też komuś zajumasz. Krąg życia, Mufasa.

Złapali się za ręce i ruszyli w stronę klubu.

– Serio, czegoś takiego jeszcze nie widziałam – powiedziała dziewczyna.

Przystanęli, by spojrzeć na ciemniejące w oddali dźwigi KONE. Stoczniove żurawie odcinały się od pomarańczowo--fioletowego nieba, pochylone w swej majestatycznej, lekko uśpionej pozie.

– Witamy w Gdańsku – oznajmił Kroon.

– Wyglądają jak zakłęci rycerze – oceniła Lucy.

Konrad popatrzał z zadumą przed siebie. Nie wiedział, że dwanaście lat później będzie tutaj szukać tajemniczej dziewczyny o imieniu Julia.

– Bo to są rycerze – odpowiedział. – I jeśli zdarzy się jakieś wielkie zło, oni się przebudzą.

LILA

Obserwowała Alexa, który delikatnie bujał się na scenie. Przyklejony do mikrofonu szeptał cichutko słowa swojej mantry, którą elektroniczny przetwornik zmieniał w wibrujący echem głos z zaświatów.

– Popatrz na ich tępe gęby – powiedziała chłodno Judka.

Lila rozejrzała się po twarzach rozbawionych imprezowiczów.

– Głupcy – kontynuowała nastolatka. – Nie rozumieją, jaki spotkał ich zaszczyt.

Niezapowiedziany koncert, którego nikt nie ogłaszał. Około północy muzycy z UTERO wparowali do Buffetu, zajęli miejsce obok DJ-a i po prostu zaczęli grać. Zamiast żywych instrumentów użyli miniaturowych syntezatorów Korga, zamiast perkusji – programu komputerowego.

Publiczność, która przyszła tu tylko na piątkową imprezę, dosłownie oszalała. Tłum skakał w rytm muzyki, odśpiewywał chórem słowa znanych przebojów serwowanych w nowych, elektronicznych aranżacjach.

Lila spojrzała na swoją przyjaciółkę. Judkę od zawsze fascynował Alex, właściwie to wcale się z tym nie kryła, tak przed nim samym, jak i kimkolwiek innym. Ale to, co teraz ujrzała na jej twarzy, naprawdę Lillę zaniepokoiło.

– Wszystko w porządku? – Dotknęła jej ramienia.

Nastolatka nie zareagowała. Jej wzrok był nieobecny, skupiony wyłącznie na charyzmatycznym wokaliście. Zupełnie jakby ktoś ją zahipnotyzował.

Ponowiła pytanie:

– Judka? Dobrze się czujesz?

Dziewczyna znów nie odpowiedziała. Naśladowała epileptyczne ruchy Alexa, jej usta recytowały tekst piosenki.

– Chcesz się przewietrzyć?

Przed imprezą Eryk poczęstował je jakimiś tabletkami. Lila odmówiła. Judka tylko się zaśmiała, po czym tyknęła je wszystkie. „One pill makes you larger and one pill makes you small”¹. Ta sama melodia, tak wiele znaczeń. Ta sama książka, żadnego przypadku. Akt trzeci.

– Chodź, wyjdziemy na zewnątrz – poleciła troskliwa przyjaciółka.

– Zostaw mnie – powiedziała twardo Judka. W jej oczach tań-czyły łzy.

W tym momencie Alex wyciągnął dłoń w stronę publiki. Ju-dyta przez chwilę myślała, że jest tą wybraną. Że oto nadeszła owa chwila, w której nici ich żywotów splecą się w jeden przedwieczny haft; to, co ukryte, zostanie ujawnione; Mojry zagrają cantigę marzeń.

Tak miało być. Ale On w ogóle jej nie dostrzegł.

W tłumie imprezowiczów pojawiła się tleniona blondynka o lekko skośnych oczach. Szła w stronę sceny po niewidocznej linii, którą wyznaczała ręka wokalisty. Zza jego pleców płynęła smuga światła reflektora. Opromieniła dłoń Alexa, po czym poleciała w stronę tajemniczej kobiety.

Stali tak przez chwilę niczym na barokowym obrazie, pośród ciemności nocy; jako jedyni z dziesiątek obecnych skąpani w cudownym dyskotekowym świetle.

Miało się wrażenie, że ów blask pochodzi od nich samych, jego proveniencja jest kosmiczna, podobnie jak adres zamieszkania tej dwójki niesamowitych ludzi, którzy choć rozdzieleni dekadę temu, teraz przed tłumem świadków celebrytują swoje upragnione spotkanie.

Anita powoli podeszła do podwyższenia, chwyciła rękę Alexa i pozwoliła mu wciągnąć się na scenę.

– Nie wiedziałam, że tu będziesz – szepnęła mu na ucho.

– Ale ja wiedziałem – odpowiedział. – Jak widać, czasem tyle wystarczy.

Wdychali to samo powietrze, tańczyli wtuleni tak pięknie, jak tylko potrafią dawni kochankowie.

– Ten to zawsze kogoś wyrwie – mruknął Eryk, częstując gości niskim, chrupiącym dźwiękiem elektronicznego basu.

Znów podkręcili tempo. Publiczność zwariowała.

– Ej, dokąd idziesz? – zawołała Lila.

Judyta czuła, jak serce pęka jej na pół. Już wcześniej widziała Alexa całującego się z innymi. Potrafiła mu wiele wybaczyć, wybaczyłaby mu zawsze wszystko. Ale nie to.

– Judka! – krzyknęła przyjaciółka, po czym pobiegła za nią na zewnątrz.

Przed klubem nie było nikogo. Impreza trwała w najlepsze, goście skakali po betonowej posadzce, czując, że taka noc się prędko nie powtórzy.

Judyta zbiegła po metalowych schodkach i rzuciła się biegiem do wyjścia.

– Stój! Zaczekaj! – krzyczała Lila.

Maszerowały ulicą w stronę przystanku kolejki: zapłakana Judyta Słomska i próbująca ją dogonić Lila Byrna.

– Judka! Judka! – darła się nastolatka.

Na peronie Gdańsk-Politechnika czekało kilkunastu pasażerów. Judyta zbiegła po schodach, a następnie rzuciła się na tory. W oddali zajaśniały światła pociągu.

– Ratunku! Pomocy!

Lila zeskoczyła z betonowego podestu i pociągnęła z całej siły przyjaciółkę. Nic z tego.

– Judka! Błagam cię! Judka!

Niespodziewanie obok nich pojawił się jakiś mężczyzna. Przypadkowy podróżny. Mimowolny bohater. Chwycił Judytę pod ramię i pomógł Lili ściągnąć ją z nasypu.

Kilka długich sekund później na tory wtoczył się ciężko elektrowóz.

– Judka... – Lila zalała się łzami. Tej nocy pierwszy raz w życiu uciekła śmierci.

ALEX

Tak naprawdę nie spodziewał się, że przyjdzie. Przed rozstaniem zawsze ją musiał gonić. A ona zawsze mu uciekała.

I nagle, po dziesięciu latach rozłąki, spotkali się w końcu na plaży w Sopocie. Anita pracowała w agencji modelek, zajmowała się organizacją pokazów. Wróciła z wygnania do Trójmiasta. Podobnie zresztą jak on. Wiedział, że prędzej czy później będą musieli na siebie wpaść.

Wtedy, na początku nowego tysiąclecia, kiedy rozplynęła się w powietrzu, o mało nie zwariował. Ale zebrał się do kupy. Wymyślił sobie na nowo. Opracował plan zemsty – zbrodni doskonałej, przed którą nie sposób uciec.

– Tęskniłem – wyszeptał jej na ucho.

Jak zwykle nie odpowiedziała.

Kiedy tańczyła tak wtulona w jego ramiona, czuł, jakby stało się „już”. *Jak długo trwa wieczność? Czasami tylko sekundę.*

Anita zeskoczyła ze sceny.

– Spotkamy się tam, gdzie wszystko się zaczęło! – krzyknęła. – Tak jak wtedy! O wschodzie słońca!

KONRAD KROON

Wiele razy w życiu miał wrażenie, że świat daje mu znaki. Biegnie swoją drogą, lecz nigdy nie wybacza. Straconych szans nie sposób odzyskać.

Wpadli tu tylko na imprezę. On i Lucy. Pierwsza od wielu lat dziewczyna, z którą miał ochotę na więcej. Niby nie składali sobie żadnych obietnic ani przyrzeczeń, a jednak czuł, że to może być coś poważnego.

W Buffecie planowali wyłącznie odpiąć wrotki. Zatracić się w tańcu, zapomnieć w zabawie. Kroon nie zakładał, że tego wieczoru obudzi się w nim prokurator. A jednak pewnych wydarzeń niepodobna przewidzieć.

– Patrz, to te ziomki z Selectora – powiedziała Lucy, kiedy na scenę niespodziewanie wparowały chłopaki z UTERO.

Wciąż myślał o tamtym koncercie. Po weekendzie w Krakowie gadał z trenerem, pytał, jak się mają sprawy. Judyta wciąż nie utrzymywała kontaktu z rodziną. Przyspawała się do Alexa, porzuciła dawne plany. Ale wszystkie te decyzje podjęła dobrowolnie. Nikt nie wyrządził jej żadnej krzywdy.

– Poznają – odparł.

– Jest w nich coś niebezpiecznego – oceniła Lucy. – Jakby nie zabrali się za muzykę, pewnie skończyliby jako mordercy. Trubadurzy z gangu Mansona.

Oczywiście żartowała. Ale dla Kroona to nie był powód do śmiechu. Serio wierzył, że Alex mógłby kogoś zabić.

Obserwowali, jak na scenę wchodzi jakaś kobieta i zaczyna tańczyć z wokalistą. Publiczność zachwycił ów spontaniczny gest. Przełamanie bariery oni-my.

– Dobry jest – podchwyciła Lucy, po czym wtuliła się w Konrada. Tej nocy nikt nie chciał być sam.

Z klubu wybiegła jakaś dziewczyna.

– A ja wciąż nie wiem, co siedzi mu w głowie...

Nie lubił nie wiedzieć.

Chwilę później blondwłosa kobieta zeszła ze sceny i wmieszała w tłum. Zapewne Alex poprosił, by sobie poszła. Bo przecież nie mogła opuścić go z własnej woli.

Jeden z członków zespołu dał znać DJ-owi, by ten wrócił za decki. Koncert zbliżał się do końca. Na ostatniej nucie chłopak w czapeczce zręcznie pstryknął pokrętłem, odpalając z płyty znany francuski hit. „We

are your friends, you'll never be alone again”². Tej nocy nikt nie chciał być sam.

Konrad śledził wzrokiem Alexa, który właśnie skręcał w stronę przedsionka.

– Sorry – powiedział Łucji. – Zaraz wracam.

– Spoko.

Pomaszerował za Alexem. Musiał z nim porozmawiać, znów spojrzeć w oczy. Musiał poznać prawdę.

– Ej, przepraszam... – Chwycił wokalistę za koszulę.

– Zostaw go, typie – warknął perkusista, odgradzając Konrada od muzyka.

Alex zerknął za siebie.

– Nie zajmę ci więcej niż minutę – obiecał Kroon.

– Muszę zapalić – odparł wokalista. – Chodź za mną.

Wyszli przed klub. Za nimi ustawiła się spora kolejka ludzi chcących sobie zrobić zdjęcie ze znanym muzykiem.

– Słuchaj, jest taka jedna dziewczyna. Judyta Słomska. To córka mojego przyjaciela.

Alex spojrzął na niego swymi smutnymi oczyma. Melancholijny, lekko nieobecny wzrok. Sekretny urok złodzieja serc.

– Jest ona – odpowiedział, posługując się bardzo osobliwą -składnią.

Konrad poczuł dziwną nieśmiałość. Rzadko kiedy peszyli go inni ludzie. Właściwie poza wujkiem od wielu lat nikt nie pozbawił go tak łatwo pewności siebie.

– Yyy... no właśnie – wyjąkał. – Jej rodzice się bardzo o nią martwią.

– Jest rzeczą rodziców lękać się o swe szczenięta. A jednak jesteśmy tylko pielgrzymami. Każdy wędruje swoją drogą w pojedynkę.

Gadał jak szaleniec.

– Słuchaj, typie, długo jeszcze?! – krzyknęła jakaś dziewczyna z tłumu. – My też chcemy sobie zrobić zdjęcie!

– No właśnie. Twój czas się kończy – ponaglił go Eryk. – Streszczaj się.

Konrad zebrał się w sobie.

– Ona ma dopiero osiemnaście lat. Zawróciłeś jej w głowie. I kumam to. Przystojny z siebie gość, grasz fajną muzykę, a Słomska to młoda siksa, która szuka sobie idola. Ale nie wiem, czy potrzebuje akurat takich wzorców. Ta cała przygoda z waszym bandem chyba kiepsko działa jej na łeb. Starzy wariują, boją się, że coś sobie zrobi.

– Każdy z nas sam wybiera swą ścieżkę. Bo ostatecznie tak rodzimy się, jak i umieramy: sami.

Kroon poczuł dreszcze. Za smutnymi oczyma muzyka czaiło się coś... trudno to było nazwać.

– Traktuje cię jak bóstwo. Nie jesteś jej absolutnie nic winien, kumam, że to ona przykleiła się do ciebie, a nie na odwrót. Ale chy-ba nie bardzo służy jej ta znajomość. Rozumiesz?

Alex odwrócił się do niego plecami. Spojrzął na Wyspę Ostrów, zza której lada moment miało wyłonić się słońce. Czas mu uciekał.

– „Być może dawałem czasem do zrozumienia, że mogę być Jezusem Chrystusem, ale nie zdecydowałem jeszcze ani czym, ani kim jestem”³.

ALEX

Pokonywał powoli kolejne szczebelki prowadzące na szczyt ogromnego żurawia. Stoczniowe dźwigi górowały nad okolicą, dominowały panoramę miasta, przypominały, kto tu naprawdę rozdaje karty. Czwórka trefl.

Oczywiście nikomu nie wolno było tu wchodzić. Ochroniarz zhaltował go, kiedy przechodził przez płot.

„Mam coś ważnego do zrobienia. Trzymaj stówkę i śpij słodko” – powiedział Alex, wręczając mężczyźnie zielony banknot z Jagiełłą.

„Ale nie chcesz skakać? Bo mnie zapierdołą, jak skoczysz”.

Alex spojrzął mu głęboko w oczy. Mężczyzna poczuł się nagle wyjątkowo mały. Nic nieznaczący robak zawleczony przed oblicze helleńskiego boga.

„Zrobię tylko kilka zdjęć”.

Nawet nie spytał go, dlaczego nie ma aparatu.

„Leć. Ale jakby co, ja cię tu nie widziałem”.

Alex powoli kończył wspinaczkę na szczyt dźwigu.

– Znalazłeś mnie – powiedziała Anita, spoglądając na Alexa swoimi lekko skośnymi oczyma.

– Zawsze cię znajdę. Już nigdy mi się nie wymkniesz.

Znad Górek Zachodnich wyrzały pierwsze promienie wschodzącego słońca. Tak dzisiaj, jak i wtedy pomarańczowe światło zalało Stogi, Przeróbkę i wyspę Ostrów. Skąpany w złocistym pyłe świat, cudownie lekki byt. Decyzje, od których nie dało się uciec.

KONRAD KROON

– Konrad, to ja – powiedział do słuchawki trener. – Judka właśnie próbowała się zabić.

– Co? Jak to?

– Srak to! – krzyknął mężczyzna. – Mówiłem ci, że tak to się wszystko skończy.

Kroon stał właśnie przed budynkiem sądu okręgowego. W rękę ścisnął tokę, kilka minut temu skończył rozprawę. Planował -wskoczyć na rower i wracać do domu. Na wieczór umówił się z Lucy.

– Nic jej nie jest?

– Poza tym, że prawie odjechała? Nie. Skoczyła pod pociąg. Gdyby nie Lila i jakiś obcy facet z przystanku, pewnie już dawno byłoby po niej.

Są rzeczy ważne. Są rzeczy ważniejsze.

– Za ile może pan być w prokuraturze?

*

Judyta Słomska targnęła się na swoje życie. Szczęście w nieszczęściu. Szalony muzyk tak bardzo namieszał jej w głowie, że w końcu doszło do tragedii. Wyprowadzka z domu, zerwanie kontaktu z rodzicami... kiedy skończysz osiemnaście lat, możesz robić, co chcesz. I nikomu nic do tego.

Trener Słomski już dawno prosił Konrada o pomoc, lecz ten miał związane ręce. Dopiero kiedy Judyta podjęła nieudaną próbę samobójczą Kroon mógł zareagować. I nie jako stary przyjaciel. Jako nieustępliwy prokurator.

– Wiem, że to marne pocieszenie – powiedział Konrad. – Ale teraz w końcu mamy jakąś podstawę do oficjalnego wszczęcia postępowania.

– Bo wydarzyło się nieszczęście – prychnął Słomski.

Skoczyła pod pociąg, to prawda. A jednak przeżyła. Włos jej z głowy nie spadł.

– Tak działa prokuratura. Nie układamy nikomu życia na siłę. Reagujemy, gdy coś się stanie.

– No i co teraz zrobisz?

Kroon odpalił komputer. O tej godzinie w pracy siedział jeszcze tylko Hejmo. Feliks nie lubił zbyt prędko wracać do domu.

– Przyjmę oficjalnie zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa. A potem dorwę drania, który ją do tego nakłonił.

ALEX

Diiing--dooong.

Cisza.

Diiing--dooong.

Nie kumas, że cię tu nie chcą?

Diiing--dooong.

Stał pod drzwiami i walczył z dzwonkiem. Stary komunistyczny blok na Karlikowskiej. Wielka płyta wciśnięta pomiędzy wille Dolnego Sopotu. Zatęchła klatka i wspaniałe widoki na Zatokę.

– Alex? – spytała zdziwiona Anita, otwierając szeroko drzwi.

– Nie. Gazownik. Ma pani w mieszkaniu licznik?

– Jak mnie tu znalazłeś?

Mężczyzna wygładził palcem brwi.

– Mówiłem ci. Zawsze cię znajdę. Nigdy już nie uciekniesz.

Stali tak przez chwilę, milcząc. Niezręczna cisza wywołana niespodziewanym spotkaniem. Alex nigdy zbyt wiele nie mówił. Oszczędzał słowa, jakby ofiarowano mu ich ograniczoną liczbę. Tysiąc wyrazów na trzydzieści lat życia. Gospodaruj mądrze.

Anita po prostu czuła się zmieszana.

– No dobra, to może... wejdiesz?

– Skoro nalegasz...

Grzecznie zdjął buty, w polskich domach – zawsze ściągamy buty – może kapcie – skórzane – kierpce – z hali – jak to – bosy – przecież – tak – ciągnie – od – podłogi – zaziębisz się, i w samych skarpetach, jednej czerwonej, a drugiej czarnej, wkroczył na dębowy parkiet, francuska jodełka w wydaniu PRL-u.

– Przytulnie tu u ciebie – zaczął zupełnie banalnie. A niby jak miał zacząć?

– Takie wynajęłam. Wystrój oryginalny. – Anita zaśmiała się, wskazując na politurowaną meblościankę. „Telewizor, meble, mały fiat”⁴.

– Całe życie za granicą, a jednak ciągnie do polskiego paździerza – osądził.

Do dużego pokoju wbiegła jakaś dziewczynka. W rękę ścisnęła lalkę Barbie.

– Uczymy się ze Steffani latać. Bo przecież każdy dorosły powinien kiedyś nauczyć się latać – powiedziała.

Alex delikatnie uniósł kąciki ust.

– Właściwie to masz rację. Gonimy nie wiadomo za czym, a tak naprawdę każdy z nas po prostu chce dotrzeć do Słońca.

– Ja i Steffani będziemy latać. Tak naprawdę. Na dorosło – orzekła poważnie dziewczynka.

Anita objęła córkę.

– To może uczcie się latać w twoim pokoju. My tu musimy porozmawiać na ważne tematy.

– Ale czy są ważniejsze tematy niż szybowanie? – spytała rezolutna dziewczynka.

Alex się zaśmiał.

– Nie ma ważniejszych tematów. I nigdy nie było. Po prostu mamy zbyt wąskie pole widzenia, by to dostrzec.

– No już, Dzwoneczku – ponagliła matka. – Idź do siebie. Napijesz się czegoś? – zwróciła się do muzyka.

– Może wody. Bo chyba za wcześnie na wino.

Nigdy nie jest za wcześnie na wino.

– No za wcześnie. Zresztą nawet żadnego nie mam.

Dziewczynka stanęła w drzwiach swojego pokoju.

– Jakby jednak miał pan ochotę polatać... będę u siebie za ścianą.

– Zapamiętam. Może następnym razem – odparł Alex. – Mam nadzieję, że ten bilet nie ma terminu ważności.

– Może nie będzie już następnego razu – odpowiedziała, znikając w sąsiednim pomieszczeniu.

Anita postawiła na stole wodę. Dwie szklanki, każda okraszona plasterkiem cytryny.

– Wyszczekana, co?

– To po matce – powiedział Alex.

Kobieta przysiadła na wiklinowym fotelu.

– Nigdy nie byłam dobra w gadce. Zresztą dalej nie jestem.

Cisza. Tak wiele ich wspólnych chwil wypełniało milczenie. Lecz jeśli nie boisz się ciszy, wiesz, że w końcu jesteś w domu.

– To twoja? – spytał, wskazując głową w stronę sąsiedniego -pokoju.

– Nie. Znalazłam ją na klatce. Przybłąkała się.

– Wiesz, że tylko w twoich ustach brzmi to wiarygodnie?

Anita spojrzała w kryształową szklankę. Samotna cytryna unosiła się na powierzchni, za nic nie mogąc zatonać.

– Nigdy nie byłam specjalnie wiarygodna.

– Ja też nie.

Znów nie wiedzieli, co powiedzieć. Kiedy chodzili ze sobą przed dekadą, nigdy nie umieli szczerze rozmawiać. Kochali się jak wariaci, romantyczne uniesienie pisane Leśmianem i Osiecką, bezsenne noce w Sopocie na plaży. A jednak normalne życie zawsze szło im jak po grudzie.

– No to co się z tobą właściwie działo?

I weź tu stresć mu ostatnie dziesięć lat.

– Wyjechałam do Niemiec. Chwila na zmywaku, potem urodziłam.

– Przecież mogłem ci pomóc.

Zaśmiała się.

– Nie chciałam, byś mi pomagał. – Zamyśliła się. – Potem robiłam trochę naprawdę dziwnych rzeczy. Byłbyś ze mnie dumny. Upodliłam się jak szmata.

– Mam się z tego cieszyć?

Spojrzała w stronę morza. Uwielbiała widok fal. To dla niego wynajęła to mieszkanie.

– Po prostu mówię ci, jak było. Kiedy jesteś samotną matką w Berlinie, robisz to, co trzeba zrobić.

Kiedy jesteś samotną matką, jesteś po prostu bohaterką. I nikt ci tego nie odbierze.

– Ale stanęłaś jakoś na nogi – odparł po dłuższej chwili.

– Nie znoszę przegrywać.

– To tak jak ja. Masz tu kogoś?

Dolała mu jeszcze wody.

– W sensie chłopaka?

– Na przykład.

– Nie.

Przypadek? W tej historii nie występowały żadne zbiegi okoliczności. Anita nie mogła mieć partnera. Nie mogła mieć nikogo innego niż On.

– A kogoś do pomocy? Kogoś, kto zostałby z małą?

Zaśmiała się.

– Chcesz mnie zaprosić na randkę?

– O niczym innym nie marzę.

– Boże, Olo...

Splótł palce i nachylił się nad stolikiem.

– Nie wymawiamy imienia Pana Boga swego nadaremno. Zapomniałaś?

– Nigdy nie pamiętałam.

„Ja jestem cisza, milcz, dumny”⁵.

– Chciałem spytać, co robisz wieczorem. Dziś, jutro, pojutrze...

– Alex, nie jesteśmy już zbuntowanymi dzieciakami. To, co było, nigdy nie wróci.

Nie wróci. Stworzymy to na nowo. Lepsze, większe, potężniejsze.

– Jeśli czegoś żałuję, to tylko tego, że cię wtedy nie znalazłem. Że pozwoliłem ci odejść.

– Nie miałeś nic do gadania.

A jednak myślimy, że życie to wyłącznie nasza zasługa. Sonder. Miliony ludzi, miliony doświadczeń.

– Co robisz w czwartek wieczorem?

– Pracuję. A potem siedzę z Dzwoneczkiem.

– Ale na drinka dasz się zaprosić?

Spotkali się wtedy w Sopocie na plaży. Później trafiła na jego niezapowiedziany koncert. Wschód słońca obserwowany ze stoczniowych dźwigów. Nie pozwoliła się pocałować.

– Alex, ja nie mam już dwudziestu lat. Nie jestem tą pierdolniętą dziewczyną, którą poznałeś nad brzegiem Motławy.

– To kim jesteś?

Kim w ogóle jesteśmy?

– Przede wszystkim matką. Mam dziesięcioletnią córkę, pracę, jakieś plany na przyszłość. Próbuje przetrwać. Jakoś to sobie wszystko poukładać. Tak jak to robią inni ludzie.

– Nigdy nie byliśmy jak inni ludzie.

Spojrzał na nią. Próbował rzucić urok. Oczarować. Zakląć. Zahipnotyzować.

– Co ty robisz? – spytała bez ogródek.

– Uciekam się do magii.

Spośród setek ludzi, spośród dziesiątek spotkanych osób, jedynie Anita wiedziała, kim był naprawdę. *Iudex suspectus*. Znała go zbyt dobrze. Zbyt dobrze, by móc zachować bezstronność.

– Twoja magia nigdy na mnie nie działała. Zapomniałaś?

KONRAD KROON

Wszedł do Hejmy, nie facygując się nawet, by zapukać. Taki był zwyczaj, że pukali wyłącznie petenci.

– Słuchaj, Feliks, chciałem o czymś pogadać. Muszę się poradzić.

– Ty się ciągle o coś radzisz. Ile masz lat? Może najwyższy czas, żebyś sam zaczął myśleć? – mruknął stary prokurator.

Kroon zrzucił z krzesła kilka tomów akt i usiadł.

– Jak już się przekreślisz od fajek, to wtedy zacznę myśleć. A na razie nie będę zużywał cennych neuronów.

Hejmo zdał sobie sprawę z tego, że czegoś mu brakuje. Wyciągnął z szuflady paczkę marlboro, po czym, zakładając nogę na nogę, zapalił pierwszego papierosa.

– Mógłbyś? – Skinął Konradowi w stronę okna. Ten posłusznie wstał i otworzył je szeroko. – Dzięki. A teraz mów, o co biega.

Młodszy kolega przysiadł na parapecie. Zawsze tak było, że kiedy otwierał okno, kończył na parapecie.

– Dostałem do prowadzenia jedną sprawę. Namowa do samobójstwa.

Feliks kaszlnął.

– Serio, po tylu latach pytasz mnie, jak się prowadzi sto pięćdziesiąt jeden?

– Wiem, jak się prowadzi sto pięćdziesiąt jeden – odparł Konrad. – Ale nie o to chodzi. Ojciec pokrzywdzonej to mój znajomy.

Stary prokurator zaciągnął się papierosem.

– To musisz się wyłączyć. I po problemie.

Kroon splótł palce.

– Powiniennem... – Zawiesił głos. – *Iudex suspectus*... chodzi o córkę mojego byłego trenera.

Iudex suspectus. Tym łacińskim zwrotem określano sytuacje, w których bezstronność sędziego czy prokuratora mogłaby budzić czyjeś obawy. W takich wypadkach przepisy nakazywały urzędnikowi wyłączyć się z prowadzenia sprawy.

– *Iudex suspectus* – powtórzył Hejmo.

– Już kiedyś o tym gadaliśmy. Dziewczyna zakochała się w jednym muzyku. Dziwnym, pokręconym typie. Kilka miesięcy temu trener prosił mnie o interwencję, nic nie mogłem zrobić. Laska uciekła z domu, ale zupełnie dobrowolnie. Skończyła osiemnaście lat, nikomu nie dało się nic zarzucić.

– Pamiętam. Kazałem ci wtedy płynąć pod prąd.

– Próbowałem jakoś dotrzeć do tego całego Alexa. Całkiem prywatnie. No i gównu zrobiłem.

– Gównu zrobiłeś, bo gównu mogłeś zrobić – podsumował Hejmo. – A teraz młoda targnęła się na linę.

– Skoczyła pod pociąg – sprostował Kroon. – No i sprawa trafiła na moje biurko.

Feliks wyciągnął kolejnego papierosa. Wciąż jeszcze dopalał poprzedniego, ale nie znosił tych krótkich przerw oczekiwania na kolejną dawkę nikotyny.

– Na twoim miejscu każdy by się wyłączył...

– Wiem.

Hejmo dał znak, by mu nie przerywał.

– ...ale *iudex suspectus* to norma nieostra znaczeniowo. Nie jesteś krewnym dziewczyny, nie byłeś świadkiem zdarzenia, nie prowadziłeś mediacji... Jednym słowem: nie zachodzą tu żadne bezwzględne przyczyny odwoławcze. Jeśli się nie wyłączysz od prowadzenia jej sprawy, świat się nie zawali.

Konrad westchnął.

– Z jednej strony czuję, że nie do końca powinienem to prowadzić. Z innej boję się...

– Że nikt inny tego dobrze nie zrobi. Jak śledztwo trafi, dajmy na to, na takiego Kielrowskiego, góra tydzień i laska podejmie drugą, tym razem udaną próbę samobójczą.

– Wyjąłeś mi to z ust.

Stary prokurator poprawił się w fotelu.

– Nikt się do ciebie nie doczepi. Jakby laska była twoją eks, jakbyś zarywał ją w klubie... znasz ją w ogóle?

– Nie. Tylko jej ojca.

– No to widzisz. Coś ci powiem. Prowadzę tę sprawę gwałtów po Krzyżku. Czuję, że dokopałem się do drugiego dna. A Wiesiek... powiedział, że bym odpuścił. Jak myślisz, co zrobić?

Kroon znał odpowiedź.

– Będziesz drażył dalej.

– Tak – odparł Hejmo. – Bo czasem trzeba po prostu robić to, co uważa się za słuszne. Więc jeśli czujesz, że nikt inny poza tobą nie poprowadzi dobrze tego postępowania, to nikomu go nie oddawaj. Dorwij typa, który namącił jej w głowie. A potem dopilnuj, żeby dziewczynie nie stała się krzywda. Inaczej nigdy nie uciekniesz od wyrzutów sumienia.

NIKOLA

Bała się. Najgorsze w torturach jest oczekiwanie na ból, który dopiero ma nastąpić. Wiedzieli to już szesnastowieczni inkwizytorzy, którzy samo zadawanie cierpienia traktowali dopiero jako ostateczny element zbrodniczego przesłuchania. Wiedziały to wszystkie kolejne pokolenia katów, morderców i psychopatów. Dahmer, Bundy, Zodiak. Poczёт niepoprawnych dewiantów. Źródłem najgorszego cierpienia zawsze jest strach.

Do pokoju wszedł młody chłopak. Szczupły, lecz umięśniony. Na jego ciele roiło się od tatuaży, zupełnie jakby każdy czysty kawałek skóry młodzieniec uważał za obelgę.

– Przyniosłem ci jedzenie.

Nie nosił maski. Nikola wątpiła, by był to dobry znak.

Dobrze znała swoich oprawców. Tę dwójkę, która napadła ją w nocy, wywlekła z mieszkania, porwała, wtrąciła do zatęchłej piwnicy. I Jego, który jednym znudzonym gestem decydował o życiu innych.

Nie śmiała spojrzeć Mu w oczy.

– Nawet nie podziękujesz?

Miała dziękować? Za zdradę? Za ból? Za to wszystko, co dopiero miało się wydarzyć? Podziękuj za śmierć.

– Kubuś...

Młody Kardaś postawił na ziemi tacę z jedzeniem.

– Nie kazał cię karmić. Sam to kupiłem.

Duże frytki, big mac, cola zero. Żeby przypadkiem nie przytyła.

– Zawsze miałeś miękkie serce... Boże, Kuba, dlaczego mi to robicie?

Przecież znała odpowiedź.

– Za karę. Trzymałaś z niewłaściwą ekipą.

Kto nie jest ze Mną, jest przeciwko Mnie.

– Ale Kardaś... Przecież ja niczego nie zrobiłam! Nie pisałam słowa!

Podrapał się po potylicy. Zawsze miał słabość do Nikoli. Kilka lat temu łudził się, że zostanie jego dziewczyną. Już nigdy nie zostanie niczyją dziewczyną.

– Wybrałaś. W naszej rodzinie nie da się pić mleka z dwóch matek. Ani z dwóch ojców. Pamiętasz, o czym gadaliśmy wtedy w Domu Steffensa?

Pamiętała jak przez mgłę.

– Oczywiście – zablefowała.

– Żałowałaś, że nie spotkaliśmy się wcześniej.

Gdybyśmy tylko mogli cofnąć czas. Inaczej wybrać, ocenić konsekwencje z perspektywy widza, który zdążył dokończyć seans. Nie znamy finału. Więc jak możemy odpowiadać w pełni za swe czyny?

– Kuba... jeszcze wszystko da się jakoś poukładać. Pierdolić ich obu. I mojego Micha, i Jego.

– Dokładnie to ci wtedy powiedziałem. Pierdolmy wszystko, ucieknijmy z tego świata.

– No właśnie. Jeszcze nie jest za późno. Jeszcze możemy uciec.

Młody Kardaś od zawsze był niepoprawnym romantykiem. Szalona głowa, nieustannie bujający w kosmosie własnych marzeń. Nikola wiedziała, gdzie uderzyć.

– Przecież On nam nie wybaczy. Nie odpuści. Ty wiesz, co się dzieje teraz na mieście?

Dziewczyna bardzo dobrze domyślała się, jak wygląda teraz ulica. Wiosenne porządki przeciągały się aż do początku lipca.

– Nie musi odpuszczać. Wystarczy, by nigdy nas nie znalazł.

Młody Kardaś stanął w drzwiach.

– Nikola... od Niego nie da się uciec. Więc lepiej trzymać właściwą stronę.

1 Jefferson Airplane, *White Rabbit* (piosenka), *Surrealistic Pillow*, 1967.

2 Justice Vs Simian, *We Are Your Friends* (piosenka), *We Are Your Friends*, 2006.

3 Hasło: *Charles Manson*, dz. cyt.

4 Perfect, *Nie płacz Ewka* (piosenka), *Perfect*, 1981.

5 Władysław Broniewski, *Cisza*, w: tegoż, *Wiersze i poematy*, Warszawa 1980.

CZEŚĆ TRZECIA

OGYGIA

KONRAD KROON

Latem 2010 doszło do dwóch gwałtów na młodych dziewczynach. Prokurator Feliks Hejmo, który wówczas prowadził tamto postępowanie, mimo dość słabych dowodów zdecydował się na postawienie zarzutów Nikodemowi Ruckiemu. Hejmo czuł, że trafił na wierzchołek góry lodowej, ale nie zdążył zrobić nic więcej. Teraz, po czternastu latach, Kroon musiał doprowadzić śledztwo do końca. I dokopać się do samych korzeni prawdy.

Przeszukanie posiadłości Marty Bosackiej pozwoliło ustalić nazwiska kilku osób powiązanych z Domem Steffensa. Marek Lipski pracował tam przed laty jako jeden z ochroniarzy.

– Czyli Rucki panu o tym opowiedział? – spytał Konrad. – Pochwalił się?

– Zawsze dużo gadał. Zwłaszcza o laskach.

Kroon raz wyciągnął z akt fotografie pokrzywdzonych. Zdjęcia pochodziły z 2010 roku.

– A o tych konkretnie?

Lipski ciężko westchnął.

– I co ja mam panu powiedzieć?

– Najlepiej prawdę.

Nie bardzo chciał zeznawać. Od zdarzenia minęło czternaście lat, a on był już zupełnie innym człowiekiem.

– Zmieniłem środowisko. Nie utrzymuję kontaktu z tamtymi chłopakami.

– Bardzo dobrze. Tym łatwiej o szczerą.

Konrad obrócił zdjęcia w stronę świadka.

– Pamięta pan ich imiona?

Lipski wzruszył ramionami.

– Pamięta pan cokolwiek? – Kroon ponowił pytanie. Wiedział, że świadek ma do opowiedzenia kilka ciekawych historii. Problem polegał na tym, by w końcu się przełamał.

– Naprawdę wolałbym do tego nie wracać.

Kroon zmierzył mężczyznę wzrokiem.

– To i tak wróci. Bo od pewnych rzeczy nie da się uciec. Zależy tylko, po której stronie pan będzie, kiedy zacznie się cofka.

– Byłem wtedy tylko gówniarzem. Próbowalem jakoś dorobić. Proszę mi uwierzyć, jestem teraz zupełnie innym człowiekiem.

Konrad dostrzegł cienkie pęknięcie. Lipski bał się, że zbytnia szczerść może pociągnąć go na dno. Ale nie zamierzał płacić za cudze błędy.

– Rozumiem. Żona, dzieci, praca. Ma pan dla kogo żyć.

– Dokładnie – odparł świadek.

– Tym bardziej nie warto umierać za Ruckiego – rzekł twardo Kroon. – On się już z tego nie wywinie. Jest na moim celowniku. Ale wolałbym nie strzelać na oślep. Bo jak się ładuje na oślep, to łatwo o przypadkowe ofiary. A pan, zdaje się, nie chciałby zarobić odłamkiem.

Lipskiemu pociły się dłonie. Za małopata był po prostu chłopakiem z Wrzeszcza. Dziesiony, bójki, młodzieżowa gangsterka. Sądził, że tamten świat to jedynie wyblakła pocztówka. Ale Kroon był gotów pokolorować go całą paletą barw.

– Wiem, co pan robił przed laty. Zaciągnąłem języka, poszperałem po kilku sprawach – zablefowałem. – I proszę mi wierzyć, planowałem rozmawiać dziś wyłącznie o Nikodemie Ruckim. Ale skoro gadka tak bardzo nam się nie klei, mogę zmienić temat.

Prokurator otworzył Kodeks karny.

– Proszę zobaczyć. To są terminy przedawnień w sprawach o rozbój. – Wskazał palcem na jeden z artykułów.

– Piętnaście lat – odczytał Lipski.

– Tak. Ale jeśli w tym czasie wszczęto postępowanie – Kroon wskazał na następny artykuł – to do piętnastu musi pan doliczyć jeszcze dyszkę. To taka nowelizacja z dwa tysiące szesnastego roku. Łatwo przeoczyć, jak nie jest się prawnikiem. Piętnaście plus dziesięć. Dwadzieścia pięć lat na przedawnienie

dawnych grzechów. I tym sposobem cofamy się aż do początku tysiąclecia. Milenijna pluskwa.

Świadek gwałtownie spłoszył się.

– Nie znałem wtedy Ruckiego...

– A to jednak my dalej o Ruckim? Bo myślałem, że rozmawiamy o tym, jak łatwo było kiedyś we Wrzeszczu stracić telefon. Wie pan, co można zrobić przy dzisiejszej technologii? Policja znajduje gdzieś taką starą nokię, a tam jakieś dziwne SMS-y. Oczywiście rzadko komu chce się w to bawić, ale skoro nic pan nie wie o tych dwóch dziewczynach...

Zbyt duże ciśnienie wody w szczelinie. Tama milczenia musiała w końcu pęknąć.

– Rucki lubił pobzykać. Czasem laski mu dawały, czasem nie. A on bardzo chciał zgrywać maczo, choć szczerze, średnie miał do tego warunki. Słaba bajera, no i wcale nie śmierdział groszem.

Kroon ostentacyjnie zamknął Kodeks.

– Pracował jako bramkarz – przypomniał Konrad. – To nie miał pieniędzy?

– Niby miał. Ale na pewno nie tyle, ile by chciał. I nie tyle, co inni goście klubu. Musiał kombinować.

Prokurator raz jeszcze okazał mu wizerunek pokrzywdzonych.

– To może skupmy się na tych dziewczynach. Pamięta je pan?

Chwila wahania. Przed czternastu laty żaden z nich by nigdy nie sypnął. Ale czasy się zmieniły, stare układy przestały obowiązywać. Lipski musiał zatroszczyć się o swoje życie.

– To będzie na protokół?

Kroon przytaknął.

– Na protokół. A potem wszystko powtórzy pan przed sądem. W obecności Ruckiego.

Świadek zagryzł wargę.

– Nie da rady tego jakoś inaczej rozegrać?

Konrad zaatakował.

– Jak pan bardzo chce, możemy zająć się czymś innym życiorysem.

– Jeszcze tego pożałuję... – mruknął przyparty do muru mężczyzna.

– Pańska decyzja. Bo przecież są różne stopnie żalu. Można żałować lekko, można żałować cholernie mocno. Wóz albo przewóz.

Żona, dzieci, normalna praca. Od czternastu lat nie widział Ruckiego na oczy. Po tamtym lecie całkowicie zmienił środowisko, dawna ekipa przestała istnieć.

– Najpierw poznał tę modelkę. – Lipski wskazał na jedno ze zdjęć Jagody Malickiej. – W Domu Steffensa organizowali jakiś pokaz mody. Rucki się zabujał. Zaproponował, że odwiezie ją do domu, liczył na szybki numer. Laska mu się stawiała, Nikodem i tak zrobił swoje.

– Wie to pan od niego? – spytał Kroon, zapisując dokładnie każde słowo.

– Od niego. Opowiadał nam o tym w klubie. Później trafił na przesłuchanie do prokuratora. Przesłuchali go jako świadka, nic mu nie zrobili. Rucki zeznał, że dziewczyna sama chciała. Śmiał się potem z tego.

– Co dokładnie mówił?

Lipski złapał się za brodę.

– Mam przeklinać?

– Proszę powiedzieć słowo w słowo, co pan usłyszał – polecił Konrad.

– No, że trafił na jakiegoś starego prokuratora i go zrobił w chuja. Wydymał laskę, a potem wykręcił się sianem. I to go tylko rozochociło. Jakiś czas potem Nikodemowi wpadła w oko taka jedna kelnereczka. Puszczal jej bajerę, ale widać było, że nic z tego nie będzie. Nie jego liga.

– A on nie lubił odpuszczać – podchwycił Kroon.

– Postanowił wywinąć drugi raz ten sam numer. I wtedy powinęła mu się noga. Dostał cynk, że psy na niego polują, musiał uciekać z kraju.

Prokurator okazał wizerunek drugiej z dziewczyn. Edyta Nowaczyk.

– Chodziło o nią?

Lipski przytaknął.

– Pokazywał nam jej nagie fotki. Też myślał, że się wywinie, jak z tamtą modelką. Porządnie narozrabiał, w klubie zrobiło się niespokojnie.

Konrad skończył spisywać ostatnie zdanie. Materiał dowodowy obciążający Nikodema Ruckiego

zaczynał nabierać kształtów. Ale Kroon nie zamierzał zadowolić się wyłącznie jednym sprawcą. Czuł pod skórą, że historia miała drugie dno.

– Klub. To takie ładne określenie na burdel. Czyż nie?

Lipski znów wzruszył ramionami.

– Każdy robi, co chce. Ale to nie był zwykły klub go-go.

– Proszę sobie nie przerywać...

– Jak ktoś chciał pociupciać albo popatrzeć na gołe cycki, to znał w Trójmieście kilka tańszych adresów. A do Domu Steffensa przychodzili sami dziani goście. Artyści, biznesmeni... To wszystko przypominało trochę sektę. Dziwna muzyka, pokręcone zabawy.

– Jakies nazwiska? – spytał prokurator.

Świadek tylko się zaśmiał.

– Stałem na bramce i pilnowałem, żeby nikt się nie rzucił. Nie obsługiwałem dziewczyn.

– A kto obsługiwał? Rucki?

– Pracowałem tam niecały miesiąc. Ściągnęli mnie z klubu w Sopocie, po aferze z Ruckim się zawiąłem...

Po nitce do kłębka. Kroon potrzebował kolejnych nazwisk.

– A kto pana zatrudnił?

– Formalnie? Nie mam pojęcia. Chyba jakaś spółka. Zresztą dostałem tylko jedną pensję.

– Widziałem potwierdzenie przelewu. Całe czterysta złotych.

Na twarzy Lipskiego pojawił się uśmiech.

– Kiepsko wtedy płacili.

– Rozumiem, że to była tylko podstawa. A jakies premie?

Świadek bezradnie rozłożył ręce.

– Niecały miesiąc pracy, panie prokuratorze...

Kroon wstał z fotela.

– My się chyba cały czas nie rozumiemy. Balansuje pan po bardzo cienkiej linii, panie Lipski. Ja potrzebuję nazwisk, a pan cedzi wyrazy, jakby każdy kosztował grubą walutę. Możemy rozmawiać o Domu Steffensa, możemy też pogawędzić o czymś innym.

– Serio, ja poza Ruckim i kilkoma kumplami z bramki nikogo tam nie znałem. Goście przychodzili w maskach, nikt mi o niczym nie mówił. Byłem tylko płotką.

– Jedno nazwisko – szepnął Konrad.

Mężczyzna nerwowo potarł twarz. Musiał coś powiedzieć. Ale nie mógł zdradzić zbyt wiele.

– Knur, znaczy Falbus. Szczepan Falbus. Pseudonim Knur. To też był chłopak z Wrzeszcza, od niego dostałem cynk o robocie.

Kroon zaklaskał.

– Wspaniale. A teraz wyciągnie pan telefon i do niego zadzwoni. Chciałbym, żeby mnie jutro odwiedził.

Lipski szeroko otworzył usta.

– Pan żartuje...

– Bardzo często żartuję. Ale w tej chwili jestem cholernie poważny.

ALEX

W 2010 roku galerie handlowe zdążyły przejąć większość funkcji, pełnionych niegdyś przez inne instytucje. Nowoczesne agory: miejsca spotkań, rozrywki, świątynie konsumpcji.

Alex stał pod witryną jednego ze sklepów, obserwując długi rząd młodych dziewcząt paradujących po tymczasowym wybiegu. W Galerii Bałtyckiej odbywał się właśnie pokaz mody, połączony z targami ubrań od młodych projektantów. Alex nie przyszedł tu jednak dla tych wszystkich pięknych modelek. Przyszedł tu specjalnie dla niej. Naciągnął na głowę kaptur i wmieszał się w tłum.

– Bardzo ładnie, Malwinka – pochwaliła modelkę Anita. – Wyrabiasz się.

– Dzięki. Staralam się.

– No i schudłaś. To też jest ważne. Masz piękne kształty, ale i tendencję do tłuszczycy. A jeśli chcesz zrobić karierę, to nie możesz mieć ani grama sadelka.

Dziewczyna spłonęła rumieńcem.

– Tak – wyszeptwała. Mordercza dieta kosztowała ją sporo zdrowia.

Anita spojrzała w kalendarz.

– To jesteśmy w kontakcie. Leć już!

Modelka się zawahała.

– Ja mam jeszcze jedną sprawę... – Nerwowo bawiła się pozłacanym wisiorkiem z zielonym agatem.

– No... – mruknęła Anita, nie odrywając wzroku od terminarza.

– Chciałam porozmawiać... o tym.

Organizatorka pokazu wciąż coś sprawdzała w kajecie.

– Mów – poleciła, w dalszym ciągu zajęta pracą.

– Miała mnie pani wkręcić do Domu Steffensa...

Anita momentalnie zamknęła kajet. Ściągnęła z ucha słuchawkę, sprawdziła, czy jest na pewno wyłączona.

– Przecież nie będziemy o tym tu gadać! – obruszyła się.

– Tylko ja już panią prosiłam tyle razy, a naprawdę... bardzo potrzebuję pieniędzy...

Anita rozejrzała się na boki.

– Dziecko, powiedziałam, że się zastanowię. Niczego ci nie obiecywałam.

– Ale mi naprawdę zależy! – zawołała Malwina. – Zadbałam o siebie, schudłam... nie wiem, co mam więcej zrobić.

Dziewczyna nalegała. Złośliwy powiedziałby, że wszystko, co się później wydarzyło, to wyłącznie jej wina. Że sama się prosiła. Bo przecież nikt nie namawiał Malwiny, by pracowała w Domu Steffensa. Nikt nie zaciągnął jej tam siłą, wiedziała, na co się pisze. Ale nikt nigdy nie zdradził aspirującej modelce całej prawdy. Nie ostrzegł jej, że od niektórych decyzji nie da się uciec. Malwina już nigdy nie uciekła.

– Słuchaj, ile ty masz właściwie lat?

– W maju skończyłam osiemnaście.

„Wygląda na szesnaście” – pomyślała Anita. „Ale to nawet lepiej. Oni lubią takie”.

– Ty wiesz, że to nie jest grzeczna zabawa? – spytała z udawaną troską. A może po prostu chciała oczyścić swoje sumienie? W końcu każdy z nas sam ciągnie ten wóz; za nasze decyzje odpowiadamy w pojedynkę. Lepiej nie dorzucać do niego poczucia winy.

– Wszystko wiem. Rozmawiałam z koleżanką... Mówiła mi, ile się zarabia i co trzeba robić. I ja bym bardzo chciała.

Anita westchnęła. Zmierzyła modelkę wzrokiem.

– A co powiesz rodzicom?

– Nie gadamy ze sobą. Ojciec pije, a matka... Mieszkam u kumpeli.

Zbłąkana owieczka. Samotna, biedna, niewinna. Idealna ofiara.

– Kochałaś się już kiedyś? – spytała bez ogródek Anita.

Malwina spuściła oczy.

– Tak... – szepnęła.

– Kiedy miałaś swój pierwszy raz?

– To było jakoś w gimnazjum... – odparła nastolatka.

– I lubisz seks? Bo inaczej, wiesz...

Czy lubiła seks? Na pewno nie taki. Ale przecież nikt jej nigdy nie powiedział całej prawdy. A tak bardzo potrzebowała pieniędzy.

– Lubię – odparła nieśmiało, odruchowo znów dotykając naszyjnika z agatem. Kamień równowagi. Miał jej dodać pewności siebie.

Anita położyła jej dłoń na ramieniu.

– No dobrze. Pomogę ci.

Starła się mieć czyste sumienie. Bo cóż właściwie robiła? Wyświadczała komuś przysługę. Dawała szansę laskom, które inaczej nigdy nie wyrwałyby się z biedy. Anita też kiedyś taka była. I zapłaciła swoją cenę. Każdy kiedyś musi zapłacić.

– Bardzo dziękuję. – Dziewczyna rzuciła się jej w ramiona. – Naprawdę nie zawiodę pani!

Anita się zaśmiała.

– Oj dobrze, dobrze. Przyjdź w piątek koło dziewiętnastej do Domu Steffensa. Tam powiem ci, co i jak.

– Czy mam się jakoś... specjalnie ubrać?

Anita puściła do niej oczko.

– Ciuchy nie będą ci potrzebne. Zresztą wszystko dostaniesz na miejscu. – Raz jeszcze rozejrzała się wokół. – Tylko proszę, nie chwal się koleżankom. To twoja szansa. Zapracowałeś na nią. Nie daj się okraść z sukcesu.

– Oczywiście. Niczego nie powiem.

– To leć już. Mam mnóstwo pracy.

Malwina raz jeszcze przytuliła się do Anity, po czym odeszła w swoją stronę.

– Czy ja też mogę przyjść? – spytał Alex.

Anita spojrzała za siebie. Stał praktycznie tuż obok niej, zakradł się niepostrzeżenie, nie zdradził gestem, ruchem, oddechem. Niewidzialny dla świata.

– Boże, człowieku! Nie rób tak więcej! – pisnęła.

Muzyk zdjął kaptur.

– Co to za lewe biznesy?

Nie wiedziała, jakim cudem podsłuchał ich rozmowę. Nie wiedziała, jak dużo usłyszał.

– Nic ciekawego. Nie interesuj się.

– Rozbierana bibka w Domu Steffensa. Czy ja też mogę wpaść? Zapowiada się niezła zabawa.

Anita odciągnęła go kawałek dalej.

– Weź odpusć.

– Nie znoszę odpuszczając.

Spojrzała na niego. I pierwszy raz od długiego czasu poczuła się winna. Wzrok Alexa przeszywał ją na wylot. Czowała się jak złodziejka przyłapana na sklepowej kradzieży drogiej biżuterii. Wiedziała, że tak naprawdę jej czyny nie są tak neutralne pod względem etycznym, jak chciała sądzić. Że jednak ma sporo na sumieniu.

– Słuchaj. To nie miejsce ani czas, żeby o tym rozmawiać.

– Podaj miejsce i czas... – powiedział, uśmiechając się z lekka.

A więc to znów była gra. Jego pokręcony, szaleńczy plan.

– Alex, ja naprawdę nie mam ochoty wracać do tego, co było. Mówiłam ci: jestem teraz inną osobą. Mam dziecko, muszę sama o nas zawalczyć. Utrzymać rodzinę.

Muzyk oparł się plecami o jeden z filarów.

– Dom Steffensa. Słyszałem o nim różne historie. Jednak nie jesteś do końca taka grzeczna.

– To moja praca – szepnęła.

– Wiadomo. Ale to, że po tych wszystkich latach wybrałaś akurat robotę w Domu Steffensa... Od przeszłości nie da się uciec, co?

– Nigdy nie da się uciec.

LILA

Z każdym kolejnym spotkaniem Alex fascynował ją coraz bardziej. Przyciągał do siebie jak narkotyk, zabierał w nieznany, tajemniczy świat. I silnie uzależniał.

– Na pewno wszystko w porządku? – spytała przyjaciółka.

Ledwie tydzień temu Judyta rzuciła się pod pociąg. Gdyby nie pomoc przypadkowego mężczyzny na peronie, sprawa mogłaby się skończyć bardzo źle.

– Tak, bejbe – odparła nastolatka. – Nie musisz się martwić.

– A nie chcesz trochę przystopować?

– Z czym przystopować?

Szły stromą drogą na szczyt jednego ze wzgórz Wrzeszcza.

– No z Alexem, z tym wszystkim...

– Słuchaj, pomieszałam wtedy dziwne rzeczy. To mi zaszkodziło. Złapałam jakąś odjechaną fazę. Ale serio. Wszystko w porządku. Nigdy bym sobie nic nie zrobiła.

Lila naprawdę martwiła się o przyjaciółkę. Tak bardzo kochała życie. Nie wiedziała, że niecały rok później sama zdecyduje się je sobie odebrać. I nikt jej nie powstrzyma.

– Okej. Wiem, że Alex potrafi zakrećić w głowie...

– Bejb! Ja serio nic do niego nie mam! – Judyta wybuchła mocnym śmiechem. – Mega go lubię. I tyle.

W końcu dotarły do celu. Galgenberg – Szubieniczna Góra. Ostatnią egzekucję przeprowadzono tu prawie dwieście lat temu. Śmierć przez ścięcie. Tego roku jeszcze wiele osób miało stracić życie.

– A starzy jak?

– Dostali ataku paniki. Zawiadomili policję, zawieźli na psiarnię do takiej jednej policjantki.

– O *fuck!* – Lila objęła przyjaciółkę. – I co ona chciała?

– Wiedzieć, czy ktoś mnie nakłonił, żebym skoczyła. Pytała o Alexa.

– A skąd o nim wiedziała?

Judyta wruszyła ramionami.

– Pewnie od ojca. On ma jakąś manię na jego punkcie.

– Dobrze, że odcięłaś pępowinę. Serio, zawsze lubiłam Antka... ale na starość chyba coś mu się przekreśliło w głowie.

Stały pod metalowymi drzwiami prowadzącymi do podziemnego pomieszczenia skrywającego stary zbiornik wodny. Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych stanowił część systemu gdańskich wodociągów.

– Trochę *creepy* – szepnęła Lila, zaglądając przez lekko uchylone drzwi.

– I właśnie o to chodzi – odpowiedziała Judka, po czym weszła do środka.

W okrągłym pomieszczeniu ktoś ustawił świece. Pod jedną ze ścian siedziała czwórka muzyków z UTERO otoczona przez kilka młodych dziewczyn.

– A to co za jedne? – spytała Lila.

Judyta nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Ale bardzo jej się nie podobało, że ktoś próbuje zająć ich miejsce w grupie.

– Spóźniłyście się – rzekł cicho Alex, po czym podał nowo przybyłym misę z dziwną substancją.

Nastolatki usiadły na ziemi.

– Co mamy z tym zrobić?

– Spożyć. Tak jak spożywa się pokarm. Tak jak karmi się duszę – wyjaśnił wokalista.

JUDYTA

Obserwowała Alexa całującego dwie piękne dziewczyny. Nie wiedziała, kim są, zresztą po narkotyku brakowało jej siły, by spytać. Eryk brzdąkał coś cicho na gitarze, Michał uderzał w kościany bęben. Plemiennie pieśni. Pogańskie modlitwy wznoszone ku czci pierwotnych bogów. To była ich świątynia. Betonowa jaskinia wybudowana w samym sercu Galgenbergu. Góry śmierci. Wzgórza, na którym przez wieki odbierano życie.

Lila kołysała się spokojnie w rytm monotonnej muzyki. W pewnym momencie Ksawery usiadł obok niej, próbował ją pocałować. Wtedy jednak dostrzegł karzący wzrok Alexa.

„Zostaw ją”.

Nieme polecenie charyzmatycznego kapłana. Lila musiała pozostać czysta. Alex przeznaczył dziewczynie inną rolę. Tak funkcjonowała owa rodzina. Niełatwo było się do niej dostać. Jeszcze trudniej było od niej uciec.

Eryk odłożył gitarę, pozwolił, by akustyczne pudło instrumentu rezonowało jeszcze przez jakiś czas. Teraz jedyną melodię stanowiły rytmiczne uderzenia w afrykański bęben.

Judyta widziała, jak Alex, obcałowywany po całym ciele przez półnagie dziewczyny, spogląda na

Eryka. Chwilę później lider przeniósł swój wzrok na nią. Eryk i Judyta.

Alex postanowił ich połączyć. Spojrzał na ich dłonie, a chwilę później dłonie te zwarł mocny uścisk. Spojrzał na ich usta, a chwilę później usta te złączył gorący pocałunek. To Alex o wszystkim decydował. Od początku lata, od chwili, kiedy się urodził, od momentu, kiedy zaczął się czas, narodził wszechświat, światłość oddzieliła od mroku.

I nikt nie wiedział, jakie myśli błąkały się po jego umyśle. A gdzieś tam za horyzontem czaiła się zbrodnia.

PATRYK

– Rozumiesz, co mamy zrobić, Kardaś? – spytał Patryk Liedke.

– Trochę go postraszyć...

Patryk wyciągnął z torby pistolety. Podał jeden z nich Kubie, drugi schował za pazuchę.

– Myślę, że jest porządnie obsrany. Ale tu już nie chodzi o strach. Grzesiek odszedł od rodziny. I musi za to zapłacić.

Prowizoryczny domek na gdańskiej Olszynie. Samowola budowlana, która w papierach wciąż figurowała jako altanka ogrodowa.

– Przygotuj się – polecił Patryk.

Był barczystym, ogolonym na łyso chłopakiem. Pod okiem trzy smutne łezki, znak, że odsiedział swoje. Człowiek od brudnej roboty. Nigdy nie wychylał się na pierwszy plan, posłusznie wykonywał wszystkie polecenia.

– Mogliśmy to sami załatwić – odparł Kardaś. Bardzo chciał awansować w grupowej hierarchii, zdobyć uznanie szefa.

– Spokojnie, młody. Jeszcze się nauczysz.

Wysiedli z auta i ściskając w dłoniach pistolety, ostrożnie podeszli do wejścia.

– Z bara? – spytał Kardaś.

– Dajesz...

Kuba wziął lekki rozpęd i z całą mocą uderzył barkiem w drzwi.

– Oj dzieciak, dzieciak – rzekł z politowaniem Liedke, po czym jednym solidnym kopniakiem wyważył zamek.

Wparowali do przedsiionka, sekundę później byli już w salonie. Na kanapie siedziała niczego niespodziewająca się kobieta. Odruchowo podniosła rękę.

– Na ziemię, kurwo!

– Na ziemię! Nie słyszałaś, pizdo?! – powtórzył młody Kardaś.

Kobieta zaczęła krzyczeć.

– Stul pysk! – warknął Patryk, po czym, nie wypuszczając z rąk pistoletu, zdzielił ją kolanem w podbródek. – Sprawdź kuchnię, a ty obczaj górę – rzucił do kolegi.

Kuba posłusznie ruszył w kierunku schodów.

– Czysto! – zawołał po chwili.

– Sprawdźłeś szafy?!

Sekunda zawahania. Młody Kardaś dopiero się uczył.

– Też czysto! – zaraportował.

Patryk opuścił broń, po czym usiadł przy kawowym stoliku.

– Jesteś jego dupą? – spytał szlochającą dziewczynę.

– Kogo? – wychlipała.

Pytaniem na pytanie? Gangsterowi nie spodobała się ta odpowiedź.

– MISIA, KURWA, GOGO! – wrzasnął, uderzając ją z całej siły ręką w twarz. – Chcesz zgrywać debilkę? Czy naprawdę jesteś taką tępą pizdą?!

Dziewczyna klęczała na ziemi i szlochała. W tym czasie Kardaś zaczął obszukiwać szuflady.

– Mam tu jej portfel – mruknął, wyciągając przed siebie różową torebkę z dokumentami. – Sandra Formela. Rocznik dziewięć jeden.

– Pewnie jesteś małą kurewką, co? – spytał Liedke. – Grzesiek lubi takie.

Sandra w dalszym ciągu tylko płakała.

– Powiesz, gdzie jest, a damy ci spokój – pocieszył ją Kardaś, który od zawsze miał słabość do kobiet.

– NIE SŁYSZAŁAŚ, KURWO?! – ryknął drugi. – Gdzie jest, kurwa, Grzesiek?!

– Nie wiem, my nie mieszkamy razem... On mnie zostawił! – ryczała dziewczyna.

Liedke bawił się pistoletem.

– Wiesz, że kłamstwo ma krótkie nogi? – spytał.

– Serio, kręciliśmy ze sobą, ale mnie zostawił, wyprowadził się...

Gangster wstał od stołu. Mieszkanie nie było wielkie, pokój z kuchnią na dole, dwie niewielkie sypialnie u góry.

– I jak się dobrze rozejrzę, to nie znajdę jego rzeczy? – rzucił podchwytiliwie.

– Nie wiem, ja nic nie wiem, on się wyprowadził – powtarzała dziewczyna.

Mężczyzna wszedł do łazienki.

– No to bardzo mi, kurwa, przykro! – krzyknął. – Skoro się wyprowadził, to na chuj ci dwie szczoteczki do zębów?!

Sandra zaczęła mocniej płakać.

– Lepiej odpowiedz – polecił młody Kardaś.

– Nie wiem, ja nie wiem, ja...

Patryk znów zdzielił ją ręką po twarzy.

– Coś czuję, że jesteś pierdolonym Pinokiem! Małą, zakłamaną kurewką!

– Naprawdę! Jego nie ma, zostawcie mnie, ja nic nie zrobiłam – powtarzała w kółko.

Kuba uklęknął koło dziewczyny. Niepoprawny romantyk.

– Lepiej powiedz mu wszystko. Powiedz, gdzie jest Grzesiek, a zostawi cię w spokoju...

Sandra szlochała, wciąż odmawiając swą mantrę.

– Ja nie wiem, ja nic nie wiem, on mnie zostawił, ja...

– Jesteś małą, kłamliwą kurwą – rzekł spokojnie Patryk. – Ale to bardzo dobrze się składa. Bo nasz szef uwielbia kurwy. I robi z ciebie odpowiedni użytek.

ALEX

Dom Steffensa mieścił się w starej zabytkowej willi, położonej nieopodal Opery Bałtyckiej. Okna zasłonięto drewnianymi roletami, stary płot z siatki zastąpiono wysokim ogrodzeniem i długim rzędem tuj.

– Siemasz... Marek – powiedziała z lekkim wahaniem Anita, witając się z nowo zatrudnionym ochroniarzem. Zapamiętywanie imion sprawiało jej sporą trudność.

– Dzień dobry – odparł chłopak, bacząc, by z nikim nie przechodzić na „ty”. Tak go pouczono. „To luksusowy lokal, a nie tani burdel dla dresiarzy z Zaspy”.

– Kto dzisiaj stoi przy drzwiach?

– Knur. Znaczą Szczepan Falbus – poprawił się.

Anita chwyciła Alexa pod rękę.

– Bardzo dobrze. Za chwilę powinna tu przyjść taka młoda dziewczyna. Malwina. Może będzie u nas pracować. Zaprowadzisz ją na zaplecze.

– Oczywiście, proszę pani.

Minęli furtkę. Do wejścia prowadził długi chodnik zakończony niewielkim dziedzińcem. Półkoliste schody i solidne dwuskrzydłowe drzwi.

– To zamiast dzwonka? – spytał Alex, wskazując na mosiężną kołatkę w kształcie głowy węża.

– Podoba ci się?

Trzy mocne uderzenia. Jeden dla gości, dwa dla stałych klientów, trzy dla mistrzów ceremonii. Tych, którzy dbali o ruch w interesie. Przedstawienie musi trwać.

Zaskrzypiał zamek, ktoś wewnątrz nacisnął klamkę.

– Dzień dobry – powiedział ochroniarz.

– Hej, Szczepan – odparła Anita. – To mój przyjaciel. Daj mu coś na oczy. Na wypadek, gdyby postanowił zostać trochę dłużej.

Zegary wskazywały osiemnastą czterdzieści pięć. Klub otwierano dopiero po zmroku.

– Jasne.

Ochroniarz podał gościowi złotą wenecką maskę.

– Bawimy się w teatr? – zagadnął Alex, przejmując podarunek.

– Jeszcze nie. Ale ogólnie... sporo się tu bawimy. Będziesz zadowolony.

W pomieszczeniu panował półmrok. Reguły Domu Steffensa wymagały, by najpierw skorzystać z szatni i przywdziać maskę. Dopiero później wolno było opuścić hol.

- Gotowy – zameldował muzyk, wciągając maskę.
- Jeszcze nie musisz tego zakładać. Dopiero kiedy zacznie się impreza.
- Chcę dobrze wejść w rolę – odparł. Urodzony aktor.

Wkroczyli do środka. Główny trzon klubu tworzyło dziewięć, połączonych arkadowymi drzwiami, przestronnych sal. Dziewięć pokoi, dziewięć kocich żyć, dziewięć kręgów piekieł. Każdy symbol miał tutaj ogromne znaczenie.

- Grubo – ocenił Alex. – Nie pierdolicie się w tańcu.
- Mówiłam, że ci się tu spodoba.

Nad każdą futryną umieszczono figury nagich ludzkich postaci o drapieżnych, tygrysiach twarzach. Ściany zdobił marmur i barokowe obrazy przedstawiające najbardziej wymyślne pozycje seksualne.

- Mam nadzieję, że zrobimy razem coś takiego – powiedział muzyk, wskazując na jedno z malowideł.
- Nie liczyłabym na to.

W pierwszym pokoju urządzono bar. Kelner polerował szkło, mrugnął Anicie na powitanie.

- Szefowa cię szukała – powiedział, wskazując w stronę schodów.
- Jaki ma humor?
- Sinusoidalny.

– Czyli wszystko w normie – osądziła Anita.

Skierowali się w stronę bogato rzeźbionych schodów. Później weszli do gabinetu.

- No jesteś w końcu – rzuciła Bosacka. – Nie wystawiłaś faktury za pokaz w Galerii.
- Przecież ciągle czekamy na zdjęcia od fotografki...

– Wystawiaj, naliczaj, podliczaj. Pieniądze trzeba szanować – przypomniała rudowłosa kobieta. Chwilę później zainteresowała się gościem. – A to kto? Jakaś nowa zdobycz?

Usiedli przy stole.

– To mój przyjaciel. Pamiątka z dawnych lat.

Bosacka widziała jego długie włosy, które wystawały spod nałożonej na oczy i nos złotej maski. Rzuciła okiem na rozpięty guzik koszuli, wąskie nogawki spodni, lekko znoszone kowbojki. Wciągnęła powietrze, by nasycić nozdrza zapachem orientalnych, lekko słodkich męskich perfum.

- No to go pokaż. Przecież wiesz, że lubimy się tutaj rozbierać!
- Mógłbyś? – Anita szturchnęła dawnego partnera.

Alex posłusznie ściągnął maskę.

– Ja go kojarzę! – wykrzyknęła Marta Bosacka. – To ten przystojniak z pokazu na plaży! Pamiętasz mnie?

Urodzona drapieżnica. Gotowa wyruszyć na żer, wytypować ofiarę, zatopić w niej swe wampirze kły. Tylko że Alex wcale nie należał do zwierzyny łownej. Wręcz przeciwnie. On także wybrał się na polowanie. W odróżnieniu od Bosackiej wolał jednak stapać ostrożnie. Bo zbrodnia kocha ciszę.

- Jak mógłbym zapomnieć.
- Szukasz pracy? Czy zabawy?
- Alex jest znanym muzykiem – wyjaśniła prędko Anita. – Raczej nie potrzebuje dodatkowych fuszek. Na twarzy Bosackiej zagościł lubieżny uśmiech.
- Zatem szukasz zabawy. Wspaniale. Bądź dziś moim gościem.
- Z wielką chęcią.

Przynęta zarzucona. Ryba chwyciła haczyk, aż prosiła się o to, by w końcu wypłynąć na powierzchnię. Ale jeszcze było za wcześnie.

– Przedstawię ci moje dziewczyny. – Zalotnie okręciła wokół palca końcówkę włosów. – Oczywiście żadna nie jest równie doświadczona jak ja. Ani równie seksowna. Ale i tak smakują wybornie.

– Takie są reguły uczyty. Najpierw przystawka, później zupa i drugie danie. Dopiero na końcu serwuje się deser.

Bosacka poczuła nagły przypływ podniecenia.

- Anita, chrzanić te wszystkie dziewczyny, które mi tu przyprowadzasz. Ten facet to jest dopiero skarb!
- Możesz go sobie wziąć. Jest wolny – rzuciła beztrąsko Anita.

Kiedyś byli parą. Ale nie zamierzała wchodzić dwa razy do tej samej rzeki. Było, minęło.

– W takim razie czuj się moim gościem – powtórzyła Bosacka.

Chwilę później do gabinetu zapukał Knur.

– No co tam, Szczepanku? – spytała szefowa.

– Przyszła jakaś dziewczyna do Anity – wyjaśnił ochroniarz.

– Masz dla mnie jakąś nową zabawkę? – spytała Marta.

Anita udała, że wręcza Bosackiej prezent.

– *Strzeżcie się Greków, nawet gdy przynoszą dary* – rzucił Alex.

– Mój drogi, twoja przyjaciółka ofiarowuje mi jedynie sprawdzone podarunki. Żadnych pułapek. – Zwróciła się do Knura: – Zaprowadzisz ją do Dominiki, dobrze? Niech ją wtajemniczy w arkana naszej sztuki magicznej.

– Tak jest, szefowo – odparł ochroniarz.

– A ty, przyjacielu... – Spojrzała Alexowi głęboko w oczy. – Musisz wysłuchać opowieści o moim ogrodzie przyjemności. Wspomniałeś o Grekach... „Stąd daleko na morzach jest ostrów niewielki, zwan Ogygią, siedziba srogiej zwodzicielki, Kalypso pięknowiącej, a córki Atlasa”¹.

Dom Steffensa niczym mityczna wyspa Ogygia, kraina uciech i grzechu, która przez siedem lat nie pozwoliła żeglarzom Odysa wrócić do domu.

Mężczyzna odwzajemnił spojrzenie. Bosacka chciała postrzegać się jako boginię, lecz to Alex zstąpił tu ze wzgórz Olimpu.

– „Kalypso pięknowiącej, a córki Atlasa” – powtórzył muzyk. – „Każdy bóg jej unika, człek tam nie popasa”.

1 Homer, *Odyseja*, tłum. Lucjan Siemieński, Wolne Lektury, s. 70.

KONRAD KROON

Za pierwszym razem nie przyszedł. Gość nie miał ochoty na spotkanie; odebrał korespondencję, ale zignorował zaproszenie. Jeszcze na wrzeszczańskim podwórku nauczyli go, by z psami nie gadać. Wrzucił wezwanie do kosza, zaklął pod nosem.

Ale Konrad nie zamierzał się prosić o łaskę. Wydał postanowienie o zatrzymaniu i przymusowym doprowadzeniu świadka, zagadnął naczelnika prewencji, by funkcjonariusze z nałożonego zadania wywiązali się nad wyraz gorliwie.

Zapukali do drzwi Szczepana Falbusa, zwanego Knurem, równo o szóstej rano. Dzieciaki jeszcze spały; trzeba przyznać, że cała rodzina wpadła w panikę. Tata pracował w firmie energetycznej, był kierownikiem średniego szczebla, self-made manem, który czternaście lat temu postanowił odmienić swoje życie. Zerwał z przeszłością, poszedł na studia, zatrudnił się w korpo. Ale od dawnych grzechów nie jest tak łatwo uciec.

Wrzucili go do radiowozu – Falbus do dziś nazywał takie auta pieszczotliwym mianem „suki” – przewieźli na Piekarniczą, tam bite sześć godzin czekał na prokuratora. Musiał się trochę pomartwić. Bo przecież niektóre zaproszenia lepiej przyjmować od razu.

W końcu nadeszła jego pora. Już bez kajdanek wszedł do gabinetu, usiadł na krześle. Wiedział, że się nie wywinie.

Prawdę powiedziawszy, sądził, że chodzi o jakieś przekręty w robocie. Zdarzało im się czasem fałszować dokumentację – przecież na koniec kwartału trzeba zrobić wyniki, deadline gonił deadline, ASAP ASAP-em poganiał, a tu kredyt, szansa na premię roczną... Kilka lewych kwitów, nikt się nie skuma, w tabelach będzie się zgadzać.

Kiedy w końcu mu wyjaśniono, że chodzi o Nikodema Ruckiego, odetchnął z ulgą.

– Pracowaliście razem w Domu Steffensa.

– No pracowaliśmy. Przez chwilę – przyznał niechętnie świadek.

Kroon okazał mu zdjęcia pokrzywdzonych.

– Pamiętasz te dziewczyny?

Chłopak spojrzał na fotografie.

– Nic mi nie mówią. Laski jakich wiele.

– Poznałeś je czternaście lat temu.

Wzruszył ramionami.

– Być może. Poznawałem wtedy wielu ludzi.

– Wiele lasek – poprawił go Kroon.

– Lasek też.

„Co za oporny typ” – pomyślał Konrad. „Ale w końcu nikt nie obiecywał, że będzie łatwo”.

– Proszę mi powiedzieć, jaki miały związek z Ruckim.

– A bo ja wiem. Sprzątały u niego na chacie? – bąknął nonszalancko.

Nie dało rady po dobroci. Jak nie kijem go, to pałką.

– Panie Falbus. Byliście z Ruckim serdecznymi kumplami. Pokazałem panu zdjęcie dwóch dziewczyn, które przez krótko pracowały w Domu Steffensa. Jedna z nich ma na imię Edyta, druga Jagoda.

– Być może.

Konrad wyciągnął protokół przesłuchania drugiego z ochroniarzy.

– Dostałem pana numer od Marka Lipskiego. Dzwonił do pana z mojego pokoju, prosił o adres.

Świadek zmrużył oczy. Faktycznie głupio się tłumaczył.

– I ja na ten adres wysłałem panu wezwanie – kontynuował Kroon. – Wątpię, by Lipski nie zadzwonił drugi raz i nie uprzedził, czego będzie dotyczyć rozmowa.

Brzmiało logicznie.

– Do czego prokurator zmierza?

– A no do tego, co Lipski zeznał. Że obaj znaliście Nikodema Ruckiego. I obaj wiedzieliście o jego wybrykach.

Mężczyzna zaczął nerwowo zaciskać dłoń.

– Za składanie fałszywych zeznań grozi osiem lat. A to, co pan tu teraz odważa, idealnie się pod ten

przepis kwalifikuje. Osiem lat.

Mógł dalej iść w zaparte. Tylko po co? Rucki siedział w areszcie i z tego, co mówił Lipski, nieprędko go opuści. A reszta? Na razie chodziło tylko o Ruckiego. Płotkę. Pionka. Szeregowego żołnierza.

– Faktycznie coś sobie przypominam.

– To lepiej pan sobie przypomni dokładnie. Tak żebym to wszystko mógł ładnie przelać na protokół.

„No dobra. Miejmy to już za sobą” – pomyślał Falbus.

– Rucki pracował jako jeden z ochroniarzy w Domu Steffensa. To był taki klub dla bogatych facetów. Striptiz, drogie alkohole...

– prostytutki – dokończył Kroon.

Świadek się tylko uśmiechnął. Nie zamierzał mówić nic ponad to, co było konieczne, by jeszcze dziś wrócić do domu. Bez kajdanek.

– O tym nic nie wiem. Stałem przy drzwiach, sprawdzałem, czy nikt nie wnosi niczego niedozwolonego.

– A Rucki?

– On pilnował w środku. No i patrzył na te wszystkie ładne dziewczyny, ślinka mu ciekła...

– Ale nie dla psa kielbasa. – Kroon próbował go jakoś podejść. Zmusić, by powiedział więcej, niż planował.

– No nie. – Falbus zarechotał. Mimo czternastu dodatkowych lat na karku wciąż chichrał się jak typowy osiedlowy osiłek z Wrzeszcza. Szczepan Falbus, pieszczotliwie nazywany Knurem.

– Przerwałem panu...

– Rucki bardzo chciał być jak ci dziani goście. Też miał ochotę trochę poru... poużywać. Ale ani nie miał kasy ani gadki. Nie pamiętam, która była pierwsza. Ale obie załatwił w ten sam sposób. Nagadał, że odwiezie je do domu, a potem siłą przeleciał. Najpierw sprawa trafiła na psiarnię, oni to chyba umorzili...

– Nie umorzili – przypomniał Kroon.

„Prokurator Hejmo przejął sprawę od Kieltrowskiego, zanim ten zdążył wydać jakąkolwiek decyzję” – pomyślał.

– No to nie umorzili, ale nic mu nie zrobili. To chłopaka rozochociło. No i wtedy wydymał tę drugą.

Konrad raz jeszcze okazał świadkowi wizerunki dziewczyn.

– Czy teraz pan je rozpoznaje?

– Teraz tak – przyznał mężczyzna.

– To są ofiary Nikodema Ruckiego?

– Tak.

Miał to na piśmie. Dwóch niezależnych świadków potwierdzających wersje pokrzywdzonych. Łącznie cztery osoby, które zeznawały na niekorzyść Ruckiego. Mocny materiał dowodowy. Kroon skończył to, czego Hejmo nie zdążył. Dorwał Nikodema, ogłosił mu zarzuty, zamknął w areszcie, doprowadził postępowanie do końca. Mógł spokojnie zabrać się za pisanie aktu oskarżenia.

Finis coronat opus. Koniec wieńczy dzieło. Tylko że Konrad wcale kończyć nie zamierzał.

– No dobrze. To teraz porozmawiajmy, proszę, o Domu Steffensa. Kto was tam zatrudnił?

„A po cholere mu takie info?” – pomyślał Szczepan.

– Czemu pan pyta?

– Bo taką mam pracę. Moją rzeczą jest pytać, pańską odpowiadać.

Knurowi gwałtownie pociły się dłonie. Myślał, że oto zaraz podpisze papiery, wróci do domu, o wszystkim zapomni. Ale widmo przeszłości wyciągało po niego swój szpon.

– No nie wiem. Był taki jeden.

– Nazywał się jakoś? Czy wołaliście go „ej ty?”

Falbus się zaśmiał. Trochę nerwowo, trochę zbyt sztucznie.

– W sumie...

– Osiem lat za fałszywe zeznania. Lipski mi wszystko powiedział, potrzebuję tylko potwierdzić pewne fakty.

Szczepan przypomniał sobie, co stało się z chłopakami, którzy nie umieli grać drużynowo. Z drugiej strony dawno nie miał z żadnym z nich kontaktu. Tamten świat powędrował swoją drogą, niektórym nie wybaczył, innym odpuścił.

Mężczyzna nie wiedział, że Kroon blefuje. Przecież Lipski mógł mu wszystkiego nie powtórzyć.

– Mogę panu jeszcze dorzucić piątkę za utrudnianie postępowanie karnego. Pięć plus osiem...

Oczywiście owe kary się nie sumowały. Każdy prawnik wie, że taki czyn zostałby zakwalifikowany zbiegowo, o żadnym dodawaniu nie mogło być mowy. Ale Szczepan Falbus nie był przecież prawnikiem.

– On już chyba kopnął w kalendarz – przyznał nie bez strachu mężczyzna. Nie wiedział, ile było prawdy w plotkach o śmierci szefa, wiedział jednak, że On nigdy nie odpuszczał.

– Trudno. Ustalimy to. To co?

Falbus w dalszym ciągu się wahał. Pamiętał, że drzwi do rodziny prowadziły wyłącznie w jedną stronę. Charyzmatyczny, lekko oszalały przywódca nie pozwalał nikomu opuścić grupy.

– Chyba zmienił potem nazwisko...

– To także mogę ustalić.

Kroon robił się coraz bardziej niecierpliwy.

– Był ode mnie trochę wyższy, miał takie niespokojne oczy...

– Nazwisko, panie Falbus! Imię i nazwisko! – krzyknął prokurator. Wiedział, że musi grać ostro.

– No dobrze. Powiem panu. Tylko proszę obiecać, że w razie czego dacie mi ochronę.

ANITA

– Nikodem podobno nawiał z kraju – powiedział Szczepan.

W gabinecie poza nim siedziały trzy kobiety: Anita, Dominika i pani Marta.

– Trochę przegiął – przyznała Anita. – Mam nadzieję, że nic na nas nie sypnął.

Bosacka stuknęła hybrydami o blat mahoniowego stołu.

– Chyba nie zdążył – mruknął Szczepan. – Na pierwszym przesłuchaniu palił głupa, przed drugim spierdolił za granicę.

– I dobrze. Niech spierdala i nie wraca – fuknęła Bosacka. – Narobił nam tylko gnoju, jeszcze tego trzeba, żeby policja zaczęła się interesować klubem.

– Jakby chcieli się interesować, to już dawno by to zrobili – stwierdził Falbus. – Zresztą za dużo psów tu przychodzi podupczyć, żeby mieli nam potem bruździć.

Anita spojrzała na Bosacką.

– Niektórzy mają skłonność do autodestrukcji.

– To fakt. Ale wiesz... nie po to robimy zdjęcia klientów, żeby mieć problem z władzą.

– Dalej robimy? – spytała Anita.

Szefowa wyciągnęła papierosa.

– Jak kiedyś postanowię zwinąć interes, to puszcę to wszystko z dymem, a dom przejadę buldożerem. Ale na razie trzeba się zabezpieczać.

– Tylko nasze dziewczyny ruchają bez gumy – zarżał Szczepan.

Na twarzy Anity pojawił się delikatny uśmiech.

– Klienci tak wołają. Dlatego je regularnie badamy. Żeby żaden ważny gość nie złapał syfa.

– Boże, mam nadzieję, że Rucki ruchał w gumie – westchnęła Bosacka. – Bo jak wezmą od pokrzywdzonych wymazy...

Ochroniarz znów zarechotał. Od dziecka miał śmiech jak świnia kaszel. To dlatego we Wrzeszczu przezywali go knurem.

– Nikodem na bank jechał bez gumy. Ale on nic nie sypnie. Nie odważyłby się otworzyć gęby. Fabian by go naprostował.

– No pewnie tak – przyznała Bosacka. – W każdym razie lepiej, żeby nie wracał. Niech wejdzie do jakiejś mysiej nory i nie wychyla dupy. Dla swojego i naszego dobra. A jak tam ta nowa dziewczyna?

– Chodzi ci o ten nabytek od Anity? – spytała Dominika.

– Si.

– Bardzo fajna suczka. Klienci ją lubią. Trochę nieśmiała, trzeba ją pozachęcać...

Bosacka mimowolnie oblizała wargi.

– Te stary dziady o niczym innym nie marzą. Mogłaby być ich wnuczką.

Anita spojrzała na panią Martę.

– Chyba całkiem nieźle ją tipują?

– No dorobiła sobie – przyznała Dominika.

– I o to chodzi – skonkludowała szefowa. – One zarobią, my zarobimy, tamci pociupciają. Wszyscy będą zadowoleni. Pieniądz rządzi światem. Bo nie ma takiej rzeczy, przed którą pieniądze nie pozwolą ci uciec.

KONRAD KROON

Trener Słomski miał wszelkie powody, by niepokoić się o córkę. Najpierw dziewczyna wyprowadziła się z domu, odcięła od rodziców, w końcu podjęła pierwszą nieudaną próbę samobójczą. Kroon wszczął śledztwo. Poleciał Flarze przesłuchać znajomych nastolatki oraz ją samą, wystawił wezwania dla byłych nauczycieli i wychowawców ze szkoły. Chwilę później Judyta Słomska raz jeszcze postanowiła odebrać sobie życie.

Kroon zajeżdżał pod gdański szpital psychiatryczny. Przypiął rower do płotu, wyciągnął z sakwy plecak i ruszył w stronę bramy.

„Konrad, musisz dopaść tego drania. Niech w końcu zapłaci za swoje grzechy” – błagał trener.

To właśnie planował zrobić. Dopaść drania. Dorwać tego, który zawrócił Judycie w głowie i zaszczerpnął w jej sercu myśl o samo-bójstwie. Kroon dobrze znał tożsamość sprawcy.

Alex. Charyzmatyczny wokalista skryty za grubym woalem artystycznej kreacji. Czy sztuka może być niebezpieczna? Czy może zniewalać umysły, zatruwać dusze, odbierać życie?

Póki co wszelkie dowody przeczyły tej wersji. Przesłuchani świadkowie wykluczyli, by Judytę i Alexa łączyło jakiegokolwiek uczucie. Dziewczyna zdawała się niezrównoważona emocjonalnie, jej decyzje nie miały racjonalnego uzasadnienia. Alex niczego jej nie nakazał, nie sugerował, do niczego nie namawiał.

A jednak Konrad czuł, że gdzieś tam, pod tą całą otoczką, kryje się drugie dno. Czy Alex był tylko muzykiem? Czy pisanie chwytliwych piosenek stanowiło wyłączny cel jego egzystencji? W końcu tworzona przez niego muzyka poruszała tłumy; Alex dowodził publiką niczym natchniony kapłan, recytował pokrętnie słowa swoich wierszy, hipnotyzował mantrą uwodzicielskich melodii.

Kroon spojrzał mu w oczy. I dojrzał czające się za nimi zło.

– Doktor już na pana czeka – powiedział pielęgniarz, spoglądając na kartonową legitymację.

Konrad wszedł do gabinetu.

– O, dzień dobry. Widzę, że dzisiaj po cywilnemu? – Maciejewski zerknął na strój swego gościa. Trampki, jeansowe szorty i szary T-shirt. – Dość nietypowa kreacja jak na prokuratora na służbie.

– Piekielny dziś skwar. A przyjechałem rowerem.

– Moja szkoła! – odparł lekarz. – Namawiają mnie, żebym się przeniósł do Starogardu. Ale przecież tam to już tylko samochód...

– Trochę daleko na codzienne dojazdy.

– Otóż to, otóż to. Może na stare lata kupię sobie psa, wybuduję dom i zamieszkać pod Kocborowem. Ale na razie... Nie no. Co ja w ogóle gadam! Nigdy nie wyprowadzę się z Trójmiasta.

Nigdy nie mów nigdy.

– Jak nasza pacjentka?

Maciejewski wyciągnął jej dokumentację.

– Ustawiliśmy ją. To był jakiś epizod, aktualnie jest w całkiem dobrej formie.

– Naprawdę chciała coś sobie zrobić?

Lekarz wzruszył ramionami.

– Wątpię. Płytkie skaleczenia, dużo hałasu o nic. Raczej pragnęła zmanifestować swoją obecność. Odnaleźć się w grupie. Na pewno potrzebuje terapii. I miłości.

– Wszyscy potrzebujemy miłości – dodał Konrad.

– Otóż to. Otóż to – rzekł poważnie Maciejewski. – Zaprowadzę pana do jej pokoju.

Wyszli na korytarz.

– To te drzwi – powiedział doktor.

– Dzięki.

Konrad delikatnie zapukał we framugę.

Judyta Słomska siedziała na łóżku i wpatrywała się w las za oknem. Drzewa wyrastały ze starego cmentarnego wzgórza. To tu znajdował się grobowiec Walewskich, rodziny Konrada ze strony matki. I to tutaj, pod samotną ziemną mogiłą, spoczywał jego ojciec, Edmund.

– Cześć – rzucił na przywitanie.

– Hej – odparła lekko skonfundowana. Nie wiedziała, kim jest przystojny chłopak.

Kroon wskazał ręką na łóżko.

– Czy mogę?

– Pewnie.

Przysiadł koło niej.

– Jak się czujesz?

Wzruszyła ramionami.

– Chyba okej. Chciałabym już stąd wyjść. A ty? Co tu robisz?

A więc pomyślała, że jest jednym z pacjentów. W gruncie rzeczy mógł przecież być w jej wieku. Choć dzieliło ich jedenaście lat, Konrad wydawał się niewiele starszy.

– Przyszedłem z tobą pogadać.

– Pracujesz tu? – spytała zdziwiona.

Kroon obdarzył ją nieśmiałym uśmiechem.

– Tak jakby.

Musiał ją jakoś podejść. Specjalnie nie wkładał garnitur, specjalnie przyjechał w trampkach i szortach. Nie chciał stawiać sztucznej granicy. Musiał dotrzeć do prawdy. I zamierzał zrobić wszystko, żeby dopiąć swego.

– Już z kimś o tym gadałaś?

Zaśmiała się.

– Wiesz, tu się nic innego nie robi. Tylko gada. I łyka piguły.

– No w sumie tak. Ale ja lubię gadać.

– Ja w sumie też – odparła z uśmiechem.

Pierwsze koty za płoty. Gdyby wparował tu, wymachując legitymacją i zasypując dziewczynę drukami pouczeń, niczego by się nie dowiedział.

– To pogadamy chwilę?

Judyta zawsze była niezwykle otwarta. Nie bała się poznawać nowych ludzi, świat ją ciekawił, spotkania inspirowały. Gdyby nie trafiła na Alexa, być może nigdy nie próbowałaby odebrać sobie życia.

– Chyba i tak nie mam w tej chwili niczego lepszego do roboty...

Siedzieli na szpitalnym łóżku i gawędzili. O muzyce, związkach, planach. Od razu przeszli na „ty”. Judyta nie wpadła nawet na to, by spytać Kroona o jego zawód; z góry założyła, że jest kimś w rodzaju terapeuty.

Konrad nie przeprowadzał w tej chwili formalnego przesłuchania. Potrzebował najpierw poznać Judytę, zyskać jej zaufanie, zrozumieć motywację. Tę metodę opracowali w Quantico, ośrodku szkoleniowym amerykańskiego Federalnego Biura Śledczego. W Polsce praktycznie nikt z niej nie korzystał. Ale Kroon lubił działać niestandardowo.

Kiedy w końcu, po dobrych dwóch godzinach, powiedział Słomskiej, czym naprawdę się zajmuje, dziewczyna była konkretnie zdziwiona. Ale nie zamknęła się w sobie. Po prostu rozmawiali dalej.

– Jesteś totalnym freakiem, wiesz? – spytała rozbawiona.

– Ktoś mi już to kiedyś powiedział.

– Tak łatwo szufladkujemy ludzi, co?

Dziewczyna miała naprawdę dobrze poukładane w głowie. Aż dziw, że dała się opętać Alexowi.

– Chyba tak jest prościej – stwierdził Konrad. – Katalogować, porównywać, oceniać.

– Może masz rację. Świat to zajebiście wielka przestrzeń. Siedem miliardów istnień, siedem miliardów stale zmieniających się kosmosów.

Trudno było nie przyznać jej racji.

– To twoje słowa? Czy Jego?

Znów się zaśmiała.

– A ty ciągle o jednym. Masz jakąś manię, wiesz?

– Taka jest rola idola – powiedział, nawiązując do jej koszulki.

Biały, lekko przyduży T-shirt z czarno-żółtym wizerunkiem ukrzyżowanego Chrystusa. Poniżej krótkie hasło: KILL YOUR IDOLS.

Judyta wyciągnęła palec w oskarżycielskim geście.

– Po prostu chcesz go dopaść. I rzucić tłumom na pożarcie.

Rozgryzła go. Kroon musiał dopaść Alexa. Zebrać dowody, ustalić prawdę, oskarżyć. Bo wiedział, że gdzieś tam, na końcu tej całej układanki, kryje się właśnie On.

– Dwa razy próbowałaś odebrać sobie życie – przypomniał Konrad.

Słomska wstała z łóżka. Podeszła do okna.

– Przegięłam. Za dużo narkotyków – rzuciła z rozbijającą szczerością. Zaufała Kroonowi. Wiedziała, że jej nie wkopie. – Ale Alex nie miał z tym nic wspólnego.

– Rozmawiałem z nim. Byłem na jego koncertach, słuchałem jego muzyki.

– I co?

– Koleś jest niebezpieczny. Zaniepokoiłem się.

Judyta obróciła się do niego plecami. Spojrzała w stronę cmentarza.

– To dobrze. Sztuka musi wywoływać emocje.

Wciąż go broniła. Judyta rozmawiała z Kroonem jak ze starym kumplem. Niczego nie ukrywała. Mogli gadać o dragach, seksie, muzyce. Ale w wypowiedziach dotyczących Alexa kryła się odrobina nieszczeroci.

Muzyk miał na dziewczynę wyjątkowo silny wpływ. Zaklęcie wciąż działało, urok nie odpuszczał.

– Ale nie takie emocje – stwierdził prokurator.

– Oj Konrad, Konrad. Mówię ci: odpuść. Za tymi drzwiami nic na ciebie nie czeka.

– Na mnie może nie czeka. Ale boję się, że na ciebie już tak.

Nastolatka znów przysiadła na szpitalnym łóżku.

– Obiecuję ci, że jeśli pocuję się zagrożona, to będziesz pierwszą osobą, która się o tym dowie.

– A jeśli nie zdążysz? Jeśli będzie za późno?

Bezradnie rozłożyła ręce.

– To ucieknę. Bo w życiu zawsze można uciec. Co nie?

ALEX

Musiał porozmawiać z Lilą. Pouczyć ją, naprostować, oczarować. Od początku widział w niej wielki potencjał. A tym przecież właśnie był: piastunem i opiekunem. Demiurgiem, który wykuwał nowych ludzi.

– Podobno rozmawiałaś z policją.

Lila wydawała się zaskoczona. „Skąd mógł o tym wiedzieć?” – pomyślała.

– Tak. Pytali o Judytę. I o ciebie.

Uśmiechnął się. Ciepło, serdecznie, zupełnie jak ojciec.

– I co im powiedziałas?

– Właściwie to nic.

Alex ją sondował. Chciał wiedzieć, czy jest z nim szczerą. Czy może na niej polegać.

– A jednak rozmawialiście.

– Byłam przesłuchiwana na Komisariacie we Wrzeszczu przez taką jedną policjantkę. Później wyszła na chwilę z pokoju, gdzieś zadzwoniła i pojechaliśmy do prokuratury.

Mężczyzna pokiwał z namysłem głową.

– Prokurator – powiedział, mocno akcentując każdą z głosek. Niemal przeliterował ten wyraz. Zupełnie jakby budził w nim -odrazę.

– Bardzo chciał się czegoś o tobie dowiedzieć. O tym, co nam mówisz, czy do czegoś namawiasz.

Cytował słowa twoich piosenek.

– Jak myślisz, czego ode mnie chce?

Lila wruszyła ramionami.

– Judyta dwa razy próbowała odebrać sobie życie. Jej starzy się zaniepokoiли.

– Uważasz, że to moja wina?

Pół roku temu być może by się zaniepokoiła. Początkowo Alex fascynował ją i przerażał zarazem. Ale nie dziś.

– Nie – wyszeptała.

Wpadła w jego sidła. Jak wiele innych: przedtem, później, równolegle. Nawet nie próbowała uciekać. Weszła do rodziny, pozwoliła zatruć sobie myśli jego dziwnymi słowami.

– To dobrze – odparł po chwili. Zdjął ze ściany gitarę, zaczął coś brzdąkać na górnej strunie. – Ja ci pomogę. Dam to, czego chcesz. Ale nigdy nie możesz mnie zdradzić.

FELIKS HEJMO

Miał cholerną ochotę zapalić. Całe życie mówili mu, żeby tyle nie kopcił, ale teraz... przecież już nie mógł sobie bardziej zaszkodzić.

– A to co, wiosenne porządki? – spytał Kroon, wchodząc do jego gabinetu.

– Dawno nie patrzyłeś w kalendarz, co? – rzucił Hejmo, nie odrywając się od segregowania dokumentów. – Czy dalej kończysz czerwiec?

Konrad odruchowo spojrział w stronę ściany. Na zdjęciu cumujących przy oksywskiej plaży kolorowych kutrów rybackich nadrukowano tabelkę z listą dni i nazwą AKTUALNEGO miesiąca: „Lipiec 2010”.

– Już przestawiłem datownik.

– No właśnie... – Mocno zakaszłał.

Kroon oparł się o szafę.

– Czyścisz się przed urlopem?

– Coś w ten deseń – odparł Feliks. – Do szpitala idę.

Konrad dobrze wiedział, co się święci.

- Nie martw się. Złego lichu nie bierze.
- To jest moja oficjalna linia obrony – stęknął Hejmo.
- Akademia?

W zeszłym roku gdańska Akademia Medyczna przyjęła oficjalne miano Uniwersytetu Medycznego. Ale mieszkańcy Trójmiasta i tak nazywali ją po staremu. Akademia to akademia.

- Jak dać się kroić, to chociaż z przytupem.
- Wylizesz się.
- A nawet jeśli nie... to co z tego? – spytał retorycznie.

– Nie boisz się piekła? – rzucił Kroon. – Żadnych grzechów na sumieniu, niezłałatwionych spraw, nieodpuszczonych win?

Hejmo westchnął ciężko. Znow zakłuło go w piersi.

– Piekło kryje się tu na ziemi. Po śmierci czeka nas tylko pustka. A co do niezłałatwionych spraw... – Położył na stole kolejnych kilka tomów akt. – Staram się skończyć, co mogę.

Kroon rzucił okiem na okładkę.

- To ten gwałt po Kielrowskim?

Stary prokurator przytaknął.

- Tak. Jeszcze mógłbym to ciągnąć... no ale jak widzisz, czas mi się kończy.
- Umarzasz? – spytał Konrad, święcie przekonany, że taką właśnie decyzję podjął jego kolega po fachu.

Feliks kaszlnął.

- Zawieszam. Postawiłem zarzuty, wydałem zarządzenie o poszukiwaniach...
- A ty tam czasem nie miałeś strasznie słabych dowodów?

Hejmo usiadł ciężko na fotelu. Ostatnio okropnie szybko się męczył.

- Trzeba rzeźbić z tego, co jest. Jakbym dostał trochę więcej czasu...
- Przecież mogłeś to komuś zostawić.

Oczywiście mógł tak zrobić. Przekazać pałeczkę, zdać się na osąd kogoś innego. Przyczepić do okładki karteczkę z sugestią dalszych czynności. Ale Feliks Hejmo nie zamierzał ryzykować.

– Jakbym zostawił śledztwo na biegu, każdy normalny prokurator by je w cholerę umorzył. A Ruckiemu należą się zarzuty. Bo on to zrobił.

- Skąd wiesz?

Mężczyzna tylko się zaśmiał.

- Są rzeczy, o których nie przeczytasz w orzecznictwie i komentarzach. Już ci to kiedyś mówiłem.
- Coś wspominałeś – przyznał Kroon.

– Rucki jest typowym łowcą. Predatorem. Szuka ofiar, poluje, karmi swój głód. Po jakimś czasie uczucie sytości go opuszcza. I wtedy znow atakuje.

- Teraz to gadasz jak Czubówna – zażartował Konrad.

Hejmę owa uwaga nieco wytrąciła z rytmu. Mimo wszystko postanowił kontynuować.

– Moje śledztwo to ledwie wierzchołek góry lodowej. W Domu Steffensa musiało się dziać coś więcej. Gdybym nie szedł do szpitala, pewnie bym to ciągnął.

- Takich jak ty już nie robią. – Kroon puścił do niego oczko.

– Nikodem Rucki zwał gdzieś za granicę. Postawiłem mu zarzuty i zawiesiłem sprawę, żeby nie robić nikomu kłopotu. Bez Ruckiego trudno ruszyć z tym dalej – przyznał Hejmo. – Ale jeśli kiedyś się znajdzie, mój następcą nie będzie mógł się wycofać.

– Czyli zostawisz komuś w spadku zgniłe jajo w postaci niedorobionej sprawy po zarzutach, której po prostu nie będzie się dało bezkarnie umorzyć. Nie chcesz brać na siebie odpowiedzialności. Sprytne.

Wyraźnie zmęczony spojrzął Kroonowi głęboko w oczy.

– Konrad, ja nigdy nie uciekałem od odpowiedzialności. Powiesz, że jestem pieprzonym komuchem, że uczyli mnie w Duraczu... ale czasem po prostu nie wolno odpuszczać. Na Ruckiego miałem słabe dowody. Gdyby nie ten pierdolony nowotwór, doprowadziłbym wszystko do końca. Wsadził Ruckiego, wyjaśnił, o co chodziło z tym cholernym Domem Steffensa. Bo może nie wierzę w życie po śmierci. Ale wierzę w to, że niektórym skurwysynom należy się sprawiedliwość jeszcze tu, na ziemi.

Kroon słuchał go z zainteresowaniem.

– Zarzuty awansem i zawieszenie, żeby Wiesiek się nie ciskał. A co powiesz swojemu spadkobiercy? Nieborakowi, który kiedyś odziedziczy ten cały syf?

– Żeby dokopał się do prawdy.

Konrad ruszył w stronę drzwi.

– Oj Feli, Feli. Jak trafisz do szpitala, to poproś, żeby sprawdzili, czy nie masz przerzutów na mózg. Bo gadasz jak potłuczony.

– Zobaczysz za kilka lat. Też tak będziesz pierdolić – stwierdził Hejmo.

– Może tak. W każdym razie mam nadzieję, że to nie ja będę musiał po tobie sprzątać.

JUDYTA

Lekarze zgodzili się wypisać ją ze szpitala tylko pod jednym warunkiem – że będzie miała opiekę. Że wróci do domu.

Dziewczyna nie zamierzała zmarnować tak świetnej okazji. W końcu tego nauczył ją Alex. *Theatrum Mundi*. Czasem trzeba udawać. Poruszamy się po scenie życia niczym po ogromnym teatrze. I tylko ten osiągnie upragniony cel, kto całkowicie zatraci się w roli.

Jeszcze tego samego dnia odwiedziła ją Lila.

– Hej, bejbe!

– Tęskniłam!

Rzuciły się sobie w ramiona.

– Pogodziłaś się w końcu ze starymi?

Judyta puściła do niej oczko.

– Po prostu świetnie udaję.

– Cały świat gra jakąś rolę¹ – przypomniła Lila, która tak bardzo kochała teatr. – Jak się czujesz?

– Ale w kategoriach normalnych ludzi czy w kategoriach świrów?

– Wiadomo, że świrów – odparła nastolatka.

Judyta wyciągnęła się na materacu.

– Czasem coś mi każe spierdalać. Ale ogólnie jest spoko. Widziałaś się z Alexem?

Musiała o niego spytać.

– Pewka.

Słomska przewróciła się na bok, przysuwając się bliżej przyjaciółki.

– Pytał o mnie?

– Nie – skłamała.

Od jakiegoś czasu męczyła ją trudna do wytłumaczenia zazdrość. Wiedziała, że Judyta czuje coś do Alexa. A Lila nie zamierzała się Nim dzielić.

– Zalewasz. Serio, nic o mnie nie mówił? Wiedział, co sobie zrobiłam?

– Nie chciałam go denerwować. I tak ma sporo problemów.

– Jakich problemów? – zaniepokoiła się Słomska.

Lila spojrzała w stronę okna. Za szybą pięła się smukła wieża oliwskiego minaretu.

– Prokurator się nim zainteresował. Uważa, że to Alex cię do tego namówił.

Judka wybuchła histerycznym śmiechem.

– Przecież to jakiś totalny *bullshit!*

– Wiem. Ale dwa razy prawie się zabiłaś. I sądzą, że to Jego wina.

To nie mogła być prawda. Czyżby dała się oszukać? Czy wyluzowany koleś, który odwiedził ją w szpitalu i przedstawił się jako prokurator, był w rzeczywistości zwykłą dwulicową szują?

– I co on na to?!

– Jeszcze nic. Oczywiście go kryłam.

Słomska gwałtownie zbladła.

– Chyba nie myślisz, że to przeze mnie?

Lila wzruszyła ramionami.

– Jeśli mam być szczerą, tak to z zewnątrz wygląda.

– I co mu powiedziałaś?

– Że jesteś trochę szajbnięta. I że Alex nie ma nic do tego.

Judyta w pośpiechu analizowała sekwencję ostatnich wydarzeń. Prokurator przyszedł do niej osobiście

do szpitala, próbował się zaprzyjaźnić. Zdała sobie sprawę, że mężczyzna po prostu chciał ją podejść. Zamierzał dorwać Alexa.

Słomska naturalnie nie powiedziała niczego, co mogłoby w jakikolwiek sposób zaszkodzić wokaliście. Tak się jej przynajmniej zdawało. Ale jeśli nieopatrnie zdradziła jakiś pozornie błahy szczegół...

– Muszę się z nim zobaczyć. Wy tłumaczyć wszystko.

Lila powstrzymała ją gestem.

– Szczerze mówiąc, to chyba nie najlepszy pomysł.

– Jak to?

Przyjaciółka odsunęła się od niej kawałek.

– Ewidentnie masz na jego punkcie fioła. I w obecnej sytuacji działasz jakby na jego niekorzyść.

To nie mogło działać się naprawdę.

– CO TY PIERDOLISZ?! – krzyknęła.

– Skoczyłaś pod pociąg, podcięłaś sobie żyły...

– Boże, Lila!!!

Byrna wstała z materaca.

– Policja przesłuchuje po kolei wszystkich z klasy, nawet jakichś starych ziomków z osiedla.

Rozumiem, że pragniesz być w centrum uwagi. Zawsze taka byłaś.

– Chyba nie mówisz serio...

– Mówię zająbieście serio. Przeszkadza ci, że się tobą nie interesuje. Nie w TEN sposób. I odwalasz jakieś chore dramy.

Judyta zaczęła płakać.

– Lilka, proszę cię...

– Czas, żeby ktoś ci to w końcu powiedział w twarz. I najwidoczniej muszę to być ja.

Lila zrozumiała, że potrzebuje Alexa. Tylko dla siebie, zupełnie na wyłączność. Nikt nie mógł stanąć im na drodze.

– Ale co powiedział?!

– Że mu szkodzisz! Że twoja chorobliwa zazdrość ciągnie go na dno!

Słomska zalała się łzami.

– Lila, błagam!

– Alex nie może być więźniem twoich pojebanych emocji. On ma własne życie. Ma zadanie do wykonania. I dla jego, a właściwie swojego również, dobra, powinnaś się od niego odciąć. Opuścić. Wrzucić na luz. Zapomnieć.

– Kurwa, ty chyba nie mówisz poważnie!

Nastolatka była śmiertelnie poważna. Tego nauczył ją Alex. Zdrowy egoizm. Bierz od życia to, czego potrzebujesz. Nie oglądaj się na innych. Przestań w końcu uciekać.

– Mówię zająbieście poważnie. Zostaw go w spokoju. Nie obciążaj swoimi problemami.

– LILA!!!

Nastolatka stanęła przy drzwiach. Znakomicie weszła w rolę łowczyni. Mentalność zwycięzcy.

– Zajmij się sobą. Nie marnuj innym życia. Do zobaczenia kiedyś. Albo i nigdy. *Goodbye, farewell!*

KONRAD KROON

Spodziewał się, że nie przyjdzie. Nie odebrał wezwania, policja wręczyła dokument koledze z zespołu. Tymczasem Alex stawiał się punktualnie.

Przesłuchanie w trybie artykułu 183 Kodeksu postępowania karnego. Świadek mógł uchylić się od odpowiedzi na pytanie, jeżeli udzielenie odpowiedzi mogłoby narazić go na odpowiedzialność karną.

Usiedli w gabinecie. Konrad nie wiedział, czy muzyk go poznał. Wtedy na stoczni Kroon wyglądał zupełnie inaczej; był po prostu jedną z wielu osób chcących zamienić choć kilka zdań z charyzmatycznym wokalistą.

– Chodzi o Judytę – powiedział niemal na samym starcie.

Gładko poszło.

– Zatem część wstępną możemy spokojnie pominąć – oznajmił Kroon.

– Każda dobra piosenka zaczyna się od pierwszej zwrotki. Ale te najlepsze atakują od razu refrenem.

Konrad spojrział na muzyka. Widział smutne oczy, długie włosy, elegancko przystrzyżoną brodę. Chciał

zajrzeć do jego duszy. Poddać autorskiemu badaniu wariografem, zmusić do ujawnienia prawdy.

Tego lata trzy razy miał okazję uczestniczyć w koncercie -UTERO: we wrzeszczańskej Stacji DeLuxe, na krakowskich plantach i podczas niespodziankowego występu na stoczni. Za każdym razem Kroon spoglądał Alexowi w oczy i widział w nich śmierć. Ale nie tym razem.

Muzyk wydawał się kimś banalnie zwyczajnym.

– Możemy przewinąć do refrenu. Judyta Słomska targnęła się na swoje życie. Dwa razy. A to wszystko z pańskiego powodu.

– Powinna podjąć jakieś leczenie – rzekł poważnie Alex.

– Też tak uważam. Ale każde zachowanie ma swoją przyczynę – kontynuował prokurator. – Wiele osób sądzi, że ta przyczyna leży właśnie w panu.

– Ech, to jest prawdziwy krzyż muzyka. Nastolactwo. Cholernie trudny wiek.

Kroon oczekiwał jakiejś dziwnej rozmowy. Sądził, że Alex zasypie go gradem dwuznacznych zdań, dziwnymi wierszami wyjętymi prosto ze swoich pokręconych piosenek. Ale mężczyzna mówił całkiem do rzeczy.

– No właśnie – odparł lekko zmieszany Konrad. – Zatem chciałbym wiedzieć, jak dokładnie wyglądała wasza relacja.

– Oczywiście. Postaram się pomóc.

Alex zaczął mówić. Wszystko od początku, bez omijania jakiegokolwiek szczegółu. To były słowa odpowiedzialnego, świadomego obywatela. W żadnym wypadku nie były to słowa szaleńca.

Kroon próbował złapać mężczyznę na kłamstwie. Wychwycić nieświadomą reakcję organizmu, wytropić jakąkolwiek nieszczerłość. Nic z tego. Alex mówił samą prawdę.

– I po koncercie poszłście na imprezę?

– Właściwie po każdym koncercie balowaliśmy. Taka karma. Żeby należycie odgrywać swoją rolę, nie można zapomnieć o żadnym z elementów. UTERO płynie teraz na fali. Otacza nas nimb tajemniczości i wyjątkowości. Tak to reżyserujemy. Dla świata, dla innych, czasem nawet dla nas samych. Ale tak naprawdę cały spektakl został po prostu starannie zaplanowany. Musimy kręcić ludzi. Stale ich podniecać, mydląc im oczy.

– Jest pan szarlatanem – wycedził Kroon.

Alex wybuchnął śmiechem.

– Lepiej bym tego nie ujął! No ale nie każdy rozumie, że to tylko taka kreacja. I Judyta Słomska najwyraźniej nie zrozumiała.

– Zakochoła się w panu.

– Obawiam się, że tak. Nigdy jej niczego nie sugerowałem, ale... ona ma dopiero dziewiętnaście lat. I pstro w głowie.

Kroon planował go osaczyć. Ale muzyk odwrócił kota ogonem.

– Czy widział pan jakieś oznaki, że coś jest nie tak?

– Prawdę powiedziawszy, widziałem. Nieobecne spojrzenie, rozmarzony wzrok. Tylko że... Panie prokuratorze, proszę nie wziąć tego, co teraz powiem, za oznakę pychy. Oczywiście tej mi nie brakuje, ale rzecz leży zupełnie gdzie indziej. Większość moich prawdziwych fanek zachowuje się dokładnie w ten sam sposób. I nie tylko moich fanek. To są wszystko dziewczyny ulepione z tej samej, lekko niestabilnej gliny. Balansujących na cienkiej linii fascynacji. Emocjonalna nitrogliceryna. Judyta Słomska przekroczyła ową granicę. Kiedy dowiedziałem się, że skoczyła pod pociąg, zasugerowałem, żeby od nas odpoczęła.

– I jak się domyślam, nie przyjęła tego najlepiej.

– Oczywiście, że nie. Ale... znów wyjdę na drania. Dziewczyna jest pełnoletnia. Ma rodziców, przyjaciół... Niczego nie jestem jej dłużny. I nie odpowiadam za nią.

Mówił tak przekonująco. Kroon wiedział, że mężczyzna jest winny tej całej tragedii. Musiał być winny. Tak podpowiadała mu logika, tak szeptał jego cudowny szósty zmysł. Ale w tej chwili... cholera jasna, przecież ten pieprzony artysta miał po prostu rację! Dziewczyna była wyraźnie szurnięta, zerwała się ze sznurka, potrzebowała pomocy.

– Bardzo bym chciał, żeby ktoś się nią zaopiekował – kontynuował Alex. – I... jest jeszcze jedna sprawa.

ALEX

– I... jest jeszcze jedna sprawa – powiedział Alex.

Siedział na przesłuchaniu, robiąc to, co umiał robić najlepiej – mydlił prokuratorowi oczy. Uwodził spojrzeniem, hipnotyzował wzrokiem.

Spotkali się już trzykrotnie. Alex widział go na dwóch swoich koncertach, później rozmawiał z nim na koniec niezapowiedzianego występu na gdańskiej stoczni. Miał pamięć do twarzy.

– Tak? – spytał Kroon.

– Kiedy Judyta zrozumiała, że nigdy nie będę jej na wyłączność, zaczęła szukać sobie pocieszenia.

Podrzucił mu trop. Musiał zmylić pogoń, jego plan nie zakładał żadnych potknięć. I tak już ich nie potrzebował. UTERO stanowiło dla Alexa jedynie krótki epizod nieznośnie długiego, trans-oceanicznego rejsu.

– Jakiego pocieszenia, panie Aleksandrze?

– Ech... – Musiał tak westchnąć.

Prawidłowe przywołanie zakłęcia wymagało starannego zachowania wszystkich procedur. Niewidzialność jest sprawą bogów. A Alex potrzebował wyjątkowo szybko zniknąć z oczu Kroona.

– W moim zespole jest taki chłopak, Eryk. Gra na basie, uwielbia dziewczyny i niebezpieczne życie. Jest w nim coś z artysty, ale i furiata. Zakręcił się wokół Judyty. Ostatnio spędzają razem bardzo dużo czasu. Po jednej z ich ostatnich randek dziewczyna się pocięła.

Alex obserwował twarz prokuratora. Mężczyzna był wyraźnie zaskoczony.

– Tego nie wiedziałem.

– Pociągnąłbym ten wątek. Bo Eryk... on naprawdę może być zdolny do wszystkiego.

NIKOLA

Szef robił się coraz bardziej bezwzględny. Im bliżej celu, tym większą odczuwał determinację. Musiał oczyścić drogę ze wszystkich przeszkód.

Nikola leżała na materacu. Słyszała ich uniesione głosy, czuła, że atmosfera staje się coraz bardziej napięta. Więzili ją już od kilku tygodni. Wypełnione strachem długie, samotne dni. Ciemne noce, mroczne poranki. Ile dokładnie? Sama straciła rachubę.

– Ktoś się o niej w końcu dowie – mruknął Paweł. – I będzie przejebane.

– Przecież ona nie miała nikogo – odparł młody Kardaś.

– Chuj, że nie miała. Psiarnia zacznie się kiedyś interesować. Że mieszkanie stoi puste, że nikt rachunków nie płaci...

Kubę niepokoiły dokładnie te same myśli. Bał się jednak zdradzić przed bratem. Wolał zgrywać twardziela.

– Nie ty tu jesteś od myślenia. Kazał nam ją trzymać, to ją trzymamy...

– Ale kurwa, tutaj?! W środku miasta?

Młody Kardaś wzruszył ramionami.

– Najciemniej pod latarnią, co nie?

– Nie podoba mi się to.

– To mu się postaw – rzucił zadziornie Kuba. – Idź do Niego i powiedz, że masz lepszy pomysł.

Paweł kopnął w brata kartonowym pudełkiem po jedzeniu z dowozu.

– Spierdałam stąd. Mam coś do załatwienia.

– Za ile wrócisz? – spytał młody Kardaś.

– Może nigdy. Chuj wie. Jak będę, to będę.

Starszy Kardasiński trzasnął drzwiami, młodszy został sam. W pokoju obok więzili Nikolę.

Kuba analizował wszystko w myślach. Od dziecka tak miał, że lubił zanadto główkować. A kiedy zbyt kombinował, zwykle ściągał na siebie kłopoty.

Siedział na fotelu, wpatrując się w ścianę. Nudził się jak cholera. Szef zabronił im tu wносить telefony. Telewizor odbierał tylko dwie stacje. O tej porze nadawano ramówkę dla emerytów.

Wstał z siedziska, poprawił pistolet i zaczął krążyć po pokoju. Zajrzał przez uchylone drzwi do Nikoli.

Dziewczyna zawsze mu się podobała. Kuba gdybał, dokąd to wszystko może prowadzić. Bo przecież historię musiał zwieńczyć jakiś spektakularny finał.

Może jej chłopak się w końcu znajdzie, szef wymierzy mu karę, a Nikola... Czy serio będzie chciał ją sprzątnąć? Raczej nie. Gdyby zamierzał ją zabić, zrobiłby to od razu. Pewnie chodzi tylko o strach. Kiedy

przestanie być potrzebna, pewnie wywiezie ją gdzieś za granicę. Ale jeśli młody Kardaś by z nim odpowiednio zagadał, poręczył za Nikolę...

– Kuba? – szepnęła dziewczyna.

– No co chcesz?

Wszedł do sąsiedniego pomieszczenia.

– Kuba, ja tego nie wytrzymam. – Uniosła rękę.

Czasem zdarzało jej się wstać, długi łańcuch pozwalał rozprostować nogi, trochę podreptać. Kajdany wpiły się jej lekko w nadgarstki.

– Słuchaj, gdyby o mnie chodziło, tobym ci to ściągnął. Ale szef...

– Zastrzel mnie.

„Co ona bredzi?” Chyba się przesłyszał.

– Głodna jesteś? – palnął zupełnie bez sensu.

– Kuba, ja nie mogę tak dalej. On i tak mnie zabije.

Kardaś nie wiedział, co odpowiedzieć. Do tej pory Nikola odgrywała rolę potulnej ofiary.

– Jakby cię chciał zabić, zrobiłby to już dawno temu – wyjaśnił chłopak, dzieląc się z Nikolą swoimi niedawnymi przemyśleniami. – Skończy sprzątać na mieście i będziesz wolna.

Spojrzała mu głęboko w oczy. Kardaś nie dostrzegł w nich strachu, na dobrą sprawę nie widział też smutku. Nikola straciła wolę życia. Po prostu chciała umrzeć.

– Naprawdę w to wierzysz?

Chciał odpowiedzieć, że tak. Ale raptem zdał sobie sprawę z tego, że ona miała rację. Nie mogła tego przeżyć.

– Nie dramatyzuj – rzucił po chwili.

– Kuba, ja nie proszę cię o wiele. Po prostu strzel mi szybko w łeb. Tak, żeby nie bolało.

Poczuł ogromną bezsilność.

– Skończ pierdolić! – krzyknął i wrócił do sąsiedniego pokoju.

Ostentacyjnie trzasnął drzwiami. Zaczął nerwowo krążyć po piwnicy, analizując słowa ofiary.

Nikola zasiała ziarno. A umysł Kuby stanowił niezwykle podatny na sugestie grunt.

ALEX

Początkowo sądził, że to Judyta stanie się jego pierwszą uczennicą. Ale wtedy odkrył Lilę. W dziewczynie drzemał niezwykle potencjał. Była piękna, minionej wiosny podchodziła do matury, grała w teatrze, kochała świat. Wiedziała, że już wkrótce go zdobędzie. Zaczaruje niskim głosem, uwiedzie dużymi ciemnymi oczami. Świat miał paść jej do stóp, planowała zostać aktorką.

Właśnie kogoś takiego szukał. Wszyscy wielcy mistrzowie potrzebują naśladowców. Albo, jak to miało miejsce w wypadku Alexa, wyznawców.

– Co to dokładnie za miejsce? – dopytywała dziewczyna. – Jakiś klub?

– Świątynia. Świątynia sztuki.

W Domu Steffensa zakochał się od pierwszego wejrzenia. Charyzmatyczny muzyk przychodził do luksusowego klubu jak do siebie, wymieniał uściski z ochroniarzami, całował się na powitanie z Martą Bosacką.

Założyli maski, po czym weszli do środka.

– Serio, nigdy o tym nie słyszałam – dziwiła się Lila.

Dziewczynę urzekł przepych miejsca, zawstydziły rozpustne obrazy. Tak bardzo niewinna, skąpana w nastoletniej naiwności i wierze w niemożliwe.

– „Stąd daleko na morzach jest ostrów niewielki, zwan Ogygią, siedziba srogiej zwodzicielki, Kalypso pięknowiącej, a córki -Atlasy – wyrecytował muzyk. – Każdy bóg jej unika, człek tam nie popasa”².

– To Miłosz? – spytała.

– Homer – wyjaśnił Alex. – Ojciec wszystkiego.

Lilla w mig pojęła jego konwencję.

– Ale wrócimy do Itaki?

– Być może. O ile nie zatracimy się zanadto w uczie.

ZUZA

Przycupnęła za jednym z filarów. Anita zleciła jej wykonanie dokładnej dokumentacji fotograficznej.

Prosiła jednak, by zachować dyskrecję.

„Goście nie powinni czuć twojej obecności. To ma być unikalne, intymne przeżycie”.

Zuza wyciągnęła aparat i zaczęła się pod kolumną. Sprawdziła karty pamięci, wyjęła zapasowe baterie.

– Raz, dwa, trzy...

Usłyszała charakterystyczny syk. Z ukrytych w ścianach otworów zaczął wydobywać się sztuczny dym.

– Proszę zająć miejsce – powiedział barman do jednego z zamaskowanych klientów, który chciał jeszcze zamówić drinka. – Będziemy obsługiwać przy stolikach.

Najpierw rozbrzmiały bębny. Spokojne, miarowe uderzenia elektronicznej perkusji wzbogacone solidnym sztucznym pogłosem. Wstęp do spektaklu. Początek zabawy.

Zuza podkreśliła czułość matrycy. Nie mogła używać lampy, a przecież zdjęcia musiały być ostre.

Na schodach pojawiły się pierwsze modelki. Nagie ciała ciasno owinięto streczem; półprzezroczysta folia podkreślała ich kształty, jednocześnie zakrywając i odkrywając to, co intymne, wstydlive czy zakazane.

Kobiety zeszły na dół; ustawiły się na wysokości baru, okręciły na pięcie i przystanęły w niemych pozach.

– *Let the show begin* – mruknęła Zuza, której przed spektaklem pozwolono zajrzeć w scenariusz. Tym sposobem odpowiednio przygotowała się do pracy.

Do perkusji dołączyła surowa linia melodyczna zniekształconego przez oscylator basu. To była komenda, na którą czekały aktorki. Dziewczyny ruszyły przed siebie, ich wysokie obcasy uderzały o marmurową posadzkę, nieobecne oczy spoglądały tuż ponad głowami widzów.

Parada przeszła przez wszystkie dziewięć pokoi Domu Steffensa; niema armia silikonowych lalek, które ożyły niczym baletnice w petersburskim teatrze.

– „Może odnajdziesz w wyludnionym domu bukiet włosów na ściętej pościeli”³ – wyrecytował mężczyzna, który, nie wiedząc kiedy, pojawił się obok modelek.

Miał dobre dwa i pół metra wzrostu, do jego nóg przymocowano szczudła przypominające nogi byka. Sztuczne kończyny zginały się w przeciwną niż u ludzi stronę. Nagi, umięśniony tors należał do ciała atlety, na biodrach spoczywała samotna przepaska, twarz zaś zdobiły wielkie, krzywe rogi.

– Niezłe ciacho – szepnęła Zuza, spoglądając na ogromnego minotaura.

Modelki rozdzieliły się na dwie grupy, z których każda ruszyła ku przeciwległemu krańcowi klubu.

– „Okrutne piękno żelaznego świata oświecać będzie naszych snów podziemia. Ziemia zapłonie jak zamierzchnia lampa i nasze ciała będzie w chłam przemieniać!” – krzyknął performer.

W końcu parada znów dotarła przed oblicze mitycznej bestii. Każdy z pochodów ciągnął za sobą łańcuch przymocowany do wielkiego, materiałowego kokonu.

Aktorki ustawiły przed mężczyzną dwa popielate worki.

– „Okrutne światło przemiennego świata oziębia nasze wspólne ciężkie serce! – zawołał minotaur. – Jeżeli nawet zabłądzimy w gwiazdach, to tylko twoje serce nas uśmierci”.

Modelki zaczęły tańczyć wokół kokonów. Muzyka nabrała intensywności.

– „I w dobijaniu śmiertelnie raniony do gwiazd, do których żywi nie słyszeli. I w ocaleniu kruchej łyzy z ogromu, może zdążymy ci jeszcze dopomóc” – dokończył mężczyzna.

– „Może zdążymy ci jeszcze dopomóc!” – powtórzyły aktorki.

Tancerki zaczęły rozrywać kokony. Rzuciły się na nie niczym stado drapieżnych kotów: szarpały pazurami, gryzły zębami. To była dzika, pierwotna siła.

Przed minotaurem klęczały dwie nagie dziewczyny. Miały nie więcej niż dwadzieścia lat; Zuza zastanawiała się, czy w ogóle osiągnęły pełnoletniość. Wołała nie dopytywać.

Publika oczekiwała z napięciem reakcji aktora. Wielka bestia górowała nad dwoma drobnymi nastolatkami, które choć oswobodzone z kokonów, wciąż znajdowały się na długich łańcuchach.

Muzyka dodatkowo podkreślała napięcie. Minotaur głośno sapał, spoglądając na złożone mu nagie ofiary. Krwawa danina; podatek składany na oczach dziesiątków rozpalonych do czerwoności widzów.

Zuza także odczuwała spore podniecenie. Uwielbiała takie dzikie akcje.

– Czy on je tu teraz weźmie? – szepnęła sama do siebie.

Melodia ucichła. Kiedy wybrzmiał ostatni dźwięk basu, minotaur niepostrzeżenie oddalił się, znikając w sztucznej mgle.

– *Może zdążymy ci jeszcze pomóc!* – krzyknęły owinięte streczową folią aktorki.

Wtedy też dwie młode dziewczyny skoczyły na siebie.

Całowały się głęboko w usta, dotykały piersi, pieściły po całym ciele. Na powrót pojawiła się muzyka.

Wydawało się, że oto na scenę zawleczono dwie niewinne ofiary, które za wszelką cenę próbowały uciec od swojego krwawego przeznaczenia. Ale dziewczyny najwidoczniej z chęcią przyjęły zaproszenie na tę bachusową ucztę.

Dziki, pierwotne żądze. Nieokiełznana pokusa, zabawa, która nie знаła umiaru.

„A więc tak można?” – dziwiła się fotografka.

Zuza zapragnęła poznać osobę, której umysł stworzył ów niebezpiecznie genialny spektakl. Czuli, że oto jest ta siła, której skrycie pożąda, za którą nieodparcie tęskni. Tabu ze snów i koszmarów. Jej prawdziwe oblicze.

Tego lipcowego dnia roku 2010 Zuza zrozumiała, jak niebezpieczne męczą ją pragnienia. Zobaczyła przed sobą drzwi do królestwa piekieł, mroczne wrota, których należało nigdy nie otwierać. Ale ona pociągnęła za klamkę.

Nie przypuszczała, że marmurowy chodnik Domu Steffensa zaprowadzi ją prosto na skraj zatracenia. Nie przewidziała, jak to wszystko się potoczy. Bo skąd miała wiedzieć, że kilkanaście lat później pociągnie za sobą innych, rozedrze serce Kroona, ucieknie w chaos i zniszczenie? Przed niektórymi grzechami nie da się uciec. Zuza nigdy już nie uciekła.

LILA

– I jak ci się podobało? – spytał Alex.

Lila miała mieszane odczucia. Z jednej strony rozumiała ten koncept wolności, nieokiełznaną sztukę, która systematycznie przekracza samą siebie. Z drugiej lękała się emocji, jakie ów spektakl w niej wyzwolił. Nie znała się z tej strony.

– To było niezwykle... – zawahała się – ...ciekawe.

– Czy tego się spodziewałaś?

– Nie wiem. Nie wiem, czy w ogóle się czegoś spodziewałam. Ale... chyba nie. Czy to był jeszcze teatr? Czy może już erotyka?

Alex podał jej kieliszek z winem. Maski zakrywały im jedynie połowy twarzy, tak by mogli swobodnie rozmawiać, jeść czy pić.

– A myślisz, że istnieje gdzieś taka granica? Która oddziela sztukę od niesztuki?

– Och, zadajesz tak trudne pytania. – Zaśmiała się.

– Prawdziwy artysta stale musi podawać wszystko w wątpliwość. Być gotowym do poświęceń.

– Może i masz rację.

Stuknęli się szkłem.

– Twoje zdrowie. Za narodziny prawdziwej sztuki.

– Dziękuję. Chętnie za to wypiję – odparła Lila.

Dziewczyna cieszyła się z ostatniego obrotu wydarzeń. Kiedy pierwszy raz Judyta zaciągnęła ją na koncert UTERO, po prostu jej się podobało. Później udało im się wbić na backstage, poznać członków zespołu. Słomska niemal od razu zakochała się w charyzmatycznym wokaliście. Lila odkrywała Alexa stopniowo. Teraz jednak nie pragnęła niczego innego, niż go słuchać; podążać ścieżką, którą On jej wyznaczy.

– Sztuka wymaga poświęceń. Jeśli chcesz osiągnąć coś wielkiego, musisz być gotowa zapłacić za to cenę – powiedział spokojnie.

Spojrzała w jego smutne oczy.

To w tych oczach, w tym hipnotyzującym spojrzeniu kryła się cała magia, cały czar, sekretny urok prestidigitatora, który spoglądając melancholijnym, lekko nieobecny wzrokiem, trzecią ręką niepostrzeżenie kradł serca. Alex potrzebował wyznawców; wiernych uczniów, którzy na jedno skinienie skoczyliby w ogień, zaczęli rabować, mordować i gwałcić. Taki był właśnie Alex, takim pokochała go Lila, tak widzieli go wszyscy wokół.

– Rozumiem – odparła.

– Zaprosiłem cię na swój statek. Czeka nas niepewny rejs po wzburzonym morzu, oceanie pragnień, szans i rozczarowań. Przybijemy do niejednej wyspy, ale nigdy nie możemy stracić z oczu celu. Bo gdzieś tam na końcu tej historii czeka upragniona Itaka.

– „Stąd daleko na morzach jest ostrów niewielki, zwan Ogygią, siedziba srogiej zwodzicielki, Kalypso pięknowłosej, a córki Atlasa” – szepnęła Lila, powtarzając przywołany przez Alexa cytat z Homera. – „Każdy bóg jej unika, człek tam nie popasa”.

1 Nawiązanie do sentencji *Totus mundus agit histrionem* – słów Jana z Salisbury, które widnieją nad londyńskim Globe Theater.

2 Homer, *Odyseja*, dz. cyt., s. 70.

3 Marek Grechuta, *Może usłyszysz wołanie o pomoc*, dz. cyt.

ROZDZIAŁ 17 | LIPIEC TEGO ROKU

KONRAD KROON

– To koniec, Flara – oznajmił Kroon. – Dobrnąłem do ściany.

– A co w tym złego? – spytała policjantka. – Materiał dowodowy jest wystarczający na skierowanie aktu oskarżenia. Rucki pójdzie siedzieć.

Konrad westchnął. U jego stóp leżał Fender.

– Nie chodzi tylko o Ruckiego. Chcę dotrzeć do samych korzeni. Zrozumieć, o co chodziło z Domem Steffensa. Pamiętam, jak wiele lat temu gadałem z Hejmem o tej sprawie. Twierdził, że gdzieś tam kryje się drugie dno.

– I myśli pan, że po tylu latach uda się do niego dokopać?

– Coraz bardziej w to wątpię. Ale nie opuszczam gardy.

– Proponuję zwyczajnie zamknąć śledztwo, napisać a/o...

– A ty od kiedy chodzisz na łatwiznę?

Właściwie to nigdy nie chodziła na łatwiznę. Ale szczerze wątpiła, by tym razem warto było drążyć głębiej.

– Po prostu trop się urwał. Zresztą, niby co chciałby pan tam znaleźć? W Domu Steffensa bzykali się dla pieniędzy. Ktoś to wszystko organizował, ktoś na tym zarabiał. Ale w mieście funkcjonuje wiele innych burdeli. I nikt nikogo nie ściga. Zresztą zarzut sutenerstwa już dawno by się przedawnił.

Oczywiście miała rację. Zazwyczaj to policjantom zależy, żeby stawiać wszystkich w stan oskarżenia; ministerialna statystyka nie rozliczała prokuratorów z liczby wykrytych przestępstw. A jednak Kroon postanowił gonić króliczka.

– Nie musisz mnie tego uczyć. Może i jestem lunatykiem, ale nie takim.

– Nie powiedziałam, że jest pan lunatykiem.

Konrad zaśmiał się pod nosem.

– Dobra, dobra. Zrozumiałem przekaz. Zresztą, ostatnio wszyscy mi to sugerujecie. Odkąd zostałem singlem, niebezpiecznie często odrywam się od podłogi. Magda też tak uważa.

– Nie jestem pana przełożoną i nie uważam, żeby pan dryfował gdzieś tam. – Wskazała dłonią w stronę sufitu. – *Trzydzieści centymetrów ponad chodnikami*. Ale nawet jeśli coś złego rzeczywiście działo się w Domu Steffensa, to nigdy się o tym nie dowiemy. Budynek zburzono, świadkowie nie istnieją...

– I tu mnie masz. Przesłuchałem tych ochroniarzy, którzy pracowali w klubie. Po nitce do kłębka. Aż w końcu trafiłem na Fabiana Wendego.

– Coś mi się obilo o uszy.

– Wpisz sobie w SIP albo pogadaj z kryminalnymi. Niezły kozak. Robił w grupie Barwnika, po jego śmierci przejął część interesów, zajął się ochroną klubów. Jego ludzie stali na bramkach w połowie Trójmiasta. Jak się okazuje, również i w Domu Steffensa.

– To było jakoś pod koniec lat dziewięćdziesiątych, co?

– Barwnika zamordowano w dziewięćdziesiątym dziewiątym. Wende wtedy siedział, ale już na początku lat dwutysięcznych go puścili. Stopniowo odbudowywał swoje wpływy, chciał być drugim Nikosiem. Kręcił coś przy narkotykach, podobno bawił się w jakieś porwania dla okupu. Tego niestety nie dało rady mu udowodnić.

– Groźny gość – podsumowała Flara.

– Groźny. Ale martwy. Zamordowali go latem dwa tysiące dziesiątego.

– Nasze chłopaki?

Kroon podrapał Fendera po pysku.

– Cholera wie. Ciało wyłowiono z Sekwany. Śledztwo prowadziła francuska policja, u nas nikt się tym porządnie nie zajął.

– O jednego śmiecia mniej – mruknęła funkcjonariuszka.

– Nie zrozum mnie źle, Flara. Ja nie płaczę po Wendzie. Problem w tym, że on był moim ostatnim śladem prowadzącym do Domu Steffensa. A teraz trop się urywa.

Bezradnie rozłożyła ręce. Co zrobisz, jak nic nie zrobisz?

– Nic na to nie poradzę. Ale chyba wracamy do punktu wyjścia. Na początku naszej rozmowy

powiedziałam, że sprawę Ruckiego trzeba kończyć, bo urwał nam się trop. Teraz prokurator powtarza to samo. A jednak...

Konrad wstał od biurka. Na ściennym kalendarzu widniały posępne sylwetki stocznioowych dźwigów.

– *A jednak się kręci.* Dlatego chcę drażnić. Hejmo sądził, że tam nie chodziło tylko o seks za pieniądze. I że ofiar było więcej. Ruc-ki nie działał w próżni. W Domu Steffensa panowało przy-zwolenie na gwałt. Wyuzdana zabawa, libido napędzane chemicznymi wspo-ma-gaczami.

Policjantka przysunęła się bliżej Fendera. Od dziecka marzyła o czworonogu, ale ciągle brakowało jej czasu. Nigdy nie pomyślała, że mogłaby z nim ot tak, po prostu łązić do roboty. Jak widać, Kroon nie miał z tym problemu.

– Prokurator zapomina o jednej bardzo ważnej rzeczy. Niby ofiar było więcej, ale... żadnych ujawnionych pokrzywdzonych. Poza Malicką i Nowaczykową nikt nigdy niczego nie zgłosił.

– I tu mnie znowu masz.

Flara wstała z krzesła.

– Zatem odpuszczamy? Mogę powiedzieć naczelnikowi, że kończymy ten numer?

Konrad nie potrafił oderwać wzroku od fotografii metalowych żurawi. Zdjęcie pochodziło z katalogu jego wieloletniej partnerki. Tak wiele spraw kręciło się wokół stoczni.

– Jeszcze nie – odparł po dłuższej chwili. – Gdzieś tam czai się zaginiony ślad. I ja go w końcu znajdę.

Policjantka ciężko westchnęła. Dobrze wiedziała, że w dalszym ciągu nie przesłuchali jednej osoby, która być może wiedziała coś na temat klubu. Flara mimowolnie ruszyła kącikiem ust.

– Co? – spytał prokurator.

– Nic.

– Zaczęłaś coś mówić – podchwycił.

„O kurwa”. Flarkowska umiała w kłamstwa, ale nie potrafiła kitować Kroona. Mężczyzna nosił w sobie coś na kształt wariografu. Wskazówka skakała jak oszalała.

– Chciałam się pożegnać – zablefowała.

– Nieprawda – wypunktował. – Zamierzałaś coś jeszcze powiedzieć. O śledztwie. O Ruckim.

„Kurwa!” Nie mogła mu tego zrobić.

– Proszę nie drażnić. To nic takiego.

Zagroził jej drogę.

– Mów – polecił kategorycznie.

– Serio, nie chce pan wiedzieć.

Konrad położył dłoń na klamce, powstrzymując Justynę przed otwarciem drzwi.

– Chcę wszystko wiedzieć.

Za długo się znali, żeby tak go zranić. Co z oczu, to z serca.

– Prokuratorze, proszę mi zaufać...

– Zaufanie jest dobre. Ale kontrola jeszcze lepsza.

Stary, poczciwy Dzierżyński. Czerwony kat. *Ufaj, ale sprawdzaj.*

– Ech... – westchnęła.

– No wyduś to w końcu z siebie.

Justyna położyła Kroonowi dłoń na ramieniu.

– Pan lepiej usiądzie – poleciła.

– Nie dramatyzuj.

– Proszę. – Wskazała w stronę krzesel.

Kroon wykonał krok w tył.

– Skoro nalegasz...

Opadł na fotel. Flara zajęła miejsce naprzeciwko biurka.

– Przeglądając papiery Marty Bosackiej, znalazłam dwa potwierdzenia przelewów. Pierwszy z nich dotyczył Marka Lipskiego, drugi... – urwała na moment – drugi dotyczył Zuzy. Pańskiej Zuzy.

Konrad poczuł, jakby ktoś zdzielił go obuchem w łeb. Bo życie to podstępna suka. Próbował się odciąć, zapomnieć, a teraz... znów został zmuszony, by sobie o niej przypomnieć. Po cholere pytał? Po kiego diabła drażnił?

Jego myśli pędziły w szaleńczej kaskadzie. Zuza w Domu Steffensa. Co to wszystko mogło znaczyć?

Dziesiątki pytań, setki potencjalnych ewentualności.

Zuza była fotografką. Łapała się różnych fuszek. Może jakimś cudem najęła się tam na jakąś sesję? Tak. To musiało być to.

Błyskawicznie zaczął sobie to racjonalizować. Musiał uporządkować fakty. Poczuc grunt pod nogami. Odzyskać oddech.

– Wszystko w porządku? – spytała Flara.

– Tak – odparł po dłuższej chwili.

Siedzieli w ciszy. Policjantka chciała dać mu czas na dojście do siebie.

– Co dokładnie znalazłaś?

– Nic takiego. Proste polecenie przelewu na dość niewielką kwotę. Lipiec dwa tysiące dziesięć.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?

Spojrzała mu głęboko w oczy.

– A jak pan myśli?

Złapał poręcz fotela. Zdał sobie sprawę z tego, że okropnie się spocił.

– Masz rację. Konkretnie mnie to rozjebało.

– Informacja jest pewnie nieistotna. Wątpię, by Zuza cokolwiek wiedziała – przyznała Flara. – Pewnie cyknęła kilka fotek podczas jakiegoś show. Jednorazowa akcja.

Konrad raz jeszcze skierował wzrok w stronę kalendarza. Posępne żurawie. Stoczniowy smutek.

– Myślę, że masz rację. Zuza niczego nie wie. Poza tym i tak nie ma jej w kraju. Chyba siedzi gdzieś w Stanach.

Flarkowska znów to zrobiła. Mimowolny tik. Nieostrożny gest, który zdradził jej drobną nieszczerłość. Kroon zdał sobie właśnie sprawę z tego, że policjantka wiedziała coś jeszcze.

– No mów! – burknął.

– Ech... Kilka dni temu natknęłam się na nią w galerii. Mówiła, że właśnie wróciła do kraju. Jeśli pan chce, mogę ustalić jej adres.

ZUZA

Otworzyła drzwi, spodziewając się zupełnie kogo innego. Albo nie spodziewając się nikogo. W każdym razie na pewno nie Kroona.

– Konrad?

– We własnej osobie – odparł, uśmiechając się jakoś tak po sztubacku.

– Cześć – wymamrotała zupełnie zbita z tropu.

Zerwali ze sobą niecały rok temu. A właściwie to ona zerwała. Zeszłej jesieni, w październiku, napisała mu, że to koniec. Rozstanie na tchórza: kilkunastoletni związek zakończony długim SMS-em. Zuza nie znosiła otwartych konfrontacji; jak nikt umiała ranić bliskich, burzyć ich życia, wywracać świat do góry nogami. Ale zawsze robiła to z drugiego planu, skryta za kurtyną, niczym reżyser, nigdy niewychodzący na scenę, rozkoszujący się dramatem, pojący tragicznym pięknem spektaklu.

– Możemy tu tak stać, chociaż tak serio to wolałbym wejść. Musimy pogadać.

Wydawał się niezwykle pewny siebie.

– Konrad, ja chyba nie mam na to siły. Wciąż nie zebrałam się do kupy.

Nie zebrała się do kupy. A przecież to ona rozpieprzyła ich związek.

– Pozwolisz? – spytał, przepychając ją ramieniem.

Latem 2010 był taki sam: pewny siebie, nieco arogancki, uwodzicielsko nonszalancki.

– Konrad, ja...

Wszedł do salonu, rzucił okiem na meble, od razu podszedł do okna. Błyskawiczne oględziny miejsca zbrodni.

– Myślałem, że jesteś w Stanach.

– Byłam. Nawet dość długo. Ale wróciłam.

Oparł się o parapet i wyjrzał na zewnątrz.

– Nie przedłużyli ci wizy? Czy po prostu dopadła ci nuda?

Jak komuś mogą znudzić się Stany? Tania benzyna, szklane wieżowce, dwulitrowa cola w maku, prywatna służba zdrowia, prawo do broni dla każdego szczeniaka. *This is not America, na na na na...*

– Wiza mi się skończyła.

Rozsiadł się na fotelu.

– Ładny tu masz widoczek. Neptun, Długi Targ...

– To apartament koleżanki. Pamiętasz Dagę?

Założył nogę na nogę.

– Oczywiście, że pamiętam. Ja zawsze wszystko pamiętam. Również to, że masz mieszkanie w Brzeźnie. Od dziesięciu miesięcy sam płacę raty kredytu.

– Weź je sobie. Spierdoliłam ci życie, należy ci się.

Zuza faktycznie była niebieskim ptakiem. Nie przejmowała się takimi błahostkami jak rachunki i pieniądze. Wkład własny został wprawdzie wniesiony wyłącznie przez Konrada, ale później solidarnie rzucali się na spłatę reszty hipoteki.

– Wiesz, że to nie jest takie proste? Twoje nazwisko widnieje w księgach.

Wcale nie chciała, żeby wpisywać ją do jakichkolwiek rejestrów. To Kroon się uparł, żeby w ten do bólu kapitalistyczny sposób zalegalizować ich związek. Połączeni kredytem póki–śmierć–ich–nie–rozłączy–amen. Bo Zuza nie chciała ślubu. Nie znosiła zobowiązań.

– Załatw to jakoś...

– Próbowałam kiedyś robić to jak dorośli?

– Nigdy mi nie wychodziło – przyznała z rozbrajającą szczerością.

– Fakt.

Raz jeszcze rozejrzył się po mieszkaniu. Meble z Ikei, w kącie pod oknem wzmacniacz oraz dwie gitary: Fender Stratocaster i Gibson Les Paul – kultowe modele.

– Cały czas nie rozumiem, dlaczego to zrobiłaś – szepnął.

Nie grał już twardziela. Spokorniał i przestał atakować. Zuza wyczuła dla siebie przestrzeń.

– Nie wszystko trzeba rozumieć. Pewne rzeczy wystarczy czuć.

– A ty nas nie czułaś?

Pokręciła smutno głową.

– Od dawna nie.

Naprawdę było jej cholernie przykro. Miała ochotę się rozplakać, zalać łzami, wykrzyczeć wszystkie zale, które kryły się w jej sercu.

Usiadła naprzeciwko.

– Strasznie to wszystko pojebane – stwierdził. Później znów na nią spojrzął. – Ale ty oczywiście dalej nie wiesz, czego szukasz.

To nawet nie było pytanie. Zajrzał w jej wnętrze i po prostu bezbłędnie odczytał kod źródłowy. Zawsze znał się na ludziach.

– Nie wiem – przyznała szczerze. Sekundę później zaczęła płakać.

Na swój pokręcony sposób wciąż kochała Konrada. Nigdy nie poznała równie fascynującej osoby. Ale nie potrafiła z nim dłużej być.

Kroon spojrzął na niewielki stos solidnie sczytanych książek. Zuza od zawsze dużo czytała.

– Czyli nasz wspólna historia po prostu musi być tragiczna.

– Jak każde *love story*...

KONRAD KROON

Każda historia to tak naprawdę opowieść o miłości. Bo jeśli miłość nie jest wytworem naszego świata, jeśli dusze kochanków spotkały się już wcześniej w innym miejscu i czasie, to w imię jakich prawideł owo boskie uczucie odbiera szczęście, nie pozwalając zaznać spełnienia w czymkolwiek innym? Czy taka miłość jest transcendentnym darem, czy może jednak klątwą rzuconą na niepokornego żeglarza? Zobaczysz na horyzoncie dom, lecz nigdy nie postawisz stopy na ojczystej ziemi. Tęsknota nie da ci zapomnieć. Rozum nie pozwoli zostać.

Przyjście do Zuzy kosztowało go sporo energii. Sądził, że się rozklei, nie zdoła wydusić ani jednego słowa. Tymczasem udało mu się zbiec.

Wkroczył do jej mieszkania niemal tak samo pewnie, jak wtedy, latem 2010, kiedy w jego umyśle zakiełkowała myśl, by związać się z nią na stałe. To wtedy zrozumiał, że nie chce dłużej być singlem. Że nie może bez niej żyć.

Zuza stanowiła jego bezpieczną przystań; tarczę chroniącą zwichrowany umysł przed coraz częstszymi

atakami szaleństwa. A jednak lekarstwo okazało się bardziej śmiertelne niż sama choroba.

Dwa lata później zaczęli ze sobą mieszkać. Konrad wyprowadził się z Żabianki, znaleźli razem wygodne trzy pokoje na rewitalizowanej ulicy Wajdeloty. Tułali się trochę od wynajmu do wynajmu, by w końcu wziąć kredyt na własne „em”. Piękny apartament z widokiem na morze. Czego chcieć więcej?

– Rozpierdoliłaś mnie. W drobny mak, na kawałki... Kurwa! Nigdy nie byłem większym wrakiem!

– Przepraszam – wychlipała.

Pięć długich sekund ciszy.

– Ale jakoś powoli zacząłem w końcu stawać na nogi. – Zaśmiał się. Bezradnie, tragikomicznie, w żadnym wypadku nie radośnie. – Kurwa. Stałem na nogi i kilka razy tak się wyjechałem... No ale jakimś cudem dalej stoję. Uczę się chodzić na nowo. Jak koleś po wylewie.

– Nie wiem, co mam ci odpowiedzieć. Nie zasłużyłeś na to.

Filmowa scena. Dwa krzesła przedzielone kawowym stolikiem, skośny dach, za nimi okno. Słońce wpadało właśnie przez lekko przybrudzoną szybę, z ratusza dobiegał dźwięk carillonów.

– Zajebicie na to nie zasłużyłem – przyznał. – Próbowałem sobie kogoś znaleźć, ale... wciąż nie mogę przestać o tobie myśleć.

Oczywiście ubrał to w eleganckie słowa. Bo przecież nie mógł zdradzić jej, że od czasu do czasu naprawdę ją widzi, rozmawia z nią, przytula. Coraz bardziej osuwał się w szaleństwo.

– Jeśli cię to pocieszy, ja też nie jestem szczęśliwsza.

– Nie pociesza mnie to ani trochę.

– Tak myślałam – odparła.

Kroon podniósł ze stosu jedną z książek. *Nieznosna lekkość bytu*. Śmiesznie, że trafił akurat na tę pozycję.

– Ale nie chcesz do mnie wrócić?

– Nie... – wyszeptała.

Bardzo potrzebował tej konfrontacji. Spotkanie z Zuzą stanowiło ważny element jego żałoby. Zrozumiał, że dawny świat nie wróci. Większość z nas wybiega myślami w przyszłość, wierzy, że wszelkie kłopoty znikną wraz z nastaniem jutra. Kroon całe życie uciekał w przeszłość, choć to właśnie tam kryło się źródło jego największego cierpienia.

Musiał zmienić kierunek. Nie żeglować do Itaki, skierować stery na przeciwny kurs. Tęsknota nakazywała mu wrócić do domu. Bo tak to już jest, że całe życie odnosimy wszystko do bezpiecznego czasu dzieciństwa. Świata niewinności, który choć nie był idealny, to w naszej wyobraźni zdawał się krainą na wpół magiczną, tajemniczą, znającą jedynie dobre zakończenia. Mama i tata. Dziadek i babcia. Dom.

Konrad nigdy nie miał takich wspomnień. A jego taktyka, by spoglądać wstecz, mogła powodować wyłącznie ból. Całe życie biegł w niewłaściwą stronę. I właśnie dlatego nigdy nie potrafił uciec.

– Spróbuję zamknąć ten rozdział. Będziemy musieli umówić się kiedyś na załatwienie formalności z mieszkaniem. Ale nie bój się, nie będę cię dłużej męczył.

– Okej – powiedziała, ocierając łzę.

Konrad podał jej chusteczkę.

– Słuchaj, mam jeszcze jedną sprawę. Tym razem zawodową.

*

Rozmawiali o Domu Steffensa. Zuza nie miała zbyt wiele do powiedzenia.

– To była jednorazowa chałturka.

– Marta Bosacka. Burza czerwonych loków, mocno ekspansywna.

Fotografka pokręciła głową.

– Sorry. Nic mi to nie mówi. Była kimś ważnym?

– Jeszcze nie wiem, kto jest ważny. Dopiero zbieram puzzle. Ona chyba stała na czele tego całego – zrobił wymowną pauzę – burdelu.

Zuzę rozbawił ten żart.

– *Nomen omen*.

– *Nomen omen* – powtórzył Kroon.

Siedzieli dalej przy tym samym stoliku. Konrad przygotował sobie formalny protokół przesłuchania

świadka, ale na razie niczego nie spisywał.

– To był fajny klub. Odwiedziłam go tylko raz, ale... podobało mi się.

– Dużo gołych cycków?

Znów ją rozbawił.

– Cycków i cipek. Poza tym sporo sztuki. Wyjątkowo wyzwolone towarzystwo. Świadome artystycznie, a jednocześnie otwarte seksualnie.

– Twoje klimaty – podsumował Kroon.

– Nawet bardzo.

– Zauważyłaś tam coś niepokojącego?

Uniosła wysoko brwi.

– Zależy, co masz na myśli. Dla wielu ludzi seks stanowi temat tabu. Czerwienią się, gdy widzą nagie ciała, chowają pod stół, gdy ktoś zaczyna robić coś więcej.

– A robili tam coś więcej?

Westchnęła.

– Coś, co powinno mi się nie spodobać?

– Coś, co powinno cię zaniepokoić – doprecyzował.

Za oknem znów zabiły dzwony. O tej porze carillonowa melodia rozbrzmiewała równo co godzinę.

Kroon trochę się zasiedział.

– Nie. Nawet nie uprawiali sado-maso.

Konrad wykrzywił usta. Wiedział, że Zuza miała dziwne fantazje. Jego to nigdy nie kręciło.

– Czyli zwykle ciupcianie?

– Striptiz, ciupcianie i sporo sztuki. To był elegancki klub, dla wyuzdanych bogatych mężczyzn.

Przychodzili tam artyści i biznesmeni.

– Ktoś znany?

Trzymała w rękach książkę Kundery. Tę samą, która chwilę wcześniej zainteresowała Konrada.

– Klienci nosili maski. Może gdybym odwiedzała to miejsce częściej... ale mówię ci. To był jednorazowy *job*.

– Ech, wcale mi nie ułatwiasz. A jacyś ochroniarze? Lipski albo Knur? Czy coś ci mówią te ksywy?

Odłożyła książkę na miejsce.

– Że to eleganccy gentlemani. – Zachichotała. – Trafiłam?

– Jak kulą w płot. Zwykli dresiarze z Wrzeszcza.

– No widzisz. Serio, nie za bardzo wiem, co ci powiedzieć.

Kroon nie dawał za wygraną.

– Poszłaś na półerotyczny spektakl, zrobiłaś zdjęcia, nagrałaś na płytkę. Znajdziesz gdzieś te klisze?

– Co ty. Pracowałam już wtedy na cyfrówce. Miałam później taką bazę dysków, ale jak mi się rozpierdolił laptop...

– Pamiętam – przyznał Konrad. – Jednak analogowe czasy były bezpieczniejsze.

– Stare czasy zawsze są bezpieczniejsze. Przynajmniej w naszych głowach. Szybko wymazujemy to, co groźne. Żeby nie zwariować.

Prokurator spojrział na błękitną okładkę książki. Ciągłe obracał się wokół różnych toposów, zazwyczaj zupełnie tego nieświadomy. Wszystkie elementy układanki, rozrzucone pośród samotnych kart czterotomowej opowieści, miały w końcu złożyć się w jedną misterną intrygę. Ale jeszcze nie dziś.

– Komu dałaś te zdjęcia?

– To była taka babeczka. Czekaj... tlenione blond włosy, lekko skośne oczy.

Słuchał z zainteresowaniem.

– Dajesz dalej...

– Kurwa, Konrad, ja nie mam takiej głowy jak ty. Chyba jakoś na M.

– Marta? Marta Bosacka?

– Nie, na pewno nie.

Imiona na M. Kroon szybko zaczął wyliczankę:

– Magda, Malwina, Milena, Marysia, Michalina...

Nie, nie, nie. Ciągłe nie to. Fotografka kręciła głową.

– Maja, Matylda, Mariola, Marianna...

– Jakoś inaczej. Daj mi chwilę. Zaraz sobie przypomnę.

Konrad postanowił pomóc swojemu szczęściu. Wyciągnął telefon, odpalił księgę imion.

– Marzena, Melania, Miłka...

– Anita! – wykrzyknęła Zuza.

– Co kurwa?? Anita, na M?

Bezradnie rozłożyła ręce.

– Tak to już czasem jest...

– Ale jesteś pewna?

– No tak. Tlenione blond włosy, taka trochę... skośna. Ktoś tam kiedyś dwa pokolenia wcześniej musiał zrobić skok w bok. *If you know what I mean.*

A więc odkrył imię potencjalnego świadka. Trochę mało, ale lepszy cyc niż nic.

– Okej. Ale ona miała coś wspólnego z tymi dziewczynami?

Zuza wzruszyła ramionami.

– Chyba je ogarniała. Taka menadżerka bardziej.

– Masz numer telefonu, coś?

Zuza wyciągnęła iPhone'a. Przeglądała swoje prywatne konto na portalu społecznościowym.

– Słuchaj, nic. Ale współpracowałam wtedy z takim jednym ziomeczkiem z Wawy. To Filip. – Pokazała Kroonowi ekran. – Napiszę do niego o numer. Z tego, co kojarzę, to przez niego się poznałyśmy. Chyba pracował tam znacznie częściej ode mnie.

Dziewczyna miała na imię Anita. Fotograf miał na imię Filip. Zuza zdradziła Konradowi, gdzie szukać dalszych śladów. Lecz czy powiedziała mu całą prawdę?

– Zawsze to coś – odparł prokurator.

Schował do akt pusty druk protokołu.

– Nie potrzebujesz tego zapisać?

– Nie powiedziałaś niczego, co by mi się przydało w aktach. Jeśli ten cały Filip będzie coś wiedział, wtedy go przesłucham. A ty stanowisz wyłącznie... informację o dowodzie.

Zaśmiała się.

– Okej. Możesz mnie tak skatalogować.

Zapiął plecak. Na oknie przysiadł zbłąkany, szary gołąb. Kiedy Kroon i Zuza poznali się na studiach w Krakowie, jak wszyscy zakochani karmili te cholerne ptaki ziarenkami słonecznika.

– Czyli cofnąłeś się do przeszłości – powiedziała po dłuższej chwili. – Znaczący... no wiesz. Z tym śledztwem.

– Tak. Stara zawieszona sprawa, po Hejmie. Pamiętasz go?

– Nie. Ale pamiętam tamte wakacje.

Lato 2010.

– Błąkaliśmy się wtedy po świecie, dwa beztroskie gówniarze skupione wyłącznie na zabawie. Aż dziwne, że nigdy nie trafiliśmy razem na imprezę do Domu Steffensa. To była prawdziwa Ogygia.

– Ta wyspa z Homera? – spytał Kroon.

– Tak – odparła, kładąc dłoń na błękitnej okładce książki. – Wieczna uczta, przez którą Odys nie wrócił do domu.

CZĘŚĆ CZWARTA

ZAWSZE NA ZACHÓD

MALWINA

Dom Steffensa, inaczej niż wszystkie inne domy, pustoszał zwykle dopiero koło południa. Kotary wciąż jednak były zasłonięte, zewnątrz rolety kryły sekrety klubu przed wzrokiem ciekawskich.

W powietrzu unosił się gęsty dym.

– Jesteś pewna, że się będzie nadawać?

– Tak.

Mężczyzna zaciągnął się papierosem.

– To bardzo ryzykowne przedsięwzięcie.

– Ryzykowne, ale zyskowne – odparła kobieta.

Na stole leżała fotografia Malwiny. Dziewczyna miała smukłe ciało i śliczną, niewinną twarz. Była ubrana wyłącznie w skąpą bieliznę i swój ukochany naszyjnik z zielonym agatem. Początkująca modelka. Rozkwitający łabędź.

– Naprawdę wygląda na szesnaście.

– Cudownie. Takie najlepiej smakują. Ale już nie jest dziewicą.

– Powinienem ją sprawdzić.

Powstrzymała go gestem dłoni.

– Wszystko zepsujesz. To nie może być pierwsza lepsza kurwa. Szukamy diamentów. Nieoszlifowanych kamieni, za które wytrawni handlarze zapłacą każdą cenę.

– Nie gadasz jak kobieta – stwierdził. – Ani jak matka.

– Każda matka jest lwicą. I troszczy się wyłącznie o własne stado.

Znów wciągnął solidną dawkę nikotyny. Zawsze dużo palił.

– Myślę, że większość lasek w twoim wieku nie jest taka zepsuta. Ani tak bezwzględna.

– Całe życie walczę o swoje.

– Zauważyłem – przyznał. – I ze wszystkich stron obrywasz po dupie. Zupełnie jak ja. Świat nas nie rozumie.

Kobieta przejęła od niego papierosa.

– Nie musi nas rozumieć, nie musi nas kochać. Musi nam dać, czego chcemy. Bo w przeciwnym wypadku i tak to sobie weźmiemy.

Była naprawdę bezwzględna. Nie wybaczyła światu tego, przez co ostatnio musiała przejść.

– Tylko pamiętaj, jak ktoś się wysypie...

– Tu już nie ma odwrotu. Na stole leży gruby hajs. Zamkniemy nim mordy, komu trzeba.

Zaśmiał się. Jak szarlatan, jak oszust, jak sam diabeł.

– Co ja bym bez ciebie zrobił? Na pewno nie dasz się zaprosić na randkę?

– Zawsze myślisz chujem? – rzuciła twardo.

– Przeważnie.

Oddała mu papierosa.

– Dlatego planowanie zostaw mnie.

Uniósł ręce w obronnym geście.

– Ty mówisz, ja robię. Zresztą i tak nie jesteś w moim typie. Mam na oku kogoś zupełnie innego...

– Pierdoli mnie twoje osobiste życie. – Przynęła mu fotografię Malwiny. – Rozmawiałam z nią, zgodziła się wziąć udział w naszej imprezie.

– Pojebuska – osądził surowo.

Kiedy bieda wita się z pieniądzem, tuż za zakrętem czyha zbrodnia.

– Oczywiście nie mogłam zdradzić jej szczegółów. Ale na koniec dostanie to, czego szukała.

– Walizkę złota.

Kobieta wstała od stołu.

– Jedna walizka dla niej, dwie walizki dla nas. Czas ruszać w podróż.

FELIKS HEJMO

Niby wiedział, że papierosy plus płuca równa się rak. Wiedział o tym jego internista, z którym razem jarali tuż po wizycie, wiedział o tym jego urolog, który regularnie zaglądał mu tam, gdzie nie wypada. A jednak

ciągnie nas do śmierci.

Leżał na łóżku, częstował się kroplówką. Bez garnituru postarzał się o dwadzieścia lat. Szpitalny *entourage* odziera z godności.

– Wcale tak źle nie wyglądasz – skłamał Kroon.

– Jak na trupa?

– Jak na żywego trupa.

Konrad był jedynym kolegą z pracy, który go tu odwiedził. Hejmo nie należał do ckliwych typów, a mimo to poczuł dziwne wzruszenie.

– Kiedy cię kroją?

– A weź się dowiedz.

Faktycznie. W szpitalu nawet najsilniejszy niedźwiedź staje się tylko bezbronnym gościem w pasiastej piżamie.

– Zapomniałeś spytać?

– W głowie mi się pierdoli od tych wszystkich leków. No a co tam w firmie?

Kroon zaciągnął zasłonkę odgradzającą Feliksa od reszty pacjentów. Oddział chorych na raka jak u Solżenicyna. Każdy mógł tu kapować.

– Podobno Wiesiek szykuje się na emeryturę.

– Tak nagle?

– Coś się tam poprztykał z Apelacyjnym – wyjaśnił Konrad.

– Stary komuch.

Młodszy kolega spojrział na niego z pobłażliwością.

– Przyganiał kocioł garnkowi, co?

– Mam kroplówkę i ledwo chodzę, ale przysięgam, synek, zaraz ci wpierdole.

Zaśmiali się obaj.

– Zapierdolisz mnie, jak wrócisz do pracy. Umowa?

Hejmo zakaszłał.

– Chciałbym wrócić. Ale za często słyszę bicie dzwonów.

Feliks mieszkał na Głównym Mieście tuż obok ratusza.

– Carillony?

– Dzwony żałobne. Obiecuj mi, że jak się przekręcę, to zagracie coś wesołego.

– Masz to jak w banku – odparł Kroon. – Ale na takiego karalucha jak ty trzeba czegoś więcej niż zwykły nowotwór.

Hejmo znów zaniósł się kaszlem.

– Dobra, kurwa, zmieńmy temat. Kogo wzięli na śledztwa?

– Grażynę.

Feliks o mało nie udławił się własną śliną.

– Tę tępą piczę?

– Najdłuższy staż. Wiesz, jak jest.

Oczywiście, że wiedział.

– To ty powinienesz przejąć tę działkę. Jesteś z nas najsprytniejszy.

– W życiu Warszawy.

Hejmo złapał go za nadgarstek.

– Pierdol tego Brodowicza. Tamte czasy dawno się skończyły. A ty nie jesteś już asesorem.

– Widziałeś, żeby posadzili kogoś z poprzedniego rządu? – spytał retorycznie.

– W końcu posadzą. Kilku z nich należą się sanki.

– Od polityki zbiera mi się na rzygi. Pogadajmy o czymś lżejszym. Nie wiem, choćby o tym twoim raku. Albo poobrajamy dupy komuś z roboty. Kieltrowskiemu czy Wieškowi...

Hejmo podciągnął się na oparciu.

– Za to, co Krzysiek narobił w śledztwie Ruckiego... – Głęboki, suchy kaszel. Ściszył głos. – Chodź no tutaj bliżej.

Kroon nachylił się nad starszym prokuratorem.

– No...

– Ta sprawa ma drugie dno. Powiem ci to teraz, bo nie wiem, czy się obudzę.

– Pierdolisz...

Hejmo ścisnął go mocniej za nadgarstek.

– Nie przerywaj mi, gówniarzu. Chciałem wyjaśnić, o co chodziło z tym całym Domem Steffensa. Ale Wiesiek kazał mi odpuścić. Wie coś, o czym ja nie wiem. Ktoś tam ma w tym wszystkim jakiś gruby interes. Poświęcili Ruckiego, aby kryć swoje tyłki.

– No to tym bardziej musisz się obudzić.

Zbliżał się obchód.

– Może teraz nie jest dobry czas, żeby to prowadzić. Może sprawa musi się zestarzeć, dawne zależności muszą wymrzeć. Razem z takimi dinozaurami jak ja.

– Wylizesz się z tego. Nie umrzesz.

Hejmo spojrzął na niego zmęczonymi oczyma. W pokrytych lekką mgłą tęczęwkach brakowało życia.

– Konrad, za dużo razy oszukiwałem los. Czas w końcu przestać uciekać.

LILA

Za pierwszym razem czuła się odrobinę nieswojo, dziś jednak szła chętnie, właściwie to wcale nie musiał jej zbytnio namawiać. Jeszcze pół roku temu Lila była zupełnie inną osobą. Ale pół roku w towarzystwie Alexa to dużo. Zbyt dużo.

– To, czy masz szkołę, nie jest ważne – wyjaśnił muzyk. – Liczą się talent i pracowitość.

– A warsztat? – spytała.

– Warsztat to pracowitość. Ale tego nie musisz wcale zdobywać w żadnej akademii. Znajdź sobie mistrza.

Spojrzała z ufnością na niego.

– Już znalazłam.

Przecinali ulicę Uphagena. W okolicznym sklepie koleżanki z liceum plastycznego kupowały farby, płótna i pędzle.

– Ja się nie znam na teatrze.

To było kłamstwo. Alex jak nikt potrafił udawać, mamić, naciągać. Ale Lila tego nie wiedziała.

– Czasem mam wrażenie, że znasz się na wszystkim.

Poprawił ręką włosy.

– Pamiętasz tego kolesia, z którym gadałem ostatnio w klubie?

– Gadałeś z mnóstwem osób.

Musiał przyznać jej rację.

– Fakt. Wysoki, miał przetarte jeansy i taką oczojebną koszulę...

– Zupełnie nic.

– Mniejsza o to. Przedstawię ci go dziś. Jego brat jest producentem, robi jakieś śmieszne programy typu „nie zgadniesz, co znajdziesz w garnku” czy „posprzątaj w mojej szafie”.

Zatrzymali się na przejściu dla pieszych.

– Brzmi jak straszne gówno.

– Ma z tego konkretny hajs. Ale kiedyś zaczynał od teatru. Zna sporo ludzi. Ziomków z branży.

– Myślisz, że mógłby mi coś pomóc?

– Jeśli cię polubi... Każda branża bazuje na znajomościach. A show-biznes to już w ogóle.

Stanęli przed furtką Domu Steffensa. Ochroniarz bez pytania ją otworzył; Marta Bosacka wręczyła Alexowi coś w rodzaju karnetu open. „To mój przyjaciel. Ma się tu czuć jak u siebie”.

– Byłoby zajebiste.

– Poznam cię z nim. Zagadasz o brata, może coś z tego wyjdzie. Ostatecznie i tak nie masz nic do stracenia.

Założyli maski.

– Dziękuję.

– Pamiętaj, dziecko, swój sukces musisz wyszarpać. Nikt ci niczego nie da za darmo.

*

Siedzieli w łóży. Alex, Lila, dwie tancerki i kilku eleganckich mężczyzn.

– Kurwa, maleńka, pewnie, że go spytam.

– Jeszcze będziesz gwiazdą!

– Słuchaj, zdejmij na chwilę tę maskę...

Muzyk zaprotestował.

– Ona nie jest pracownicą klubu, tylko gościem. A goście siedzą w maskach. Nie zapominajcie o tym.

– Kurwa, Alex...

Zakazany owoc smakuje najlepiej. Mężczyzna obejmował dwie półnagie striptizerki, delikatnie muskał je po biodrach, plecach, brzuchu, a jednak to ciągle nie było to. Najbardziej fascynująca ze wszystkich okazała się nastoletnia dziewczyna w masce, ubrana w skromną sukienkę i proste baleriny. Żadnych szpilek, gorsetów, seksownej bielizny. Czysta niewinność.

– Jeśli masz na coś ochotę, to grzecznie poproś – wyjaśnił muzyk. Potem ostentacyjnie przysunął się do Lili. Stuknęli się kieliszkami. – Idziemy potańczyć?

*

Na parkiecie rzadko kiedy widywano jakichś gości. W Domu Steffensa bawiono się głównie w łóżach, panowie nie przychodzili tu tańczyć. Widok dwóch kołyszących się w rytm muzyki osób musiał dziwić; wysoki mężczyzna i drobna dziewczyna. Oboje ubrani, oboje w maskach.

– Pewnie są na kwasie – oceniła jedna z kelnerek. Serwowała do stolika kolejną butelkę szampana.

– Kurwa, Wanessa, chcę to samo co oni – mruknął wyraźnie podekscytowany gość.

– Da się załatwić – odparła kelnerka. – Czym chata bogata.

Ale Alex i Lila wcale niczego nie brali. Na koszt Marty Bosackiej zamówili kilka kieliszków wina; kokainę i extasy zostawili innym. Tej nocy to muzyka była ich narkotykiem.

– Koleś się w tobie zakochał – szepnął wokalista. – Zarzuciłaś przynętę, wzbudziłaś zainteresowanie. Niedługo zrobi dla ciebie wszystko.

Lila się tylko zaśmiała.

– I co dalej?

– Dalej musisz radzić sobie sama. Wskazałem ci drogę, ale to twoja podróż.

Nigdy wcześniej nie czuła się taka wolna. Świat stał przed nią otworem, mogła dokonać właściwie wszystkiego. Jedyłą granicę stanowiła własna wyobraźnia.

– I zagram w teatrze? Zostanę aktorką?

– Jeśli tylko tego zapragniesz.

Alex był jej mistrzem i przewodnikiem. Piastunem wskazującym kurs na niemożliwe.

– Wiesz, jeszcze kilka miesięcy temu bym się tego bała. Że nie dam rady, że zje mnie stres, że nie odważę się wyjść ze strefy komfortu. Ale dzięki tobie zrozumiałam, że te wszystkie sztuczne ograniczenia, narzucane przez szkołę, rodziców, społeczeństwo, to klatka.

Przy barze pojawiła się Anita. Choć także nosiła wenecką maskę, nie czuła się gościem. To ona odkryła przed Alexem Dom Steffensa. Była katalizatorem, który przyspieszył akcję dramatu. Składnikiem, bez którego tak wiele nieszczęść nigdy nie doszłoby do skutku.

– Indywidualizm jest trudną i bolesną sztuką – wyjaśnił muzyk. – Będziesz musiała zrobić rzeczy, które zwykłym ludziom nie mieszczą się w głowie. Ale pamiętaj, że wszelkie normy to jedynie krzyk rozpaczliwej, bezwolnej masy, która nie potrafi myśleć samodzielnie. I boi się przebudzenia.

– Jak ty to robisz? – spytała dziewczyna. – Wziąłeś małą, przestraszoną dziewczynę, dałeś jej skrzydła i kazałeś latać. A teraz szybuję tu razem z tobą.

W tym momencie podszedł do nich mężczyzna, z którym rozmawiali kilkanaście minut wcześniej. Brat producenta z Wawy.

– Gadałem z brackim. Chce cię poznać.

– Serio? – zdziwiła się Lila.

Alex delikatnie uniósł kąciki ust. Zupełnie jakby zamierzał powiedzieć: „A nie mówiłem?”.

– No raczej. Ja nie robię z mordercy. Jak ten tu twierdzi, że jesteś dobra – wskazał palcem na wokalistę – to musisz być. Nie ma innej opcji.

– Boże! – pisnęła uradowana.

To była ostatnia chwila, by dostrzec znaki, wcisnąć hamulec bezpieczeństwa, zawrócić, umknąć,

wybiec w popłochu. Dziesiątki drobnych szczegółów krzychało, że trzeba uciekać. Lila zlekceważyła je wszystkie. Nie uciekła. I nigdy już nie ucieknie.

KUBA

Krył się po różnych dziwnych melinach, dorwali go na podmiejskim złomowcu. Po prostu skończyła mu się kasa, miał dostać lewą fuchę, wszystko w absolutnym sekrecie. Pewnego razu dokonał złego wyboru, opowiedział się nie po tej stronie barykady, co trzeba. Ale barykadę już zburzono, przeciwnik szturmował flanki, wroga armia przejęła miasto i teraz szukała niedobitków.

– A jak go nie znajdziemy? – spytał młody Kardaś.

– Co ty się tak, kurwa, wszystkim ciągle martwisz? – fuknął -Patryk Liedke. Wyciągnął pistolet. – Klamka w łapę i napieramy.

Szli aleją wytyczoną przez długi rząd zgniecionych aut.

– Kto się wysypał?

– Twoja stara. Nie pierdol tyle.

Nieopodal płotu z siatki stała zdezelowana przyczepa kempingowa. Patryk przykucnął pod jednym z przywiezionych do utylizacji samochodów.

– Wbijasz tam. – Liedke wskazał w stronę przyczepki. – A ja tu pilnuję.

– Mam iść sam? – zdziwił się Kuba.

– A do kibla też zawsze z kimś łazisz? Atakuj!

Patrykowi się nie odmawia. Kardaś chwycił mocniej spluwę i ostrożnie zakradł się do przyczepki. Stał plecami do pojazdu i czekał na znak.

Gangster skinął głową.

Kardaś pociągnął za drzwi i wparował do środka.

– GLEBA, KURWO! – zawołał na widok poszukiwanego.

– Kardaś! – krzyknął mężczyzna.

– Gleba! Nie słyszysz, co mówię?!

Rubas uniósł ręce. Albo tak to przynajmniej wyglądało. Zamiast posłusznie wywiesić białą flagę, pchnął na Kubę metalowy regał na narzędzia, po czym dał nura przez okno.

– Kurwa! – ryknął Kardaś. Sekundę później usłyszał strzały.

Wyskoczył na zewnątrz. Pod przyczepą leżał skulony Rubas i trzymał się za kolano. Tuż nad nim nachylał się Liedke.

– Trzy miesiące cię szukaliśmy, pizdo!

Kuba podbiegł do poszukiwanego i z całej siły kopnął go w brzuch. Mężczyzna zawył z bólu.

– Będziesz we mnie szafą napierdalał? – warknął Kardaś.

– Szef przesyła pozdrowienia – rzucił Patryk.

Rubas uciskał ranę postrzałową.

– Panowie, kurwa... przecież ja nic...

Kuba raz jeszcze zasadził mu kopniaka.

– Przechwyciliśmy twoją Nikolę – kontynuował Liedke. – Niezła suka. Fajnie piszczy.

– Kurwa, co jej zrobiliście? – pisał Rubas. Na ziemi wydawał się taki bezbronny.

– Zeszmaciliśmy – wyjaśnił gangster. – A to wszystko przez ciebie. Za to, że jesteś takim pierdolonym szpiclem.

Plama krwi robiła się coraz większa.

– Zostawcie ją. Zapłacę wam.

Patryk wybuchnął śmiechem.

– Czym, kurwa? Kradzionymi felgami ze szrotu? Jakbyś miał, kurwa, choć trochę kasy, już byś siedział za granicą.

– Kurwa – pisał Rubas. – Zadzwońcie po karetkę. Zaraz się wykrwawię.

– Po karetkę? Po karetkę? Może jeszcze mam poprosić niebieskich, żeby tu grzecznie przyjechali? –

Patryk zwrócił się bezpośrednio do Kardasia: – Kubuś, zastrzel go.

Zastrzel? W pierwszej chwili chłopak pomyślał, że to żart. Pilnował porządku, regularnie obijał komuś ryja, umawiał się na ustawki w lesie. Ale jeszcze nigdy nikogo nie zabił.

– Ja? – wyjąkał.

– Nie, kurwa! Robert Makłowicz!

Jakoś tego nie przewidział. Biegał z pistoletem po mieście, kilka razy strzelił komuś w samochód, ale... odebrać życie? Tak serio?

– Kurwa, Patryk, może go po prostu zawieziemy na melinę...

– STRZELAJ, CHUJU! – warknął Liedke.

Kardaś skumał, że jego szef nie żartuje. To było polecenie z samej góry.

– Na pewno?

– Do której bramki grasz?! – wydarł się gangster. – Do której grasz bramki?!

Chrzest krwi. Z tej drogi już nie zawrócisz. I nigdy nie uciekniesz.

– Do tej samej, co ty – wymamrotał.

Raz jeszcze spojrzął na Rubasa. A później pociągnął za cyngiel.

ALEX

Tak naprawdę chodziło mu o Nią. Zawsze, nieustannie, pierwotnie. Po dziesięciu długich latach rozłąki w końcu ją odnalazł. I nie zamierzał już więcej zgubić.

– Marta się w tobie zakochała – oznajmiła Anita.

– Wszystkie się zawsze we mnie zakochują.

Spojrzała na niego z ukosa.

– Nie bądź taki do przodu, bo ci z tyłu zabraknie.

– Wszystkie poza tobą – sprostował. – Chociaż w końcu i ty mnie polubisz.

Jechali taksówką do Sopotu. Wracali z całonocnej imprezy, Alex zamierzył wkręcić się do Anity na późne śniadanie.

– Bardzo cię lubię – odparła. – Od pierwszego wschodu słońca na stoczni.

– Czyli mam szansę.

Spośród setek osób, które dały się uwieść hipnotyzującemu spojrzeniu mężczyzny, jedynie Anita wykazywała dziwną odporność na jego magię. Może chodziło o jej rdzenno amerykańskie korzenie, może o całkiem coś innego.

– Nie taką, jak myślisz.

Poklepała go po kolanie.

– Chciałbym wrócić do tego, co było. Zacząć od nowa.

– A niby co się wtedy działo? – Zaśmiała się. – „Między nami nic nie było. Żadnych zwierzeń, wyznań żadnych...”¹.

Oboje kochali poezję.

– „Prócz wiosennych marzeń zdradnych”².

Anita miała ochotę recytować dalej. Zamiast tego momentalnie wróciła na ziemię. Była samotną matką, nie mogła pozwalać sobie na swobodny rejs statkiem marzeń. Dorosła. Spoważniała.

– Masz wszystko, co potrzebujesz. Tłumy rozhisteryzowanych nastolatków, każda gotowa wskoczyć z tobą do łóżka. Widziałam, że jedną zacząłeś nawet przyprowadzać do klubu. Nowa zabawka?

– Chciałem zrobić ci na złość.

A więc tak. Po prostu grał w jakąś pokręconą grę. Zawsze tak robił.

– Widziałam, z kim ją poznałeś. Wiesz, co to są za ludzie?

– Dla mnie liczysz się tylko ty.

Mijali właśnie gdańską Żabiankę. Na czerwonym świetle czekał posłusznie trzydziestoletni mężczyzna na rowerze. Kilka dni temu przesłuchiwał Alexa.

– Dla ciebie liczysz się wyłącznie ty sam. Zawsze tak było. Bawisz się ludźmi.

– Hola, hola! – Wokalista musiał zaprotestować. – A kto niby werbuje młode laski do luksusowego burdelu?! To ma być przejaw miłosierdzia?

Prychnęła.

– Dostają pieniądze. Duże pieniądze.

– Zajebiście. Czyli przymus ekonomiczny.

Walnęła pięścią w podłokietnik. Kierowca łypnął na nią spode łba.

– Mam się czuć winna? Do niczego ich nie zmuszam!

Alex był innego zdania.

– Widziałem tę całą Malwinę. Fajna dzaga. Uboga jak mysz kościelna, śliczne ciało, wąły umysł. Możesz jej nawkładać do głowy, co tylko chcesz. Lepić jak glinę. Zniewalać i niszczyć. Łudzi się, że jak trochę pocierpi, to znajdzie w końcu księcia z bajki. Bogatego szejka. Ale ten szejk po pierwszej nocy każe ściąć jej łeb i wrzucić do jamy z tygrysami.

– Kawał chuja z ciebie.

– Kawał szczerego chuja. Po prostu mówię ci, jak to widzę. Zarzucasz mi, że myślę tylko o sobie. Ale co ja takiego właściwie robię?

– Oszukujesz ludzi – fuknęła.

Skręcili w ulicę 3 Maja.

– Dokładnie tak samo jak ty.

– Może się pan tu zatrzymać?! – zawołała na taksówkarza. – Ten pan tu wysiada.

– Anita, może cię to zabolalo, ale tak naprawdę jesteśmy tacy sami. Za nic mamy świat, pierdolą nas problemy innych.

Nachyliła się nad nim, by pociągnąć za klamkę przeciwnych drzwi.

– Do widzenia.

– Nigdzie nie idę. Już raz cię zgubiłem. I więcej nie popełnię tego błędu.

– O co ci w ogóle chodzi! Przyczepiłeś się do mnie jak gównu do psiego ogona, łazisz po mieście, prześladujesz, a teraz jeszcze zacząłeś obrażać! Za kogo ty się masz?

– Za szaleńca – odparł całkiem trafnie. – Który jeden jedyny raz poznał, jak smakuje prawdziwa miłość. I dla tej miłości jest gotów podpalić cały świat.

1 Adam Asnyk, *Między nami nic nie było*, w: tegoż, *Poezje*, wstępem poprzedził Stefan Lichański, Warszawa 1974.

2 Tamże.

ROZDZIAŁ 19 | SIERPIEŃ TEGO ROKU

PATRYCJA RADKE

Długo biła się z myślami, czy to zrobić. Kiedy gadali ostatnio przy okazji sprawy Ruckiego, była dla Kroona trochę niemiła. A prawdę powiedziawszy, Konrad wcale na to nie zasługiwał.

Do Brzeźna pojechała rowerem. Przypięła pojazd do stojaka, ruszyła w stronę furtki. Znała kod do domofonu, ale i tak zamierzała zadzwonić.

Wcisnęła przycisk. Nic.

– Zajebicie – mruknęła.

Terminal wyglądał na uszkodzony. Mogła wyciągnąć komórkę, spytać, czy jest w domu... Zamiast tego po prostu mocniej pchnęła. Metalowe drzwiczki posłusznie odskoczyły.

„Świetna ochrona przed złodziejami” – pomyślała Patrycja.

Szutrową alejką doszła do schodów. Drzwi na klatkę otwarto na oścież, dwóch silnych mężczyzn próbowało przecisnąć się przez nie z kanapą.

– Za sekundę pani przejdzie! – krzyknął jeden z nich.

– Spokojnie. Nie spieszy mi się.

Grzecznie poczekała na swoją kolej, po czym weszła do środka. Windą na górę. Tym sposobem całkiem niepostrzeżenie stanęła pod jego mieszkaniem. Nacisnęła dzwonek.

– Patrycja? – Kroon wyglądał na zaspanego.

Miał na sobie same slipy, pewnie odsypiał za cały tydzień. Wkręcił się w sprawę Ruckiego, nie potrafił myśleć o niczym innym.

– Hej. Ja tylko na sekundkę.

W drzwiach pojawił się Fender. Zwykle czekał na gości, teraz wesoło merdał ogonem. Patrycja przykucnęła. Podrapała go pod pyskiem.

– Wejdiesz? – spytał prokurator.

– Nie. Przejeżdżałam obok, pomyślałam, że ci to oddam. – Wręczyła Konradowi niewielki pakunek.

– Co to?

– Kiedyś mi pożyczyłeś i jakoś tak się przeciągnęło...

Mężczyzna odpakował zawiniątko. Wewnątrz foliowej siatki znajdowała się książka o żółto-czarnej okładce.

– *Weiser* – stwierdził. Na jego twarzy zagościł lekki uśmiech. Bardzo lubił tę powieść. – I jak ci się podobała?

Patrycja spuściła wzrok. Znowu zajęła się Fenderem.

– Prawdę powiedziawszy, nie miałam czasu czytać.

– To czemu mi ją oddajesz?

– No wiesz... – zawiesiła się. – Nie chcę być złodziejką książek.

– Usprawiedliwiona. – Konrad otworzył szerzej drzwi. – Na pewno nie wejdiesz?

Radke zastanawiała się, czy ktoś jest w środku. Jakaś kobieta? Czy od ich nieudanej próby zaprosił tu inną? Spojrzała na buty.

W przedpokoju leżały tylko jego adidasy.

– Serio, nie dam rady – skłamała.

Mogli być piękną parą. Świetnie im się gadało, śmiało, całowało. Czują się przy nim kimś wyjątkowym.

– A co masz lepszego do roboty?

– Umówiłam się z koleżanką – zablefowała.

Konrad od razu wykrył nieszczerłość w jej głosie.

– Którą koleżanką?

– Znaczy... z Gracjanem się umówiłam.

„Kumpel gej” – pomyślał Konrad. „Słabe wytłumaczenie”.

Zrozumiał, że Radke boi się skorzystać z jego zaproszenia. Szukała wymówki, ale tak naprawdę wyciągała rękę na zgodę. A on nie wiedział, co ma zrobić.

W życiu zawodowym rzadko kiedy dawał się zaskoczyć. Błyskawicznie reagował. Teraz stał zdezorientowany, z opuszczoną tarczą, bezbronny niczym mały chłopiec.

Nie był gotowy na to spotkanie. Bał się, że znów ktoś rozwali mu życie, które tak pieczołowicie próbował poskładać do kupy.

– Z Gracjanem... – powtórzył.

Stali kilkanaście sekund w ciszy. Fender wyszedł na klatkę, okręcił się wokół Patrycji. On jedyny wyczuwał, co należy zrobić.

– No z Gracjanem – szepnęła.

Konrad opierał się o drzwi. Mógł zachować się jak zawsze, być stanowczy, przejąć inicjatywę. W końcu pogrzebał już Zuzę, rana się zabiłiżniła. Czas ruszyć dalej. Mógł zaprosić ją do środka, do mieszkania, do swojego życia.

Nie zrobił tego.

– Może kiedyś – wyszeptał.

– Może kiedyś – odpowiedziała.

Kiedy znikala w windzie, Kroon w dalszym ciągu ją obserwował. Czuł aromat perfum, który zostawiła na klatce, w dłoni trzymał przesiąkniętą jej zapachem książkę.

Przez chwilę miał ochotę pobiec, zatrzymać ją, powiedzieć, co czuje.

„Nie mogę się teraz rozpraszać” – pomyślał. Pierwszy raz od długiego czasu czuł, że podąża właściwą drogą. Robi to, do czego został powołany, to, co mu wychodzi najlepiej.

Jeśli zaczęłyby znów dłużyć w emocjach, w swoim pokręconym osobistym życiu... To nie był odpowiedni czas.

„Jeżeli ja nie wyjaśnię tej sprawy, nikt tego nie zrobi. Muszę zamknąć śledztwo. Później zajmę się sobą”.

KONRAD KROON

Fotograf z Domu Steffensa. Ślad, którego nigdy nie miał odnaleźć. Wskazówka ofiarowana mu przez Zuzę. Wstęp do zbrodni. Wprowadzenie do serii brutalnych gwałtów sprzed czternastu lat. Okrutnych przestępstw skrytych przed kaprawym okiem wymiaru sprawiedliwości.

– Lato dwa tysiące dziesięć – tłumaczył świadek, spoglądając na surowe wnętrze prokuratorskiego gabinetu. – Klub otworzono jakoś po Nowym Roku, przestał funkcjonować jeszcze przed jesienią. Od początku chcieli zrobić z tego coś wielkiego.

– Burdel klasy premium – skwitował Kroon.

Filip zaczął się śmiać.

– Coś w ten deseń. Urządzali tam sporo pokazów, artystycznych performance'ów.

– Przekraczali granice?

Lepiej uważać na słowa. W rozmowie z prokuratorem jedno nieostrożne zdanie może wywołać lawinę pytań. A lawina pytań zawsze oznacza kłopoty.

– Granice sztuki? Pewnie tak. Ale z drugiej strony w dzisiejszych czasach, kiedy wszystko już było, trudno mówić o tworzeniu jakiejś nowej jakości. To był głównie teatr.

– Ze striptizerkami w roli głównej.

– No... tak – przyznał niechętnie. – Sexworkerkami. W dwa tysiące dziesiątym to nie było takie oczywiste, ale teraz, w dobie kamerek i Onlyfans... chyba przecierali szlaki tego, co dziś powszechnie akceptujemy.

– Myślę, że znakomita część naszego społeczeństwa w dalszym ciągu tego nie akceptuje. Ale nie wezwałem pana do siebie, żeby wydawać etyczne sądy. Szukam ofiar. I sprawców.

Fotograf kiwał ze zrozumieniem głową.

– W Domu Steffensa?

– Na jego gruzach.

Konrad nie zamierzał nikogo oceniać. Daleko mu było do moralisty. Jego pokręcona religijność akceptowała fizyczność o wiele mocniej, niż pozwalały na to kościelne dogmaty. Ale w tej chwili nie zamierzał rozprawiać o tym, co obyczajne. Chciał odkryć zbrodnię. Bo z każdym zebrany dowodem coraz mocniej czuł jej obecność.

– Bzykali się za kasę. To na pewno. O ile wiem, prostytutka jest w Polsce legalna.

– Nie jest legalna. Ale nie jest też zakazana.

– A to nie to samo? – spytał Filip.

Kroon wziął do ręki długopis.

- Granica biegnie bardzo płytko.
 - Pan wybaczy. Nie jestem prawnikiem.
- „Na szczęście” – pomyślał Konrad.

– Czy coś pana zaniepokoiło? Czy ktoś, ktokolwiek, zachowywał się wobec tych sexworkerek nie w porządku?

- Faceci byli napruci, często na dragach, lepili się, kleili... ale to chyba nic dziwnego w takim miejscu?
- A przemoc? Łamanie czyjejś wolnej woli? Zmuszanie do seksu?
- Chodzi o gwałty? Czy można zgwałcić prostytutkę?

Prokurator przytaknął.

- Można. Widział pan coś takiego? Albo słyszał o tym?

Musiał się chwilę zastanowić.

- Nie – odparł.

Kroon analizował jego zachowanie. Facet go nie kitował.

– Co nie znaczy – dodał niespodziewanie świadek – że nic takiego nie miało miejsca. Ja tam wpadałem jedynie na eventy. To była bardziej wyszukana strona klubu. Raz na dwa, trzy tygodnie. A oni funkcjonowali przez cały tydzień, od zmierzchu do świtu. I wiadomo, że chodziło głównie o seks. Te wszystkie spektakle stanowiły wyłącznie dodatek. Element odróżniający.

- Skoro nie pan, to kto?

Fotograf nie zrozumiał.

- Skoro ja nie co?

- Skoro pan mi nie pomoże, to kto inny?

Spojrzeni sobie w oczy.

- Ktoś przekroczył granicę? – spytał Filip. – Zrobił coś któreś z tych dziewczyn?

- Nie mogę tego panu zdradzić. Ale potrzebuję wskazówek. Adresów, telefonów, nazwisk.

Mężczyzna wyciągnął komórkę. Kliknął w listę kontaktów, przywołał jeden z profili.

– Dam panu numer do Wanessy. Kręciliśmy ze sobą tamtego lata. Pracowała w Domu Steffensa jako kelnerka.

Szukaj igły w stogu siana. A jednak gdzieś tam pośród pożółkłych źdźbeł trawy kryje się niewielki, metalowy przedmiot. I jeśli masz w sobie wystarczająco dużo determinacji, w końcu go znajdziesz.

- To aktualny numer?

- Raczej tak. Ostatnio wysłała mi jakiegoś mema z okazji świąt.

Konrad zanotował dane świadka. Osoby, która w końcu miała wskazać właściwy kierunek poszukiwań.

- Chciałem jeszcze podpytać o osobę, która pana zatrudniała.

- Formalnie?

Kroon przewinał okienko z protokołem.

- Oczywiście, że formalnie.

– Kasa leciała do ręki. A wszystko nakręcała taka jedna babeczka, koło trzydziestki. Tlenione blond włosy, lekko skośne oczy.

Zuza mówiła dokładnie o tej samej osobie.

- Jak się nazywała?

- Kurczę, nie pamiętam. Miała na imię Anita. Ale nazwisko... Chyba nigdy nie pytałem.

Cierpliwość draży skałę. Kolejna osoba wskazywała na tajemniczą Anitę.

- Proszę się dobrze zastanowić. Może ma pan jej numer?

Świadek spojrzał w komórkę.

– Wykasowałem. Pamiętam, że ona tak nagle zniknęła. To było jakoś pod koniec wakacji. Wszystko ogarniała, a później po prostu przestała się do mnie odzywać. Jej telefon nie odpowiadał. Wtedy i tak już właściwie nie robili żadnych pokazów, czuć było atmosferę tymczasowości. Chwilę później zamknęli Dom Steffensa.

- Czy ktoś coś mówił na jej temat?

Fotograf próbował odtworzyć w głowie przebieg tamtych wydarzeń.

- Chyyyba nie. Przyszedł do mnie taki jeden gość, co robił w ochronie, i powiedział, że już więcej

impresz nie będzie. Zapłacił za robotę, kazał się zawiązać.

– Przypomni pan sobie jego nazwisko?

– Fabian. Fabian... yyy... jakiś tam.

Kroon musiał mu pomóc. Wyciągnął z akt kartkę ze zdjęciami czterech różnych osób. Tablica pogładowa.

– Któryś z nich?

Filip wskazał na jednego z mężczyzn.

– Ten tutaj. Taki trochę narwany.

Martwy gangster i tajemnicza skośnooka blondynka. Czy Anita była jedną z ofiar? A może to ona pociągała za wszystkie sznurki? Zaginiona przesłanka. Kolejny element skomplikowanej układanki.

– Bardzo mi pan pomógł – powiedział Kroon. – Teraz jeszcze tylko będę potrzebował podpisu na protokole.

– Jasne.

MARTA BOSACKA

Mecenas Wykopkowski był adwokatem starej daty. Znaczy to mnie więcej tyle, że zdążył się nachapać, jeszcze zanim uwolniono rynek i wpuszczono do palestry tysiące nowych absolwentów prawa, którzy byli gotowi zrobić dokładnie to samo co ich starsi koledzy, a nawet i więcej, tylko za znacznie mniejsze pieniądze. Wykopkowski nigdy nie brał klientów z ulicy. W latach dziewięćdziesiątych obsługiwał wyłącznie biznesmenów bywających gangsterami i gangsterów udających biznesmenów; dziś zgrywał więc tego poczciwego, dobrotliwego adwokacine, który z chęcią bawił wnuki i wypowiadał się w mediach na temat kolejnych kodyfikacji karnych. Poważane nazwisko, prawniczy autorytet. Głos rozsądku, obrońca demokracji, miłośnik praw człowieka. Nobliwa wizytówka.

Marta Bosacka знаła Wykopkowskiego jeszcze z „tamtych czasów”, kiedy był po prostu papugą od lewej kasy. Stare zobowiązania, nierozliczone przysługi, wstydlive tajemnice.

– Niepokoi mnie ta cisza – powiedziała, zaciągając się papierosem.

Kancelaria Wykopkowskiego mieściła się w przedwojennej kamienicy na Wajdeloty, urokliwej uliczce Dolnego Wrzeszcza.

– Zazwyczaj ludzi martwi hałas – odparł mecenas.

Z każdym rokiem był coraz bardziej zmęczony, czasem myliły mu się niektóre fakty. Ale nie odważył się odwieść togi do szafy.

– W ogóle nie interesujesz się moją sprawą. Nie śpię po nocach, a ty masz to wszystko totalnie w dupie.

– Marto, niby co miałbym robić?

Rzuciła okiem na bogato zdobione gdańskie meble. Podliczyła je na szybko. Każde z tych cacek kosztowało kilkadziesiąt koła. Figurki z desy i obrazy młodopolskich malarzy – kolejnych kilkaset klocków. Władował w to wnętrze całkiem sporo pieniędzy.

– A ja skąd niby mam wiedzieć? Nie jestem prawnikiem! Ale w kancelarii, która prowadzi sprawy mojej firmy, pracują sami młodzi trzydziesto-, czterdziestolatkowie. Są ciągle pod telefonem, na maile odpisują nawet w środku nocy, żyły sobie wypruwają, żeby tylko przedłużyła im kontrakt! – fuknęła.

Mecenas spokojnie uniósł imbryk z herbatą. Wiedeńska porcelana.

– To może zatrudnij któregoś z nich? Cóż stoi na przeszkodzie?

– Przeszłość. Moja, twoja, nasza...

Wykopkowski wziął do ręki filiżankę. Obserwował delikatną złotą obwódkę namalowaną na rancie naczynia.

– Myślisz, że jeszcze wypada do tego wracać?

– To nie był mój pomysł – odparła Bosacka.

– Domyślam się. Gdybyś miała w sobie choć krztę sentymentalizmu, nie kazałabyś przejechać starej dziewiętnastowiecznej willi buldożerem. To był taki piękny budynek...

Kobieta spojrzała na marmurową figurkę Temidy. Oczy zasłonięte przepaską, nagie ramiona, ciało okryte dość skąpą szatą. Brakowało jej tylko weneckiej maski.

– Też mi go szkoda. Ale nie chciałam, by komukolwiek o czymkolwiek przypominał.

– Co z oczu, to z serca... A jednak ktoś sobie przypominał.

Bosackiej skoczyło ciśnienie.

- Mów!
 - Co mam mówić?
 - No czego się dowiedziałeś?! – krzyknęła.
- Mecenas wziął łyk herbaty.

– Niczego, co mogłoby cię zaniepokoić. Po czternastu latach znaleźli w końcu Ruckiego. Do niczego się nie przyznał, niczego nie powiedział. Prokurator przesłuchiwał kilka osób, które pracowały w Domu Steffensa. Ale nic na ciebie nie ma.

– Tak samo mówiłeś już przedtem. A potem policja wparowała mi do firmy!

– Spokojnie. Ujęli sprawcę gwałtu, potrzebowali świadków, którzy potwierdzą wersje pokrzywdzonych. *Nichts mehr*.

– Skąd niby ta pewność?

Na jego pomarszczonej twarzy zagościł delikatny uśmiech.

– Mam jeszcze kilku przyjaciół. Nie wszyscy umarli.

– To po co im byłam potrzebna?

– Przecież to ty zatrudniałaś te wszystkie młode dziewczyny. Któraś musiała cię wskazać.

Bosacka poczuła lekkie ukłucie. Od niektórych win nigdy nie da się uciec.

– Co mogą mi zrobić?

Wykopkowski rozłożył szeroko ręce. Filiżanka z herbatą nieznacznie zadrżała, ale mężczyzna nie uronił ani jednej kropli.

– Nawet jeśli dowiedzą się, jaka była prawda?

– Jeśli dowiedzą się wszystkiego – dokończyła.

– Wszystko się przedawniło. Przynajmniej, jeśli chodzi o twoje grzechy – wyjaśnił, mocno akcentując przedostatni wyraz.

Kobieta zwilżyła usta wodą.

– A cudze grzechy?

– Chodzi ci o Drugi Dom?

Znów przeszły ją dreszcze.

– Tak – powiedziała cicho. Zbyt cicho.

– To był wypadek przy pracy. Incydent, którzy cywiliści nazwaliby winą w nadzorze. Ale my zajmujemy się prawem karnym. A w jego świetle jesteś niewinna.

– Gdyby nie mój klub...

Mecenas momentalnie się ożywił.

– Nie robiliśmy niczego złego. A gdy tylko sprawa wyszła na jaw, odcięliśmy się od tamtych ludzi, zamknęliśmy interes i zniszczyliśmy ślady.

– A jeśli coś nam umknęło? Jeśli ktoś znajdzie między nami powiązanie?

Wykopkowski zapadł głębiej w fotel. Wrócił do delektowania się herbatą.

– Takie powiązanie nie istnieje. Nie w sensie prawnym. A co do Drugiego Domu... wątpię, by po tylu latach komukolwiek udało się dowiedzieć o jego istnieniu. Kroon to narwaniec. Ale nawet on nie jest takim szaleńcem, żeby rozgrzebywać równie stare rany.

KONRAD KROON

Wezwanie do prokuratury zawsze wywołuje silny stres. Nawet jeśli sprawa nie dotyczy cię bezpośrednio, śledczy chce tylko spytać o sąsiada z naprzeciwka, a ty wiesz, że masz czyste sumienie, to jednak zaliczasz nieprzespaną noc, z trudem łapiasz oddech, drżącą dłońią wyciągasz dokument tożsamości. Bo przecież wszyscy mamy jakieś grzechy. I choćby wmawiali ci, że to tylko błahostka, ktoś kiedyś musiał cię widzieć, a teraz się zdradził, szepnął słówko, a ty poniesiesz w końcu konsekwencje.

Wanessa bardzo się bała. Wezwanie przyniósł jej dzielnicowy, sprawiał wrażenie obojętnego, mówił, że nie wie, czego sprawa dotyczy. Teraz siedziała na przesłuchaniu, prokurator niby był przystojnym i całkiem ułożonym gościem, ale tacy są najgorsi.

– Proszę się nie denerwować – powiedział Kroon, starając się ją jakoś uspokoić. – Tu nie chodzi o panią.

– Tak. Ja wiem. Znaczy... ja właśnie nic nie wiem...

Prowadziła salon z paznokciami. Dwa stanowiska, nic imponującego, szumna nazwa Beauty Palace

miała nadać jej splendoru, zgarnąć nieco więcej klientów z internetowej reklamy. Beauty Palace, a tak naprawdę ledwo wiązała koniec z końcem. Nie zawsze wystawiała paragon, wrzucała w koszty osobiste zakupy, celowo zaniżała dochód. Wszyscy tak robią.

– Chciałem zaprosić panią na wycieczkę w przeszłość. Do lata dwa tysiące dziesiątego roku.

Myślała, że co najwyżej zrobią jej kontrolę z urzędu skarbowego. Ale od razu prokurator?

– Pracowała pani wtedy jako kelnerka w Domu Steffensa – kontynuował Kroon. – Czy tak?

Ktoś ostatnio wspominał, że teraz trzepią, kogo popadnie. Najpierw zarzuty i kara, a jak się nie podoba, to przecież zawsze możesz się odwołać. Rozpoznanie bojem.

– Pani Wanesso?

Zamkną jej zakład, komornik wejdzie na konto, z czego ona opłaci rachunki?

– Pani Wanesso?

– Tak? – szepnęła, wciąż zagłębiona w swojej gonitwie myśli. Nieustannie się wszystkim zadreęczała, niepokój zaszyty pod skórą mocniej niż esperal. Jeśli przestaniesz się martwić, zaraz poczujesz mdłości.

– Czy pracowała pani w Domu Steffensa?

Dom Steffensa? Stare czasy, dopiero co skończyła technikum. Najpierw robiła w jakiejś polskiej knajpie o egipskiej nazwie, shoar-ma z kurczaka, frytecзки do tego, siedem złotych na rękę, ale dorobisz na napiwkach. Później trafiła do klubu. I wtedy naprawdę zaczęła zarabiać.

– Taaak – odparła tak niepewnym głosem, że trudno było poznać, czy jest to jeszcze pytanie, czy może już odpowiedź.

– Tak-tak, czy tak-nie? – spytał Konrad, próbując zorientować się, co miała znaczyć owa melodyka wypowiedzi.

Kobieta nerwowo ścisnęła palce.

– Przepraszam?

W ogóle nie kontaktowała.

– Pani Wanesso, czy latem dwa tysiące dziesiątego pracowała pani w Domu Steffensa?

Chwila ciszy.

– No tak.

– Świetnie.

Pierwsze koty za płoty. Zapisał to w protokole.

– Pani Wanesso, sprawa jest poważna. Komuś stała się krzywda. Wtedy, te czternaście lat temu. I trzeba ją w końcu wyrównać.

Dom Steffensa. A więc nie zakład kosmetyczny, nie drobne przekręty na podatkach, nie ona. Klub, w którym pracowała tuż po szkole.

– Rozumiem – powiedziała, spuszczać głowę.

Sądziła, że pytają o to już wcześniej. Wtedy, kiedy zawinięto Ruckiego. Wanessa pracowała jako kelnerka, dziewczyny dużo gadały. „Jak była taką debilką, żeby wsiaść z Nikodemem do auta, to jej problem”. „Každy wiedział, że Rucki to zbok”. „Kurwa, ja bym mu nie pozwoliła”.

Wypadek przy pracy. Dom Steffensa. Luksusowy klub go-go dla facetów z hajsem. Nie wpuszczali tam byle kogo. Sutenerska biznesklasa, nasz klient, nasz pan, wysokie napiwki, dobre dniówki, jeśli musisz się puszczać, to nie można lepiej trafić.

To, co zrobił Rucki, było nie do pomyślenia. Sexworkerki pracowały dobrowolnie, Wanessa często z nimi gadała, żadna się na nic przesadnie nie skarżyła. Aż pewnego dnia jedna z dziewczyn po prostu zniknęła. Malwina. Młoda, początkująca modelka. Przestała przychodzić do pracy, nie odbierała telefonów. Wanessa zaczęła pytać. „Nie interesuj się zbytnio” – polecił jej Fabian Wende, który zajmował się ochroną klubu. „Dobrze ci płacą, spuść mordę, rób swoje. Kumas?” Od razu zrozumiała. Rucki nie wydarzył się przypadkiem. Stanowił część większej całości.

– Pani Wanesso? – powiedział Konrad, widząc, jak po twarzy kobiety spływają łzy. Jakby wspomnienie tajemniczego klubu obudziło w niej dawne demony. Trauma wyzwolona.

– Przepraszam! – ryknęła, wybuchając płaczem.

Spotkała Malwinę jeszcze tamtego lata, w Poznaniu. Miała posiniaczoną twarz, gruba warstwa makijażu nie mogła ukryć obrażeń. Wychodziła od lekarza.

„Malwina, Boże! Co ci się stało?”

Koleżanka nie chciała rozmawiać. Speszyla się.

„Wanessa... uciekaj stamtąd. To jest pułapka”. Nic więcej nie zdołała powiedzieć. Rozpłakała się, po czym wskoczyła do taksówki.

Ale Wanessa musiała dążyć dalej. Bo kilka dni później kolejna z modelek przestała przychodzić do pracy. Atmosfera w klubie robiła się coraz bardziej napięta.

– Czy już dobrze? – spytał Kroon. Przez równy kwadrans próbował jakoś uspokoić świadka.

– Tak – odparła Wanessa. – Przepraszam. Po prostu nie myślałam... że po tylu latach... że ktoś...

Boże!

Dom Steffensa. Luksusowy klub dla bogatych facetów. Mogli patrzeć i dotykać, całować oraz pieścić. Płacili, więc dostawali wszystko, na co mieli ochotę. Ale dla niektórych „wszystko” to wciąż było zbyt mało.

Wanessa rozpaczliwie pragnęła poznać prawdę. Widok zmaltretowanej Malwiny prześladował ją po nocach. W Domu Steffensa nikt nic nie wiedział. Fabian ucinał wszelkie gadki, z każdym dniem robił się coraz bardziej agresywny. Aż pewnego razu Wanessa podsłuchiwała, jak Wende kłóci się z Bosacką.

Kilka dni później klub zamknięto. Pani Marta wręczyła jej plik gotówki, podziękowała za dalszą współpracę. „Zapomnij o tym, co słyszałaś. Pies zerwał się ze smyczy i nie da się nad nim zapanować. Ale to wściekły kundel. Jak będziesz go szukać, to w końcu znajdziesz. A wtedy cię zagryzie”.

Wanessa bała się, że ktoś postanowi ją uciszyć. Dlatego zgodnie z poleceniem zamknęła gębę na kłódkę. Miała tylko dziewiętnaście lat, dostała trochę kasy, nie chciała umierać.

Mimo to stale liczyła na to, że ktoś w końcu zapyta ją o prawdę. Że zbrodnia wypłynie na powierzchnię, cierpienie zawoła o sprawiedliwość. Ale nic takiego nie nastąpiło.

Wanessa przestała o tym myśleć. Początkowo często śnił jej się klub, widziała Malwinę, wyobrażała sobie inne zaginione dziewczyny. Później tamte obrazy zaczęły po prostu blaknąć. Czternaście lat.

– Klub w parku Steffensa? – Spojrzała na Kroona. – Nie. To nie działo się tam. Nic z tego, o czym chciałabym opowiedzieć, nie wydarzyło się we Wrzeszczu.

Ktoś w końcu musiał usłyszeć jej opowieść. Los chciał, że trafiło na czterdziestoletniego prokuratora, który jako jedyny zainteresował się zbrodnią sprzed lat. Który rozpaczliwie próbował dokopać się do prawdy. I który nigdy nie odpuszczał.

– Jeśli nie tam, to gdzie? – spytał Konrad.

– Mówili o tym miejscu Drugi Dom. Zresztą, proszę posłuchać...

MALWINA

Prześladowała ją niepokojąca, tantryczna muzyka. Wciąż te same dźwięki, dziesięćminutowa piosenka odtwarzana na zapętleniu przez kilka dni. Elektryczna gitara, lekko chrupki dźwięk lampowego wzmacniacza, samotny tamburyn zamiast perkusji. Sztuka niepokoju zaklęta w dźwiękach rockowej ballady.

Poczuła zimno w ustach. Metaliczny smak krwi zmieszany z rdzą stalowego kagańca.

– Co tam piszczysz, ptaszyno? – spytał zamaskowany mężczyzna.

Oprawca przypominał pająka. Wysokie, kościste ciało i wydatny brzuch. Stał tam w samych slipach i czarnej weneckiej masce. Pomarszczona skóra zdradzała, że ma już swoje lata.

Usta Malwiny rozwarło w nienaturalnie szerokim uśmiechu. Powyginane, wetknięte w szczękę pręty nie pozwalały jej ruszyć twarzą.

– Jeszcze nie skończyliśmy – wyjaśnił nieznajomy, bawiąc się jej pozłacanym naszyjnikiem z zielonym agatem. – Na dobrą sprawę jeszcze nawet nie zaczęliśmy.

Wsadził jej palec do buzi i chwycił za język.

Malwina wisiała na dwóch wmurowanych w ścianę łańcuchach. Ciasne klamry wpijały jej się w nadgarstki, kaleczyły skórę, blokowały dopływ krwi.

– Chciałabyś, żebyśmy przestali?

Rozpaczliwie pragnęła. Ale po tylu dniach zrozumiała, że jej zda-nie nie ma tu żadnego znaczenia.

– No powiedz, proszę. Powiedz, czy masz jakieś życzenie – polecił mężczyzna. Wciąż trzymał ją za język, zgniatał go palcami, kaleczył paznokciami.

Do pomieszczenia wszedł drugi zamaskowany nieznajomy.

– Jeszcze masz siłę?

Drzwi trzasnęły z hukiem.

– Trochę się już zmęczyłem – przyznał pierwszy. – Ale muszę dostać to, za co zapłaciłem. Ekwiwalentność świadczeń, podstawa wolnego handlu.

Drugi z mężczyzn podszedł do Malwiny. Pogładził ją kciukiem po nagim ciele, zatrzymał się chwilę na piersi, po czym złapał za dłoń kolegi. Wyciągnął ją z ust dziewczyny.

– Trzy dni. Taka była umowa.

– A już się ściemniło? – spytał ten pierwszy. – Straciłem wyczucie czasu.

Malwina wisiała bezwładnie na łańcuchu. Słyszała ich jakby z oddali; jedyne, na czym skupiała tak naprawdę uwagę, to dobywająca się z głośników piosenka. Głos wokalisty recytował coś o kresie ludzkiego życia. Pokręcone słowa szalonego muzyka.

– Jeszcze nie. Przecież mamy sierpień.

– A więc tak. Zaczęliśmy w czwartek po wschodzie słońca, skończymy w niedzielę o zmierzchu. – Mężczyzna ściągnął spodnie.

Stalowa igła tańczyła na powierzchni winylowej płyty. Prywatny koniec świata. Choć Malwina przetrwała ten dzień, choć przetrwała te wszystkie trzy długie doby, coś w niej jednak umarło.

– Strzeziennego? – spytał drugi. – Ostatni kieliszek i do domu?

Gdyby ktoś ją wtedy ostrzegł. Nigdy w życiu nie przyjęłaby tych pieniędzy, nie wsiadła do samochodu, nie powiedziała: „Tak, jestem gotowa na wszystko”. Dziewczyna nie była gotowa na wszystko, na takie wszystko nie można się przygotować, nie można się zgodzić, nie da się przed nim uciec.

Kiedy odwieźli ją do domu, jeszcze tego samego dnia wsiadła w pociąg i wyjechała do Poznania. Kilka dni później siedziała już w Portugalii, zbiegła na Zachód, na sam kraniec Europy, najdalej, jak się da. Ale piekło, jakiego doświadczyła w Drugim Domu, nigdy nie przestało jej prześladować.

„Dopóki słońce i księżyc są w górze, dopóki trzmiel nawiedza różę, dopóki dzieci różowe się rodzą, nikt nie wierzy, że staje się już”¹.

FELIKS HEJMO

Zgodnie z jego prośbą zrezygnowano z żałobnego marsza. Samotny trębacz wygrywał znaną piosenkę Louisa Armstronga. Bo świat jest piękny. Mimo że tak szybko się kończy.

Konrad Kroon wędrował w kondukcje żałobnym kilka metrów za młodą kobietą niosącą urnę. Hejmo nie miał bliższej rodziny, obowiązek wyprawienia uroczystości spoczął na jakieś pociotce, która była jego

jedyną spadkobierczynią.

– A jednak się przekreślił, cholerny piździelec – mruknął prokurator Kielrowski, który maszerował tuż obok Kroona.

– Myślałem, że przeżyje nas wszystkich – odparł Konrad.

– Kurwa, będzie mi go brakowało.

Stanęli na niewielkim wzniesieniu. Gdańskie cmentarzysko pokrywał gęsty las, siwe włosy żałobników wspaniale współgrały z przewrotną nazwą nekropolii. Srebrzysko.

– Wiesiek odszedł w stan spoczynku, Hejmo w stan wiecznego spoczynku...

– Stara gwardia, co? – podsumował Kielrowski.

Kroon przestąpił z nogi na nogę. Ksiądz czekał, aż wszyscy zajmą miejsca.

– Stara gwardia, stare układy. Teraz nie będzie już żadnych „przysług”.

Emerytowanemu szefowi Niebołęckiemu zdarzało się czasem podejść do któregoś z prokuratorów i zasugerować odmienny kierunek zakończenia postępowania. Kroona i Kielrowskiego omijał szerokim łukiem. Wiedział, że młode chłopaki nie chcą mieć nic wspólnego z dawnymi zależnościami. I tak wymiana pokoleń ostatecznie grzebała stary system. Dwadzieścia jeden lat po zakończeniu transformacji.

– Jestem ciekaw, ile tajemnic zabrał ze sobą do grobu – rzucił retorycznie Krzysiek.

– A ja, ile z nich wypłynię kiedyś na powierzchnię – dokończył Kroon.

ANITA

Niepotrzebnie wróciła do Polski. Niepotrzebnie się w to wszystko wplątała. Mistrzynie nietrafionych wyborów. Ale z drugiej strony... skąd miała wiedzieć?

Była młodą matką. Dzwoneczek urodziła się dziesięć lat temu, całe życie tułała się po świecie. Nomadzi dwudziestego pierwszego wieku. Kobieta zapragnęła stworzyć dla córki normalny dom. W końcu się ustatkować. Ale Anita wyjątkowo zręcznie podejmowała -beznadziejne decyzje. I całe życie musiała uciekać.

– Wyjeżdżamy, mamó? – spytała dziewczyna.

– Nie wiem. Chyba tak.

– Ale mi się tu podoba!

Jej też się podobało. Do czasu.

– Może zostaniemy. Tylko...

– No dobra – odparła Dzwoneczek. Chwyliła swoje pastele i położyła się na podłodze. – Widzę, że po prostu panikujesz. To Alex?

Alex. Oczywiście, że Alex.

– Nie martw się. Jakoś to wszystko ogarnę – rzuciła bez zastanowienia.

Kiedy zaczynała pracę w agencji modelek, nie wiedziała, jak to się wszystko potoczy. Samotna matka w wielkim mieście. Potrzebowała kasy, chciała zaoferować córce lepsze życie, niż sama miała.

„Alex” – powtórzyła w myślach. Ciągle widziała jego twarz, długie włosy, brodę, lekko smutne oczy.

Przy Marcie Bosackiej Anita zarabiała naprawdę dobre pieniądze. Dom Steffensa odwiedzali wyłącznie ważni klienci. Z kontaktami, możliwościami, wpływami. Kolejne okazje po prostu nasuwały się same.

– Alex – szepnęła.

Ilekcroć pojawiał się w jej życiu, sprawy w niewytłumaczalny sposób zaczynały się po prostu pierdolić.

Musiała uciekać. Najlepiej na Zachód.

KONRAD KROON

Po pogrzebie Hejmy trochę siadł mu humor. Niby nie lubił łatwych wzruszeń, jednak śmierć kogoś znajomego zawsze powodowała w nim lekki niepokój, wytrącała z rytmu, gasiła wewnętrzny dandysa. A przecież od urodzenia Konrad był niezwykle wrażliwy. Orzech kokosa. Twarda skorupa i skomplikowane, dość miękkie wnętrze.

Przed zalewem melancholii uratowała go Lucy. Przyjechała bez zapowiedzi, roześmiana, z niewielkim plecaczkiem i lekko rozwianymi włosami wyskoczyła z zatłoczonego wagonu TLK, na gapę dojechała na Żabiankę, pozwoliła Wandzie wpuścić się do środka i kiedy Konrad wrócił z pracy, rzuciła mu się w ramiona, objęła nogami jego talię i nie przestając się chichrać, zaczęła go całować.

– Co ty tu robisz? – spytał rozbawiony i szczerze ucieszony Kroon.

– Kocham się z tobą, wariacie. Nie zauważyłeś?

A więc się kochali. Na dywanie, na balkonie, w łóżku, pod prysznicem, potem znowu wskoczyli pod

pościel. Zwariowane dzieciaki.

- Dobrze cię widzieć – powiedział po wszystkim Konrad.
- Serio? – Dziewczyna zamruwała. – Tak długo czekałeś, żeby mi to powiedzieć?
- Czasem lepiej późno niż wcale.

*

Spacerowali po Dolnym Mieście – zapomnianej dzielnicy Gdańska, która wciąż czekała na zapowiadaną od lat rewitalizację. W roku 2010 nie była to jeszcze mekka hipsterów; mieszkało się tu przede wszystkim lokalnie, nawet o dwunastej w południe ulicami Dolną, Jaskółczą czy Wróblą przemykali zawiani faceci, którymi zarzucało mocniej niż turystycznym jachtem podczas mazurskiego białego szkwału. Obdrapane tynki kamienic, zapach starej piwnicy, -starsze, wsparte na naokiennych poduszkach kobieciny podglądające sąsiadów, lokalne strażniczki obyczajności, baczne obserwatorki wszystkiego, co nowe, nieznanne i obce.

Konrad maszerował w swoich rurkach, trampkach i obcisłej różowa-wej koszulce. Nie wyglądał na typowego mieszkańca okolicy, przed chwilą ktoś go z głębi bramy zachrypniętym, zdecydowanie przepitym głosem zwyzywał od pedała; może ta uwaga miałaby jeszcze jakiś sens, gdyby nie szedł za rękę z dziewczyną, ale próżno szukać sensu w homofobii, a już na pewno nie warto szukać go tu, pośród karmionych żółcią, zafiksowanych na punkcie seksualności, zazdrosnych o cudze szczęście, bezinteresownie nienawistnych, ciasnych, zaściankowych umysłów.

- Pierdolone geje – warknął jakiś dresiarz.
- Żeby tak w biały dzień... – mruknęła kobieta z okna.

Skręcili w Toruńską.

– Dolne Miasto? Daję łapkę w górę. Jak przeprowadzisz się do mnie na Pragę, to będziesz miał ten sam klimat.

- Do ciebie na Pragę? – spytał Kroon.

Nigdy dotąd nie żył w normalnym związku; wszystkie przelotne miłości traktował tak samo niepoważnie. Z Lucy też nie planował niczego „na serio”. Nie był jej wierny, nie obiecywał i nie wymagał. Najwidoczniej jednak dziewczyna inaczej to odbierała.

– Trójmiasto jest super. Zwłaszcza w wakacje. Gdynia, Gdańsk, no i Sopot. Ale *seriously*, mieszkać tu całe życie?

- Mówisz, że duszno?
- Tak... małomiejsko. Wszędzie uderza ta ciasnota. I prowincjonalność.

Konrad się zaśmiał.

– To w Warszawie nie macie nabitych chłopaków w czapkach wpierdolkach? – Delikatnie wskazał głową w stronę grupki opalonych młodzieńców, jak jeden mąż noszących ortalionowe sportowe spodnie.

- Mamy. Tylko w stolicy nawet dresiarze są jacyś tacy bardziej ogarnięci.

Kroon zrobił wielkie oczy.

- Znalazła się obywatelka świata.

– Wiem, że musisz mieszkać w Polsce. Wykonując TAKI zawód – wyjątkowo mocno zaakcentowała użyty zaimek. – Ale jeśli gdzieś osiąść na stałe, to tylko w Wawie.

Objął ją mocno i czule szepnął do ucha:

- W życiu się tam nie przeprowadzę.

Lucy zachichotała.

- Jak się zakochasz, to zmienisz zdanie.

- A jak się nie zakocham? – spytał nie do końca retorycznie. Nigdy się jeszcze w nikim nie zakochał.

Dziewczyna spojrzała mu głęboko w oczy.

- Wciąż się we mnie nie zakochałeś?

- A da się to jakoś sprawdzić?

- Nie musisz sprawdzać. Wszyscy faceci zawsze się we mnie zakochują. Już tak to działa.

Wędrowali wzdłuż kanału. Lucy lubiła, kiedy to do niej należało ostatnie słowo, Kroon analizował w myślach to, co usłyszał. Czy to była miłość? Serio uwielbiał spędzać z nią czas. Świetnie się razem bawili, mieli zajebisty seks, mogli gadać w nieskończoność. Ale spędzić razem resztę życia? Albo choćby i kilka lat?

- To jakiś kościół? – spytała dziewczyna.
 - Muzeum Narodowe.
 - A wy tu w Gdańsku macie jakąś kulturę?
 - Niewiele – odparł zawadiacko Konrad. – Najmniej osobistej.
 - To chodźmy. Chcę zobaczyć, co jest w środku.
- *

Wycieczka po Narodowym zajęła im niecałą godzinkę. Później kupili butelkę wina, zawędrowali na bastion, ułożyli się na trawie i w promieniach zachodzącego słońca zaczęli się kochać.

- Dlaczego to zrobiłeś?
 - Dlaczego ugryzłem cię w sutek? – Kroon wyszczerzył zęby.
- Lucy pacnęła go lekko w policzek.
- Nie, ty wariacie. Dlaczego się przeżegnałeś?
 - Bo to był BOSKI seks.

Zaśmiała się.

- Nie o to mi chodzi. Pytam, dlaczego przeżegnałeś się tam, przed tym obrazem?

Myślał, że tego nie zauważyła. Zrobił to niemal odruchowo; szybko zreflektował, że takie zachowanie nie przystoi, zupełnie nie pasuje do jego wyluzowanego wizerunku, image'u buntownika. A jednak ten odruch był silniejszy od czegokolwiek innego.

- Tak jakoś – palnął.

Dziewczyna nie zamierzała odpuścić. Ułożyła się na boku, spojrzała mu prosto w oczy.

- Musisz mi powiedzieć.
- Niczego nie muszę. Korzystam z prawa do odmowy składania wyjaśnień.

Szturchnęła go w biodro.

- To nie jest zwykła rozprawa. To Sąd Ostateczny. Jak na tym obrazie. Nie możesz milczeć.

Sprytna bestia.

- Kiedyś tam był kościół – mruknął Konrad.
- A ty jesteś taki religijny? – zdziwiła się Lucy.

Chodzenie do kościoła totalnie nie pasowało do wyszczerzanego chłopaka w rurkach, który w wolnym czasie uganiał się za oprychami.

- Kiedyś byłem. Zostało mi z dzieciństwa.
- Stary ksiądz? – zażartowała dziewczyna. Strzelała na oślep, ale prawie trafiła.

Edmund Kroon nie należał do miłych, fajnych gości. Znęcał się nad Konradem i jego matką, później z zimną krwią ją zamordował.

– Wujek – odparł. Momentalnie zobaczył przed oczyma posępną twarz profesora Walewskiego. Jezuity, uczzonego, okrutnika. Nawiedziły go dreszcze.

– Okej... panie tajemniczy. – Odpuściła. – Jak nie chcesz, nie będę dalej drążyć. Sam mi to kiedyś powiesz. Jak będziesz chciał.

- Chyba nie będę.

*

Leżeli tam jeszcze z godzinkę, obserwując odbijające się w Oplywie Motławy gwiazdy, śmiejąc się, kochając i pijąc wino.

- Czas się zbierać. Trochę zmarzłem.
- Lecimy na chatę? – spytała Lucy.
- Na jaką znowu chatę?

*

Ostatnim imprezowym spotem w Gdańsku roku 2010, miejscem, gdzie ciągle trwała zabawa, gdzie można było wpaść po północy i zostać do rana, gdzie zawsze spotkało się kogoś znajomego, był Absynt. Klubokawiarnię zlokalizowano w parterze budynku teatru domykającego pierzeję Targu Węglowego. Bawiono się na stołach, tańczono w środku, jak i na zewnątrz, pito z przyjaciółmi i obcymi, starymi kumplami

i nowymi kumpelami. Po wszystkim można było wsiąść spokojnie w taksówkę, dać się skroić na cztery dychy taryfiarzowi albo poczekać grzecznie pod „Lotem” na autobus nocny, objechać pół miasta i ryzykując życie, też jakoś wrócić do domu.

– No i wreszcie poznaję tę śliczność z Krakowa! – zawołał Paweł, kolega Kroona.

– Opowiadał ci o mnie?

– Same złe rzeczy – wtrącił Konrad.

– Serio, dawaj! – krzyknęła podekscytowana Lucy. – Chcę wiedzieć, co gadał!

– Wiesz, on nie jest jakiś zajebiste wylewny... – zaczął Paweł.

– Mów!

– Konrad mnie zabije...

– Gadaj! Jak na spowiedzi!

Paweł spojrzał porozumiewawczo na Kroona. Ten tylko machnął ręką.

– To wy tu sobie, ślicznotki, poplotkujcie, a ja się pójdę jeszcze czegoś napić.

– Tylko nie wracaj za szybko! – poleciła Lucy. – Bo muszę się wszystkiego dowiedzieć!

Konrad zniknął w tłumie. Z trudem przecisnął się do baru.

– Cześć. To mam teraz ogon? – spytała nastoletnia dziewczyna opierająca się o ladę.

– O... hej – odparł Kroon.

To była Judyta Słomska, córka trenera.

– Przyszedłeś mnie zaarrestować?

– Za głupotę? Czy za bycie rozwydrzoną gówniarą?

– Ej! – udała oburzoną.

– Sorry. Żle powiedziałem. Za bycie naiwną, rozwydrzoną gówniarą.

Trzepnęła go w ramię.

– Myślałam, że prokuratorzy nie włączą się po barach.

– Myślałem, że lepiej nie mieszać psychotropów z alkoholem.

Jak zwykle jechał po bandzie. Ale Judyta nie poczuła się urażona. Zamiast tego tylko się zaśmiała.

– Nie wykupiłam recepty. A ty jak? Dalej próbujesz dorwać -Alexa? Za to, że jest Alexem?

Alex. W zeszłym tygodniu Konrad umorzył postępowanie w sprawie próby samobójczej Słomskiej. Nie dopatrzył się oznak działania osób trzecich. Nie znalazł niczyjej winy, a już na pewno nie winy Alexa.

– Kazałem mu odejść.

Zachichotała.

– Jemu nie można nic kazać. Pewnie sam cię zostawił. Tak jak mnie.

– A zostawił cię?

Przytaknęła.

– Ołał. Wystawił. Zdradził z moją najlepszą przyjaciółką.

– Jest ci przykro?

– Może trochę.

W tym momencie podszedł do nich barman.

– Co dla was?

– Dwa sprite’y z jagerem – rzucił Konrad.

– Zapłacę za siebie...

– Wypijemy na zgodę.

– Nigdy się nie pokłóciliśmy – zauważyła nastolatka.

– W takim razie trzaśniemy po jednym za lepsze czasy.

Barman postawił na ladzie dwie szklanki.

– No to zdrowie...

– Zdrowie!

– Żeby nikt już więcej nie złamał nam serca – powiedziała Słomska. – Złamał ci ktoś kiedyś serce?

– Nie – odparł całkiem szczerze Kroon.

Zmierzyła go wzrokiem.

– Ano tak. To ty pewnie jesteś łowcą. Drapieżnikiem. Szkodnikiem.

– Staram się nie być szkodnikiem, tylko takich łapać.

– Nie mówimy o twojej pracy. Czy mówimy?

Wzruszył ramionami.

– Sam już nie wiem, o czym rozmawiamy.

– To teraz ja stawiam. – Skinęła na barmana. – Jeszcze raz to samo!

Chwilę później na blacie pojawiła się następna kolejka.

– Żebyśmy zawsze wiedzieli, o czym nawijamy!

– Piękny toast – podsumował Kroon. – Umorzyłem tamtą sprawę. Twoją sprawę. Mam nadzieję, że nie zrobiłem źle.

– Nigdy się nie dowiesz. Aż stanie się krzywda – rzuciła enigmatycznie Judyta.

– O to właśnie chodzi w mojej robocie. Zwykle o tym, czy miałem rację, dowiaduję się po fakcie.

Cmoknęła go w policzek.

– Porządny z ciebie gość. Dzięki. Ale o mnie nie musisz się martwić. Poradzę sobie. Stanęłam na nogi.

Konrad przypomniał sobie przesłuchanie Alexa. Muzyk zaprzeczył, jakoby miał cokolwiek wspólnego z próbami samobójczymi Słomskiej. Ale kazał zainteresować się innym członkiem zespołu.

– Jesteś z kimś teraz?

– Można tak powiedzieć. Ale to trudny temat.

Same trudne tematy. W tym wieku tak to właśnie wygląda.

– Nie daj zrobić sobie krzywdy. Dla mnie, dla ojca... dla siebie samej.

– Okej, rycerzu. A jeśli coś by mi się stało... uratujesz mnie?

– Taką mam robotę.

*

– I co? Oplotkowaliście już cały świat? – spytał, wróciwszy do swojego stolika.

– Prawie – odparła Lucy.

– Opowiedziałem jej wszystko – poinformował Paweł. – Od tego, jak zbieraliśmy cięgi w trzydziestej piątej, do ostatniej imprezy w Stacji...

– Chyba ty zbierałeś cięgi – odgryzł mu się Kroon.

Kolega wstał z krzesła.

– Zacząłem trzeźwieć. A to bardzo zły znak. Zostawię was tu, gołąbeczki.

– Idź – rzucił za nim Konrad. – Idź i nie wracaj, Judaszu.

Lucy zaczęła się śmiać.

– Tak to jest, jak wystawia cię najlepszy ziomek.

– Za długo mnie zna...

– A tamta laska? – spytała znienacka Lucy.

Kroon oparł nogi na zwolnionym przez Pawła krześle.

– Jaka laska?

– Ta przy barze, co dała ci buziaka w policzek.

Konrad machnął ręką.

– Cóрка znajomego.

– Czyli nie muszę być zazdrosna?

Trzydziestolatek podrapał się po głowie.

– Zazdrość to jest zajebiście złe uczucie. Nie polecam.

– Okej. Ale wiesz... ja nie lubię się dzielić.

– Spoko...

Nachyliła się nad nim.

– Konrad. Ja cię kocham.

*

Nagle zrobiło się wyjątkowo duszno. Niejedna wyznała już mu miłość, ale nigdy nie traktował tego poważnie. Z Lucy rzecz się miała zupełnie inaczej. Nie chciał jej skrzywdzić, ale też zupełnie nie wiedział, co do niej czuje. Prawdziwą LOVE znał jedynie z piosenek.

– Kurwa, czas się zbierać – powiedział Paweł, wracając z baru. – Ludziom zaczyna odpierdalać.

- No, chyba również zawinęłabym się na chatę – przyznała Lucy.
- Ta małolata, co ją bajerowałeś – kontynuował Paweł – właśnie kłóci się z jakimś przyćpanym typem.

Zaraz ktoś kogoś zapierdoli.

- Judyta? Judyta Słomska? – spytał Kroon.
- To była córka trenera?

Konrad wstał z krzesła. Ruszył w stronę baru.

- NIE BĘDZIESZ SIĘ TAK DO MNIE ODZYWAĆ! KUMASZ?! – ryczał Eryk.
- ZOSTAW MNIE! – Judyta płakała.

Kroon podszedł do nastolatki.

- Wszystko w porządku?
- SPIERDALAJ, FRAJERZE!
- Judyta? – Konrad zwrócił się bezpośrednio do płaczącej dziewczyny.
- Zabierz mnie stąd...
- Kim ty w ogóle jesteś? Co się wpierdalasz w nie swoje sprawy?! – fuknął muzyk.
- Człowieku, odejdz – polecił spokojnie Kroon.

Eryk zbliżył twarz do twarzy prokuratora. Był niezłe zrobiony, złapał jakąś dziwną, agresywną fazę.

Nie wiedział, kim jest Konrad.

– Zostaw go! – krzyknęła Judyta, odpychając Eryka od Kroona. Nie chciała, by przyjacielowi jej ojca stała się krzywda.

- SPIERDALAJ! – zaklął Eryk, uderzając Judytę płaską dłonią w twarz.
- Pożałujesz tego... – warknął Kroon.
- CHODŹ NA SOLO, PIZDO!
- Zostaw go! – wołała Słomska przez łzy.
- No chodź – odparł Konrad, niemal dotykając czołem czubka jego nosa.

Wyszli przed klub. Eryk miał prawie dwa metry, umiał się bić, ćwiczył trochę karate, poza tym był solidnie naćpany. Czuł się niezniszczalny.

Kroon unikał bójek. Ale w podstawówce uchodził raczej za urwisa. No i trenował hokeja.

- Dawaj! – fuknął Eryk i wyprowadził pierwsze uderzenie.

Konrad gładko zszedł z linii ciosu, stanął nieco z boku, po czym dał się ponownie zaatakować. Tak, by nikt nie miał wątpliwości, kto tu jest napastnikiem.

- ERYK! ZOSTAW GO! – Judyta chlipała pod ścianą.

Jej naiwny, nastoletni świat walił się właśnie w gruzy. Najpierw zostawił ją Alex, później oszukała Lila. Teraz do grona zdrajców dołączył Eryk.

Musiała uciekać. Odciać się od tego toksycznego towarzystwa, poszukać drogi wyjścia.

– ZOSTAW GO!!! – krzyczała. Była pewna, że młody, szczupły prokurator, który jako jedyny próbował jej pomóc, który jako jedyny się o nią zatroszczył, zostanie zaraz pobity.

Ale Kroon nie zamierzał dawać nikomu satysfakcji.

- I co, już? – szepnął w stronę rozwścieczonego, napędzanego narkotyczną furią muzyka.
- ZARAZ CIĘ, KURWO, URZĄDZĘ!
- PAWEŁ, WEŹ COŚ ZRÓB! – wrzeszczała Lucy.
- Spokojnie – odparł kolega Konrada. – Jeśli o kogoś się boję, to tylko o tego drugiego.

Kroon czekał na właściwy moment. Musiał ocenić ruchy przeciwnika, jego taktykę, technikę i możliwości. Dokładnie analizował wszystkie zachowania swojego wroga; tak samo przeprowadzał przesłuchania, tak samo przygotowywał się do sądowych -batalii. Tego nauczyły go ulica, trudne dzieciństwo i szkolne bójki.

Bądź jak woda, przyjacielu.

Konrad mierzył napastnika wzrokiem.

- DAWAJ, KURWO!

Analizował jego niespokojny oddech, naprędcie podliczał błędy w obronie.

- BĘDZIESZ TAK CAŁE ŻYCIE SPIERDALAŁ?!

Łatwy cel.

- NO CHODŹ TU, POWIEDZIAŁEM!

Eryk kolejny raz na niego napał. Można powiedzieć, że po prostu nadział się na jego pięść. Silne barki hokeisty, solidna dłoń przywykła do trzymania drewnianego kija.

Ręka Konrada wyrznęła w szczękę przeciwnika, prawy prosty, muzyk okręcił się wokół jego ramienia i runął na plecy. Pozamiatane.

– KONRAD! – pisnęła Lucy, podbiegając do Kroona. Objęła go, wskoczyła w ramiona. – Nic ci nie jest?!

– Policja! – krzyknął ktoś z tłumu.

– Dzwoncie na pały!

Do Eryka podszedł jakiś kolega.

– Wszystko spoko? Trochę cię poniosło...

– DZWOŃCIE NA POLICJĘ! – wrzasnęła przestraszona dziewczyna.

Eryk podniósł się na łokciach. Spojrzał na Kroona.

– Niech ktoś dzwoni na policję! – zawołał obcy głos.

– Żadnych psów – powiedzieli niemal jednocześnie Konrad z Erykiem.

Kroon obrócił się w stronę Judyty.

– Chodź, odwieziemy cię do domu.

NIKOLA

Kardaś krążył po pokoju niczym wygłodniały lew. Od kilku dni nie spał, w nocy prześladowały go koszmary, dręczyły wyrzuty sumienia. Chłopakowi z Wrzeszcza gangsterskie życie wydawało się fajną opcją. Władza i jak to powiedział Rychu Peja, szacunek ludzi ulicy. We własnych fantazjach nie raz posyłał komuś kulkę. Ale nigdy nie zabił naprawdę. Aż do teraz.

Szef polecił im zamordować Rubasa. Razem z Patrykiem pozbyli się ciała. Zniknął jeden problem, pojawiło się dziesięć kolejnych. Po pierwsze policja, po drugie... Nikola.

Dziewczyna wciąż leżała na starym materacu w jednej z przymorskich piwnic. Jak długo mogli ją jeszcze więzić? Poza tym była jeszcze druga laska, ta, której aktualnie pilnował starszy brat Kardasia. A więc dwie uwięzione typiary i jeden martwy chłopak. Do tego rozwścieczony szef, który ostatnimi czasy ciągle chodził podkurwiony. Dwa plus jeden razy jeden. Chujowe równanie. Mieli posprzątać na mieście, zając się zarabianiem grubej kasy. Zamiast tego narobili sobie zajebistego gnoju.

– Kuba...! – zawołała Nikola.

Kardaś wparował do pokoju.

– Co?

– Kuba... co z Rubasem?

Miała niczego nie wiedzieć, ale Kubie kiepsko szło z sekretami. Przy niedomkniętych drzwiach opowiadał Pawłowi o tym, o czym nie wolno było pisać słówka. Jeśli słuchała ich policja...

– No nic – spieszył się. – Dalej go szukamy.

Wyczuła kłamstwo. Jeszcze kilka tygodni temu by się załamała, ale teraz... Wiedziała, że Rubas ją porzucił. I że sama musi się o siebie zatroszczyć.

– Słyszałam, jak gadałeś z Pawłem...

– KURWA! Nie podsłuchuje się cudzych rozmów! – wrzasnął Kardaś. Rozchwianie emocjonalne, kłębek nerwów splątany mocniej niż przewodowe słuchawki wrzucone luźno do torebki.

– Dlaczego dalej mnie tu trzymacie?

Dobre pytanie. Kuba nie zdążył jeszcze o tym pomyśleć.

– No... nie wiem...

Nikola spojrzała mu głęboko w oczy.

– Kuba, wypuść mnie.

Niedorzeczna propozycja.

– Taaa i co jeszcze? – spytał niby rozbawiony.

– Kardaś, On mnie zabije. Albo każe to zrobić tobie. Tak jak kazał zabić Rubasa.

Kubę zamurowało. Przecież Nikola miała rację. Historia pędziła do takiego właśnie zakończenia.

– Pierdolisz... – walnął.

Nikola musiała uciec. Rozpaczliwie szukała jakiegokolwiek deski ratunku. Nawet tak wypaczonej jak młody Kardaś.

– Kuba, ucieknijmy razem.

Pół roku temu świrował do niej na dyskotecę. Niby w bece, ale każdy żart odwołuje się przecież do sfery faktów. Po prostu mu się podobała. A kilka tygodni niewoli jedynie wzmogło owo uczucie.

– Ciebie pogrzało... – powiedział zupełnie nieprzekonany.

Znów wyszedł z pokoju i zaczął myśleć. A kiedy młody Kardaś za dużo myślał, nigdy nie wychodziło z tego nic dobrego. Zwłaszcza dla niego.

ANITA

Rozmawiali w jednym z pustych pokoi Domu Steffensa. Fabian Wende miał teraz coś koło czterdziestki. Solidnie zbudowany, niesymetryczne źrenice, na szyi plemienne tribale.

– Nie boję się śmierci. Ani psów – powiedział chłodno. – Ale boję się, że cię stracę.

Posmutniał. Anita kompletnie nie rozumiała, co się dzieje.

– Że mnie stracisz? Co ty pierdolisz?!

– Chcę z tobą być. Zawsze chciałem.

Miał nierówno pod czachą. Ktoś, kto robi takie rzeczy jak Wende, nie może być normalny.

– Człowieku, po co mnie tu ściągnąłeś?!

W tym momencie wyciągnął z kieszeni pozłacany naszyjnik z zielonym agatem. Podał go Anicie.

– To na pamiątkę. Żebyś nigdy nie zapomniała.

– Ja pierdolę! – Rzuciła się w stronę wyjścia.

Fabian skoczył za nią. Przywarł barkiem do drzwi, zagradzając jej drogę.

– Nie bój się. Nikt się nie dowie. Ochronię cię. A wiesz dlaczego? Bo zajebicie cię kocham. Mam w chuj siana. Zaopiekuję się tobą. I twoją córką.

Uderzyła go z całej siły w klatę.

– Puść mnie, zboczeńcu!

– Spokojnie, kotku.

Waliła najmocniej, jak mogła.

– Człowieku, ty musisz się leczyć!

Zaśmiał się.

– Okej, będę się leczyć. Dla ciebie zrobię wszystko. Mogę nawet iść do lekarza.

Anita chwyciła za klamkę, w panice wybiegła na korytarz. Musiała uciekać.

– I tak cię znajdę – szepnął Fabian.

1 Czesław Miłosz, *Piosenka o końcu świata*, dz. cyt.

ROZDZIAŁ 21 | SIERPIEŃ TEGO ROKU

KONRAD KROON

Kroon mknął swoim audi jednopasmową, krętą drogą wiodącą przez wzgórza i doliny malowniczych Kaszub. Na fotelu pasażera siedziała Flara, tylną kanapę zajął Fender.

– Siemasz, Robercik – rzucił do zestawu głośnomówiącego. – Pozdrowienia z Ostrzyc!

– Urlopik? – spytał kolega.

– A gdzie tam. Na robotę jadę.

Mężczyznę zdziwiła ta informacja. Od niecałego roku pełnił funkcję Prokuratora Rejonowego w Kartuzach.

– Na robotę do mnie? A to ty się przeniosłeś z Wrzeszcza i ja nic o tym nie wiem?

– Jak tak patrzę na te jeziora, to może faktycznie trzeba by pomyśleć o przeprowadzce. Ile wy tam spraw teraz macie w refe-ratach?

– Za dużo – odparł Robercik. – No to gadaj, czemu mi tyłek zawracasz?

– Robię przeszukanie na twoim terenie. To pomyślałem, że z grzeczności wypadałoby zadzwonić.

– Przeszukanie? W Ostrzycach?

– Nieopodał.

Rejonowy poprawił słuchawkę.

– No gadaj szybko! Mam jakiś syf, o którym nie wiem?

– To się okaże. Dłubię przy takim sto dziewięćdziesiąt siedem sprzed lat. Okazało się, że jedną z lasek zgwałcono u ciebie.

– O kurwa. I myśmy to prowadzili?

Kroon zjechał z głównej drogi.

– Nie wiem. Prawdopodobnie nikt tego nigdy nie prowadził...

FLARA

Pierwszy raz przeprowadzała przeszukanie na cudzym terenie. Gościnne występy. Zazwyczaj takie czynności zlecano funkcjonariuszom z właściwych jednostek. Ale Kroon się uparł, żeby oprócz policjantów z Kartuz towarzyszyła im właśnie Flara.

Zaparkowali przed niewielkim wiejskim sklepem, doklejonym do starego ceglanego domu.

– Poczekaj tu na chłopaków, a ja go trochę wybiegam – polecił Konrad, wypuszczając Fendera na zewnątrz.

Chwilę później zniknął w okolicznym lesie.

Flara oparła się o samochód i rozejrzała wokoło. Oprócz tej jednej nieruchomości, w najbliższej okolicy nie było żadnych zabudowań. Jedynie górka, las i szutrowa droga.

Prowadzili sprawę przeciwko Nikodemowi Ruckiemu, ochroniarzowi z Domu Steffensa. Zebrali wszystkie dowody, Justyna chciała kończyć sprawę. Ale Kroon jej nie pozwolił. Przeczuwał, że sprawa ma drugie dno.

Flara nie wierzyła prokuratorowi. Bo przecież jakim trzeba być lunatykiem, żeby samemu szukać zbrodni, o której nikt nie wspomina? Uważała, że błądzi po omacku, pracoholizm wpędził go w szaleństwo. Wtedy jednak Kroon przesłuchał Wanessę. A ona opowiedziała mu o Drugim Domu.

Przed sklep zjechał biały fiat ducato technika z kartuskiej komendy. Policjanci wysiedli z auta, spojrzeli na gdańskie blachy czarnego audi.

– Pewnie jeszcze nie przyjechali – mruknął funkcjonariusz. – A tak się niby spieszyli.

– Przyjechali, przyjechali – powiedziała Flara, wyciągając blachę.

Mężczyzna zerknął z podziwem na sportowy samochód Kroona.

– To takimi wozicie się we Wrzeszczu?

W tym momencie z lasu wybiegł Fender. Tuż za nim dreptał raźnie Konrad.

– Tylko ja takim jeżdżę. A teraz zabieramy się do roboty.

*

W przeszukaniu towarzyszył im właściciel nieruchomości. Był mężczyzną koło pięćdziesiątki. Dom razem z działką nabył od spadkobierców poprzednich właścicieli, którzy zmarli na covid krótko po wybuchu

pandemii.

- Na dole mamy sklep, u góry mieszkamy, a tam z tyłu jeszcze taka kanciapa jest.
 - A jak kupiliście działkę, to z całym inwentarzem? Meblami, sprzętem, gratami? – spytał Kroon.
 - Jooo – odparł mężczyzna. – Straszna melina. Wszystko wyrzucilim.
- Wspaniale. Ale tak to jest, jak się bada zbrodnie sprzed czterestu lat.
- Zaczniemy od kanciapy – postanowił Konrad.
 - Jo. Tylko tam ni ma prądu. Kable nowe wszędzie kładę, a tu jeszcze nie położyli.

Flara wyciągnęła latarkę.

- Jakoś sobie poradzimy.

Pomieszczenie znajdowało się za domem. Niski, parterowy budynek pozbawiony okien. Po podwórku kręciło się kilka kur.

- Solidne drzwi – ocenił Kroon.
- No trzeba mocno pociągnąć, ciężko chodzą...

Weszli do środka.

- Kurwa, ale capi – mruknął technik.

– Jo, wilgoć jest. Tu na ścianach wisiała taka wykładzina, wszystko zaszło grzybem. Pozrywałem to w cholerę...

Prokurator podeszedł do jednej ze ścian. Dotknął jej ręką.

- Tu jeszcze trochę zostało.
- No jo. Bo to nie szło odkleić, a w chałupie tyle roboty...

Światła latarek penetrowały wewnątrz przydomowego składziku. W pewnym momencie ledowy promień zatrzymał się na drewnianej konstrukcji zastawionej skrzynkami po mandarynkach.

- A to co? – spytała Flara.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Chyba jakaś huśtawka. Ale nasze dzieciaki już za stare, nie potrzebowaliśmy.

Konrad przejął od policjantki latarkę.

- To nie jest huśtawka. Przynajmniej nie taka.
- Nie taka? – powtórzył zdezorientowany właściciel.
- Wyjdźcie wszyscy na zewnątrz – polecił Kroon. – A pan – zwrócił się bezpośrednio do technika –

skołuje nam tu jakieś porządne oświetlenie.

Flara przysunęła się do prokuratora. Ten przeniósł snop światła na okoliczną ścianę.

- Widzisz to? – spytał policjantki.

Podeszli bliżej.

- Kajdany – odpowiedziała.
- Wmurowane w ścianę – dokończył Konrad. – Wszyscy na zewnątrz i wskakujemy w kombinezony!

KONRAD KROON

Gabinet Prokuratora Okręgowego dawno nie widział takiej narady. Przy długim stole siedzieli kolejno: on sam, Rejonowa z Wrzeszcza, Rejonowy z Kartuz, pełniący funkcję naczelnika wydziału śledczego Krzysztof Kielrowski i w końcu Konrad Kroon.

- Jak to wycieknie do mediów...
- Oczywiście, że wycieknie. Takie sprawy zawsze wypływają na powierzchnię.
- Ale ta jednak sama z siebie nie wypłynęła – stwierdził Kielrowski. – Przez czternaście bitych lat.

I gdyby nie Konrad, dalej leżałaby na dnie pokryta mułem.

Okręgowy miętolił swoją twarz. O wszystkim powiadomił oczywiście Regionalną, ta kazała mu jak najszybciej zająć się tematem.

- Ciekawe, ile jeszcze takich trupów mamy w szafach – mruknęła Rzeplińska.
- Gdyby Hejmo nie umarł, gdyby nie zawiesił Ruckiego, tylko ciągnął to dalej, już dawno mielibyśmy sprawców – wtrącił Kroon.

Rejonowy z Kartuz był najbardziej przestraszony. W końcu to na jego terenie mieścił się Drugi Dom.

- Wszyscy mądrzy po szkodzie...
- Nie wiem, czy tacy mądrzy – oceniła Rzeplińska, bezpośrednia przełożona Konrada. – Mamy dane pokrzywdzonej, która nigdy nie zawiadomiła o sprawie organów ścigania; mamy nazwisko jednego ze

sprawców, który od czternastu lat nie żyje; i mamy miejsce zbrodni, w którym nie ma już prawie żadnych śladów.

Kieltrowski spojrzał na Okręgowego.

– Ofiar mogło być więcej...

– Ofiar na pewno było więcej – stwierdził Kroon. – Wanessa zeznała tylko o tej jednej modelce, bo o jednej wiedziała.

– Nie ma na to żadnych dowodów – rzucił Rejonowy z Kartuz.

– Bo nikt ich nigdy nie szukał – ucieła Rzeplińska. – Oprócz Konrada.

Prokurator Okręgowy przysłuchiwał się z uwagą dyskusji. Ostatecznie to on musiał podjąć jakąś decyzję.

– Sprawa przekracza właściwość waszych jednostek. I jest za poważna, żeby prowadził ją któryś z rejonów.

– To oczywiste – mruknęła Magda.

Okręgowy spojrzał na Kieltrowskiego.

– Bierzesz ją do siebie, Krzysiek. Daj ją tej nowej babeczce z Pruszcza.

– Lasockiej?

– Lasockiej. Młoda osa, która nie śpi po nocach. Niech to skończy.

Krzysiek wykrzywił usta.

– Tak naprawdę powinien to prowadzić Konrad.

– Może i powinien, ale taka sprawa nie może leżeć w rejonie. Nie po Amber Gold. Tamte czasy się już skończyły!

Rzeplińska przyznała mu rację.

– To niech nie leży w rejonie – mruknął Kroon.

Wszyscy jak jeden mąż spojrzeli na Konrada.

– Co powiedziałaś? – spytał Okręgowy.

– Zabierzcie ją do okręgu. Ale razem ze mną.

Nie wierzyli, że to słyszą.

– Chłopie, przecież już z dziesięć razy chciałem cię przenosić! – Okręgowy się wzdrygnął. – I zawsze pieprzyłeś mi, jak to nie masz ochoty!

Kieltrowski spojrzał z radością na dawnego kumpla z Wrzeszcza.

– Tylko krowa nie zmienia poglądów – odparł Konrad. – Czas w końcu przestać uciekać przed odpowiedzialnością.

ANITA

Musiała myśleć przede wszystkim o córce. Jeszcze tej nocy kupiła bilety na rejs do Francji, samolot odlatywał następnego wieczora. Nie mogła dłużej czekać.

– Mamo, kupisz mi chipsy? – spytała Dzwoneczek.

– Nie, nie teraz.

Spojrzała za okno. Miasto stawało się coraz mniejsze – ulice, domy i drzewa przypominały kolejową makietę. Po prawej morze, po lewej las. Dziesięć lat temu tak samo żegnała Gdańsk: w popłochu, przestraszona, zmierzająca gdzieś w stronę zachodzącego słońca.

– Mogą państwo rozpiąć pasy – poinformowała stewardessa.

Drugi Dom. Fabian Wende. Malwina.

Obrazy przelatywały jej przed oczyma, siedziała niespokojna, czuła oddech pogoni. Każdy z pasażerów mógł być przecież -zamaskowanym policjantem.

– Kupisz mi chipsy?

– Julka, daj spokój! – krzyknęła poirytowana.

Życie zawsze kopało ją po dupie. Anita nauczyła się, by myśleć głównie o sobie. Tylko tak mogła przetrwać. A teraz musiała chronić również córkę.

W pewnym momencie zorientowała się, że ścisła w dłoni pozłacany naszyjnik z agatem, który dostała od Fabiana. Szybko schowała go do kieszeni i rozejrzała się po samolocie. Jak mogła być tak nieostrożna?

Zerknęła na Dzwoneczka. Córka właśnie zjadała pringlesy.

– Skąd to masz?

– Od tamtego chłopaka – wyjaśniła dziewczynka.

Anita spojrzała na sąsiedni rząd krzeseł.

– I on ci je po prostu oddał?

– Tak – przyznała z rozbijającą szczerością mała.

Leciały do Francji. Uciekały od problemów, zagrożeń i wyrzutów sumienia. Anita nie umiała inaczej. Ale problemy wcale nie miały zamiaru dać jej tak po prostu od siebie uciec.

NIKOLA

Jak to jest, że zawsze uciekamy na Zachód? Że nigdy w historii nikt rozsądny nie postanowił ruszyć w przeciwną stronę, szukać schronienia tam, gdzie rodzi się nowy dzień? Zachód to przyszłość. A przecież nie ucieka się w tył, nie biegnie wprost w ramiona nadciągającej pogoni. Jeśli mknąć w popłochu, to tylko przed siebie. Zawsze na Zachód.

Granatowy golf Kardasia pędził krajową S6 łączącą Gdańsk ze Szczecinem. Na fotelu pasażera siedziała Nikola.

– By tu, kurwa, dwa pasy zrobili! – wkurzał się Kuba.

– Trzymaj kierownicę.

Jechali przepisowe dziewięćdziesiąt na godzinę, szybciej się nie dało. Co jakiś czas chłopak wjeżdżał na przeciwny pas, by w bohaterским zrywie wyprzedzić jedno, góra dwa auta.

– Ja pierdołę, żadnej dobrej drogi w tym kraju!

– Uważaj! – krzyknęła Nikola.

W ostatniej chwili kierowca skręcił, unikając czołowego zderzenia z ogromnym tirem na białoruskich blachach.

– Zaufaj mi – powiedział ze śmiechem Kardaś. – Nie po to uratowałem ci życie, żeby teraz rozpierdolić się na drzewie.

Dziewczyna odetchnęła z ulgą. Chwilowo wszystko szło po jej myśli. Spojrzała za okno.

Za Lęborkiem krajobraz pustoszał. Rozlane przedmieścia ustępowały miejsca naturze, szerokie przestrzenie przywodziły na myśl złocisty ocean dzikich zbóż, traw, *koralowców ostrowów burzanu*. Za kilka lat miano tu wznieść pierwsze wiatraki: dystopijne twory przyszłości, gości z dalekiego kosmosu, futurystyczną technologię wbitą gwałtem w sielską tkaninę. Ale na razie wszystko wyglądało tak samo jak przed wojną.

Minęli Sycewice. Kawalek dalej powitał ich znak sąsiedniego województwa. Zachodniopomorskie.

Dziki świat, w którym przez lata bali się zamieszkać Polacy. Zupełnie jakby Niemiec lada moment miał wrócić, a przecież tu też jest Polska, zawsze tu była, po prostu potrzebowaliśmy czasu, by sobie o tym przypomnieć, by pomalować płoty, zasadzić kwiaty, znów poczuć się jak w domu.

– Muszę się odlać – mruknął Kuba, zjeżdżając na pobocze.

– Na pewno? – spytała przestraszona Nikola.

– Pęcherz mnie ciśnie. Serio muszę ci się z tego tłumaczyć?

Włączył awaryjne.

– Nie. Po prostu... jak On nas dopadnie...

Wyskoczył na zewnątrz.

– Cztery godzinki i jesteśmy w Berlinie. A tam nikt nas nie znajdzie.

Kardaś zrobił swoje, po czym wrócił do auta. Nikola obserwowała drogę za nimi.

– Jedźmy! – Wcisnął pedał gazu.

Stuningowany golf wyrwał jak z kopyta.

Nikola wyteżyła wzrok, ale nie dostrzegła niczego niepokojącego.

– Jedźmy... – powtórzyła za Kubą.

Jedźmy. A jednak ktoś woła.

ALEX

Najpierw odwiedził jej sopockie mieszkanie. Bez problemu pożyczył od sąsiadki zapasowy klucz, staruszka widywała go tu wcześniej, uznała za „miłego kawalera”.

„No tak. Wsiadały rano do taksówki. Pewnie jakieś wakacje czy coś. A kwiatki to kto podleje?”

Nie musiał zbyt wiele główkować, by skumać, że uciekła. Puste szafy, nieposprzątana kuchnia, w mikrofali resztki niedojedzonej pizzy. Dziesięć lat temu postąpiła dokładnie tak samo. *Encore.* -Angielskie wyjście, a później dekada rozłąki. Samotna kobieta wmieszana w siedmiomiliardowy tłum ludzkiej populacji. Ale ta historia nie mogła się tak zakończyć. Alex obiecał Anicie, że już jej więcej nie wypuści. Nie teraz. Nie na ostatniej prostej.

Zajechał do Domu Steffensa.

– Cześć, przystojniaku. Stęskniłeś się? – rzuciła Bosacka. Zawsze tak z nim gadała.

– Szukam Anity.

– To jest już nas dwójka. Przestała się odzywać.

Nie chciał w to uwierzyć.

– Ale jak to?

– Srak to. Zniknęła. Dzwoniłeś do niej?

Oczywiście, że dzwonił.

– Telefon nie odpowiada.

– Otóż to. Jak już ją znajdziesz, powiedz, że nie ma tu więcej czego szukać. Rozgrzebała pełno spraw i zostawiła mnie z tym wszystkim na lodzie.

Spojrzał na gipsowy odlew dwóch weneckich masek: damskiej i męskiej. Nowe logo klubu. Naszkicował je kiedyś na kawałku serwetki, Bosacka powiedziała, że chce to mieć u siebie w gabinecie.

– Kiedy była tu ostatnio?

– Kilka dni temu. Dziewczyny widziały, jak zwyzywała Fabiana, a później uciekła. Rozhisteryzowana małolata.

– Tego ochroniarza? – spytał muzyk.

– Tak. Jak chcesz coś więcej wiedzieć, pogadaj z Dominiką. Bo to ona musi teraz sprzątać po Lady A.

– Dzięki! – rzucił na odchodne.

Alex od urodzenia przejawiał wiele niezwykłych umiejętności. Przez ostatnie dziesięć lat podszkolił się w magicznej sztuce omamiania ludzi i manipulowania nimi. Aby znaleźć Anitę, był gotów zrobić naprawę wiele. Bo dla tej jednej kobiety mógł nawet sprzedać własną duszę. Komukolwiek. Nawet samemu diabłu.

LILA

Przez ostatnie pół roku Lila przeszła prawdziwą przemianę. Jej nastoletnia wiara w niemożliwe została uzbrojona w odwagę, przebojowość i chęć do działania. A wszystko to było zasługą Alexa.

Są ludzie, którzy potrzebują znaleźć sobie mistrza. Którzy umieją docenić mądrość kogoś starszego od siebie, bardziej doświadczonego, wyrobionego. Lila nie dostała się wprawdzie do łódzkiej filmówki, na

egzaminach wstępnych pewien podstarzały reżyser kazał jej zagrać słoik po ogórkach, ale nie zrezygnowała z marzeń. Kroczyła raźnie przed siebie, dokładnie tak, jak nauczył ją tego Alex.

W Domu Steffensa poznała rozrywkowe towarzystwo związane ze światem show-biznesu. Kilku producentów, aktorów i scenarzystów. Zaczęli razem imprezować, bawili się ostro, ale któryś z artystów bawił się kiedykolwiek lekko.

Lila zyskała niezależność. Ukonstytuowała się jako osobna jednostka, zmieniła grono znajomych, przestała polegać na kimkolwiek poza sobą. W tej drodze nie towarzyszył jej już Alex. Jak na doświadczonego mistrza przystało, oddalił się w cień, pozwolił swobodnie żeglować, trzymał kciuki za sukces.

– Za dzieciaka przyjeżdżałam tu z rodzicami na wakacje – powiedziała rozmarzona.

Samochód wił się wąskimi zakrętami leśnej drogi kaszubskiego pojezierza.

Wyjechali zza linii drzew.

– Kuźwaaa! – krzyknął kierowca.

Przed maskę wbiegła im sarna. Gdyby nie szybka reakcja Patryka, pewnie skasowałoby auto.

– *Fuck!* Co to było! – pisnęła Lila. – Mogliśmy ją zabić!

Mężczyzna spojrzął na tablicę z nazwą miejscowości: Kosy.

– Kurwa! To już drugi raz! Dokładnie w tym samym miejscu! Za pierwszym rozjechałam tu nowiutkiego mercedesa!

– Serio?! – Oddech nastolatki gwałtownie przyspieszył. Momentalnie pomyślała o biednym zwierzęciu. – A sarna? Myślisz, że nic jej nie jest?

Patryk rozejrzał się po okolicy.

– No nie – mruknął po chwili. – Przecież ją ominąłem.

Dziewczyna odetchnęła z ulgą.

– Boże, tak się przestraszyłam!

Samochód ruszył. Kilkaset metrów od miejsca zdarzenia, na samym krańcu doliny, przystanęła sarna, która chwilę temu cudem uniknęła tragedii. Spojrzała w stronę znikającego auta. Jedno uratowane życie.

Zwierzę z niepokojem poruszyło głową. Zupełnie jakby przeczuwało, dokąd to wszystko zmierza. Najgorsze miało się dopiero wydarzyć.

Liedke dojechał do rozwidlenia dróg nieopodal okazałego, socrealistycznego monumentu. Odbił w stronę Ostrzyc.

– No właśnie tu przyjeżdżaliśmy z rodzicami. Tam w Brodnicy są takie drewniane domki.

– To niedaleko nas – odparł kierowca.

Auto przecięło wzniesienie. Pagórki i doliny, jeziora i lasy. Malowniczy widok. Szwajcaria Kaszub.

„Casting jest w środę. Przyjdzie pełno dziewczyn” – powiedział jeden z pracujących przy filmie mężczyzn. „Ale jeśli chcesz mieć lepsze szanse... Urządzamy w weekend imprezę nad wodą. Czuj się zaproszona”.

„Spoko. Tylko ja nie mam auta. Ale tam jeździ pociąg do Wieżycy...”

„Luźno. Mój ziomek cię podwiezie”.

I tak wsiadła do auta z Patrykiem.

Impreza w stylu LA. Miała być muzyka, Lila kochała muzykę. Miały być narkotyki, Lila umiała już brać dragi. Miało być dużo okazji. A Lila nie zamierzała przepuścić żadnej.

KONRAD KROON

Od kilku dni grzebał w przeszłości. Pierwszą decyzją, którą podjął po awansie do okręgu, było zwrócenie się do wszystkich prokuratur rejonowych z pomorskiego o nadesłanie akt spraw z artykułu 197 – przestępstwo zgwałcenia.

Szukał tylko starych sygnatur: postępowań z lat 2009–2012. Liczył się z tym, że część akt uległa zniszczeniu. Okres archiwizacji spraw zależał od podstawy zakończenia postępowania. Kroon badał więc głównie n-ki, czyli śledztwa zakończone wobec niewykrycia sprawcy.

– Chcesz coś z baru?

Konrad spojrział na Kieltrowskiego, który stanął w drzwiach do jego gabinetu.

– Nie, dzięki.

– Na pewno? – spytał z troską kolega. – Jakies pierogi czy zupka?

– Ja pas.

Prokurator wzruszył ramionami.

– Jak tam chcesz. Ale serwują zajebistą ogórkową...

Kroon wrócił do pracy. Często tak miał, że kiedy zatracił się w robocie, zapominał o bożym świecie. Tracił apetyt, nie interesował się niczym poza prowadzonym śledztwem. Gdyby nie Fender, w ogóle nie wstawałby zza biurka.

– Kurwa, bardziej bazgrolić się nie dało?

Sporą część protokołów spisano pismem ręcznym. Niekoniecznie czytelnym. Mieniło mu się w oczach.

– Czterdzieści cztery lata bez okularów to i tak nieźle – mruknął. Podszedł do okna, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza.

Prokuratura Okręgowa mieściła się w starym neoklasycystycznym budynku przy Wałach Jagiellońskich w samym centrum miasta. Przed wojną znajdowało się tu Danziger Feuersozietät, czyli Gdańskie Towarzystwo Ubezpieczeń od Ognia. Później obiekt przejęło PZPR, tworząc w nim Komitet Wojewódzki Partii. W latach siedemdziesiątych, podczas tragicznych wydarzeń zwanych eufemistycznie „wypadkami grudniowymi”, strajkujący robotnicy budynek podpalili. I tak, o ironio losu, dawna siedziba Gdańskiego Towarzystwa Ubezpieczeń od Ognia stanęła w płomieniach.

Kroon wyjątkowo nie lubił tego miejsca. Czuł promieniującą zewsząd złą energię, wspomnienia mrocznych czasów, nieciekawych życiorysów odcisniętych w ścianach, podłogach i sufitach.

– Pieprzona komuna.

Zamknął okno i wrócił za biurko.

„A obiecałem sobie, że już nigdy nie będę uciekał w przeszłość”.

Otworzył kolejne akta. Zgwałcenie dziewiętnastoletniej dziewczyny we wrześniu 2010 roku. Liliana Byrna.

– Byrna? – szepnął pod nosem.

Kilkanaście lat pracy, kilka tysięcy poprowadzonych postępowań, kilkadziesiąt tysięcy nazwisk. Kroon miał naprawdę dobrą pamięć. Za cholerę nie wiedział, gdzie słyszał to nazwisko. Ale gdzieś słyszał.

– No nic. Może jeszcze sobie przypomnę.

Zaczął od protokołu przesłuchania. Dziewczyna mieszkała w Sopocie, to tam zgłosiła się na komendę. Policjanci zadziałali dość sprawnie. Poddali dziewczynę badaniom, niestety żadnego obcego materiału genetycznego nie udało się zabezpieczyć. Sprawę skierowano następnie do Kartuz. A tam...

– Jak to umorzenie? – zdziwił się Kroon.

Wertował akta, sprawdzał wykonane czynności, szukał jakiegokolwiek wskazówki mówiącej, dlaczego zaprzestano dalej drążyć. Przedostatnim dokumentem wpiętym w akta była notatka z przeprowadzonych działań operacyjno-śledczych.

„Podjęto szereg czynności... sprawcy nie ujawniono...”

Samotna notatka, a po niej policyjne umorzenie. Na drugiej stronie prokuratorska pieczęć „ZATWIERDZAM”.

– Te skurwysyny nic nie zrobiły! Po prostu olały temat!

Lila Byrna. Nietypowe jak na tamte czasy imię, charakterystyczne nazwisko. Wyciągnął telefon.

– Cześć, Flara, pozdrowienia z drugiej strony Huciska.

– Raz jeszcze gratuluję awansu – odparła policjantka.

– *Dajcie spokój z tym ministrem...*

Komenda Miejska mieściła się niecałe pięć minut spacerem od Prokuratury Okręgowej.

– Z czym pan dzwoni?

Przysunął bliżej akta.

– Mówi ci coś nazwisko Byrna? Liliana Byrna?

– Niekoniecznie. A powinno?

Zagryzł wargę.

– Nie wiem. Mogłabyś ją dla mnie sprawdzić?

– Na kiedy? – spytała policjantka.

– Na zaraz.

Kroon lubił mieć wszystko na wczoraj. A kiedy jakaś myśl nie dawała mu spokoju – najlepiej na przedwczoraj.

– Mam za chwilę podejrzanego wezwanego...

– To poczeka – rzucił krótko Konrad. – My mu nie przeszkadzaliśmy, jak kradł, to niech teraz nie przeszkadza nam, kiedy pracujemy.

– To nie jest złodziej. Robię w życiu i zdrowiu...

Zastukał długopisem o blat biurka.

– Nieważne. I tak poczeka. Dryndnij do mnie, jak już sprawdzisz. Pa!

Rozłączył się.

„Będzie mi jej brakować” – pomyślał, wracając do wertowania akt. W Prokuraturze Okręgowej współpracowali głównie z policjantami z Komendy Wojewódzkiej. Inna liga przestępstwa, inna kultura pracy.

Do pokoju wparował Kieltrowski.

– Kupiłem ci ogórkową. Jeszcze ciepła!

– Mówiłem, że nie chcę...

Krzysiek postawił zupę na stole.

– Jedz! Zobaczysz, zaraz mi podziękujesz!

– Za gorąco...

– Żryj! – Kolega podniósł głos. – Naczelnikowi się nie odmawia!

Konrad otworzył celofanową miseczkę. Od rana siedział na samych kanapkach.

– Niech ci będzie... a słuchaj. A propos tego naczelnika. Jakie wy macie kontakty z wojewódzką?

– „My” to znaczy kto? My, naród, my, partia?

– Wy, okręg.

Siorbnął zupy.

– Bo ja wiem. Chyba dobre. Ale wiesz. Z psa nigdy nie będziesz miał przyjaciela... A co?

– Chciałbym ściągnąć Flarę do Wojewódzkiej. Prowadzić z nią te gwałty.

– Mało masz doświadczonych policjantów?

Kroon wycelował w niego łyżką.

– Flara to Flara.

– Fakt. Mogę pogadać z Okręgowym, jak chcesz. Chyba w końcu skończyła jej się banicja, po tamtej akcji sprzed lat... Justynka lubi romanse, co?

– Każdy lubi romanse.

– Też prawda.

Kieltrowski wstał od biurka. Wziął pudełko po zupie.

– Twoje też wyrzucić?

– Jeśli byłbyś tak uprzejmy...

– Jestem zajebiście uprzejmy. Karmię kolegę i jeszcze po nim sprzątam. Każdy chciałby mieć takiego szefa, co nie, misiek?

Naczelnik opuścił pokój. Chwilę później do Kroona zadzwoniła Flarkowska.

– O wilku mowa. – Zaśmiał się do słuchawki.

– Że co, proszę?

– Nieważne. Gadaj, co masz.

– Sprawdziłam tę Byrnę. Słuchałam ją jako świadka do takiego usiłowania samobójstwa. Prowadziliśmy to razem, stąd pewnie prokurator zapamiętał. Pokrzywdzona nazywała się Judyta Słomska.

Judyta Słomska. Lawina runęła. Drobne płatki śniegu ruszyły z boczem, zbiły się w kulę, pędziły w stronę doliny. Nazwiska, imiona i daty. Lato 2010.

– Dzięki, Flara – powiedział Kroon, z wolna akcentując poszczególne głoski. – Na ciebie zawsze można liczyć.

Rozłączył się.

– Judyta Słomska i Lila Byrna – wyszeptał.

Lato 2010. „Nigdy papieros nie będzie tak smaczny, a wódka taka zimna i pożywna, nigdy nie będzie tak ślicznych dziewcząt, nigdy nie będzie tak pysznych ciastek”¹.

Obrazy wróciły. To wtedy Feliks Hejmo wszczął sprawę przeciwko Nikodemowi Ruckiemu, a trener Słomski poprosił Kroona o pomoc.

„Słońce nie będzie nigdy już tak cudnie wschodzić i zachodzić, księżyc nie będzie tak pięknie wisiął, nigdy nie będzie takiej telewizji, takich kolorowych gazet”.

Lato 2010, ostatni powiew młodzieńczego buntu. To wtedy Konrad postanowił poszukać w życiu czegoś ponad niezobowiązującą zabawę, to wtedy poznał Lucy, to wtedy złamał jej serce. To wtedy Kroon zdał sobie sprawę z tego, że nie potrafi żyć bez Zuzy.

„Nigdy nie będziesz dla mnie miła taka, nigdy ksiądz nie będzie mówił tak mądrych kazań, nigdy organista tak pięknie nie zagra, nigdy Bóg nie będzie tak blisko, tak czuły i dobry jak teraz”.

Lato 2010. Kroon gonił wtedy śladem Alexa. Tajemniczego muzyka, który u szczytu kariery po prostu rozpułynał się w powietrzu. Konrad przeczuwał czającą się za horyzontem zbrodnię, pędził w stronę zachodzącego słońca, by odkryć sekretne miejsce, w którym kryje się prawda.

Niczego nie znalazł. Dał sobie spokój, jego instynkt po prostu milczał, rzeczywistość nie podsunęła żadnych dowodów. Alex nie miał związku ze sprawą Judyty Słomskiej.

Lato 2010. „Nad horyzontem błyska się i słychać szcęk żelaza. Nigdy nie będzie takiego lata”.

1 Świetliki, *Finlandia* (piosenka), *Las putas melancólicas*, 2005.

LILA

„No powiedz proszę, jak masz na imię? Dziewczynko? Jak masz na imię?”

Upiorne pytania, których nie dało się niczym zagłuszyć. Od których nie sposób było uciec.

„Dlaczego jesteś taka smutna?”

Słyszała je w ciszy, słyszała mimo podkręconej na maksa muzyki. Słyszała podczas rozmów, słyszała podczas milczenia.

„Dziewczynko, płaczesz? Dlaczego się nie uśmiechasz?”

Ciągle widziała ich wykrzywione w lubieżnym grymasie usta, weneckie maski, niemęskie ciała.

Zamykała powieki, łykała piguły, gasiła światło, pędziła na oślep. Nic z tego. Oni ciągle tam byli. W rogu pokoju, na autobusowym przystanku, pod osiedlowym sklepem.

„Nie powinnaś płakać. Otwórz usta”.

Musiała uciec. Godzinami klęczała pod prysznicem, próbując zmyć z siebie ich zapach.

„Jeszcze będziesz miała powody do płaczu. Ale zacznijmy od uśmiechu. O, tak lepiej”.

„Śliczne ząbki”.

„Cała jest śliczna. Taka niewinna”.

„Dokładnie taka, jak potrzeba. Dokładnie taka, jaka miała być”.

Po wszystkim dostała pieniądze i polecenie, by siedzieć cicho.

„Bo już nigdy w niczym nie zagrasz. A my i tak cię znajdziemy”.

„Lepiej weź tę kasę i siedź cicho”.

„To całkiem sporo forsy”.

Żadne pieniądze nie zadośćuczynią podobnej krzywdzie. Żaden opatrunek nie wyleczy równie głębokich ran.

„Franek odwiezie cię do domu. Poznałaś już Franka?”

„No co tak nic nie mówisz? To był tylko seks”.

„Dobra, nie zgrywaj takiej cichodajki. Sama chciałaś”.

„I tak nie byłaś już dziewicą. A zobacz... tu masz w chuj siana. Na wakacje se wyjeżdź”.

Wcisnęli jej w dłoń grubą kopertę z gotówką, odwieźli do Sopotu. Lila wróciła do domu, w mieszkaniu nie było nikogo. Rodzice wyjechali na działkę.

Najpierw pobiegła pod prysznic. Długie godziny pod gorącym strumieniem; kiedy zużyła całą wodę z bojlera, klęczała w zimnej strudze. Szorowała ciało tak dokładnie, że miejscami omal nie zdarła sobie skóry. Myła zęby, szczotkowała język, policzki i -podniebienie, płukała gardło czystym spirytusem.

A oni dalej tam byli.

Kiedy rodzice wrócili do mieszkania, Lila właśnie kończyła palić w garnku pieniądze, które dostała od swoich oprawców. Matka i ojciec od razu zorientowali się, że coś jest nie tak.

Wyszeptali im raptem kilka słów. Więcej nie dała rady.

Szok i niedowierzenie. Szklany świat, w który ktoś rąbnął ogromnym młotkiem. Serce wyrwane prosto z ciała, rozszarpane, rozdarte.

Chwycili ją pod ramię i zaprowadzili do samochodu.

„Te skurwysyny zapłacą za to, co zrobili!” – krzyknął ojciec.

„Mirku, Mirku...” – płakała matka.

Pojechali na sopocką komendę, tam niemal natychmiast przesłuchano dziewczynę. Lila właściwie niczego nie powiedziała. Później szybka wycieczka do szpitala.

„Umyła się” – szepnął policjant na korytarzu. „No to dupa. Nie mamy czego zabezpieczać”.

Dostała specjalne tabletki, tak na wszelki wypadek. Prawdziwa bomba atomowa. Na HIV, na ciążę, na wszystko. Rodzice od razu znaleźli jej psychologa, po znajomości, na już. Ostatnio sporo chodzili po lekarzach, w końcu Mirek Byrna chorował na nowotwór.

Zbrodnia popełniona na Lili zniszczyła ich wszystkich. Całą trójkę.

– Zobacz, przekazali sprawę do Kartuz... – powiedział ojciec, otwierając pismo z prokuratury.

Matka przejęła list.

– „Z uwagi na właściwość miejscową” – przeczytała kobieta.

– Myślisz, że w Kartuzach lepiej się tym zajmą?

Pani Byrna ściszyła głos.

– Lilę wywieźli gdzieś na Kaszuby. To chyba lepiej, żeby prowadził to ktoś, kto zna tamte tereny. Znalazł dom, w którym ją skrzywdzili.

– Ale ona nic nie chce mówić... – szepnął ojciec.

– Mirek... – Rozpłakała się. – Ja nie wiem.

Próbowała zgrywać silną. Dla chorego męża, dla złamanej córki. Ale nie dawała rady. Ciężar, który rzucono na jej barki, okazał się zbyt ciężki.

NIKOLA

Minęli Nowogard. Od Szczecina dzielił ich ledwie kawałek, później jeszcze pół godziny do granicy. Pół godziny, by uciec na Zachód.

– Kurwa, Kardaś! – krzyknęła Nikola.

Ktoś zajechał im drogę, uderzył w bok pojazdu. Kuba myślał, że koleś po prostu go wyprzedza.

– Ja pierdołę! – Skręcił kierownicę, próbował odbić, utrzymać kurs.

Kolejne uderzenie.

– KARDAS! – wrzeszczała dziewczyna.

Wjechali do rowu. Strzeliły poduszki, cios sprężonego powietrza złamał Nikoli nos.

– Wyskakuj, kurwo! – zawołał Patryk. Wyciągnął kierowcę za chabety z auta.

– Patryk, ja...

– MORDA, KURWO!

Obok gangstera stało jeszcze dwóch mężczyzn, Nikola kojarzyła ich z imprez u Fabiana.

– Patryk...

– Ustaw trójkąt i wpierdalaj się do bagażnika.

– Ale Patryk... – zaczął kolejny raz Kuba.

– Jeszcze raz powtórzysz moje imię, to cię zapierdołę tu i teraz. – W ręku trzymał broń. Nie żartował. Kardaś wiedział, że Patryk Liedke jest tylko odrobinę mniej szajbnięty od Fabiana. – Trójkąt!

Nikola po prostu klęczała na ziemi i płakała.

Es-szóstką przejeżdżał właśnie jakiś samochód, zwolnił na chwilę, ale kiedy tylko kierowca zobaczył twarze zebranych wokół wraku mężczyzn, najszybciej, jak mógł, wcisnął gaz.

– Do bagażnika – powtórzył Patryk. – Jedno i drugie.

Kuba posłusznie wykonał polecenie, Nikoli trzeba było pomóc. Trzasnęła kłapa.

– Kuba... – chlipała dziewczyna.

Samochód ruszył. Najpierw jechali asfaltówką, ale chwilę później skręcili w drogę gruntową. Zaczęło trząść.

– O kurwa... – zawył Kuba, który wiedział, co to oznacza.

Pięć minut później auto stanęło.

– Wysiadaj! – warknął Liedke. Był barczystym, ogolonym na łyso chłopakiem. Najsilniejszy w ekipie. Pod okiem trzy smutne łezki, ale nigdy nie płakał.

– Stary, proszę...

Gangster nie lubił się powtarzać. Chwycił Kardasia za łachy i jednym sprawnym ruchem rzucił na glebę. Nikola leżała w aucie i trzęsła się ze strachu.

– Taki z ciebie pierdolony romantyk? Zawsze myślisz kutasem?

– Kurwa, człowieku, przecież Fabian by ją zapierdolił! – próbował bronić się chłopak. – A ona niczego nie zrobiła! Sprzątnęliśmy Rubasa...

– Nie ty tu jesteś od ocen, kurwo. A może jesteś takim samym pierdolonym lawirantem jak Omar?

– Patryk, serio, czy ja kiedyś...

– Nie będziesz mi wchodził na presję, pedale! – warknął Patryk.

Kuba próbował podnieść się z klęczek.

– Przecież zajebałem go, jak chciałeś! Nie jestem szczurem!

– Na ziemię, kurwo! – polecił gangster. – Wiesz, co jest największą chujnią? Jak zdradza brat.

Nikogo nie zdradził. Nie wysypał się na psiarni, nie robił na boku. Po prostu zabujał się w Nikoli.

– Patryk, ja cię nie zdradziłem... – Zamilkł. W jednej chwili, momentalnie, ostatecznie.

I oto stało się już.

– AAAAA! – wrzeszczała Nikola, która jeszcze nigdy nie doświadczyła cudzej śmierci.

– Dawajcie worek – powiedział Liedke. – A jej zalepcie ryj taśmą.

Kilka minut później związana Nikola jechała w bagażniku wciśnięta pomiędzy skrzynkę na narzędzia a martwe ciało Kardasia. Nie słyszała, o czym gangsterzy mówili w kabinie pojazdu. A oni właśnie przepowiadali jej przyszłość.

– Dajemy z nią do Drugiego Domu? – spytał kierowca.

– Nikola jest spalona – wyjaśnił Patryk. – Fabian kazał wywieźć ją z kraju.

– To już uruchomił ten kontakt? Sprzedajemy ją do holenderskiego burdelu?

– Będziemy przecierać szlak. Jak, kurwa, pionierzy na Dzikim Zachodzie.

Odjechali na zachód. Bo zawsze uciekamy na zachód. Choć nie zawsze jest to dobry kierunek.

ZUZA

Spotykali się raz do roku, tego dziwnego lata leżeli razem w łóżku już po raz trzeci. Wrzesień 2010. Pokręcona końcówka nienasyconego lata, kosmiczne przesilenie.

Ciągnęło ją do Konrada. Od pierwszego razu w Krakowie, od pamiętnego koncertu Cool Kids of Death, od pojechanej akcji z wujkiem księdzem, który wyglądał jak egzorcysta.

Z Kroonem to było coś więcej niż zwykła przyjaźń. Ale nie była to przecież miłość. Bo Zuza nie wiedziała, co to miłość. A przynajmniej tak jej się wydawało.

– I co to wszystko miało znaczyć? – spytał Konrad.

– Ta noc?

– To, że nie dajesz mi spokoju, wpięprzasz w rutynę zajebistego życia, łamiesz schemat schadzek...

– Przeszkadza ci ta ekstrawagancja? Nie lubisz odstępstw od normy?

Zaczęli się całować. Miała wrażenie, że nie było takiego kawałka jej ciała, którego nie dotknąłby swoimi ustami.

– Po prostu nie kumam, co się dzieje. Trzeci raz w tym roku. A ty wiesz, że ja mam dziewczynę?

– O – odparła nieco zdziwiona. – Myślałam, że nie lubisz zobowiązań.

– Nie lubię. Ale to miało być „to”.

– Macie otwarty związek?

Kroon spojrział na sufit. Nigdy tego nie ustalali.

– Chyba nie. Nie wiem.

– To znaczy, że nie macie – osądziła twardo Zuza. – Kawał skurwysyna z ciebie.

Uśmiechała się. To oburzenie było tylko na pokaz, Zuza wystrzegąca się monogamii jak diabeł święconej wody.

– Lubisz skurwysynów, co?

– Lubię ciebie. – Ugryzła go w sutek.

– Auuu!

Konrad złapał się za pierś.

– Pojebało cię?

Zuza przewróciła się na plecy, wygięła kark niczym kotka.

– Podobno przy porodzie ciągnęli mnie za głowę.

– To wiele tłumaczy.

Wyskoczyła z łóżka. Podeszła do regału z płytami, zaczęła przeglądać CD-ki.

– Jakbym miała z kimś się związać, to tylko z takim chujkiem jak ty. Czego posłuchamy?

– Czegokolwiek. A jak ja bym miał się z kimś związać...

– Mówiłeś, że już się związałeś.

Wyciągnęła jedno z pudełek. Podeszła do wieży, wsadziła płytę do odtwarzacza. Z głośnika popłynęły dźwięki gitary.

– Wzięło cię na smuty? – spytał Konrad.

Led Zeppelin, *Babe I'm Gonna Leave You*.

– Może... – szepnęła.

Zuza zaczęła tańczyć. Jej nagie ciało kołysało się delikatnie w rytm muzyki, bosa stopy podskakiwały na sosnowym parkiecie, smukła talia wiła się w wężowych ruchach.

Babe I'm gonna leave you.

Wokalista wyśpiewywał zaklęcie, Zuza odprawiała rytuał. Rockowa inwokacja.

– Konrad? – W drzwiach pokoju stanęła Lucy.

Kawałek za nią wyglądała zdziwiona Wanda, która właśnie wróciła z tygodnia w Wawce.

Zuza obróciła się na pięcie, Konrad złapał dłonią za czoło, Lucy wybiegła z mieszkania.

– Kawał chuja z ciebie – rzuciła współlokatorka.

ANITA

W Paryżu jakoś zawsze pachnie wiosną. Nawet w listopadzie, kiedy deszcz nie przestaje siąpić, nawet w lutym, kiedy musisz otulić się wełnianym płaszczem, by w pośpiechu zbiec do okolicznej piekarni po świeże bagietki. Bez względu na porę roku, nieustannie, Paryż karmi twe serce tą samą tęsknotą, którą co roku przynosi majowy wiatr, śpiewający, że oto trzeba wstać, znów zacząć żyć, sięgać po niemożliwe, śmiać się i kochać. Paryż to magia zaklęta w wąskich uliczkach, szerokich alejach, brukowanych chodnikach. To słodkie wino pite na schodach nad Sekwaną, książki sprzedawane z koszy, jazda metrem na gapę. Nieprzespane noce, leniwe dni, kochanek w pościeli, szminka na policzkach, szyi czy brzuchu. Tęsknota i miłość to zwykle dwie strony tej samej opowieści, karta pierwsza i ostatnia, wstęp i posłowie.

Anita spoglądała przez lekko uchylone okrągłe okienko wciśnięte w mansardowy dach secesyjnej kamienicy i wpatrując się w kopułę bazyliki Sacré-Cœur, nie mogła uwierzyć, jak gładko przyszło jej uciec od problemów. Wielki ciężar, który jeszcze w samolocie utrudniał jej oddychanie, zniknął, kiedy tylko autokar wwiózł je do miasta, kiedy ujrzaly futurystyczne bryły La Defense, kiedy wsiadły do taksówki, wymieniły grzecznościowe *bonjour*, jedyny zwrot, jaki znały, kiedy dojechały do hotelu, wtarabaniły się na poddasze, zamknęły drzwi, włączyły czajnik.

Julka leżała na łóżku, czytając *Alicję po drugiej stronie lustra*. Od zawsze kochała książki, nikt jej nie uczył liter, w wieku pięciu lat przeczytała elementarz Falskiego, później przyszedł czas na poważniejsze lektury. „Nie za trudne to dla ciebie?” – pytała matka. Ale Julka zawsze była nad wyraz dorosła, dojrzała niż rówieśnicy.

– Cieszę się, że tu jesteśmy – powiedziała Anita, bawiąc się wisiorkiem wysadzonym zielonym agatem. Kamień miał dodawać jej pewności siebie. I stale przypominać, dlaczego uciekła. – A ty?

– Może być.

– Tylko tyle?

Dziewczyna obróciła się na bok.

– Jesteśmy tu kilka dni. Jeszcze nie zdążyłam się znudzić. Ale nie wiem, czy mi się spodoba.

– Oj spodoba ci się – zapewniła kobieta.

Raz jeszcze spojrzała na dachy Montmartre. Odłożyła trochę gotówki, przez pół roku w Trójmieście robiła na dwa etaty: jako pracownica agencji modelek i asystentka Bosackiej w Domu Steffensa. Mimo to nie zamierzała żyć z oszczędności.

– Idę za chwilę na rozmowę. O pracę.

– Czyli to jednak coś poważnego? – spytała dziewczynka pieszczotliwie nazywana Dzwoneczkiem.

– Bardzo poważnego. Bo nie ma lepszego miejsca do życia niż Paryż.

– Zobaczymy – odparła Julka, wracając do lektury.

Anita wciągnęła marynarkę.

– To niedługo wrócę. Nie otwieraj nikomu. Zresztą... – rzuciła po krótkim namyśle – zamknę cię od zewnątrz. Na wszelki wypadek.

– Nie zamierzam wychodzić. A jak będę planowała wyjść, to i tak wyjdę.

– Oknem? Wylecisz jak Piotruś Pan?

– Żebyś wiedziała.

Anita wyszła z pokoju i tak jak obiecała, przekreśliła klucz. Zbiegła po schodach.

– Nie mogłyśmy lepiej trafić – szepnęła, wychodząc na ulicę.

Skręciła w prawo, kierując się w stronę Marguerite de Rochechouart. Zaproponowano jej pracę w jednym z okolicznych klubów z burleską. Bo na Placu Pigalle oprócz kasztanów mają też najlepsze dziewczyny.

Nagle zawibrował jej telefon. Do czasu przekroczenia granicy nie odbierała żadnych telefonów. A wydzwaniało całkiem sporo osób. Bosacka, Dominika, Alex...

Nieznany numer. W dodatku niepolski. Pewnie ktoś z nowej roboty.

- Tak? – spytała, przyjmując połączenie.
- Hej, skarbie. I co to wszystko miało znaczyć?
- Fabian?

Poczuła gwałtowny strach.

- Tęsknię. Usycham. I nigdzie nie mogę cię znaleźć.
- Powinna była wcisnąć przycisk czerwonej słuchawki. Zakończyć rozmowę. Ale nie zrobiła tego.
- *Veillez m'excuser* – spytał jakiś starszy pan. – *Savez-vous quelle heure il est?*
- *I don't speak French. Sorry* – odparła, wzruszając ramionami.
- Francja? – Fabian się zaśmiał. – Serio, spierdoliłaś za granicę?

Przeszły ją dreszcze.

- Czego chcesz?
- Zawsze tego samego. Od początku wyłącznie jednej rzeczy.
- Daj mi spokój – warknęła.
- Nie mogę. Za dużo nas łączy.

Coś sobie uroił.

- Co niby nas łączy?
- Wszystko. Tęsknota i miłość. Interes i tajemnice.
- Nie mieliśmy żadnych wspólnych interesów.
- A klub? Jeden i drugi? – przypomniał Wende.
- Człowieku, jesteś pojebany. Zostaw mnie!

Zaśmiał się.

– Bardzo bym chciał. Ale nie mogę. Muszę rozliczyć twoje grzechy. Posprzątać ten cały syf, który zostawiłaś.

- Nie mam żadnych grzechów – fuknęła.
- Jak to nie? A Malwina? Gdybyś miała czyste sumienie, nigdy byś nie uciekła.

Trafił w czuły punkt.

- Spierdalał. Uciekłam przed tobą. Bo jesteś psychopatą.
- Jestem oszalały z miłości. I tęsknoty. Tyle w temacie.

Miłość i tęsknota to dwie karty tej samej książki. Ale stron jest znacznie więcej. Na jednej z nich zapisano też szaleństwo. A na sąsiedniej skreślono śmierć.

- Odpierdol się. I nie dzwoń więcej.

Rozłączyła się.

- Kurwa... – sapnęła.

Usiadła na ławce, musiała złapać oddech.

„Nie znajdzie mnie tu” – pomyślała. „No bo niby jak?”

KONRAD KROON

Gdyby miał psa, pewnie spacerowałby teraz po lesie. Ale Fender miał się do niego przybłąkać dopiero za trzynaście lat. Konrad jak zwykle postanowił uciec w przeszłość; wycieczka ulicą Batorego do Topolówki – pewnemu pisarzowi zdarzyło się niegdyś pomylić tego króla z Sobieskim – skręcił w Podleśną, odbił w stronę altanki Gutenberga.

- No zwałem... – mruknął do siebie.

Kiedy musiał pomyśleć, szedł na spacer. A było o czym myśleć.

Od lat nie poznał takiej laski jak Lucy. Zajeźbić się przy niej czuł, robili razem fajne rzeczy, była niegrzeczna, ale i kochana, odważna, ale ciepła. *Lucy in the sky with diamonds*. Każda randka przypominała narkotyczną podróż przez galaktykę, każdy poranek – bezpieczne lądowanie w miękkiej pościeli. Kręciła go, lecz nie niszczyła. Pociągała, nie nudziła, ciągle zaskakiwała czymś nowym.

Jedenaście lat temu Konrad zdał maturę w pobliskim liceum. Zawsze po zajęciach chodzili na podleśną polanę, żeby łoic tanie wina i flirtować z laskami. Kroon cieszył się oczywiście największym powodzeniem. Inteligentny buntownik, anarchista, który powiedział, że pójdzie na prawo.

Dziewiętnaście lat, żadnego poważnego związku. Kiedy stuknęła mu trzydziestka, jedynym, co się zmieniło, był licznik przygodnych romansów. Niczego trwałego, niczego, co przypominałoby namiastkę

normalnej, dorosłej relacji. Wieczny chłopiec.

Z Lucy wszystko miało wyglądać inaczej. I wtedy wydarzyła się Zuza.

– Kurwa, przecież nie mogę skończyć z Zuzą... – Usiadł pod pomnikiem wynalazcy. – Typiara jest pojebana. Zniszcz mnie.

„Ale może warto spróbować?” – spytał cichutki głos z tyłu jego głowy. „Bo przecież... jak bardzo niebezpieczna może być zwykła kobieta?”

SANDRA

Dzień swoich dziewiętnastych urodzin spędziła w niewielkiej kanciapie na gdańskiej Oruni. Oczywiście Dolnej Oruni.

Leżała na przepoconym, używanym materacu. W tej sieci hoteli każdy gość mógł liczyć na dokładnie taki sam pokój typu *bed & break-fast*. Pożółkłe legowisko i kajdanki w zestawie. Nieuprzejmy portier, wkurzony recepcjonista.

Nikoli przydzielono podobne lokum, za taki sam katalog grzechów. Z tym że Nikola już pożegnała kraj, związana taśmą wyjechała na Zachód. Holandia, a potem Emiraty. Opowieści tysiąca i jednej nocy.

Grzesiek popełnił ten sam występki, co gryzący od kilku tygodni glebę Rubas. Zdradził Fabiana Wendego, chciał przejąć władzę nad gangiem, zarabiać na klubach, handlować towarem. Grzesiek miał jednak więcej szczęścia. Zakosił sporo siana, dał nogę za granicę, zniknął jak kamfora. Porzucił swój mały domek na Olszynie, zostawił Sandrę, obiecał, że po nią wróci. Ale nie wrócił. I Sandra musiała za to zapłacić.

Niczego jej nie mówili. Od czasu do czasu dostała fangę w ryj, tak bardziej dla sportu, żeby znała swoje miejsce. Sandra Formela, rocznik 91, kolejna pozycja na długiej liście ofiar podstępnego lata 2010.

– No a z Kardasiem co? – rozległ się głos.

– Zajebali obu.

– Jak to, kurwa, obu?

Ten drugi musiał odchrząknąć. Lubił Pawła.

– Młodego, bo zjebał, starego, bo był bratem młodego. Proste.

– Patryk?

– Patryk Kubę, a Fabian Pawła.

– Kurwa...

Chwila ciszy.

– To się wszystko wymknęło trochę spod kontroli. Psy nas zaraz dojebią.

– Wolisz, żeby psy się do ciebie dojebały czy Fabian z Patrykiem?

Odpowiedź była prosta.

– Kurwa, wiadomo, że psy.

Zagryźli kanapki.

– A co z Sandrą?

– Mamy ją przygotować. W weekend będzie pracować w Drugim Domu.

– No a później? – spytał pierwszy głos.

– Później to samo, co z Nikolą. Na Zachód, kurwa.

CZEŚĆ PIĄTA

ZOBACZYĆ PARYŻ I UMRZEĆ

KONRAD KROON

Wrześniowe słońce powoli chyliło się ku zachodowi. Kończyło się lato, a wraz z nim pewna epoka.

Konrad siedział na szczycie Góry Gradowej wpatrzony w panoramę Gdańska. Kiedyś przychodził tu z Zużą. Dziś nie zabrał nawet jej ducha. W końcu stał się wolny.

Od kilku miesięcy Kroon grzebał w przeszłości. Wracał pamięcią do roku 2010. To wtedy doszło do popełnienia serii przestępstw na młodych dziewczynach. Zbrodni, której przez lata nikt nie mógł rozwikłać. Której nikt nie chciał rozwikłać. Aż do teraz.

– Historia zatoczyła koło, przyjacielu – szepnął do Fendera.

Pies spojrzał na Kroona. Zupełnie jakby chciał słuchać dalej.

– Pamiętam tamte wakacje. Chodziłem wtedy z Lucy. Opowiadałem ci o niej?

Husky spuścił łeb.

– Fajna dziewczyna. Trochę jak Patrycja. No może poza narkotykami. Patrycja nie lubi narkotyków.

Z tyłu za nimi wznosił się krzyż, ufundowany z okazji początku nowego milenium. Tysiąc lat historii. Miliardy zagmatwanych biografii, doświadczeń, cierpień i zawiedzionych nadziei. Człowiek. Najbardziej pokrecony gatunek we wszechświecie.

– Jutro przychodzi do mnie Judyta Słomska. Córka mojego dawnego trenera.

Fender szczechnął.

– Je też poznałem tamtego lata – kontynuował Kroon. – Judytę, Lucy, no i jeszcze... Zużę.

Zwierzak położył mu pysk na kolanie.

– Gdyby wtedy nie pojawiła się Zuza, być może żyłbym teraz z Lucy. Być może byłbym szczęśliwy.

Husky warknął.

– Nie wiem, dlaczego wpieprzyła się w moje życie. Ani dlaczego za nią poszedłem.

Na tle nieba rysowały się ciemne kontury stocznionych dźwigów.

– Chciałbym poznać odpowiedzi na wszystkie pytania, przyjacielu – powiedział do psa. – Ale nie potrafię. Jedyne, co mi dobrze wychodzi, to rozwiązywanie zagadek. Dlatego staram się nie dekoncentrować.

Fender znów spojrzał mu w oczy.

– Czy zwałem z Patrycją tak samo jak z Lucy? Być może. Ale Zuza to zamknięty rozdział. W końcu.

Zwierzak gwałtownie poderwał się na nogi.

– Nie, nie pójdziemy do Patrycji. Nie teraz.

Fender ruszył w stronę miasta. Zatrzymał się kilka metrów dalej, obrócił głowę. Oczekiwał reakcji swego pana.

– Wybacz, kolego. Muszę najpierw dotrzeć do prawdy. Ukarać winnych. Być może wtedy znajdę odrobinę przestrzeni na wyprostowanie własnych ścieżek. O ile nie będzie jeszcze za późno.

JUDYTA

Kiedy spotkali się po raz pierwszy, ona miała dziewiętnaście, a on trzydzieści kresek. Dziś oboje byli czternaście lat starsi, choć wydawało się, że są równolatkami. Konrad zmienił fryzurę, zapuścił lekki zarost, ale poza tym wyglądał praktycznie tak samo. Judyta miała mocne zmarszczki, zdradziecki odrost zdradzał, że kasztanowy brąz to jedynie farba, atrapa, która i tak nikogo nie nabierze.

– Dziwnie się czuję, siedząc przed prokuratorem.

– Wtedy w szpitalu też byłem prokuratorem – wypunktował Kroon.

– Aż strach pomyśleć. Co ja miałam w głowie, że mnie to w ogóle nie zdziwiło?

– Miłość. I tęsknotę – odparł Konrad.

Przyjechał do niej na Srebrzysko w 2010, po nieudanej próbie samobójczej. Nosił się jak hipster, gadał jak kumpel; myślała, że jest jakimś pieprzonym terapeutą.

– Gdyby nie ty... znaczy gdyby nie pan, skończyłabym jak Lila.

Do dziś pamiętała tamtą rozmowę. Kroon usilnie próbował wybić jej z głowy Alexa. Coś na niego znaleźć. Sprawić, by ich wspólne drogi się rozeszły. I tak się ostatecznie stało, choć trudno osądzić, jak wielka była w tym rola młodego prokuratora. Alex odwrócił się od Judyty, gdyż wybrał inną uczennicę. Kaprys mistrza.

Nastolatka czuła się skrzywdzona i porzucona. Miała wszystkim za złe, najbardziej zaś starym, a w

ogóle to już ojcu – trenerowi Słomskiemu. Pan Antoni postrzegał wokalistę UTERO jako ucieleśnienie wszelkiego zła, inkarnację szatana, nowego Mansona, sekciarza i obłudnika.

Krótko później zespół się rozpadł, a muzycy rozjechali po Polsce. Do-piero jesienią Judyta znalazła w sobie siłę, by odezwać się do dawnej przyjaciółki. Wtedy dowiedziała się o jej tragedii.

– Widzisz, wiesz mi jedno życie – mruknął Konrad, niejako odruchowo skracając dystans. Często tak miał, kiedy gadał z ludźmi z „tamtych czasów”.

– Najwidoczniej – odparła Judyta. – Jak mam za to zapłacić?

– Pomóż mi złapać skurwieli, którzy jej to zrobili.

Słomska spuściła wzrok.

– Wiele bym dała, żeby cofnąć czas. Żeby ją uratować. Wiesz, że to ja ją poznałam z Alexem? – Też przeszła na ty.

– Rozumiem.

– Gdybym nie wciągnęła jej do tej grupy, nigdy by się w nim nie zakochała. I nigdy nie wkręciła w Dom Steffensa.

– Do gwałtu nie doszło w Domu Steffensa. To był inny klub.

– Wiem. Tamtej jesieni żyłam sprawą Lili. Wspierałam ją, próbowałam jakoś pocieszyć. Mówiła, że wywieźli ją gdzieś na Kaszuby.

– Pod Ostrzyce – wyjaśnił Kroon.

– Tak. Byłam tam z nią kiedyś na wakacjach. Za dzieciaka.

Dzieciństwo. Niewinny czas, w którym nigdy nie dzieje się żadna krzywda.

– Czy mówiła ci, kto to zrobił?

Kobieta zaprzeczyła.

– Przecież nie wiedziała.

– Ale to... nie był On?

Alex. Znów wracał do tej opowieści, na przecięcie ich życiorysów, do umysłu Konrada.

– Mężczyźni nosili maski.

– Poznałaby go – stwierdził Kroon. – Mimo maski.

Oczywiście, że tak. Judyta musiała przyznać prokuratorowi rację.

– To nie był Alex. Z tego, co mówiła Lila, przestali się widywać.

– Też ją porzucił? Tak jak ciebie?

Mimo upływu tylu lat Słomska poczuła w sercu lekkie ukłucie. Delikatny żal. Zadra tęsknoty.

– Nie, nie tak jak mnie.

– To czemu zniknął?

A któż to mógł wiedzieć? Na pewno nie Judyta czy Lila. Ani żadna z osób, które intrygował świat tajemniczego muzyka. Spośród setek ludzi zafascynowanych charyzmatycznym wokalistą jedynie Anita potrafiła odgadnąć jego myśli, pokonać apolliniński urok i czar. Ale ani Słomska, ani Kroon nie znali Anity. Choć byli na jej tropie.

– On uważał siebie za kogoś w rodzaju demiurga. Stwarzał innych, a później pozwalał im żeglować wolno. Uznał, że Lila jest gotowa, by pójść własną drogą.

– To są przemyślenia dziewiętnastolatki?

– To są przemyślenia trzydziestolatki. To są moje przemyślenia. Wiele razy wracałam do tamtych dni, do tamtego pokręconego lata.

Kroon skinął głową.

– Czasem potrzebujemy opuścić proces, żeby dostrzec wszystkie niuanse. Nabrać perspektywy.

Trudno się było nie zgodzić.

– Coś w tym jest – odparła.

Za oknem właśnie przejeżdżał tramwaj. Dziesiątka do Nowego Portu.

– A więc nie Alex? – spytał po chwili.

– Nie Alex – potwierdziła.

Ale skoro nie Alex, to kto? I dlaczego zniknął? Dlaczego tuż po uprowadzeniu Lili rozplynął się w powietrzu?

Skoro nie miał związku z uprowadzeniem nastolatki, to czemuż niespodziewanie porzucił wszystko,

co kochał, zniknął ze sceny, pozwolił dać się zapomnieć, nie zostawił następcy, dziedzica, potomka? Jaki mistrz opuszcza teatr, nie namaściwszy pierwszego wśród uczniów?

– Jej rodzice bardzo to przeżyli. Ta tragedia rozwalila całą ich trójkę.

Amunicja odłamkowa. Zakazana przez wszystkie konwencje.

– To, że nie znaleziono sprawców, na pewno też – stwierdził oschle Kroon.

– Daliście dupy.

– Daliśmy – przyznał prokurator. – Nie wiem dlaczego, ale daliśmy.

– I teraz wracasz do tego? Tak po prostu? Po tych wszystkich latach?

– Wierzę w sprawiedliwość. I w karmę.

– W co bardziej? – spytała Judyta.

– W to drugie.

Karma to podstępna suka. I Kroon o tym wiedział.

– Jakoś w grudniu przyszło umorzenie – powiedziała kobieta. – Że niby nikogo nie znaleźli. Zaskarżyliśmy je do sądu, ale sąd przyznał rację prokuratorze. Napisali w uzasadnieniu, że dalej będą szukać. I wiesz, co ci powiem? Chuja szukali.

Nie szukali. Żadnego śladu w aktach, żadnej wskazówki, by ktokolwiek się tym przejął.

– To były mimo wszystko inne czasy. Bardziej dzikie.

– Serio? Przecież wstąpiliśmy już do Unii, budowaliśmy lotniska, drogi...

– Kultury prawnej nie da nauczyć się w kilka lat – bąknął gorzko Kroon. – Ale obiecuję ci, że doprowadzę tę sprawę do końca.

Wzruszyła ramionami.

– Pogodziłam się z tym wszystkim. Zamknęłam tamten rozdział.

– Ale ja nie zamknęłam. Na dobrą sprawę dopiero go otworzyłam.

– Mogę zapalić?

Kroon pokręcił głową.

– Czujki zainstalowali. Poza tym nie znoszę fajek.

Wyciągnęła z torebki gumy.

– Lila chodziła na terapię, brała leki, ale nic nie pomagało. Ciągle widziała ich zamaskowane twarze, czuła smród ich spoconych ciał. – Kobieta się wzdrygnęła. – W końcu, w maju 2011 roku, popełniła samobójstwo. Przyjechał prokurator, tym razem z Sopotu. I znowu to umorzyli.

Kroon czuł się adresatem tych wszystkich wyrzutów. Mimo że to on, jako jedyny, zamierzał naprawić dawne błędy.

– Później zmarł jej stary. Leczył się na raka, tylko Lila trzymała go przy życiu. Bał się ją zostawić. Nie po tym, co przeszła.

Wszyscy boimy się śmierci. A jeszcze bardziej pustki. Tego, że nikt nie będzie czekał po drugiej stronie. I wcale nie spotkamy tych, których zostawiamy za sobą.

– Przesłuchiwałem jej matkę. Wczoraj. Siedziała na tym samym krześle co ty.

– Biedna kobieta.

– Mówiła, że sprawcy po fakcie zapłacili Lili. Bymowie znaleźli w mieszkaniu spalone pieniądze.

Judyta przytaknęła.

– Też to słyszałam. Kasa za milczenie. Ale nie zamknęli jej ust gotówką.

– Nie? – Konrad spojrział na nią pytająco.

– Lila po prostu nie widziała sensu w tym wszystkim. Nie miała siły walczyć. Złamali ją, pokieroszowali tak solidnie, że nie było co sklejać. Może gdyby zapamiętała więcej szczegółów, coś więcej zeznała...

Faktycznie. Protokół przesłuchania Liliany Byrny był niezwykle skąpy.

– Nie chciała mówić? – zagaił Kroon.

– Nie. Nawet mi. Straciła wolę życia. A kiedy dostała tamto umorzenie... Po prostu pogodziła się z nieuniknionym.

Konrad przytaknął. Przesunął na stole akta, po czym spojrział Judycie głęboko w oczy.

– Ja się z tym nigdy nie pogodzę. Rozumiesz?

KONRAD KROON

Kompletowanie materiału potrzebnego do ustalenia sprawcy przestępstwa nie opiera się, wbrew temu, czym nieustannie zasypuje nas popkultura, wyłącznie na kryminalistyce. Tajne laboratoria, imponujące metody w stylu *CSI: Kryminalnych zagadek Miami, Las Vegas czy Nowego Jorku*. Sekretne sztuczki, ulotne poszlaki, zadziwiające eksperymenty. Filmowy, cholernie zakłamany obraz. Igrzyska dla ludu.

W rzeczywistości praca śledcza nie wygląda tak spektakularnie, jak zwykliśmy sobie wyobrażać, jak chcielibyśmy ją oglądać, jak pragnęlibyśmy o niej czytać. Postępowanie przygotowawcze bazuje głównie na osobowych źródłach dowodowych, czyli na świadkach. Bo ostatecznie w całym łańcuchu zbrodni to człowiek jest zawsze najsłabszym ogniwem.

Konrad wiedział, że jeśli nie dotrze do ludzi, którzy mieli związek z Domem Steffensa, nigdy nie pozna prawdy.

– Panie prokuratorze, świadek do pana – poinformował ochroniarz.

– Proszę go wpuścić – powiedział Konrad.

Został uzbrojony w nowe narzędzia. Awansował do Okręgu, jego sprawę uznano za poważną. Współpracował z najlepszymi policjantami Komendy Wojewódzkiej. „Musicie dotrzeć do ludzi Wendy. Po tylu latach któryś z nich na pewno się wysypie”.

Trzy krótkie stuknięcia.

– Otwarte! – krzyknął zza biurka.

W drzwiach gabinetu pojawił się śniady mężczyzna. Z pewnością nie miał wyłącznie kaukaskich korzeni.

– Dostałem wezwanie – powiedział nienaganą polszczyzną.

– Oczywiście. Proszę wejść, usiąść, okazać dowód.

Mężczyzna posłusznie wykonał polecenie.

– Niedługo straci ważność. Proszę lepiej złożyć wniosek o wydanie nowego. Straszne są teraz kolejki.

– Aaaa, jasne – bąknął mężczyzna.

– Pan Omar Umur Shimshek – odczytał Kroon.

Świadek przytaknął.

– Moi koledzy z wojewódzkiej mieli sporo problemów, żeby pana znaleźć. Ale udało się.

– Staram się nie wychylać.

– Podobno zgodził się pan coś mi opowiedzieć.

Czy się zgodził? Musiał się zgodzić. Kryminalni mieli na niego haka. Czternaście lat temu pokazałby im środkowy palec. Wolałby pójść do pierdla niż zdrzeć z Fabianem. Ale Fabian gryzł glebę, a on chciał mieć po prostu spokój.

– Nie miałem wyjścia.

– Nie tylko pan. Tamtego lata wiele osób nie miało wyjścia. Wiele dziewczyn.

Omar wrócił pamięcią do maja 2010 roku. Ukrył się w mieszkaniu kolegi kuzyna, który robił w stoczni. Ludzie Wendy szukali go po całym mieście. Ale przed Fabianem nie dało się ukryć.

– Czasem tak to już jest – bąknął.

– Pracował pan w Domu Steffensa. Jako ochroniarz.

– Bardzo krótko – odpowiedział mężczyzna. – Jakoś do wiosny.

– Wiosny dwa tysiące dziesięć – uściślił Kroon.

Świadek kiwnął głową.

– Później nasze drogi się rozeszły...

Z trudem wracał do tamtych wydarzeń. Kardasie weszli jak do siebie, zamaskowani, uzbrojeni w kastety i teleskopowe pałki. Drzwi z dykty należało jedynie mocniej popchnąć, skrytkę w ścianie obstukać bejsbolem. Za cienką plecówką mieściło się małe pomieszczenie wykrojone z obrysu kuchni. Tam się schował. A i tak go znaleźli.

– Wojewódzcy mówili, że mu podpadłeś. Że chciał cię kropnąć.

Czy chciał go kropnąć?

„Szczur pierdolony!” – wrzasnął jeden z mężczyzn, wyciągając Omara na zewnątrz. Nawet się nie bronił. Sparaliżował go strach. „Ojciec przesyła pozdrowienia!”

Czasem nazywali Wendego, niby dla żartu, ojcem. Ale to była bardzo dysfunkcyjna rodzina.

– Fabian był wariatem. I to nie takim zwykłym świrem, jakich pełno biegło wtedy po Wrzeszczu. Był

konkretnie poje... eee...

– ...pojechany – dokończył Kroon, elegancko ratując mężczyznę przed niezręcznością.

– Nie znałem drugiego takiego furjata. Po rozpadzie gangu Barwnika Fabian dorwał się do władzy. I z każdym rokiem coraz bardziej mu odpierda...

– Proszę się nie przejmować – polecił Konrad. Chciał, żeby świadek się wyluzował. Żeby nie czuł presji. Żeby niczego nie pominął. – Odpierdało mu.

– I to konkretnie. Na początku dwa tysiące dziesiątego siedziałem krótko na bramce w Domu Steffensa. Ale inne chłopaki, znaczy Rubas i Grzesiek, chcieli odsunąć Fabiana. Wiedzieli, że jest niestabilny.

Omar znów wrócił pamięcią do maja 2010 roku.

„Z rodziny da się wyjść tylko w jeden sposób. Przez trumnę”.

„Chłopaki, ja...”

Dostał pałką po twarzy.

„Chłopaki to są w agencjach towarzyskich! Nie widziałeś tego filmu, pakistańska pizdo?!

W Azerbejdżanie nie mają Canal Plus?”

Prokurator poprawił się na krześle. Obserwował twarz mężczyzny, chciał wiedzieć, czy świadek jest z nim szczerzy. Omar nie miał powodów, by go kitować. Miał za to sporo argumentów, żeby w końcu, po tylu latach, wyjawić prawdę.

– Stałeś po stronie Rubasa i Grzeška. – Konrad celowo przeszedł na „ty”.

– I źle wybrałem. Chociaż z drugiej strony... może skończyłbym tak jak Kardasie.

– To inni ochroniarze?

Omar zaprzeczył.

– Nie robili w klubie. Działali pod Patrykiem Liedkem, prawą ręką Fabiana Wendy.

– I co się z nimi stało?

Mężczyzna bezradnie rozłożył ręce. Myślał, że prokurator wie.

– Karma ich dojechała.

– Zginęli?

– Z Fabianem nie szło normalnie. Coś mu odpierdoliło i podobno kazał ich zaje... się pozbyć. Patryk jeszcze z kilkoma ludźmi poszedł za to siedzieć.

– I siedzi dalej?

– No siedzi. Do końca życia będzie siedział.

Kroon zanotował to wszystko w protokole. Kryminalni powiedzieli mu tylko o Omarze. Zupełnie pominęli wątek Patryka Liedkego. A przecież... ktoś mógł wiedzieć więcej o tamtej sprawie niż prawa ręka Wendy?

– Co wiesz o Drugim Domu? – spytał Konrad.

– Niewiele. Dowiedziałem się dopiero po czasie. To był lewy interes Fabiana. Taki na boku.

– Pod Kartuzami?

– Gdzieś na Kaszubach. I działały się tam naprawdę grube rzeczy. Ale więcej nie wiem. Nie interesowałem się.

Kroon analizował twarz mężczyzny. Nieświadome reakcje organizmu, drobne gesty i ruchy. Musiał wiedzieć, czy świadek jest z nim szczerzy.

Ale Omar już dawno nauczył się nie kłamać.

*

Maj 2010. Chwycili go pod pachy i przywiązali do krzesła.

„Co wy robicie?”

„Milcz, suko!”

Omar zaczął płakać. Taki duży, a taki strachliwy.

„Tylko nam się tu nie zesraj” – polecił napastnik. „Trzymaj to!”

Podali mu do ręki dwa przewody elektryczne.

„Nie zabijajcie mnie! Błagam!”

„Jak ładnie będziesz mówić, to może przeżyjesz. Ale nie możesz tego puścić, kumaszu, Pakistańcu?

Weź włącz jakąś muzykę!”

Drugi z mężczyzn rozkręcił na cały głos radio.

„Jak będziesz kłamał, to podkręcimy napięcie. A jak puścisz przewody, to strzelimy w łeb. Kumaszczyk?”

Omar dał znak, że rozumie.

„No to jedziemy z tym głównym!”

Włączyli prądnice.

*

– No i co było dalej? – powtórzył Kroon.

Mężczyzna wrócił na ziemię. Odruchowo zacisnął dłonie. Do dziś pamiętał tamten ból.

– Sorry. Zamyśliłem się.

– Okej. Proszę kontynuować.

– Wystawiłem im Rubasa i Grześka. Fabian mi wybaczył. Wtedy się odciąłem. Koniec historii.

To wcale nie był koniec historii.

– No a Drugi Dom? – Prokurator ponowił pytanie.

– Jeśli jest ktoś, kto może panu pomóc, to tylko Patryk. Ale on... – Zawahał się. – Prokuratorze, to jest stara recydywa. I on z psami nie gada.

– Z psami może nie – odparł Kroon. – Ale ja nie jestem psem. Tylko *prorokiem*.

ANIA

Potrzebowała zarobić sporo pieniędzy i oto nadarzyła się okazja. Pracę w Domu Steffensa traktowała w kategoriach awansu. Przedtem dorabiała na „Odlotach”, dostawała niezłe recenzje, ale faceci często przychodzili brudni, wstawieni...

Kolega powiedział jej o klubie. Luksusowym lokalu dla dzianych gości w garniturach.

„Muzyka na żywo, rurki, no i łożo”.

„A hajs?”

„Hajs będzie zajebisty”.

Ania oferowała swoim klientom naprawdę wiele. Miała smukłe ciało, piękną twarz, do tego była całkiem niezłe wygimnastykowana.

„Jakie ona rzeczy robi w łóżku, to bania mała!”

„Wygląda jak gorąca szesnastka!”

Drobna figura, dziecięce rysy. Prawdziwy aniołek. Ale Ania wiedziała, że kiedyś nie będzie tak wyglądać. Czas nie ma dla nas litości.

Zresztą i tak nie planowała całe życie pracować jako dziwka. To miał być łatwy start, w końcu pochodziła z rozbitej rodziny, stary siedział w kryminale, stara puszczała się z samymi alkoholikami.

„Muszę rozejrzeć się za czymś innym” – mówiła dziewczynom zza baru.

„Ale po chuj? – pytały koleżanki. – Chcesz tyrać w sklepie za tysiąc pięćset? Albo w salonie? Wiesz, ile zarabia moja kumpela jako fryzjerka?”

„Nigdzie nie zarobisz takiej kasy jak tu, bejbe”.

Faktycznie. Nawet po studiach musiałyby harować cały miesiąc na to, co w Domu Steffensa zarabiała przez jedną noc. No ale... nie takiego życia chciała.

I wtedy nadarzyła się okazja.

„Ja cię rozumiem” – powiedziała osoba, którą dotąd uważała za przyjaciółkę. „Ile można łykać sflaczałe kutasy?”

Brutalnie, ale szczerze.

„Mam dla ciebie propozycję. Tylko nie mów nikomu”.

Zawieźli ją gdzieś na Kaszuby.

„To nie będzie żadne soft porno, rozumiesz to?”

„No kumam”.

„Dostaniesz trzy dyszki. Całkiem sporo kasy, żeby otworzyć w końcu coś swojego”.

Zamierzała zainwestować we własne studio paznokci, potem zrobić kurs, powiększać babeczkom usta, jak się rozkręci, dostawić drugi fotel, może jakieś ostrzykiwanie do tego, wampirzy lifting...

Medycyna estetyczna to studnia bez dna. Jeden mililitr dobrego kwasu chodzi po cztery stówy, a ona za zabieg brałaby tysiąc. Dziesięć minut roboty. No i żadnych obślizgłych facetów.

„Trzy dyszki za jedną noc?”

„Może się przedłużyć. Ale wtedy ci wyrównamy”.

Musiała podpisać kwity, że się zgadza. Imię, nazwisko, PESEL, wszystko legitnie. Jakby składała wniosek o dowód. Świadomy, konsensualny stosunek.

„Grube tango. Wjeżdżasz tam jako arabska niewolnica. Wychodzisz jako bogaczka”.

Często oglądała z klientami pornosy. Faceci nieraz klikali w najbardziej perwersyjne kategorie. Seks dla wymagających, zakazane odmęty internetu. Ania wiedziała, jak lubią się bawić zwyrole. Ale to, co ją spotkało w Drugim Domu, trudno było porównać z jakąkolwiek pornografią.

Kilka razy myślała, że za chwilę umrze. Gubiła oddech, traciła przytomność, odpływała na drugą stronę. A oni ciągle kazali jej wracać.

Rój pajaków. Niemęskie, pomarszczone ciała. Wychudzone ręce, zgarbione plecy i grube brzuchy. Weneckie maski.

Po wszystkim leżała na ziemi: brudna, złamana, poraniona.

„To są twoje pieniądze. Tak jak obiecaliśmy. Trzydzieści koła i ma-ły gratisik, od dżentelmena, którego poniosło z tą pałką. W końcu się zagoi. Chociaż może lepiej, żeby ktoś ci ją zszyl”.

„Tylko nie mów lekarzowi, skąd to masz”.

„No nie, nic nie możesz powiedzieć...”

„Podpisałaś zgodę”.

„I mamy twoje zdjęcia”.

„Wzięłaś hajs”.

„I dałaś nam swój adres”.

„To znaczy, sprawa jest prosta. Jakbyś próbowała się komuś wysypać, to cię zajebimy jak psa”.

„Jak burą sukę”.

„Wiesz, kim był ten ziomek z blizną na brzuchu? Zresztą, nieważne... Gruba ryba. Lepiej, żebyś nie wiedziała”.

W końcu dostała swoje pieniądze. To miał być pierwszy dzień jej nowego życia. Pożegnanie ze wstydliwą przeszłością. Ale tego, co wydarzyło się w Drugim Domu, nie dało się zostawić w tyle.

ALEX

Jak to się właściwie stało, że je tu spotkał? Świat był tak szeroki, ludzi w nim tak wielu... „Paryż jest na tyle duży, żeby się zgubić, ale i na tyle mały zarazem, żeby móc coś dla siebie znaleźć”¹. Alex pragnął znaleźć tylko jedną rzecz – miłość.

„Wyjechały gdzieś na lotnisko. Spieszyły się na samolot” – powiedziała uprzejma sąsiadka z naprzeciwka.

Sprawdził internetową tablicę odlotów z tamtego dnia. Skandynawia? Wyspy? Niemcy? Alicante? A może...

Przyjechał do Rębiechowa. Terminal wciąż czekał na swoją rozbudowę, przypominał przasnny, niebiesko-biały dom towarowy z lat dziewięćdziesiątych, budynek SOLPOLU w wydaniu gdańskim.

Alex uderzył do jednej z pracownic lotniska. Zaczarował ją spojrzeniem, rzucił urok, zrobił to, co od zawsze czynił z ludźmi. Potrzebował zdobyć informację, dziewczyna naturalnie nic nie wiedziała, ale obiecała pomóc.

„My tego nie możemy tak oficjalnie. Jakby ktoś się dowiedział...”

„Nikt się nie dowie”.

A więc Paryż. Miasto Balzaka i Baudelaire’a, mekka poetów, malarzy, muzyków.

– Zobaczyć Paryż i umrzeć – szepnął Alex.

Kolejny samolot odlatywał dopiero w przyszłym tygodniu. Nie chciał tyle czekać, ale z drugiej strony nie miał specjalnego wyboru.

„Plan. Nie zdążę z planem. No trudno. Są ważniejsze rzeczy” – postanowił.

Do wtorku pozamykał najpilniejsze sprawy. Wiedział, że już nie wróci.

– Jak to spierdasz?! – wrzasnął Eryk. – No a zespół, jesienna trasa?

– Poradzicie sobie beze mnie.

Eryk dawno się tak nie zdenerwował. Rzucił w niego butelką po ginie, nie trafił, roztrzaskał szybę.

– Co ty zrobiłeś?! – warknął Michał.

Wyjrzał przez okno. Szkło runęło na ulicę, szczęście, że nikomu się nic nie stało. Wrzesień 2010 roku. Na rondzie przy Wajdeloty wciąż rósł jeszcze stary kasztanowiec.

– On tylko tak żartuje – powiedział perkusista. – Muzyka to jego życie.

Muzyka to życie. Ale życie bez miłości jest jedynie nieznośnym ciężarem, cieniem tęsknoty, ucieczką w szaleństwo.

– Poradzicie sobie – rzekł raz jeszcze, po czym zniknął za -drzwiami.

Montmartre czy Montparnasse?

Paryż wielokrotnie przewijał się w rozmowach Alexa z Anitą. Błądzili palcem po mapie, snując romantyczne opowieści o wspólnym życiu. To było dziesięć lat temu, jeszcze zanim uciekła po raz pierwszy, zanim zaszła w ciążę, zanim urodził się Dzwoneczek.

Anita lubiła wracać do starych miejsc. Wiedział, że ją znajdzie.

Przez blisko tydzień błąkał się po mieście, licząc na cud. A cudy nie dzieją się ot tak. Alex obiecał złożyć krwawą ofiarę; zawarł pakt z samym diabłem, by ten zwrócił mu utraconą miłość.

– Wujek? Co ty tutaj robisz? – spytała dziewczynka.

– Co ty tu, do cholery, robisz? – powtórzyła Anita.

Siedzieli na leżakach w ogrodzie Tuileries, nieopodal sztucznej sadzawki, na której Julia razem z jakimś małym chłopcem puszczała statki.

– Przyjechałem do ciebie. Do was.

– Ale jak...

Alex przyjrzał się jej uważnie. W tęczęwkach Anity widział wszystko to, czego całe życie pragnął, czego całe życie szukał. Wypełnione kosmosem lekko skośne oczy, kryjące odpowiedzi na wszelkie nurtujące go pytania. Ona i On. Pradawni herosi, którzy dopiero teraz odkrywali swoją boską proveniencję. Którzy dopiero teraz odkrywali siebie.

– Przyrzekłem ci to wtedy, na stoczniovym dźwigu. Że zawsze cię znajdę. – Poglądził ją po twarzy. Anita raczej się nie wzruszała. Pierwszy raz zobaczył, jak na jej policzku tańczy samotna łza.

– Alex, my...

– Już nigdy mi się nie wymkniesz – powtórzył.

KONRAD KROON

Przykucnęli na schodach u podnóża Hali Olivii. To tu spotykali się przed laty na meczach hokeja.

– Nie wiem, jak to zrobiłeś, ale dziękuję ci.

– Nie wiem, co dokładnie zrobiłem. – Kroon poklepał Słomskiego po plecach. – Ale cieszę się, że jesteś już spokojny.

Stuknęli się butelkami.

– Chodzi podkurwiona jak wściekła osa – wyjaśnił trener.

– Najważniejsze, że wróciła do domu.

– Dowaliłeś dupkowi jakieś zarzuty?

Konrad spojrział w stronę kolejki. Po wiadukcie przemykał właśnie niebiesko-żółty skład.

– Nie.

– Czyli tylko go postraszyłeś?

Musiał się chwilę zastanowić. Od czasu przesłuchania Alexa wciąż widział jego smutną twarz. Kroon nie wiedział, o co chodziło, dlaczego mu uwierzył, dlaczego muzyk po prostu dał sobie spokój. I nie rozumiał, dlaczego Judyta nagle porzuciła swoją niezdrową fascynację wokalistą.

A może z jakiegoś powodu mężczyzna sam postanowił zdjąć z niej urok? Może stwierdził, że już nie jest mu potrzebna?

– Pogadałem z Judytą. Poradziłem, żeby wrzuciła na luz. Swoją drogą, też ci polecam to od czasu do czasu zrobić. Porozmawiać z córką. Jak dwoje dorosłych.

– Kiedy ona nie chce ze mną gadać!

– Może musisz zjechać trochę na ziemię z poziomem oczekiwań. Nie paternalizować, nie pouczać, a po prostu posłuchać?

Słomski zignorował jego radę. Wyrósł w domu, w którym ojciec był panem i wzorem. Milcz i słuchaj, słuchaj i rób. Ale czasy się zmieniały.

Na skrawie ustawiała się długa kolejka aut chcących skorzystać z McDrive'a.

– Kuźwa, wpięprzają to gówna, a potem się dziwią, że im serducho wysiada przed czterdziecią.

– Żyj i pozwól żyć innym, Tosiek.

Trener Słomski wziął kolejnego łyka piwa.

– Przecież to nawet nie jest smaczne! Plastikowe kotlety zmielone razem z kośćmi, tłuszczem i skórą. Powiedz mi, Konrad, kto normalny lubi jeść taki szajs?

1 Carlos Ruiz Zafon, *Cień wiatru*, tłum. Beata Fabjańska-Popczuk, Carlos Cassas Marrodan, Warszawa 2017.

KONRAD KROON

Dożywocie. Kiedy nie masz już nic do stracenia, nikt na ciebie nie czeka, nic cię nie cieszy. Musisz urządzić życie na nowo. Pośród więziennej rzeczywistości, szarości dnia, rutyny zakładu karnego.

Siedział na krześle ze skutymi nogami i rękami.

– Kurwa, dobre gówno! Jak to się nazywa?

– Kanapka drwała.

– Zajebiste!

Niemal od razu po przesłuchaniu Omara Konrad zlecił konwój. Wycieczka ze Sztumu do Gdańska zajmowała godzinkę z hakiem. Przyjemnie się było przewietrzyć. A jeszcze przyjemniej było wszamać coś niezdrowego.

– A prokurator nie je?

– Unikam fast foodów.

– No ale na koszt Skarbu Państwa...

Kroon się uśmiechnął. Pokazał mężczyźnie aplikację w telefonie.

– To na mój własny koszt.

– Coś, kurwa, czuję, że to będzie drogie danie.

– Trzy dyszki plus napiwek dla kuriera – odparł Konrad.

Więzień wyszczerzył zęby. Był barczystym, ogolonym na łyso facetem pod pięćdziesiątkę z wytatuowaną okolicą oka. Smutne łezki na znak miejsca, w którym był i do którego wrócił.

– Nikt mnie jeszcze tak tanio nie kupił.

– Mamy inflację.

– Eeee tam. – Patryk machnął ręką. – Mówili w TVP, że jest zajebiście.

– W telewizji zawsze tak mówią.

Siorbnął coli.

– O czym będziemy gadać?

– O Drugim Domu. I Fabianie Wendem.

Gangster wyciągnął z pudełka ostatnią frytkę.

– *De mortuis nihil nisi bene* – mruknął elokwentnie Liedke. Uchodził za oddziałowego psychopatę: niebezpiecznego, lecz intrygującego; lubił zaskakiwać współwięźniów mądrymi powiedzonkami.

– O zmarłych tylko dobrze – wytłumaczył Kroon, który łacinę miał w małym palcu. – Nie wiem, czy chcę mówić dobrze. Chcę mówić prawdziwie.

– A to musimy postarać się tak prowadzić konwersację, aby było tylko dobrze.

– Czym był Drugi Dom?

– No jak to czym? Burdelem!

– Podobnie jak Dom Steffensa.

Patryk wskazał, że właśnie skończyła mu się cola.

– Drugi Dom w niczym nie przypominał klubu w parku Steffensów. Ale na głodnego nic więcej nie powiem. Da pan ten telefon!

Kroon obrócił ekran z aplikacją.

– Czym chata bogata.

– To może pizza?

– Tu mają dobre ciasto...

Więzień wybrał potrawę, Konrad dorzucił napiwek, po czym przesunął kursor, rozpoczynając realizację zamówienia.

– Za czterdzieści minut będzie. Tymczasem... proszę mówić.

Patryk wyszczerzył kły.

– Ja psom nie ufam. A prokom... tylko trochę bardziej niż psom. Jak wjedzie szama, to może coś powiem. A może nie. Chuj mnie wie.

*

Liedke kończył właśnie trzecie danie. McDonald, pizza, później KFC. Wszystko to, czego nie serwowali za kratami.

– Stara uczyła mnie, żeby nie mówić z pełnymi ustami. A ja mam taką zasadę, że nie gadam, jak mi się kończy żarcie w pysku.

Sporo powiedział. Gdzie szukać, jak drażyć, komu postawić zarzuty. Konrad wszystko zaprotokołował. Gangster okazał się kluczowym elementem tego postępowania. Bezpośrednim, naocznym świadkiem.

– To co zamawiamy?

– Kurwa, nie wiem. Przez czternaście lat na pewno otworzyli tu pełno nowych knajp, a ja ich nie znam. Przecież kebaba nie będę wpierdalał.

– Masz jeszcze w ogóle miejsce?

– Słabo. To chyba faktycznie czas się zwijać do Sztumu.

Patryk zeznał całkiem sporo. O tym, jak Fabian Wende zatrudnił się w Domu Steffensa. Jak za plecami Marty Bosackiej otworzył Drugi Dom. Werbował modelki z legalnego klubu i zapraszał na „jeszcze lepszą zabawę”. Dziewczyny wiedziały, że będzie chodziło o ostry seks. Ale nie wiedziały, jak ostry.

Po wejściu do Drugiego Domu stawały się prywatnymi niewolnicami klientów podziemnego lokalu. Bogatych biznesmenów, których nie zaspokajały zwykle perwersje. Których fantazje równały się z dzikimi żądzami arabskich szejków. Opowieści tysiąca i jednej nocy, w których tylko Szeherazada płakała.

Tortury i bicie, krzyk i poniżenie.

Nie można było uciec, nie dało się wycofać. Do Drugiego Domu wchodziło się dobrowolnie, ale po przekroczeniu progu nie wolno już było zawrócić. Koszmary stawały się jawą, mroczne sny realnym, dotkliwym cierpieniem.

Na koniec przychodziła zapłata i zobowiązanie do milczenia. Wysokie honorarium za męki, których nie mógł wynagrodzić żaden pieniądź. Ale strach przed karą, połączony z sowitą zapłatą, niejednej ofierze zamknął usta.

– Nie powiedziałeś mi jeszcze wszystkiego – zauważył Kroon. – Kontynuuj.

Więzień klasnął w dłoń.

– Nie powiedziałem i już nie powiem. Budka się zamknęła, więcej gości nie przyjęła.

– Wende nie działał sam. Była jeszcze jedna osoba.

Patryk przewrócił oczyma.

– Może była, może nie...

– Tak zeznałeś. Mam to w protokole.

– Ostatnio miewam problemy z pamięcią. To przez ten brak świeżego powietrza. I przez kraty. Mam alergię na kraty.

Konrad musiał się tego dowiedzieć.

– Jedno nazwisko. I kończymy.

Gangster wskazał na puste opakowania po jedzeniu.

– Pan wybaczy. Ale tacy jak ja nigdy nie sypią.

„Mocne słowa jak na kogoś, kto właśnie przez bite dwie godziny donosił na byłych kumpli” – pomyślał Kroon. Spojrzał na osadzonego.

Liedke na pewno nie był normalny. Silne rozchwianie emocjonalne, jego nastrój przypominał sinusoidę. Może faktycznie coś mu się właśnie odpaliło i aktualnie zamierzał uchodzić za honorowego oprycha?

– Masa sypał. I całkiem nieźle na tym wyszedł – przypomniał prokurator.

– Masa... – Patryk się zaśmiał.

Najstynniejszy polski świadek koronny. To dzięki niemu rozbito gang pruszkowski.

– No więc? – Kroon bacznie obserwował doprowadzonego. Musiał wyczuć dobry moment.

– Pan wybaczy. Nigdy nie sypałem na kolegów.

Blef.

– A w sprawie zabójstwa Kardasia? – rzucił Konrad.

Świadek nagle zrobił się nieswój.

– To było zupełnie co innego...

– Ja nie oceniam – zapewnił Kroon, unosząc ręce w pojednawczym geście. – Ale opowiedział pan

wtedy sporo o Wendzie. Że to na jego polecenie zginął Kardasiński. I tamta dziewczyna.

– Stare dzieje – mruknął Liedke.

– Stare. Podobnie jak sprawa Drugiego Domu.

Gangster nerwowo bawił się palcami. Spojrzał w stronę okna.

– Jak psy mnie dorwały, to Fabian już dawno gryzł piach. Mogłem zeznawać. Za łagodniejszą karę. „Przywalili mu dożywocie”. Prokurator zaśmiał się w myślach.

– Tu też dostaniesz łagodniejszą karę...

Liedke nie odpowiedział. Raz jeszcze zerknął za szybę.

– Nie jestem taką szmatą, żeby wsadzić kogoś do pierdła. Nigdy nie zrobiłem nikomu krzywdy.

– „Tylko tym wszystkim dziewczynom. I martwym kumplom” – pomyślał Kroon, ale tak jak poprzednio – zachował ową uwagę dla siebie.

– A Masa jest szmatą? – spytał prokurator. Brał go pod włos.

– Różnie mówią na mieście... – Patryk zarechotał.

Znów siedzieli chwilę w ciszy.

– Możesz być jak Masa. Posłać kilka ważnych osób za kratki. Ile jeszcze pożyczysz?

– Że mnie kropną?

Konrad zaprzeczył.

– Nie. Że po prostu umrzesz. Jak każdy.

– Taki los – odparł nieco filozoficznie gangster.

– *Życ to tyle, co czekać na śmierć przez czterdzieści czy sześćdziesiąt lat, drepcząc ku nicości* – wyrecytował Kroon. – Może czas w końcu zrobić coś dobrego?

Liedke się zamyślił.

– Być jak Masa? – spytał po dłuższej chwili.

– Albo po prostu nie być skurwysynem. Ten jeden raz.

Gangster głośno westchnął. Bił się z myślami.

– Jakby to był jakiś mój ziomek, to nigdy bym nie sypnął – odpowiedział po dłuższej chwili. – Ale tu nie chodzi o nikogo z ekipy. Wspólnikiem Fabiana nie był żaden z nas. To była kobieta. Nazywała się...

FABIAN

Terminal kontenerowy gdyńskiego portu stanowił jeden z ważniejszych elementów skomplikowanej maszyny handlu, która napędzała lokalną gospodarkę, dawała ludziom pracę, spełniała zachcianki wiecznie nienasyconych konsumentów, przyzwyczajonych do nieustannego zaspokajania mechanizmu nagrody. Zarabiamy, by wydawać, wydajemy, by jakoś usprawiedliwić ten ciągły bieg po więcej. Ale w przywożonych ładunkach, oprócz telewizorów, torebek i mebli, znaleźć można było znacznie ciekawsze towary.

Co jakiś czas gazety informowały o niezwykłym sukcesie trójmiejskich policjantów. Kokaina z Kolumbii, marihuana z Holandii, haszysz z Maroka. „Zabezpieczony ładunek przedstawia czarnorynkową wartość...”

Fabian przysiadł na masce srebrnej beji, którą zaparkował na końcu Estakady Kwiatkowskiego. Niespełna sześciokilometrowy wiadukt nazwany na cześć słynnego budowniczego miasta, który w dwadzieścia lat zamienił małą rybacką wieś w prawdziwą nowoczesną metropolię. Samą estakadę budowano przez cztery dekady.

Gangster zaciągnął się papierosem i jeszcze raz spojrzął na port.

– Miasto z morza i marzeń – mruknął, po czym wyciągnął komórkę. – No jesteś, misiu...

– No i jak? Wszystko się udało? – spytał Głos.

– Dopiero przyплыł nasz statek. Mam nadzieję, że psy się nie dopierdolą.

– Lepiej, żeby się nie dopierdoliły. Ostatnio przechwycili Wacika, to mają sukces.

– Widziałem. Pisali na Trójmieście – odparł Wende. – A jak tam nasza ptaszyna, dotarła do ciebie?

– Dotarła. Tak samo przestraszona jak ta pierwsza.

Fabian tylko się zaśmiał.

– Sporo przeszły. – Zarechotał. – Ale nogi rozkładają?

– Tak wiesz, w kit. Chujowo im idzie.

– Cały czas na dragach?

Gangster obserwował, jak ogromna suwnica przymierza się, by podnieść ze statku kolejny kontener.

– Jeszcze ta druga to w miarę kumata. Zebrała kilka razy wpierdol i się słucha. Ale ta pierwsza...

– Sorry, mordeczko, za trefny towar. Po prostu musiałem jej się pozbyć.

– Kumam. Ale już więcej nie przesyłaj mi takich tępych kurew. Wyświadczyłem ci przysługę, ale...

Każda szczodrość ma swoje granice.

Fabian nie mógł nie przyznać mu racji.

– Proste.

– A co tam w ogóle u ciebie?

Wyrzucił niedopałek na ulicę.

– Zakochałem się.

– Który raz w tym tygodniu? – spytał rozmówca.

– Tym razem to coś poważnego.

– O kurwa. Że ty? Taki romantyk?

– Psychoromantyk. – Gangster znów zarechotał. – Taka miłość, że mógłbym zabić.

– Gdzie ją poznałeś?

– W klubie...

Rozmówca westchnął.

– Och, Fabian, Fabian... tracisz głowę dla jakiejś tancerki z rurki?

– To nie tak, brat. Ona pracuje w klubie, ale zajmuje się ogarnianiem. Nie tańczy na rurce.

– Ale chyba nie ta ruda właścicielka?

Wende poprawił kant jeansów. Zaczynało mu się robić chłodno. Postanowił wsiąść do auta.

– Bosacka? Kuuurwa. No co ty. W opór fajna kicia. Blondyneczka, lekko taka Azjatka jakby...

– „Bez telewizji ja nie zasnę, nawet gdy Sung Hi Lee zrobi mi laskę”¹...

W słuchawce rozbrzmiał głośny śmiech.

– Coś w ten deseń.

Fabian odpalił silnik. Musiał się trochę dogrzać.

- A skąd jest? Od nas, z Wybrzeża?
 - Obywatelka świata, ziomo. Teraz na przykład grzeje dupsko we Francji...
 - Grubo. No ale jak kochać, to tylko gwiazdę. Co nie?
 - Dokładnie, brat, dokładnie. Jak tylko dopilnuję naszego małego śnieżnego interesu, to do niej jadę.
 - Tylko nie zapomnij o kwiatkach.
 - Będą, kurwa, kwiaty. Róże i diamenty.
- Rozmówca tracił zasięg. Chyba właśnie wjeżdżał do jakiegoś tunelu.
- Wyślij... mi... poczt... z Fran...
 - Wyślę ci nasze nagie fotki. Pasi?
 - Wystarczą mi jej fotki. Dozo!

ALEX

To był wyjątkowo ciepły październik. Pogoda w Paryżu często płata figle; słońce, deszcz, wiatr, ukrop, wichura, raz jeszcze trochę słońeczka, a przecież nie minęła nawet czternasta. W lipcu możemy zmarznąć, wczesnym październikiem złapać lekką opaleniznę.

Alex leżał na trawie nieopodal dawnej szkoły wojskowej, obserwując ludzi. Anita była w pracy, Dzwoneczek zagadywała jakieś obce dzieci. Nad parkiem dominowała majestatyczna sylwetka Wieży Eiffla.

– *Tu t'appelles comment?*²

– A jakbyś chciał, żebym miała na imię? – spytała dziesięciolatka.

Owa odpowiedź wybiła nieco chłopaka z rytmu.

– *Je ne sais pas. Et tu ne peux pas simplement dire comment tu t'appelles?*³

– To by było zbyt proste.

Młodzieniec wzruszył ramionami.

– A ty jak masz na imię?

– *Et c'est moi qui dois te dire comment je m'appelle, et toi tu ne me le diras pas?*⁴

Julka wzruszyła ramionami, dokładnie tak samo jak on przed chwilą.

– Czasem tak to już w życiu jest.

– Apollinaire – powiedział po chwili nastolatek.

Był od niej nieco starszy, miał kręcone włosy, nosił aparat i nigdy się nie uśmiechał. Zbyt poważny jak na swój wiek.

– A ty wiesz, kim był Apollo?

– *Un dieu grec. Tout le monde le sait*⁵.

– Moim ulubionym bogiem – przyznała Julka. – Jak dorosnę, zostanę malarką.

– Super.

– Jeśli chcesz, pokażę ci swoje prace... – Dziewczynka wyciągnęła teczkę z rysunkami. Podała ją nowo poznanemu koledze.

Apollinaire zaczął oglądać jej szkice. Grafiki przedstawiały głównie ludzi. Julkę od zawsze interesowały przede wszystkim ciekawe postacie, nietuzinkowe charaktery, pokręcone biografie.

– *Vraiment, c'est toi qui l'as dessiné?*⁶ – zdziwił się chłopiec.

– A kto? – spytała dziesięciolatka.

– *Pas mal*⁷ – pochwalił ją.

– No a ty? Czym się zajmujesz?

Znów wzruszył ramionami.

– *Rien de semblable à ça. Je vais à l'école...*⁸

– Czemu tak ciągle wzruszasz ramionami? To jakiś tik nerwowy?

– *Et toi, tu me cherches des crosses?*⁹

– Po prostu się zastanawiam. Lubię poznawać ludzi. Zaglądać im do głowy.

Apollinaire się zaśmiał. Pierwszy raz od początku ich rozmowy, pierwszy raz, od kiedy przyszedł tu do parku.

– *Tu veux regarder dans la mienne?*¹⁰

– Cały czas próbuję... – wyjaśniła dziewczynka.

Nastolatek obrócił się do niej twarzą.

– *Vas-y. Dis ce que tu vois*¹¹.

Julka skierowała na niego wzrok. Miała duże, ciemne, lekko skośne oczy. Trudno powiedzieć, jakiego były koloru. Początkowo wydawało się, że są brązowe, ale... nie. To nie był brąz. Tęczówki dziesięciolatki mieniły się kilkoma odcieniami. Zupełnie jakby kryło się za nimi coś więcej. Zupełnie jakby...

– Już – szepnęła Julka. – Już wszystko wiem.

Chłopak zagryzł wargę.

– *Et alors? Qui suis-je?*¹²

Dzwoneczek zrobiła smutną minę.

– Niestety zwykłym, drewnianym chłopcem. Nie ma w tobie niczego ciekawego.

– *Hé!*¹³ – obruszył się młodzieniec.

Julka wstała z murku.

– Wybacz, kolego.

– *Et quoi, c'est tout?*¹⁴

– Już.

– *Tu t'en ira comme ça?*¹⁵ – dopytywał Apollinaire.

– Tak.

Nastolatek poderwał się na nogi.

– *Hé, reviens ici!*¹⁶

Zablokował jej drogę. Stali na środku parkowej alejki Pól Marsowych.

– Chciałbyś mi coś powiedzieć?

– *J'aimerais te prouver quelque chose*¹⁷.

– Co na przykład? – spytała Julka.

– *Qu'il y a quelque chose de plus à l'intérieur de moi*¹⁸.

Dziesięciolatka bezradnie rozłożyła dłonie. Apollinaire patrzył na nią zupełnie tak, jakby się zakochał. A przecież dzieliło ich dobre kilka lat, w tym wieku to przepaść nie do przeskoczenia. Ona wciąż była jeszcze dzieckiem, on już powoli stawał się dorosły.

– Niestety – odparła smutno. – Nie ma w tobie nic więcej. I nigdy nie będzie.

– *Alors, finalement comment tu t'appelles?*¹⁹

Obróciła się na pięcie.

– *Je ne connais toujours pas ton nom!*²⁰ – zawołał.

Julka podążała w stronę swojego opiekuna.

– *Hé!*²¹

Nawet mu nie pomachała na pożegnanie.

– *Attends!*²²

Śmieszyla ją ta gra.

– *Nous allons nous revoir encore?!*²³

Wróciła do wujka. Alex leżał na trawie i obserwował jakąś kłócącą się parkę. Fascynowali go obcy ludzie. Tyle twarzy, tyle historii. Sonder. Każdy z nich był oddzielnym kosmosem, małym kawałkiem wszechświata, samodzielny bytem, zagadką i tajemnicą.

Ale nie w każdą tajemnicę warto się zagłębiać. Większość przechodniów nie miała mu nic ciekawego do zaoferowania. Banalne życiorysy, te same problemy i żądze. Alex szukał jedynie wybitnych jednostek. Tych nielicznych, którzy byli godni, by stać się jego uczniami. Jego wyznawcami.

– Śpisz? – spytała Julka.

– Nie. Medytuję. Wiesz, co to znaczy?

– No co ty. Przecież mam dopiero dziesięć lat. – Przysiadła obok niego. – Robię się głodna. Kupisz mi wino i bagietki?

– Za młoda jesteś na wino.

Kopnęła go lekko czubkiem buta.

– Przecież mieszkamy w Paryżu. Tu każdy pije wino.

– Fakt. Ale twoja matka by mnie zabiła, gdybym kupił ci wino. Zresztą... alkohol ogłupia ludzi.

A wystarczająco dużo debili chodzi po świecie.

– Racja. Zatem nigdy w życiu nie napiję się wina – zadeklarowała dziewczynka.

– Napijesz się... ale wszystko w swoim czasie.

– Nie, nie napiję – zaciętrzewiła się Julka. – Żadnego alkoholu. Tylko narkotyki.

Alex spojrział na nią z rozbawieniem.

– Skąd ty się urwałaś, Dzwoneczku?

– Nie nazywaj mnie tak. Tylko Anita może mówić do mnie „Dzwoneczek”.

Położył się na plecach.

– Jak tam chcesz, mała.

– A więc żadnego alkoholu – kontynuowała dziewczynka. – Tylko narkotyki.

– A ta dalej swoje...

– Kwas, grzyby, molly, mefedron...

– Skąd ty w ogóle znasz takie nazwy?

Ułożyła się obok niego, podkładając sobie pod głowę teczkę na rysunki. Trzydziestokilkuletni brodaty, długowłose muzyk i ona – nad wyraz dojrzała dziesięciolatka.

– Uczę się. Bo chcę zostać prawdziwą artystką.

– W sztuce nie chodzi o to, żeby się zaćpać.

– To o co chodzi w sztuce?

Nie musiał długo zastanawiać się nad odpowiedzią.

– Żeby poruszać. Wyzwalać i hipnotyzować. Żeby prowadzić za sobą tłumy. Kraść serca. Wzniecać zamieszki.

– Więc to właśnie będę robić. Dziękuję za radę.

– Proszę bardzo. Była darmowa. Za dalsze nauki będziesz musiała zapłacić.

– Nie mam kasy...

Alex zerwał źdźbło trawy i wsadził je sobie w usta.

– Za takie nauki nie płaci się pieniędzmi.

– A czym?

Skrzyżował nogi, dotknął obcasem kowbojki czubka buta.

– Duszą.

Leżeli tak chwilę w ciszy, podglądając ludzi spacerujących pod wieżą Eiffla. To miasto idealnie nadawało się do tego, by porywać ludzi. Bo przecież Francuzi od zawsze słuchali głównie głosu serca. I każdą rewolucję przyjmowali jako coś normalnego i wyczekiwanego.

Paryż bardzo szybko przyzwyczaja się do wszystkiego – wielka rzecz rozruchy! – a Paryż ma tyle spraw na głowie, że nie przejmuje się byle drobnostką. Jedyne miasta-kolosa mogą sobie pozwolić na przyjęcie podobnej postawy. Jedyne tak olbrzymie skupiska ludzkie mogą połączyć wojnę domową z jakimś niesamowitym spokojem.

– O czym gadałaś z tym żabojadem? – spytał zniecacka Alex.

– O wszystkim i o niczym. Nie miał zbyt wiele do powiedzenia.

– A on znał angielski?

– Nie.

Mężczyznę zdziwiła ta odpowiedź.

– To po jakiemu gadaliście?

– Nie wiem – przyznała z rozbijającą szczerością Julka. – Po prostu rozmawialiśmy. Czy to ważne po jakiemu?

– Tak pytam. Z ciekawości. Wyglądał mi na typowego Francuza.

– No bo jest Francuzem – wyjaśniła.

Coś tu nie grało. Chłopak miał śniadą karnację, na pewno nie pochodził z Polski.

– To jak się dogadywaliście?

Dziewczynka przewróciła się na brzuch. Nie odpowiedziała.

– Hej, Julka? Pytałem o coś.

– O Boże, to takie głupie. Kiedyś nie było języków i ludzie się jakoś rozumieli. Czytałeś o wieży Babel?

Oczywiście, że tak. Starożytne, biblijne czasy, w których ludzie zapragnęli zrównać się z Bogiem. Plan Alexa – być równym Bogu.

– Czytałem. A ty?

– No raczej. Uwielbiam książki.

To nie była ich jedyna wspólna cecha.

– Ja też – powiedział Alex. – Widzę, że całkiem sporo nas łączy.

MONIKA

Kiedy odzyskała przytomność, leżała obolała na czerwonym, skórzanym materacu, brudna od krwi, potu i nasienia, ze zwichniętym nadgarstkiem, rozerwaną wargą, kilkoma mocnymi siniakami. Czy to był już koniec?

Nie, niemożliwe. Szybko policzyła w pamięci, ile czasu tu spędziła. Przywieźli ją w czwartek, umówiła się, że zostanie do poniedziałku.

„Na pewno tyle wytrzymasz? To nie będzie zwykłe jebanko”.

„Luźno. Dam radę. A kasa kiedy?”

„Nic się nie martw”.

Prawie ją zamordowali. Na dzień dobry pobili, trudno to było nazwać seksem, po prostu znęcali się nad nią, maltretowali, na koniec zaczęli gwałcić.

Próbowała się wycofać, ale przecież nie umówili żadnego bezpiecznego hasła. Wycieczka w jedną stronę, bez drogi odwrotu, litości, taryfy ulgowej.

Monika pochodziła z przemocowej rodziny. Wujek odwiedzał ją w pokoju, zanim dostała pierwszy okres; kolejni konkubenci matki nie oszczędzali ani jej, ani dziecka. Lecz żaden z nich nie zniszczył nastolatki tak, jak czwórka zamaskowanych mężczyzn zaproszonych na imprezę do Drugiego Domu.

W pomieszczeniu panował półmrok. Na podłodze ułożono czarno--białe kafelki, podobne do tych w Domu Steffensa. Ściany obito grubą, czerwoną wykładziną, która miała wygłuszyć krzyki ofiar.

Z głośników dobywała się muzyka. Melancholijne dźwięki gitary, uderzenia bębnów i niski głos wokalisty, mrużącemu trudne do powtórzenia wyrazy. Dziwne zdania wypowiedane jakby na wspak, czytane od prawej do lewej. Szatańska intonacja. Błagalna pieśń do bogini Kali, której gniew mogła ugasić wyłącznie krew.

Nawet teraz, kiedy mężczyźni opuścili pokój, tantryczna melodia w dalszym ciągu naruszała ciszę, zupełnie jakby cisza była zła, jakby świadczyła przeciwko oprawcom, jakby wytykała im winy.

Monika usiadła. Z trudem utrzymywała pion, wciąż kręciło jej się w głowie. Rozejrzała się po pokoju.

– Aaaa! – krzyknęła. Ale to był cichy krzyk, zupełnie nieporównywalny z dźwiękami, jakie wydobywała z siebie wcześniej. Krzyknęła, bo się przestraszyła.

Na podłodze wiły się dwa długie węże. One także miały służyć zabawie.

Dziewczyna wciąż miała w sobie sporo woli walki. Przywieźli ją tu na cztery noce, tymczasem nawet pierwsza z nich nie dobiegła jeszcze końca. Pięć godzin kaźni, które prawie pozbawiły Monikę życia. A obiecali, że to dopiero początek.

Wstała z łóżka. Bała się zaalarmować mężczyzn, stąpała delikatnie, ostrożnie podchodząc do drzwi. Nauczyła się tego jeszcze, kiedy była całkiem mała. Gdy tylko wujek wychodził z jej pokoju, żeby skorzystać z łazienki, mała Monisia uciekała prędko do sąsiadki.

Nacisnęła na klamkę. Udało się.

Na dworze panował nieprzyjemny chłód, w końcu październikowe noce nie należą do najcieplejszych, sześć stopni, a ona była całkiem naga. Nic to.

Wyszła na zewnątrz.

Trzymali ją w niewielkiej kanciapie, położonej na tyłach posesji. W głównym budynku paliły się światła.

Nie myślała zbyt wiele.

Przyszła na świat jako zwierzę łowne, nie miała kłów ani pazurów, nie umiała atakować, nie potrafiła się bronić. Od dziecka, niemal od urodzenia, jej jedyną metodą na uniknięcie zagrożenia była ucieczka. Monika zaczęła więc biec.

Wbiegła do lasu. Pędziła na oślep, całkiem naga, kamienie kaleczyły jej stopy, raz po raz jakaś gałąź uderzała w twarz. Ale Monika nie zwalniała ani na sekundę. Mogła biec. Albo mogła dać się zabić.

1 Kaliber 44, *Litery* (piosenka), 3 : 44, 2000.

2 Jak masz na imię? (fr.).

- 3 Nie wiem. A nie możesz po prostu powiedzieć, jak masz na imię? (fr.).
- 4 To ja ci mam mówić, jak mam na imię, a ty mi nie powiesz? (fr.).
- 5 Greckim bogiem. Każdy to wie (fr.).
- 6 Serio, ty to rysowałaś? (fr.).
- 7 Niezłe (fr.).
- 8 Niczym takim. Chodzę do szkoły... (fr.).
- 9 A coś ty taka czepialska? (fr.).
- 10 Chcesz zajrzeć do mojej? (fr.).
- 11 No to dawaj. Mów, co widzisz (fr.).
- 12 I co? Kim jestem? (fr.).
- 13 Ej! (fr.).
- 14 I co? To już? (fr.).
- 15 Tak sobie po prostu pójdziesz? (fr.).
- 16 Ej, wracaj tu! (fr.).
- 17 Chciałbym ci coś udowodnić (fr.).
- 18 Że we mnie jest coś więcej (fr.).
- 19 To jak ty w ogóle masz na imię? (fr.).
- 20 Dalej nie znam Twojego imienia! (fr.).
- 21 Ej! (fr.).
- 22 Poczekaj no! (fr.).
- 23 Spotkamy się jeszcze?! (fr.).

MALWINA

Równy rok po gwałcie zdecydowała się zeznawać. Wróciła do Polski, przyjechała do Kartuz, złożyła zawiadomienie.

Policjant spisał jej zeznania, zdziwił się, że przyszła tak późno. „Dwanaście miesięcy po zdarzeniu? Przecież tu już nic nie zrobimy. Ale jak tam pani chce”.

Dostała postanowienie o odmowie wszczęcia śledztwa. Artykuł 17 §1 pkt 1. Brak danych. Że niby nie była wiarygodna. Złożyła zażalenie, sąd nakazał prokuraturze prowadzić postępowanie dalej. W styczniu 2013 roku dostała umorzenie, na postanowieniu widniała grudniowa data. Niewykrycie sprawcy.

Jedenaście lat później ktoś w końcu zainteresował się tamtą zbrodnią. Siedziała w sądzie, czekając na przesłuchanie. Na późniejszą godzinę wezwano Anię, drugą z ofiar. Pamiętała ją z Domu Steffensa.

Ania bała się, że się spóźni, przyszła przed czasem. Siedziały na korytarzu i rozmawiały. Obie wróciły pamięcią do tamtych strasznych dni. Trauma wyzwolona.

Zostały zmuszone, by raz jeszcze przeżyć owe tragiczne wydarzenia, które na zawsze zrujnowały im życie. Ale nie dało rady inaczej. Bez dowodów, oprawcy dalej chodziliby bezkarnie po ulicy i śmiali się sprawiedliwości w twarz. A przecież musieli w końcu zapłacić za swoje grzechy. Przed karmą nie da się uciec.

Poproszono ją do gabinetu. Pokój przesłuchań miał stwarzać jak najbardziej komfortowe warunki. O ile to w ogóle było możliwe.

Prokurator Kroon siedział za weneckim lustrem i przysłuchiwał się czynnościom. Chwilę wcześniej przekazał sędzi kartkę z wizerunkiem podejrzewanej osoby. To on zawnioskował o przesłuchanie Malwiny i Ani. Materiał dowodowy z każdym dniem stawał się coraz mocniejszy. Konrad dopiął swego. I wreszcie miał wyjście na sprawcę.

Malwina opowiedziała wszystko ze szczegółami. Od początku do końca, na ile pamiętała.

– Później dostałam pieniądze. To było całkiem sporo kasy. Kilka-dziesiąt tysięcy. Wręczyła mi je tamta kobieta.

Sędzia okazała tablicę poglądową z wizerunkiem czterech dziewczyn o podobnym wyglądzie. Malwina od razu wskazała na właściwą fotografię.

– To była ona. Nigdy nie zapomnę jej twarzy.

MONIKA

Monika wiedziała, żeby zbytnio nie ufać facetom. Że każdy z nich to drań, który myśli wyłącznie o jednym, chce wziąć to, na co ma ochotę, wykorzystać, zabawić się, kopnąć w tyłek bez „do widzenia”. Ale nigdy nie sądziła, że najgorsza zdrada spotka ją ze strony kobiety.

Znały się z Domu Steffensa. Pracowały tam wprawdzie na różnych stanowiskach, Monika była dziwką, a ona kimś w rodzaju asystentki szefowej, ale... kruk krukowi oka nie wykole. Dwie babki w niebezpiecznym świecie męskich interesów. Musiały sobie pomagać.

„To będzie ostra zabawa, Moni. Zastanów się, czy jesteś na to gotowa”.

„Dam radę”.

„Bez żadnych granic. Brutalny seks”.

„Kumam”.

Mówiła jak przyjaciółka. Radziła, ostrzegała, właściwie to nawet jej nie namawiała.

„No ale nieźle ci zapłacą. Będziesz mogła w końcu pójść na swoje. Bo wiesz, szanuję to, co teraz robisz. Każdy orze, jak może. Ale jak dostaniesz walizkę kasy, to w końcu stwierdzisz, że stać cię na lepsze życie”.

Sześć godzin okrutnych tortur. Cztery dni męki, a później... no właśnie. Nie wiadomo, co później.

Monika ledwo szła. Ze stóp zesza jej niemal cała skóra, była pokaleczona, obolała, wycieńczona. Jak antylopa, która biegnie tak długo, aż nie wysiadzie jej serce. Tak czy inaczej, wiedziała, że zginie. Zamierzała dać sobie chociaż szansę.

Szła łąką, wspinała się pod dość stromą górę, którą ktoś kiedyś określił mianem „złotej”. Opuściła las, drzewa przestały już ją kryć, ale przecież musiała w końcu dotrzeć do cywilizacji.

Okoliczne domki letniskowe opustoszały. Sezon kończył się we wrześniu.

Na pewno musieli jej szukać.

Na dworze powoli wschodziło słońce. Monika dochodziła do skrzyżowania dróg, z którego roztaczał się wspaniały widok na Jezioro Ostrzyckie, Brodno i okoliczne pagórki. Naprzeciwko pomnika Bojowników Ruchu Oporu zaparkował radiowóz. Osobowa policyjna kia.

– Ja pierdołę! – zawołała.

Funkcjonariusze przysypiali; dochodziła siódma, lada moment mieli kończyć służbę.

– Chryste Panie! – krzyknął policjant, widząc nagą, poobijaną dziewczynę.

Wyskoczyli z auta, okryli ją kocem, próbowali ustalić, co się stało. Monika upadła na kolana i po prostu zaczęła płakać.

– Ładuj ją prędko do auta. Przecież ona nam tu, kurwa, zamarznie.

Posadzili ją na tylnym siedzeniu, dokładnie opatulili.

– Masz, napij się.

Funkcjonariusz podał jej termos z herbatą. Zawsze na nockę zabierał ze sobą termos, pracował w patrolu już dwadzieścia lat, wiedział, że noce na Kaszubach są cholernie chłodne.

– Co się stało? – spytał drugi z funkcjonariuszy. On również widział już sporo, ale jeszcze nigdy w życiu nie spotkał czegoś takiego.

– Uciekłam, uciekłam, uciekłam... – powtarzała Monika.

– Skąd uciekłaś?

– Nie wiem – odparła. – Tam jest taki dom, oni mnie...

Policjanci byli zdruzgotani. Ale musieli zachować pełen profesjonalizm. Ustalić, co się stało, podjąć właściwe decyzje.

– Zgwałcili cię?

– Tak – ryknęła. – Gdybym nie uciekła, zabiliby mnie...

– Potrafisz powiedzieć nam, gdzie to było?

Nie wiedziała, czy potrafi. Niby patrzyła za okno, niby obserwowała drogę.

– Nie wiem – wychlipała. Ułożyła się na kanapie, adrenalina opadła, dopiero teraz tak naprawdę doszło do niej, co się stało.

– Kurwa, Józek...

– Dzwon do szefa!

Policjanci z prewencji nigdy nie podejmują decyzji samodzielnie. Są oczami i uszami dyżurnego, jego ludźmi w terenie. We wszystkim muszą jednak zdawać się na decyzję oficera, któremu podlegają.

Starszy z funkcjonariuszy wyciągnął komórkę. Wybił numer do komendanta.

– Przepraszam, że budzę, ale... mamy tu taką dziewczynę. Mówi, że ją zgwałcili.

W tego typu sprawach kluczowe okazuje się pierwsze czterdzieści osiem godzin. Czynności wykonane w pierwszych chwilach od przyjęcia zgłoszenia często decydują o tym, czy kiedykolwiek uda się złapać sprawcę.

Z jednej strony pokrzywdzoną należało bezzwłocznie odwieźć do szpitala. Z drugiej – należało też czym prędzej odnaleźć i zabezpieczyć miejsce przestępstwa.

– To co robimy?

Komendant musiał myśleć szybko.

– Kurwa mać...

Monika nie słyszała dokładnie, co mówią. Zamknęła oczy, powoli opuściły ją resztki sił.

– Józek, ona nam tu zaraz zejdzie! – krzyknął drugi z funkcjonariuszy.

– Dobra, dawaj, Lechu, na tył. Usiądź tam z nią. Jedziemy!

Należało działać. Ująć sprawców, wezwać posiłki, zawiadomić prokuratora. Takie sprawy nie zdarzały się tu często.

Radiowóz ruszył z parkingu.

– Mów do niej, Lechu, mów do niej cały czas!

– Kurwa, Józek...

Zjechali w dół w stronę Ostrzyc. Zegarek wskazywał godzinę siódmą, był piątek, początek października, piękna kaszubska jesień.

– Wszystko będzie dobrze, mała, nie martw się! – pocieszał ją funkcjonariusz.

– Daj jej jeszcze tej herbaty!

Policjant odkręcił termos.

– Kurwa, już cała zimna.

– Tam mam gdzieś batonika... – Zaczął przeszukiwać schowek. Wyciągnął czekoladowe ciasteczko, rzucił koledze. – Niech to zje.

Monika nie miała ochoty jeść. Powoli odpływała.

– I gdzie dalej? – spytał ten, którego nazywali Lechem.

– Chyba w lewo... – szepnęła nastolatka.

Skręcili w szutrową drogę. Tam na uboczu stał stary, ceglany dom.

– To tu? – spytał policjant.

Dziewczyna poczuła dreszcze. Czy to z zimna, czy ze strachu, może z jednego i drugiego, zaczęła się gwałtownie telepać. „Trzęsiesz się jak stonka po oprysku” – mawiali Kaszubi. I tym właśnie była Monika: małym, nieistotnym robakiem, który trafił na talerz cudzych obrzydliwych zachcianek.

– Pilnuj jej – polecił Józek, poprawiając pistolet.

Ostrożnie wyszedł z radiowozu.

– Mogę iść z tobą – zaproponował Lech.

– Siedź! Zaraz wracam...

Policjant miał już swoje lata, spory brzusek pieszczotliwie nazywany piwnym. Mieszkał tu od urodzenia, podobnie jak jego ojciec, dziadek i babka. Podobnie jak każdy inny z funkcjonariuszy stężyckiego posterunku czy kartuskiej komendy. Wrośnięci w tę ziemię, spojeni więzami trwalszymi niż spiż. Potrafiliby sądzić się o piętnaście złotych, ale gdy pojawiał się obcy, daliby się za siebie zabić.

Józek zniknął we wnętrzu ceglano domu. Cały czas trzymał dłoń na pistolecie, wiedział dobrze, na co się pisze.

– Zabierzcie mnie stąd – szepnęła Monika.

– Już w porządku. Jeszcze tylko chwila i zaraz znikniemy.

Z budynku wyszedł pierwszy z policjantów. Szedł w towarzystwie jakiegoś barczystego mężczyzny. Podeszli do auta.

– No... – mruknął Lech, odsuwając się od Moniki.

Józek otworzył drzwi radiowozu.

– To ona.

Gangster chwycił dziewczynę za ramiona. Jednym szybkim ruchem wyciągnął ją z radiowozu i rzucił na ziemię.

Monika zaczęła krzyczeć.

– Stul pysk, dziwko! – wrzasnął, kopiąc ją z całej siły w brzuch.

– POMOCY! POMOCY! RATUNKU!

Mężczyzna podniósł ją za włosy i rąbnął pięścią w twarz.

– Nie taki mieliśmy układ, szmato.

Policjanci obserwowali tę sytuację ze zniesmaczeniem.

– BŁAGAM! BŁAGAM! NIE ZOSTAWIAJCIE MNIE TU!

Józek czuł się okropnie. Zawsze uważał się za porządnego faceta. Lechu miał ochotę wziąć pałkę i wywalić nią z całej siły gangsterowi w twarz. Zamiast tego po prostu spuścił wzrok.

– PROSZĘ! PROSZĘ!

Wiedzieli, że tu jest burdel. Robili w policji dobre dwadzieścia lat, na Kaszubach mieszkali od dziecka. Czasami brali w łapę, komendant dostawał swoją dołę... Kiedy raz zaczniesz, nigdy nie możesz przestać.

Cholernie im było przykro. No ale zadzwonili do szefa, spytali, co mają zrobić.

„Kurwa, nie możemy się już wycofać”.

Musieli po prostu posprzątać. A gdy naprędce zbiera się ze stołu naczynia, czasem jakaś szklanka spadnie na podłogę.

– Następnym razem będziemy je lepiej pilnować – zapewnił gangster.

Funkcjonariusze wrócili do auta, odpalili silnik.

– Nie będzie następnego razu – odparł policjant. – Impreza skończona. Macie stąd wypierdalać.

FABIAN

– Sprawy się spierdoliły, kochana. Koniec balu. Kazałem chłopakom sprzątnąć ten burdel.

– Kurwa...

– No kurwa, kurwa – przyznał Fabian. – Kurwie nie można zaufać.

– A nie ma żadnej opcji, żeby to jeszcze jakoś odkręcić? – spytała kobieta.

– Nie ma. Staremu odjechało, mówi, że miało być po cichu, a tu naga laska biega po wsi, co jeśli ktoś ją zobaczył?

– Ja pierdołę – mruknęła kobieta. – Te twoje barany miały jej pilnować. Chyba nie dałeś jej kasy?

– Dałem jej nauczkę.

Właśnie wracał autem z Kartuz. Musiał osobiście wszystkiego doglądnąć, zatrzeć ślady, zapłacić, komu trzeba.

– Komendant będzie siedział cicho. Z taką kartoteką...

– Kurwa, no raczej. Ale wiesz. Lepiej nie przeginać.

– Tak pięknie żarło – westchnęła kobieta.

– Spokojnie. A Marta coś ten?

– Nie, niczego się nie domyśla.

– No dobrze. Wrócę do kraju, sprawa trochę ucichnie, to przeniesiemy się do innego miejsca.

– A dokąd ty teraz jedziesz?

– Mam taką małą sprawę do załatwienia.

– Z klubem?

Wyjechał właśnie z lasu. Kosy. Odruchowo nacisnął na pedał hamulca. Patryk mówił mu, że tu zawsze trafi się na jakąś sarnę.

– Z miłością.

– Chyba nie będziesz leciał do...

– Oczywiście, że będę. Zakochałem się.

– Stary wariat. Przywieź mi coś ładnego.

Fabian podrapał się po głowie.

– Seksowna bielizna może być?

– Chyba chwilowo mam dość seksu.

– He, he, a jak tam w Steffensie?

- Po staremu. Znalazłam taką jedną dziewczynkę... no ale teraz chujnia z grzybnią. Musi poczekać.
- Musi poczekać.

Kobieta stanęła na przejściu dla pieszych. Był środek dnia, wokół pełno przechodniów, a ona jak gdyby nigdy nic po prostu rozmawiała przez telefon o czerpaniu zysku z gwałtów.

Nie bała się niczego, nie miała hamulców, żadnych wyrzutów sumienia. Posłuchała dobrej rady swojego wroga i po prostu zaczęła żyć.

- A co zrobiłeś z Moniką?
- Wysłałem na wakacje.
- Na Teneryfę?

Wende się zaśmiał.

- Na Teneryfę trafiają wyłącznie grzeczne dziewczyny.
- A takie, co lubią uciekać?
- Holandia, tam krótki kurs przygotowawczy i Emiraty.
- Znałam kiedyś taką jedną modelkę, co chodziła z szejkiem...

Fabian wszedł ostro w zakręt. Droga była wąska i kręta, a on pędził jakieś sto dwadzieścia.

- Tu nie chodzi o chodzenie, kochana.
- Racja. Zresztą, wyjebane w nią. Ma to, co chciała.

„Zaciśnię pani zęby i przestanie oglądać się na innych. Zdrowy egoizm. Trzeba żyć dla siebie. Bo ostatecznie... wszyscy umieramy w samotności” – przypomniała sobie.

– Dokładnie. Musiałem poprosić o przysługę kumpla. Już wcześniej przetaił mi szlak takimi dwoma... a zresztą, nie chcesz wiedzieć.

- Nie chcę. Czasem lepiej nie wiedzieć zbyt wiele.

Dojechał do rozwidlenia dróg. Punkt widokowy Złota Góra. To tu Monika wsiadła do radiowozu.

- Zadzwoń do ciebie z Paryża.
- Tylko nie zrób czegoś głupiego.

Wende wyszczerzył zęby.

- A czy kiedykolwiek zrobiłem coś głupiego?

ANITA

Niespodziewany przyjazd Alexa był jej bardzo na rękę. Nie wiedziała, jak ją tu odnalazł, nie wiedziała, dlaczego podążył jej śladem... Przecież postanowiła zniknąć. Rozpłynąć się w anonimowym tłumie bezbarwnych twarzy, uciec od odpowiedzialności, poczucia winy, wyrzutów sumienia.

- Paryż jest taki wielki – szepnęła.

Nigdy nie powiedziała mu, dokąd jedzie, nie zostawiła żadnej wskazówki, listu czy tropu. A jednak on był tu teraz, zupełnie jakby cała ta rejterada nie miała absolutnie żadnego sensu. Czy to zwykły przypadek? Czy może po prostu naprawdę tym razem dała ciała, nie wymknęła się po cichu, narobiła mnóstwa bałaganu i na dodatek zdradziła wszystkim swój adres?

- Dwanaście milionów osób. A ty mnie znalazłeś – powiedziała do siebie.

Nie, to musiał być Alex. Od zawsze potrafił przekraczać granicę tego, co niemożliwe. Rozmawiał z ludźmi, mimo że nie rozumiał ich języka, ciągnął za sobą w ogień, kroczył po cienkiej ścieżce oddzielającej dobro od zła. Idealnie pasował na muzyka. Albo na zabójcę.

- Jak to zrobiłeś? – westchnęła. – Bo znowu to zrobiłeś.

Anita od zawsze wiedziała, że Alex nie jest do końca normalny. Że w realizacji własnych celów posunie się do ostateczności, że nie da się go okiełznać, przewidzieć jego ruchów, zrozumieć pragnień, który tkwiły gdzieś głęboko na dnie jego duszy.

– Alex – wypowiedziała jego imię, niemal widząc, jak stoi tuż obok niej, gładzi dłonią jej plecy. Jak pachnie i smakuje.

Miał w sobie coś z rasowego skurwiela. Apolliński gen gwiazdy; niewytłumaczalny dar ciągnięcia tłumów, oszukiwania, zwodzenia.

Długie włosy, broda, oczy jak u bernardyna – lekko smutne – jakby ktoś chwycił go za powieki i pociągnął w dół. A jednak w tych oczach, w tym hipnotyzującym spojrzeniu kryła się cała jego magia, cały czar, sekretny urok prestidigitatora, który spoglądając melancholijnym, lekko nieobecny wzrokiem, trzecią ręką, niepostrzeżenie, kradł ci serce. Alex łamał serca, odkąd tylko pamiętał, i choć zawsze był typem

wyrzutka, nigdy nie potrafił uwolnić się od grupki wyznawców; zafascynowanych jego pierwotnym magnetyzmem kobiet i mężczyzn, którzy na jedno skinienie skoczyliby w ogień, zaczęli rabować, mordować i gwałcić. Taki był właśnie Alex, takim zapamiętali go Judyta i Kroon, Fabian i Bosacka, tak widzieli go wszyscy wokół. Jedyne Anita wiedziała, jaki był naprawdę.

Alex zajmował się Dzwoneczkiem, kiedy ona pracowała. Odłożyła trochę gotówki, ale życie w Polsce i życie we Francji to dwa zupełnie inne życia, stawki, czynsze, cenniki.

„Będę musiała rozejrzeć się za jakąś podstawówką dla Julki” – pomyślała. Dziewczyna nie lubiła szkoły, a i tak wszystko wiedziała. Kochała czytać, więc nauczyła się czytać. Kochała malować, więc nauczyła się malować. Nie rozumiała rachunków, więc nigdy nie mogła na nikogo liczyć.

– *Sori Anita, derz a klajent for ju* – powiedział łamaną angielszczyzną pracownik ochrony.

– *Thanks*, Frank – odparła kobieta.

Nie umiała po francusku, nigdy się go nie uczyła, a musiała sobie jakoś radzić. Na szczęście Francuzi nie znali angielskiego, w ogóle żadnych języków obcych, a zagranicznej klienteli przychodziło tu całkiem sporo. Potrzebowali tłumaczki. Takiej jak Anita.

Zatrudniła się w klubie na Rue d’Orsel jako ktoś w rodzaju konsjerża. Luksusowa konsultantka do spraw zabawy. Była śliczna, pracowała w modzie, znała się zarówno na zachciankach facetów, jak i potencjale kobiet. Po Domu Steffensa powinna była sobie przysiąc, że w końcu zmieni branżę. Ale jak inaczej miała zarobić tak dobre pieniądze?

Klient miał kaptur, czapkę z daszkiem i skórzaną kurtkę.

– *Hello. How can I help you?* – spytała.

– *I want a girl* – mruknął. Wyraźnie wschodni akcent.

– *OK. What girls do you like? Young, old, skinny, fat...*

– *I want you* – powiedział, spoglądając jej głęboko w oczy.

Anita skamieniała.

– Fabian...

– Tęskniłaś, skarbie?

Mężczyzna ściągnął kaptur. W lewym ręku trzymał kwiaty, w prawym pudełko z biżuterią.

– Jak mnie tu znalazłeś?

– Nie było wcale tak trudno. – Zarechotał. – Zresztą, z twoją urodą... Jesteś bardzo charakterystyczna, wiesz?

Tlenione blond włosy, lekko skośne oczy, rysy rdzennej Amerykanki. Pamiątka po babci.

– Zostaw mnie w spokoju – wymamrotała.

– O nie. Nie zostawię cię. Nie po tym wszystkim. – Rozejrzał się po lokalu. – Widzę, że ciągnie wilka do lasu, co?

– Odwał się.

– Z jednego burdelu do drugiego. Ale wiesz, Dom Steffensa to była jednak klasa wyżej od tej zawszawionej nory. A nasz drugi klub...

– Spierdalaj!

Rozmową zainteresował się ochroniarz. Zauważył, że Anita podniosła głos, że nawija po polsku, że cała zbladła.

– *Good?* – spytał krępy, barczysty mężczyzna.

– *Everything OK, my friend!* Wszystko w idealnym porządku, mój ty czarny jak asfalt przyjacielu! – zawołał Fabian.

Zerknął na przeciwnika. Oceniał szanse. Spokojnie by sobie z nim poradził.

– Idź już stąd.

Gangster ułożył na stoliku kwiaty i pudełko z biżuterią.

– Nie sprawdzisz, co to?

– Powiedziałam: spierdalaj!

Oparł się o blat i otworzył pokryty aksamitem kartonik. W środku znajdowały się kolczyki.

– Kupiłem ci diamenty...

– Czego nie rozumiałaś? Masz spierdalać!

– *Good?* – zainteresował się ochroniarz.

– *Good, good, my friend* – odparł Fabian, obejmując mężczyznę w pasie. – *We are friends. This is my wife!*

Anita cofnęła się kilka kroków w głąb klubu.

– Powiedziałam...

– Przyniosłem ci kolczyki. Z diamentem. Wiem, że lubisz biżuterię. – Wskazał palcem na pozłacany wisiorek z zielonym agatem, który Anita nosiła na swojej szyi. – Zwłaszcza cudzą.

– *He needs to get out.* – Dała znak ochroniarzowi, by wyprosił niechcianego gościa. – *Out. Bye, bye!*

Bramkarz pchnął Fabiana w stronę drzwi.

– Spokojnie, spokojnie. Już idę. Będę czekał na zewnątrz.

Anita czuła, jak wali jej serce.

– Zostaw mnie, ty chuju! – krzyknęła.

Ostatnim, co usłyszała, był jego rehotliwy śmiech.

– Jeszcze mnie pokochasz, skarbie, zobaczysz.

Trzasnęły drzwi.

– *OK?* – spytał ochroniarz.

– *OK, OK, Frank.*

Przysiadła za kontuarem, ciężko oddychała. Musiała znów uciec. Gdzieś dalej. Na koniec świata. Ale nie sama. Z Dzwoneczkiem. I z Alexem. O wszystkim mu opowiedzieć. On jeden mógł ją ochronić. Przecież on jeden naprawdę ją kochał. I chyba... ona kochała też jego.

FLARA

Dzięki Kroonowi awansowała do Wojewódzkiej. Marzenie każdego policjanta. Lepsza fucha niż w Warszawie, bo nie trzeba się przenosić. Komenda Wojewódzka mieściła się nieopodal Komendy Miejskiej, ledwie po drugiej stronie Forum. Dziesięć minut pieszo. A Flara i tak mieszkała teraz na Suchaninie.

Właśnie kończyli przeprowadzać przeszukanie domu podejrzanej. Gruba akcja, pełno policji, techników i sprzętu. Sprawczynię wyprowadzono w kajdankach, Kroon zarządził jej zatrzymanie i przymusowe doprowadzenie. Zamierzał złożyć wniosek o areszt.

Pierwszym, co rzuciło im się w oczy, były weneckie maski. Powieszone w salonie, tuż obok regału z książkami, niczym trofea myśliwskie. Trzyńście pięknie zdobionych nakryć twarzy. Ostentacyjne świadectwo, że kobieta przestała bać się odpowiedzialności.

Trudno powiedzieć, czy maski pochodziły z Domu Steffensa, Drugiego Domu, czy może znalazły się tu zupełnym przypadkiem, przywiezione po prostu z placu Świętego Marka jako pamiątka z podróży. Tak czy inaczej, należało je zbadać.

Znacznie ciekawsze rzeczy znaleziono w kartonie na poddaszu. Stary, niebieski segregator wypełniony fotografiami i oświadczeniami o dobrowolnej zgodzie na stosunek seksualny.

Flara wykręciła do Kroona, aby poinformować go o wynikach przeszukania.

- Oświadczenia o zgodzie – powtórzyła policjantka.
- Przecież to jest nic innego jak lista ofiar – mruknął Konrad. – Szczere przyznanie się do winy.
- Nie zwolnij ich to od odpowiedzialności?
- Za gwałt? Flara, na gwałt nie można się zgodzić. Dziewczyny nie wiedziały, na co się piszą.
- Jasne, ale jak sąd do tego podejdzie?

Kroon poprawił słuchawkę.

– Jak do młotka, którym dowali sprawcom maksymalny wymiar kary. Chcieli być sprytni, chcieli uchronić się przed odpowiedzialnością. Że niby zgoda była dobrowolna. Ale wiemy, że dziewczyny nie mogły się wycofać. Więc dobrowolność była fikcją.

- Tylko że jak znajdą sobie dobrego papugę, takiego Wykopkowskiego...
- ...proces potrwa kilka lat – dopowiedział Konrad. – To nieuniknione. Ale nie uciekną przed karą.

Wyrok skazujący jest tylko kwestią czasu.

Flara przysiadła na kuchennym taborecie.

- No i mamy jeszcze fotografie. Te same, o których opowiedział pan Liedke.
- Narzędzie szantażu.

Sprawcy chcieli trzymać wszystkich w szachu. Ale niespodziewanie Kroon postawił im mata.

- Aż dziwne, że o tym zeznał. Przecież on też dostanie zarzuty.
- Siedzi za potrójne zabójstwo. Myślisz, że przejmuje się wyższą karą?
- Jak widać, nie bardzo – odparła.

– Patryk jest niezłym świrem. Może nie powtórzy mi tego wszystkiego w nowej roli procesowej, ale... po przeszukaniu domu Biedrzyckiej i tak mamy sporo materiału dowodowego.

Flara nie mogła się nie zgodzić.

– Wende i Biedrzycka robili z ukrycia zdjęcia swoim klientom. Bogatym biznesmenom, którzy brzydko zabawiali się w Drugim Domu. Którzy opłacali sutenerów, ochronę i ofiary. Którzy płacili za milczenie. To było ich ubezpieczenie, polisa na gorsze czasy.

– Będziemy mieć od zajebania roboty – stwierdził Kroon. – Pewnie część z nich się wywinie. Ale nie wszyscy. A na pewno nie Biedrzycka.

DOMINIKA

Dominika Biedrzycka stanęła przed sądem pod zarzutem kierowania zorganizowaną grupą przestępczą oraz pomocnictwa do kilkunastu gwałtów. Konrad Kroon zadziałał niemal w ostatniej możliwej chwili. Rok później czyny oskarżonej uległyby przedawnieniu.

Kobieta była dobrze znana wymiarowi sprawiedliwości. Od kilkunastu lat stała na czele fundacji, która walczyła z urzędniczą bezduszością. Pisała skargi na policjantów, sędziów i prokuratorów. A wszystko zaczęło się od tragicznej śmierci jej córki Darii.

Dziewczynka leczyła się na nowotwór trzeciego stopnia. Lekarze stosowali standardowe metody, zgodnie z procedurą. Nie otrzymali finansowania terapii eksperymentalnej. Dziecko zmarło, a Dominika Biedrzycka postanowiła pociągnąć ich do odpowiedzialności. Złożyła doniesienie do prokuratury, ta wszczęła śledztwo i po prawie roku umorzyła postępowanie. Biedrzycka się odwołała, sąd przyznał rację prokuraturze. Składała petycje, wnioski i skargi. Na próżno. Wszystkie organy po kolei zgodnie twierdziły, że lekarze nie popełnili żadnego błędu.

W końcu po kilku latach beznadziejnej krucjaty Dominika Biedrzycka wyłądownała w gabinecie Wiesława Niebołęckiego, ówczesnego szefa wrzeszczańskiegorejonu. To był marzec 2010 roku.

„No więc sąd utrzymał w mocy postanowienie o umorzeniu śledztwa. Zapoznałem się z pani wnioskami. Nie ma w nich nic nowego”. Młasnął. „*Roma locuta, causa finita*”.

Dominika nie wierzyła w to, co słyszy. Przecież Daria odeszła na szpitalnym łóżku...

„Co to znaczy?”

„To znaczy, że skończyliśmy. Temat zamknięty”.

Zaczęły trząść jej się ręce.

„Zamknięty?” – wyjąkała. „Przecież Daria...”

„Pani Dominiko!” – wrzasnął Prokurator Rejonowy. „Pani córka zmarła trzy lata temu. Lekarze zrobili wszystko, co w ich mocy. Nie popełnili żadnego błędu”. Znów młasnął kanapką. „Sprawę zbadali wszyscy święci. I zgodnie przyznali jedno: w leczeniu Darii nie wykryto ani jednej nieprawidłowości!”

Widział, że Dominika dygoce. Musiał to widzieć.

„Ona odeszła w szpitalu, nikt nawet nie zareagował, nikt jej nie reanimował...”

„Żadnych nieprawidłowości” – skwitował szef prokuratury.

Jak to możliwe? Przecież Dariusia miała w sobie tyle życia! Aż do samego końca; chodziła, śmiała się, żartowała...

„Ja nie chcę wiele... Chcę tylko... sprawiedliwości...”

Mężczyzna zrobił wielkie oczy. Odłożył kanapkę na blat biurka.

„Sprawiedliwości? Na tym świecie? Nie ma czegoś takiego jak sprawiedliwość” – oznajmił poważnie.

„I nie ja jestem temu winny. Życie i śmierć. Cholerna zagadka. Ale ktoś inny to wymyślił. Ten u góry”. Wskazał ręką na sufit. „Albo ten na dole. W każdym razie... nie mamy na to żadnego wpływu. Proszę zagryźć zęby. Proszę zacząć żyć. Pani jest jeszcze młoda, trzydzieści lat... piękny wiek. Jeszcze będzie pani miała niejedną córeczkę”.

„Ale ja...”

Rejonowy wstał zza biurka. Odprowadził ją do drzwi.

„Czas kończyć żałobę. I wziąć się w garść. To moja rada. Dobra rada. Proszę z niej skorzystać. Zaciśnię pani zęby i przestanie oglądać się na innych. Zdrowy egoizm. Trzeba żyć dla siebie. Bo ostatecznie... wszyscy umieramy w samotności”.

*

Zdrowy egoizm. Bo ostatecznie wszyscy umieramy w samotności.

Tamtego dnia w Dominice Biedrzyckiej coś pękło. Kilka lat walki o dziecko, przedłużona żałoba, i nic. Wszystko na marne.

„Trzeba żyć dla siebie” – przypomniał Niebołęcki.

Dominika wzięła jego radę do serca. Po tak długim czasie jej dusza i tak przypominała lód.

Jako młoda, samotna matka zawsze miała pod górkę. Nigdy nic nie przyszło jej lekko, o wszystko musiała walczyć, ciężko pracować na swój sukces. Miała zasady.

Niespodziewana cięża zakończyła błyskotliwą karierę modelki, Dominika została zmuszona, by znaleźć sobie inne zajęcie.

Zatrudniła się w agencji Marty Bosackiej, zajmowała się organizacją pokazów mody. Bosacka bardzo ją polubiła. „Otwieram taki nowy klub, Dom Steffensa. Wiesz, trochę tańców, trochę golizny. To są naprawdę niezłe pieniądze, kochana”.

Początkowo Dominika nie chciała się zgodzić. Czowała, że to może być nie w porządku.

„Zdrowy egoizm”. – Stary prokurator młasnął.

Coś w niej pękło. Zgodziła się pomóc Bosackiej; razem z Anitą wyszukiwały w agencji młode

dziewczyny, które chciały dorobić. Dom Steffensa dawał im szansę.

W klubie poznała Fabiana, który stał na czele ochrony. Podczas jednej z imprez mężczyzna przysiadł się do niej i powiedział:

– Jesteśmy naprawdę zajebicie podobni. Dwa ptaki z przetrąconymi skrzydłami. A wiesz, kto pomaga takim ptakom?

Nie wiedziała.

– Zupełnie nikt. Musimy sami zatroszczyć się o swoje.

Na początku lata Fabian Wende wpadł na genialny pomysł.

– Widzisz, ile te kociaki zarabiają na zwykłym dymanku?

– Chyba nie aż tak dużo. Bosacka zabiera im ponad połowę.

– No tak. Ale jakby zamiast trzech koła za nockę brały trzy-dzieści?

– Takie rzeczy to tylko w Dubaju – odpowiedziała.

Wende jedynie się uśmiechnął.

– Ja urządzę im Dubaj tu. W Polsce. Na Kaszubach.

Tak to się zaczęło.

„Zacisnie pani zęby i przestanie oglądać się na innych. Zdrowy egoizm. Trzeba żyć dla siebie. Bo ostatecznie... wszyscy umieramy w samotności” – radził prokurator Niebołęcki. Ale chyba co innego miał na myśli.

– Laski wypisują nam zgodę. Mówimy im, że będzie grubo. *One way ticket*. Bez odwrotu.

– A co potem?

– A potem wszystko, czego klient sobie zażyczy. – Fabian wyszczerzył kły. – Najgorsza perwa...

– To jest pojebane.

– Mamy wolny rynek. Jak jakaś nie chce, to nie musi. Od razu mówimy, że hajs będzie konkretny. Ale zabawa też sroga. Wchodzi się w ciemno.

– A jak to się wyda? – dopytywała Dominika.

Wende i na to miał przygotowaną odpowiedź.

– Nie wyda się. Dlatego robimy to z dala od miasta. Mam tam taki układzik z komendantem pod Ostrzycami. Bierze kasę i o nic nie pyta. Zresztą, to stary zboczuch. Chłopców ogląda, czterolatków. A u nas żadnych dzieci nie będzie. Tylko nastolatki. No i wiesz, pełna zgoda.

– A co na to Marta?

– Bosacka o niczym nie będzie wiedzieć. Tylko ty i ja. I kilku zaufanych chłopców.

„Zdrowy egoizm”.

– Myślisz, że to nieetyczne? – Fabian wziął ją pod ramię.

– Myślę, że będzie z tego dobry hajs – odparła. I dodała po chwili: – Trzeba myśleć tylko o sobie. Bo ostatecznie... wszyscy umieramy w samotności.

KONRAD KROON

Nie spodziewał się, że Biedrzycka przyzna się do winy. Myślał, że będzie się wypierać, płakać, udawać, żałować.

Niczego nie żałowała.

– To był czysto biznesowy układ – powiedziała. – I wierzę, że zostanę w końcu uniewinniona.

– Bardzo wątpliwe – odparł Konrad.

– Mam na to dokumenty. I świadków.

– Jakich świadków? – zdziwił się prokurator.

Dominika wzięła plik z oświadczeniami, który przed chwilą okazywał jej śledczy.

– To są moi świadkowie. Myśli pan, że zamierzam iść na dno całkiem sama?

ANITA

Siedziała na schodach Sacré-Cœur, obserwując wyczyny ulicznego akrobata, który stojąc na wąskim murku, zręcznie podbijał futbolową piłkę. Życie Anity również przypominało nieustanne balansowanie na cienkiej granicy oddzielającej życie od śmierci.

– *Alle!* – krzyknął ktoś z tłumu.

Wróciła myślami do Gdańska.

Fabiana Wendego poznała na początku pracy w Domu Steffensa i od razu poczuła głębokie obrzydzenie. „Musimy zatrudniać tu taką patolę?” – spytała Marty Bosackiej. Ale kobieta lubiła tresować groźne zwierzęta. „Wende trzyma wszystko w kupie. Miasto jest podzielone między kilka grup, z którąś musimy współpracować”. No racja. Bo jaki burdel poradzi sobie bez sutenera?

Anita ignorowała więc obecność Fabiana, starała się mieć z nim jak najmniej do czynienia. Zajmowała się urządzaniem pokazów w legalnej agencji, kolejną, znacznie szczodrzejszą pensję otrzymywała za pracę w klubie. Była kimś w rodzaju menadżerki i promotorki. Wyszukiwała młode dziewczyny, które chciały dorobić. Taniec, seks, świadoma zgoda.

Później wydarzył się Rucki. Bosacka wezwała wszystkich na dywanik. Fabian zapewnił, że podobny incydent już się więcej nie powtórzy. Miał bardziej pilnować chłopaków, za karę zwolnił kilka osób z bramki. Koniec historii. Tak przynajmniej myślała wtedy Anita. Ale historia wcale nie zamierzała się kończyć.

Co jakiś czas Fabian Wende składał Anicie niedwuznaczne propozycje. Początkowo dziewczyna obracała je w żart, później odbyła z nim mocną rozmowę. „Masz mnie zostawić. Rozumiesz? Jesteś pieprzonym oblechem, nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Kumasz? Odpierdol się”. I Wende faktycznie dał sobie spokój.

Kilka tygodni później zniknęła Malwina. Anita pisała jej SMS-y, dzwoniła, ale telefon nie odpowiadał. Pytała o nią inne dziewczyny, wspomniała coś Bosackiej. I wtedy znów trafiła na Fabiana.

„Szef mówi, że znalazł Malwinę. Prosi, żebyś jej pomogła” – powiedział Patryk, który stanowił dla Wendy kogoś w rodzaju prawej ręki. Anita wsiadła z nim do samochodu i pojechała gdzieś na Kaszuby. Tak dowiedziała się o Drugim Domu.

Pomieszczenie przypominało pokój do zabaw sado-maso. Na jed-nej z ławek siedział Fabian. Pokazał jej zdjęcia przykutej do ściany Malwiny, fotografie oprawców, makabryczną fotorelację z trzech długich dni kaźni.

„Szukałaś Malwiny. Wzięła gotówkę i spierdoliła za granicę. Ma to, czego chciała. W końcu jest bogata. Zajebiście bogata”.

Anita upadła na kolana, wybuchła płaczem, nie wierzyła, że Wende zrobił to naprawdę. Że zniewolił nastolatkę, a później jak gdyby nigdy nic za wszystko jej zapłacił.

Patryk odwiózł Anitę do domu.

„Do zobaczenia” – rzucił na odchodne.

„Do zobaczenia” – odpowiedziała. Ale Anita nie zamierzała go już więcej widzieć.

Stała w dużym pokoju, wyciągała rzeczy z szaf, w panice pakowała wszystkie ich manatki. Całe życie uciekała, teraz raz jeszcze musiała rozplątać się we mgłę.

„21 w Domu Steffensa. Dla twojego dobra lepiej przyjdź” – wiadomość od Fabiana. Krótka, konkretna, groźna.

– Idziesz do pracy? To jednak nie wyjeżdżamy? – spytała Dzwoneczek, która już się przyzwyczaiła do koczowniczego trybu życia i nagłych wyprawadek.

– Jeszcze nie wiem. Tak, muszę na chwilę podskoczyć do roboty. Nikomu nie otwieraj.

Wsiadła w taksówkę i pojechała do klubu. Tam czekał na nią Wende.

– Fajnie, że jesteś – zaczął.

– Mów, czego chcesz!

Wyszczrzył kły.

– Zapytać, czy wchodzisz w tę spółkę. Ze mną i z Dominiką.

Spółkę? A więc dla niego był to po prostu zwykły interes?

– Czy wchodzę z tobą w spółkę? Przecież ty jesteś pojebany! Jesteś pierdolonym zbrojcem!

Dewiantem! Wejdę w taką spółkę, że zawiadomię pały i będę tylko patrzeć, jak cię wpierdalają do celi śmierci!

– Ja się nie boję śmierci. Ani psów – powiedział chłodno. – Ale boję się, że cię stracę.

Momentalnie posmutniał. Anita kompletnie nie rozumiała, co się dzieje.

– Że mnie stracisz? Co ty pierdolisz?!

– Chcę z tobą być. Zawsze chciałem.

Miał nierówno pod czachą. Ktoś, kto robi takie rzeczy jak Wende, nie może być normalny.

– Człowieku, po co mnie tu ściągnąłeś?!

W tym momencie wyciągnął z kieszeni pozłacany naszyjnik z zielonym agatem. Podał go Anicie.

– To na pamiątkę. Żebyś nigdy nie zapomniała.

– Ja pierdołę! – Wstała z kanapy i pobiegła w stronę wyjścia. Musiała zawiadomić o wszystkim policję.

A potem uciec.

Fabian skoczył za nią. Przywarł barkiem do drzwi, zagrządzając jej drogę.

– Nie bój się. Nikt się nie dowie. Ochronię cię. A wiesz dlaczego? Bo zajebicie cię Kocham. Mam w chuj siana. Zaopiekuję się tobą. I twoją córką.

Uderzyła go z całej siły w klatę.

– Puść mnie, zboczeńcu!

– Spokojnie, kotku.

Waliła najmocniej, jak mogła.

– Pójdiesz siedzieć! Za Malwinę, za ten gwałt, za wszystko, co zrobiłeś!

– Wiem, że nie mówisz serio. Pamiętam, jak na mnie spojrzałaś tego pierwszego dnia, kiedy Bosacka przyprowadziła cię do klubu.

Jak na niego spojrzała? Jak na potwora. Brzydziła się go od zawsze. Coś sobie uroił w swojej chorej głowie, a teraz żył jakimiś własnymi fantazjami.

– Człowieku, ty musisz się leczyć!

Zaśmiał się.

– Okej, będę się leczyć. Dla ciebie zrobię wszystko. Mogę nawet iść do lekarza.

– Będiesz, kurwa, siedział na więziennym oddziale psychiatrycznym! PUŚĆ MNIE, KURWA!

Posłusznie wykonał jej polecenie. Bo przecież ją kochał.

Anita chwyciła za klamkę i w panice wybiegła na korytarz.

– I tak cię znajdę – szepnął Fabian.

*

Skurwiel musiał zapłacić za to, co zrobił.

– Pan mnie zawiezie na Białą – rzuciła do taksówkarza.

Skręcili w Miszewskiego, tuż za wiaduktem mieścił się komisariat.

– Jednokierunkowa – powiedział kierowca. – Mam tam obrócić przez Waryńskiego czy chce pani wyskoczyć na światłach?

Planowała zawiadomić policję. Powiedzieć wszystko o Wendzie, o Drugim Domu, o zgwałconej Malwinie. Ale chwilę później przyszło do niej otrzeźwienie. Bo co miała tak naprawdę zeznać? Że pracowała w Domu Steffensa jako burdel mama? Że ciągnęła lewą kasę za to, że młode laski dawały dupy starym, zboczonym facetom? Przecież dostałaby zarzut za sutenerstwo, mogliby pozbawić ją praw rodzicielskich, odebrać Julkę, jedyną osobę, którą tak naprawdę kochała.

Drugi Dom. Lewy interes Fabiana Wendy. Anita nic o nim nie wiedziała, nie miała z nim żadnego związku. Ale czy na pewno?

Gryzły ją wyrzuty sumienia. Bo przecież gdyby nie zwerbowała Malwiny, ta nigdy nie trafiłaby do Domu Steffensa, nie poznała Fabiana, nie wpadła w pułapkę. Anita czuła się winna.

Na zdrowy rozum nie odpowiadała za to, co zrobił Wende. Koleś był psychopatą, nie dało się nad nim zapanować. A jednak... przecież mogła zawiadomić policję. Może należało przestać w końcu się chować, stanąć odważnie z podniesionym czołem...

– Pan jedzie dalej prosto. Na Karlikowską, do Sopotu.

FABIAN

– *Bonsoir, madame!* – rzucił do telefonu.

– Fabian?

– A kto inny?

Dominika wydała się zdziwiona.

– Jakoś kiepsko cię słyszę.

– To przez roaming – odparł Wende.

– Roaming? Czyli spierdoliłeś?

– No tak. I tobie też to radzę. *Vive la France!*

Dziewczyna poprawiła słuchawkę.

– Nie zamierzam uciekać. Już nigdy.

– He, he, ostra zawodniczka. – Gangster zarechotał. – Ja też planuję wrócić. Jak się trochę uspokoi.

– Już mogłeś wyjechać gdzieś w ciepłe.

– W sumie jo. Ale mam tu taką sprawę do załatwienia...

– Nie wnikam – odparła Biedrzycka.

– Ależ wnikaj, wnikaj. Bo ja ci chcę o wszystkim opowiedzieć!

Dominika westchnęła.

– Skoro musisz...

– Zakochałem się. A serce nie sługa!

– Znowu w jakiejś taniej kurewce?

Znów usłyszała jego śmiech.

– Nie tym razem. Czas się przetrzucić na damy.

– Już ci mówiłam, że nie mam ochoty na związek. Nigdy

więcej.

Wende spojrział w stronę Pont Royal. Siedział nad Sekwaną, słońce powoli zniknęło gdzieś za dachami Luwru.

– Dominisia, Dominisia, ty jesteś dla mnie jak siostra. Za tobą to bym w ogień skoczył. A ty za mną nie?

– Nie – odpowiedziała z rozbrajającą szczerością. Tego nauczyło ją życie. – Jeśli wpadniesz do wody i zaczniesz tonąć, to twoja sprawa. Nie pomogę ci.

– Och, pieprzona modliszka z ciebie. Jak wrócę do kraju, to rozkręcimy jakiś nowy biznes. Lepszy niż Drugi Dom.

– Swoją drogą myślałam, że dłużej pociągniemy z klubem.

Fabian zdjął buty. Położył je na chodniku. Cholernie spociły mu się stopy.

– No gdyby nie ta pierdolona szmata, co uciekła, to by się dalej kręciło. Ale komendant się wkurwił. Trząsał dupą jak twerkująca dziwka. Powiedział, że dłużej nie może nas kryć.

– Raz na wozie, raz pod wozem. Co zarobiliśmy, to nasze – oceniła Dominika.

– A te papiery zabrałaś?

– Masz na myśli oświadczenia i zdjęcia?

– Jo.

– No raczej. To nasza polisa ubezpieczeniowa.

Wende przytaknął.

– Kilka ważnych nazwisk mamy. Będą trzymać ryje na kłódkę, zobaczysz. Pies z kulawą nogą się tym nie zainteresuje.

– Obyś miał rację. Bo zamierzam teraz fajnie pożyć. No ale nie powiedziałeś w końcu, po cholere wyjechałeś do Francji?

– Jak to po co? Za Anitką!

Dominika wydawała się zmieszana.

– Jaką Anitką? Naszą Anitką? Moją Anitką?

– A jak! – zawołał gangster. – To jest kicia dziesięć na dziesięć.

– Przecież ona kogoś ma. Kręci z takim jednym muzykiem...

Fabian walnął dłonią w udo.

– Pierdoli mnie jakiś zajebany pedał w rurkach!

– Jak tam chcesz. Słuchaj, muszę kończyć. Bosacka do mnie dzwoni na drugiej linii. Coś tam

dziewczyny gadają o Malwinie, taka jedna kelnerczka o nią wypytuje...

– Wanessa?

– Tak.

Wendzie podskoczyło ciśnienie. Momentalnie się zdenerwował.

– Mówiłem tej kurwie, żeby nie drażyła!

– No widzisz. Nie posłuchała. I teraz Bosacka dostaje pierdolca. Zaczęła węszyć z tą swoją papugą od Duchnowskiego.

– Z Wykopkowskim?

– Si. Nie wiem, może nawet zamkną klub.

– Pierdolisz! Dom Steffensa?

Dominika nie miała ochoty na dalszą pogawędkę.

– Nie, kurwa, klub seniora. Mówię ci, że muszę kończyć!

– Czeka, czeka...

– Później pogadamy!

Rozłączyła się.

Gangster wpatrywał się w wyświetlacz, podsumowujący czas połączenia. Minuta trzydzieści osiem. A on mógłby nawijać w nieskończoność. Odpalił mu się tryb gawędziarza.

Od strony wyspy Cite nadszedł jakiś zakapturzony mężczyzna. Pojawił się dość niespodziewanie, jeszcze chwilę temu w ogóle go tu nie było.

– Sorry, usłyszałem, że mówisz po polsku. Masz może fajkę?

– Spierdalaj.

– Fabian? – spytał nieznajomy.

– A co, kurwa?

– To będzie piękna śmierć – odpowiedział mężczyzna, wbijając gangsterowi w brzuch długi sztylet.

W niecałą sekundę później zadał kolejny cios, precyzyjne -uderzenie mające na celu poranić jak największą liczbę organów.

Jeden, drugi, trzeci, szósty. Siekł jak urodzony zabójca, asasyn szkolony w sztuce odbierania życia.

Morderca słyszał w głowie muzykę, szarpane akordy elektrycznej gitary, chrupiący dźwięk lampowego wzmacniacza, przeraźliwy krzyk wokalisty. *Helter-skelter*. Apokaliptyczny niepokój zaklęty w dźwiękach rockowej ballady.

Fabian nie wypowiedział ani jednego słowa. Z jego ust momentalnie popłynęła krew, ciemna posoka przesiąkała mu przez ubranie, kapąła na chodnik, spływała do rzeki.

Nieznajomy chwycił konającego mężczyznę i wepchnął go do wody. Na nabrzeżu Sekwany zostały tylko jego buty.

– Zobaczyc Paryż i umrzeć. To była piękna śmierć – wyszeptał Alex.

CZĘŚĆ SZÓSTA

NIGDY JUŻ NIE UCIEKNIESZ

ALEX

Poznali się na przełomie tysiącleci, w ostatnich dniach odchodzącego milenium, przysięgli miłość, wkroczyli raźnie w nową epokę, wiedząc, że tylko razem mogą zdobyć świat, rzucić go na kolana, podporządkować, nagiąć do własnych wyobrażeń. Alex i Anita byli przedwiecznymi kochankami, nieśmiertelnymi duszami, które choć odnalazły się tu i teraz w tych niedoskonałych ludzkich ciałach, to żyły przecież już wcześniej, dziesiątki razy zmieniając skorupy, szukając się pośród kosmosu ludzkich twarzy, języków i życiorysów.

Trafiali na siebie niezwykle rzadko, raz na sto lat, a może i rzadziej. Ilekroć jednak udawało im się odnaleźć pośród zamieci wiecznie wędrującej energii, zdarzało się coś wielkiego. Śmiercionośne wojny i wiekopomne obrazy, genialne melodie i krwawe kantaty.

W tym samym roku, w którym Leonardo ukończył *Giocondę*, władca Azteków Montezuma II odprawił ostatnią ceremonię rozpalenia Nowego Ognia, po której hiszpańscy konkwistadorzy wymordowali cały jego lud.

Kiedy Antonio Vivaldi skończył komponować *Cztery pory roku*, do portu w Marsylii przybił statek, którego chorująca załoga wywołała dwuletnią epidemię dżumy, zbierającą żniwo ponad czterdziestu tysięcy ofiar śmiertelnych.

Niespełna dwieście lat później Oscar Wilde wydał *Portret Doriana Greya*, tajemniczą powieść wyznającą niczym nieograniczoną wolność twórczą artysty, zaglądającą do mrocznych zakamarków ludzkiego serca. Tego też roku człowiek raz jeszcze udoskonalił się w sztuce zadawania śmierci, wprowadzając do użytku egzekucje wykonywane za pomocą elektrycznego krzesła.

Ilekroć dusze Alexa i Anity trafiały na siebie pośród nieskończoności czasu, kosmos eksplodował.

Wtedy, w 1999, mieli ledwie po dwadzieścia kilka lat. Młodzi i zakochani, szaleni i nieodpowiedzialni. Nie wiedzieli, co ich łączy, ale rozumieli, że owo uczucie jest silne, prawdziwe i niepowtarzalne. Przeczuli, że oto wkrótce wydarzy się coś niesamowitego.

Znad Górek Zachodnich wyjrzały pierwsze promienie wschodzącego słońca. Pomarańczowe światło zalało Stogi, Przeróbkę i wyspę Ostrów. Skąpany w złocistym pyłe świat, cudownie lekki byt. Decyzje, od których nie dało się uciec.

Siedzieli na stoczniovym dźwigu i ślubowali sobie miłość. Nieco po szczeniacku, w końcu dopiero zaczęli pojmować, jak stare drzemią w nich obojgu dusze, nieco zbyt pompatycznie, trochę teatralnie, na pewno jednak szczerze. Ich dwójka przeciwko całemu światu. Planowali nieprzyzwoicie wiele. On i Ona. Mistrz i jego muza.

Zanim jednak zdążyli cokolwiek osiągnąć, los postanowił rzucić im pod nogi kłodę. Zupełnie jakby bał się ich ponownego spotkania, jakby dość miał już wojen i cierpień, jakby faktycznie przejął się legendą o końcu historii. Anita musiała uciekać. Nie powiedziała ani słowa, zniknęła z dnia na dzień, zbiegła na Zachód.

Alex nie rozumiał, dlaczego tak nagle go porzuciła, próbował jej szukać, ale został z niczym. Dopiero uczył się swej czarnoksiężskiej sztuki, doskonalił w technice mamienia umysłów, otrzymywania od innych tego, czego pragnął.

Stracił ją na długie dziesięć lat. I choć początkowo sądził, że czas wyleczy rany, że jego tęsknota w końcu przemienie, to nic takiego nie nastąpiło, a on nieustannie jej szukał.

W końcu przyszło lato 2010. Wyjątkowo dziwne lato, pełne nieoczekiwanych spotkań i trudnych do wytłumaczenia zbiegów okoliczności.

Ujrzał ją wtedy w Sopocie na plaży; po dekadzie rozłąki raz jeszcze wdrapał się na stoczniovym dźwig, by obiecać to, co przecież musiał obiecać.

– Znalazłeś mnie – powiedziała Anita, spoglądając na Alexa swoimi lekko skośnymi oczyma.

– Zawsze cię znajduję. Już nigdy mi się nie wymkniesz.

Teraz oboje uciekli na Zachód. Pierwsza zbiegła Anita, a On, zgodnie z danym słowem, momentalnie ją odnalazł. Przez te dziesięć lat sięgnął szczytu swej mocy. Nie istniało miejsce na świecie, gdzie mogłaby się przed nim ukryć.

Alex pokonał stromą uliczkę prowadzącą do centrum Montmartre. Wszedł na klatkę secesyjnej

kamienicy, krętymi schodami wdrapał się na samą górę aż na poddasze, do jej mieszkania. Do ich mieszkania.

Przekręcił klucz w drzwiach.

– Anita?

Cisza.

– Anita? – powtórzył.

Znow nic.

Rozejrzał się po pokoju. Wyglądał na opuszczony w pośpiechu. Porzucony.

– Nie... – wyszeptał.

Otworzył szafę. Nie znalazł ani ubrań, ani walizek.

– Anita...

Ale dlaczego to zrobiła? Przecież byli tacy szczęśliwi. Mieli wszystko, a mogli mieć jeszcze więcej. Czy chodziło o Wendego?

– No tak – mruknął. – Nie wiedziałaś.

Podszedł do lekko uchylonego okrągłego okienka, które wciśnięte w mansardowy dach wyglądało na kopułę bazyliki Sacré-Cœur. W zamyśleniu spojrzął na zewnątrz.

– Przestraszyłaś się go. Nigdy nie potrafiłaś stawić czoła swoim demonom. Przecież nie mogłaś wiedzieć, że ci pomogę. Uwolnię od problemu, pozwolę zapomnieć.

Kiedy tylko opowiedziała mu o tym, jak Fabian naszedł ją w klubie, Alex postanowił zareagować. „Nie musisz się niczego bać. Jestem przy tobie” – zapewnił. Anita jednak nie wzięła jego słów na poważnie. Nie zdążył zdjąć jej ciężaru z serca. Znowu uciekła.

Lecz on wiedział, że i tak ją znajdzie.

*

Siedział na aksamitnej plaży i wpatrywał się w ocean. Fale obmywały mu stopy, delikatny wiatr mierzwił włosy. Włóczył się po świecie lat trzy, a może i więcej. Wciąż nic.

Myślał, że pójdzie mu lepiej.

– Jeśli ukryłaś się tak dobrze, to tylko po to, by mnie sprawdzić – rzucił w przestrzeń.

Obracał w dłoni dwie sklezione ze sobą fotografie: młodej dziewczyny i nastoletniego chłopca. Nie byli do siebie podobni.

Dzwoneczek wyglądała zupełnie jak matka. Te same rysy twarzy, te same lekko skośne oczy. I tylko tęczęwki nie należały do Anity.

– Ogygia – mruknął. – Nieskończona uczta, która nie pozwoliła żeglarzom wrócić do domu. Lecz stopa Odysa dotknęła w końcu lądu Itaki.

Gdzieś tam zostawił Telemacha. Ale jego potomek okazał się dziewczyną.

– To było zbyt oczywiste. Dziesięć lat od rozstania – wciąż mówił do siebie.

Dopiero teraz zrozumiał. Ilekroć udawało im się odnaleźć pośród zamieci wiecznie wędrującej energii, zdarzało się coś wielkiego. Śmiercionośne wojny i wiekopomne obrazy, genialne melodie i krwawe kantaty. Ilekroć dusze Alexa i Anity trafiały na siebie pośród nieskończoności czasu, kosmos eksplodował.

– Julia – wyszeptał Alex. – Znajdę cię, córeczko. Znajdę was obie. Już nigdy mi nie uciekniecie.

LILA

Była piękna, zeszłej wiosny podchodziła do matury, grała w teatrze, kochała świat. Wtedy sądziła, że już wkrótce go zdobędzie. Zaczaruje niskim głosem, uwiedzie dużymi ciemnymi oczami. Świat miał paść jej do stóp, planowała zostać aktorką. Naiwna, nastoletnia wiara w niemożliwe.

Człowiek jest tworem niedokończonym; w wieku dziewiętnastu lat jest się niedokończonym wyjątkowo mocno. Ledwie rozpoczęte dzieło, szkic postaci, pierwsza wersja scenariusza. Lila nigdy nie wyszła poza ów wstępny draft, na samym starcie artysta porzucił swą pracę, wyciągnął maszynopis, pogniótł, podarł i wrzucił do śmietnika.

Siedziała w mieszkaniu, ściskając w dłoni postanowienie o umorzeniu śledztwa. Artykuł 322 §1 Kodeksu postępowania karnego. Niewykrycie sprawcy.

Kopię decyzji procesowej, opatrzoną datą: „trzydziesty pierwszy grudnia”, otrzymała tuż po Nowym Roku. Policyjny druk, lakoniczne uzasadnienie, na drugiej stronie pieczętka prokuratora.

Przez długi czas próbowała jakoś to wszystko sobie poukładać. Na terapii powiedzieli jej, że choć osądzenie gwałcicieli może pomóc w uporaniu się z traumą, to i bez tego da się wrócić do w miarę normalnego funkcjonowania. Ale Lila po prostu nie miała już siły dalej tego ciągnąć.

Świat młodej dziewczyny chwiał się właśnie w posadach. Ojciec walczył z rakiem, matka brała wszystkie nadgodziny, by jakoś związać koniec z końcem, a ona...

„No powiedz, proszę, jak masz na imię? Dziewczynko? Jak masz na imię?”

Zło przyszło zupełnie nieproszone.

„Dlaczego jesteś taka smutna?”

„Dziewczynko, płaczesz? Dlaczego się nie uśmiechasz?”

Ciągle widziała te wykrzywione w lubieżnym grymasie usta, weneckie maski, niemęskie ciała.

– Stara, damy jakoś radę – zapewniała Judyta, która niemal każdego dnia odwiedzała ją po pracy. – Te chujki nie zniszczą nam życia. Pamiętasz, co sobie obiecałyśmy?

Lila spojrzała na przyjaciółkę wyzutymi z emocji oczami. Nie odpowiedziała.

– No pamiętasz? – powtórzyła Słomska.

Brak reakcji.

– Ej, laska! Obudź się!

Judyta za wszelką cenę próbowała ją jakoś rozruszać. Najpierw dużo razem płakały, później przede wszystkim krzyczały. Przeżywały żalobę, pielęgnowały złość, smutek i rozczarowanie. Ale ile można ronić łzy?

Podobno najgorszym, co można powiedzieć w takiej sytuacji, to „weź się w garść”. Lecz co innego miała mówić?

Od tragicznego zdarzenia minęło już prawie dziesięć miesięcy. A Lila wciąż tkwiła w letargu.

– Zamierzałyśmy brać wszystko od życia. Pamiętasz? To my miałyśmy być u góry – przypomniała Judyta. Przynęła się do Lili. – Tego uczył nas Alex.

Alex. Specjalnie przywołała jego imię. Żeby jakoś poruszyć przyjaciółkę, wyrwać z tej beznadziei, zobojętnienia, pustki.

– Pamiętasz? – powtórzyła Słomska.

Pamiętała. Gdyby nie poszła wtedy na ich koncert, nie dała się wciągnąć w bycie grupies, nie pozwoliła mu się uwieść, opętać, nie uwierzyła, że marzenia są jedynie karmą odważnych i każdy, kto zdecyduje się po nie sięgnąć, wykaże determinacją, musi w końcu osiągnąć sukces...

Gdyby nie Alex, nigdy nie zawędrowałyby do Domu Steffensa, nie poznała tamtych ludzi, nie dała się oszukać...

– No pamiętasz?! – Judyta podeszła do komputera, włączyła jeden z kawałków UTERO.

Alex i jego dziwna, tantryczna muzyka. Spokojne akordy wygrywane na elektrycznej gitarze, lekko chrupki dźwięk lampowego wzmacniacza, samotny tamburyn zamiast perkusji. Sztuka niepokoju zakłęta w dźwiękach rockowej ballady.

– Uciekniemy od tego – zapewniła Słomska. – Ty i ja. Będziemy silne. I nikt nas nie złamie.

Godzinę później Judyta siedziała już w beżowo--czerwonym autobusie linii sto czterdzieści trzy, który

wiózł ją do Oliwy. Lila została sama w mieszkaniu, powiedziała, że jest jej nieco lepiej. Skłamała. Wcale nie było jej lepiej.

Zamykała powieki, łykała piguły, gasiła światło, pędziła na oślep. Nic z tego. Oni ciągle tam byli. W rogu pokoju, na autobusowym przystanku, pod osiedlowym sklepem.

„Nie powinnaś płakać. Otwórz usta”.

Nie potrafiła im uciec. Zmyć z siebie ich zapachu. Pozbyć słonego smaku spoconej skóry. Zapomnieć widoku, dotyku, głosu.

„Jeszcze będziesz miała powody do płaczu. Ale zacznijmy od uśmiechu. O, tak lepiej”.

„Śliczne ząbki”.

„Cała jest śliczna. Taka niewinna”.

„Dokładnie taka, jak potrzeba. Dokładnie taka, jaka miała być”.

Wciąż słyszała ich głosy. Te same zdania, wyrazy, głoski. Nie mogła się ich pozbyć, przegnać z umysłu, momentami miała ochotę chwycić śrubokręt i po prostu przebić sobie bębenki.

Ale Lila była zbyt inteligentna, by to zrobić. Piątkowa uczennica. Wiedziała, że nawet jeśli straciłaby słuch, głosy i tak zostałyby z nią na zawsze.

Musiała uciec. Szybko i bezboleśnie.

– Alex... – szepnęła.

Z głośnika dobiegły słowa piosenki.

Wasze dzieci są takie, jakie je sprawiliście... te dzieci, które przyszły do was z nożami, są waszymi dziećmi. To wy ich nauczyliście. Ja ich nie nauczyłem. Po prostu pomogłem im dorosnąć...

Wyciągnęła linkę, którą dwa tygodnie wcześniej kupiła w markecie budowlanym. Później raz jeszcze otworzyła internetową przeglądarkę z instrukcją prawidłowego wiązania wisielczej pętli. Nie chciała zostać kaleką, nie chciała cierpieć, po prostu potrzebowała umrzeć. Szybko i bez bólu.

– Alex – powiedziała, rzucając się na kolana.

Samobójcza śmierć wymaga bohaterstwa. Mogła przysiąc, że stał tam gdzieś w rogu pokoju i jej kibicował.

W tym momencie dostrzegła całe swoje życie. Kilkaset obrazów puszczonej jeden po drugim, z prędkością bliską prędkości światła. Osiemnaście szczęśliwych lat.

Ostatnią rzeczą, jaką tuż przed śmiercią zobaczyła Lila, były ich sztuczne twarze. Weneckie maski, szydercze uśmiechy, martwe serca. Później wszystko załała czernią.

MALWINA

Malwina, inaczej niż Lila, od początku wiedziała, na co się pisze. Mniej więcej wiedziała.

To było dokładnie rok temu. Sierpień 2010 roku. Zawieźli ją do Drugiego Domu, sekretnego klubu ukrytego pośród kaszubskich lasów, spełniającego najbardziej wyuzdane zachcianki seksualne bogatych, zdeprawowanych mężczyzn. Na samym początku dziewczyna musiała wypełnić oświadczenie o dobrowolnej zgodzie na stosunek. „Nie będziesz się mogła wycofać. Pod tym się podpisujesz” – zauważyła Dominika Biedrzycka.

Malwina miała dopiero dziewiętnaście lat, nie wiedziała, że taki kwitek absolutnie nic nie znaczy, że zawsze ma prawo powiedzieć „nie”. Po wszystkim dostała sporo gotówki i ostrzeżenie, by absolutnie nic nie mówić. „Bo cię zapierdolimy jak szmatę. A potem zniszczymy w sądzie”.

Jeszcze tego samego dnia wsiadła w pociąg do Poznania. Na miejscu musiała pilnie skorzystać z pomocy ginekologa.

„Kto to pani zrobił?”

Nie chciała nic mówić.

Lekarz spojrział na swoją nastoletnią pacjentkę. Miała posiniaczoną twarz, gruba warstwa makijażu nie mogła ukryć obrażeń.

„Powinienem to zgłosić na policję”.

„Nie, proszę tego nie robić”.

W 2010 roku gwałty ścigano na wniosek. Bez zgody pokrzywdzonej nikogo nie można było pociągnąć do odpowiedzialności.

Wyszła z gabinetu i zamówiła taksówkę. To właśnie tam, w okolicy Placu Wolności, spotkała Wanessę.

„Malwina, Boże! Co ci się stało?”

Co ona tu robiła? Akurat tu, akurat teraz? Malwina spieszyła się okropnie. Bo jeśli Wanessa trafiła na nią niby przypadkiem ledwie dzień po tym, jak związała z Trójmiasta, to przecież Biedrzycka i Wende również łatwo mogli ją odnaleźć.

„Wanessa... uciekaj stamtąd. To jest pułapka”. Nic więcej nie zdołała powiedzieć. Rozpląkała się, po czym wskoczyła do taksówki.

Uciekła za granicę. Początkowo siedziała sama w wynajętym mieszkaniu, bardzo szybko doszła jednak do wniosku, że samotność jej nie służy. Znalazła pracę jako wolontariuszka fundacji zajmującej się pomocą kobietom z Afryki. To tam zrozumiała, jaka spotkała ją krzywda.

Równo rok po gwałcie wróciła do Polski. Była zdecydowana zeznawać.

– Dwanaście miesięcy od zdarzenia? – spytał dyżurujący policjant.

– Tak – odparła.

Mężczyzna głośno westchnął.

– Przecież tu już nic nie zrobimy. Jak niby mamy szukać?

– Nie wiem – odpowiedziała całkiem szczerze. – To wasze zadanie, nie moje.

„Aha” – pomyślał funkcjonariusz. „Kolejna mądra. Z gówna bata nie ukręcisz”.

Niecały miesiąc później otrzymała pocztą postanowienie o odmowie wszczęcia śledztwa. Artykuł 17 §1 pkt 1. Brak danych dostatecznie uzasadniających podejrzenie popełnienia przestępstwa. Ale Malwina nie zamierzała odpuszczać. Wiedziała, że w końcu znajdzie się ktoś, kto po latach dokopie się do prawdy.

Nie sądziła jednak, że przyjdzie jej czekać tak długo.

KONRAD KROON

Siedzieli na szczycie Góry Gradowej, obserwując panoramę mias-ta. Sierpień 2011 roku. Wyjątkowo ciepła noc wyjątkowo nieprzewidywalnego miesiąca. Na tle fioletoworóżowego nieba rysowały się smukłe sylwetki dźwignów KONE. Gdańska wieża Eiffila, pomnik późnej epoki stali, świadectwo zwycięstwa człowieka nad światem przyrody.

– Czyli jak by to miało właściwie wyglądać? – spytała Zuza.

– A skąd niby mam wiedzieć? – Konrad wzruszył ramionami.

– Z tego, co rozumiem, proponujesz mi związek...

Wyzwolona fotografka i zbuntowany prokurator. Dwóch najbardziej pokreconych trzydziestolatków na świecie.

– Spytałem, czy chciałabyś się widywać częściej niż raz na rok. To od razu jest związek?

– Nie wiem. Nigdy nie byłam w związku.

Kroon wyciągnął się na trawie.

– Ja byłem raz. Ale bardzo krótko.

Zaśmiała się.

– Wybacz. Trochę mi jej szkoda.

Pomyślał o Lucy. Dziewczyna naprawdę miała coś w sobie. Nutkę szaleństwa, szczyptę romantyzmu i, jak się okazuje, całkiem sporo przywiązania.

– Tak to już jest. Wszystkie drogi prowadzą do ciebie.

Obrócił się na brzuch.

– Do mnie?! – Udała oburzoną. – Ja się nie wpraszałam do twojego łóżka.

– Pojawiałaś się raz na rok. Tak było do tej pory. A w zeszłe wakacje?

Bezradnie rozłożyła ręce.

– Wybacz, że jak tylko mnie zobaczysz, to od razu myślisz kutasem...

Wulgarna, niebezpieczna, dzika. Kiedy poznał ją na studiach w Krakowie, była dokładnie taka sama. Jako jedyna nie bała się jego demonicznego wuja, jako jedyna nie zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia.

– W ogóle przy tobie nie myślę – palnął. Zerwał źdźbło trawy.

Za nimi wznosił się Krzyż Milenijny.

– Możemy spróbować – rzuciła po chwili.

– Serio?

– Serio. To byłoby coś nowego. Odświeżającego.

Zaczął łaskotać ją trawą po plecach.

– Otworzysz pracownię na stoczni – mruknął Kroon.

– Czyli że Gdańsk?

– A znasz lepsze miejsce do życia? – spytał retorycznie.

Ułożyła się obok niego.

– Nie wiem, czy potrafię osiąść gdzieś na dłużej.

– Jeśli próbować, to tylko tutaj – odparł Konrad.

Zaczęli się całować. Na wzgórzu pojawił się samotny spacerowicz. Kochankowie nawet nie zwrócili na niego uwagi.

– Kroon szuka bliskości – szepnęła mu na ucho. – Świat się kończy.

– Myślisz, że to źle? Stuknęło mi w tym roku trzydzieści jeden lat, trudno do końca życia być dzieciakiem w rurkach i mieszkać na imprezie.

– To kim teraz będziesz?

Nie znał odpowiedzi na to pytanie.

– Cholera wie...

– Zapomniałeś o sprawie Brodowicza? Już ci przeszło?

– Zwariowałaś...

Powoli rozpinał jej bluzkę.

– Myślałam, że jednak zmieniłeś zdanie. – Jęknęła, kiedy ugryzł ją w sutek. – Że będziesz tym smutnym prokuratorem w znoszonym prochowcu, który siedzi po godzinach w robocie i dłubie w jakiejś starej, zakreconej sprawie sprzed czternastu lat...

– Ta droga jest już zamknięta – odparł, tylko na chwilę przestając ją pieścić. – Nigdy nie zaangażuję się więcej w pracę.

– Nigdy nie mów nigdy – powiedziała, obracając go na plecy.

*

Było już całkiem ciemno. Z Targu Węglowego dochodziły dźwięki koncertu uświetniającego zamknięcie Jarmarku Świętego Dominika.

– To jest bardzo dziwne – oświadczyła Zuza.

– Co takiego?

– To, co do ciebie czuję.

Leżeli półnaczy na trawie, wtuleni w siebie, dwa przystojne ciała, dwie szalone głowy.

– A co do mnie czujesz?

– Nie wiem – odparła z rozbrajającą szczerością.

Konrad tylko się zaśmiał.

– Zatem jest nas już dwójka.

Podróż w nieznane. Długi rejs po Morzu Egejskim, który miał ich kiedyś dowieźć do Itaki. Ale Zuza i Kroon, mimo kilkunastu lat spędzonych na jednej łodzi, nigdy nie zdołali dopłynąć do wspólnego, prawdziwego domu.

– Nie będzie łatwo – kontynuowała fotografka.

– Nie lubię, jak jest łatwo.

– Nie zmienię się dla ciebie.

– Nie chcę, żebyś się zmieniała – zapewnił Konrad.

– Myślę, że cię zranię...

Kroon wpatrywał się w niebo.

– Mam naprawdę grubą skórę.

Jeszcze mocniej się w niego wtuliła. Sierpniowe noce bywają zazwyczaj dość chłodne, ta noc w niczym jednak nie przypominała pozostałych.

– Wiesz, że z moją głową jest coś nie tak? Że mam mocno na bani, że czasem mi odpierdala...

Konrad gładził jej plecy.

– Żebyś tylko wiedziała, co siedzi w mojej. Jestem zdrowo szajbnięty.

Spojrzała mu głęboko w oczy.

– Dlaczego się tak uparłeś? Dlaczego tak ci zależy?

– Lubię płynąć pod prąd.

Zuza pocałowała go głęboko w usta.

– Próbowałam cię jakoś zniechęcić. Ostrzec.

– Zauważyłem, Kalipso – mruknął.

Dziewczyna klęknęła. Kroon obserwował jej smukłą sylwetkę i odcinające się od ciemnogramatowego nieba jędrne piersi.

– W takim razie się zgadzam.

– Cudownie...

Położyła mu palec na ustach.

– Poczekaj. Nie przerywaj mi...

– Mogę poczekać. Na ciebie jedną mogę poczekać. – Wydawał się rozbawiony całą tą sytuacją, uśmiechał się tak jakoś po sztubacku. Tymczasem Zuza była śmiertelnie poważna.

– Pamiętaj... Jak raz zaczniesz ze mną być... Nigdy nie przepędzisz z głowy obrazu mojej twarzy, nigdy nie zapomnisz zapachu, nigdy nie przestaniesz słyszeć głosu. Będę prześladować cię po nocach. A kiedy pewnego dnia zniknę, ty dalej będziesz mnie widział. W snach i na jawie. W koszmarach i marzeniach. Zawsze ci będę towarzyszyć. I nigdy już nie uciekniesz.

PATRYCJA RADKE

Kiedy ustanowiono ją obrończynią Nikodema Ruckiego, szczerze wątpiła w skazanie. Dowody były wyjątkowo słabe, podejrzany odmówił składania wyjaśnień, śledztwo dotyczyło czynów z początku ubiegłej dekady.

Kroon pokazał jej akta i Patrycja nie sądziła, by dał radę kogokolwiek aresztować na tak kruchym materiale, a co dopiero skazać. Ale Konrad dobrze wiedział, co robi.

Pół roku później doszło do pierwszej rozprawy. Zgodnie z radą Patrycji oskarżony przyznał się do popełnienia zarzuconych mu czynów i złożył wnioski o dobrowolne poddanie się karze.

„Nie mamy żadnych szans na uniewinnienie. Proszę wyrazić skruchę, a może uda mi się namówić prokuratora na jakiś łagodny wyrok”.

„Na pewno? Przecież najpierw...”

„Prokurator podszedł do tego wyjątkowo ambicjonalnie. Zresztą zaznajamiał się pan z aktami. Wszyscy zeznali przeciwko panu”.

„Ale dwa lata?”

„Dwa lata za dwa gwałty. Pół roku już pan przesiedział. Zostało półtora”.

Mogła próbować walczyć o przedawnienie karalności czynów. Przepięknie popełniono w 2010, trzeba by przeciągnąć proces o dobre jedenaście lat... Mało realne. Doradziła Ruckiemu naj-lepiej, jak mogła.

– Proszę wstać, sąd ogłosi teraz wyrok – powiedziała przewodnicząca. – Wyrok w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej...

*

Konrada nie było na sali. Korzystając z krótkiej przerwy, opuścił budynek sądu i nie pojawił się na publikacji. Nie musiał.

Patrycja wyszła na zewnątrz.

– Podrzucić cię do domu? – spytał Kroon, opierający się o niewielki betonowy murek.

– Dzięki, za chwilę mam autobus.

– I tak jadę w tamtą stronę.

– A skąd wiesz, dokąd jadę? – zdziwiła się.

– Nie wiem. Po prostu chciałbym z tobą pogadać.

*

Dokładnie rok temu spędzili ze sobą sylwestra. Później trochę próbowali, ale ostatecznie nic im z tego nie wyszło. Konrad wciąż myślał o Zuzie.

Teraz siedziała w jego sportowym aucie i drapała pod pyskiem Fendera, który nachylał się nad nią z tylnej kanapy.

– Ładnie mi poszło z Ruckim, co?

– Sprawa była na uniewinnienie. Nie wiem, skąd wytrzasnąłeś te dowody.

Puścił jej oczko.

– Sam nie wiem. Zacząłem kopać, pod rabatą leżało ciało.

– Dwa ciała.

– Och, nie. – Zaśmiał się zza kółka. – To był tylko wierzchołek góry lodowej.

– Widziałam, że wyłączyłeś ze sprawy jakieś materiały – przyznała młoda mecenas. – Ale postanowienie było enigmatyczne. W nieustalonym miejscu, nieustalonym czasie...

– Dom Steffensa okazał się jedynie wstępem do prawdziwej tragedii. To, co zrobił Rucki, stanowiło konsekwencję szerszego kontekstu. Wynik jakiejś chorej atmosfery, przyzwolenia na gwałt, zabawy w zbrodnię.

– Czyli ofiar było więcej?

– Znacznie więcej.

Zjechali do centrum. Konrad skręcił w stronę dworca.

– I ty to prowadzisz?

– Popatrz. – Wskazał palcem w stronę szarego gmachu Prokuratury Okręgowej. – Moja nowa miejscówka.

– Co? Awansowałeś?

– Tak mi się przydarzyło.

Nic z tego nie rozumiała. W trakcie ich krótkiego romansu doskonale poznała stosunek Kroona do pracy.

– Przecież mówiłeś...

– Czas w końcu przestać uciekać. Wziąć życie we własne ręce.

Samochód ominął wiadukt zwany „Błądnikiem” i odbił w kierunku stoczni.

– A ty dokąd?

– Poczekaj...

Minęli trzy krzyże, upamiętniające grudniową zbrodnię sprzed pięćdziesięciu czterech lat. Sportowe audi TT skręciło w prawo.

– Zabierasz mnie na imprezę?

– Za wcześnie na imprezę. Ale tak. Chciałbym cię gdzieś zabrać.

Zatrzymali się na parkingu. Zza stoczniowych hal wyrastały potężne sylwetki stoczniowych dźwigów.

Kroon wyłączył silnik.

– Dobra, zaczynam się powoli martwić. O co chodzi?

– Poznaliśmy się tu dwa lata temu.

Gadał od rzeczy.

– Przecież nigdy razem nie byliśmy na stoczni – zauważyła Patrycja.

– Dwa lata temu dostałem do prowadzenia sprawę Julii. To dzięki niej się poznaliśmy.

– Chyba Weroniki? Weroniki Zatorskiej.

– Zatorskiej – zgodził się Konrad. – Ale tak naprawdę nigdy nie chodziło o Zatorską. Pamiętasz tego chłopaka, któremu jakaś tajemnicza laska namieszała w głowie i zryła banię? Szalone wakacje na stoczni, grzeszne lato, miłość, muzyka, narkotyki...

Oczywiście, że pamiętała.

– Miał na imię Gustaw.

– Gustaw – powtórzył Kroon. – Gustaw Kolasa.

Zupełnie nie rozumiała, do czego zmierza.

– Okej...

– Dzieciak całe życie za czymś gonił. Albo przed czymś uciekał. Nieważne. Ostatecznie wychodzi na to samo.

– Chciał odnaleźć morderców.

– Nie – sprzeciwił się Konrad. – On chciał odnaleźć Julię.

Raz jeszcze wróciła myślami do tamtych dni, niespokojnej jesieni, początków swojej pracy zawodowej. Ciało ujawnione w Strzyży, trzy smutne twarze w drzwiach jej kancelarii. Dała się wówczas oczarować historii o tajemniczej dziewczynie; opowieści, która niekoniecznie musiała być prawdziwa, choć taką chciała się wydawać.

– Właściwie masz rację – przyznała. – Ale dalej nie kumam, czemu o tym mówisz.

– Wiesz, ja trochę przypominam tamtego chłopaka. Zakochanego gówniarza, który cały czas ugania się za duchami.

Jego wypowiedź zaczynała nabierać sensu.

– Wracasz do tematu Zuzy?

Wzruszył ramionami.

– Jeszcze niedawno odpowiedziałbym, że tak. Ale to chyba nie o nią chodzi.

– To o co?

Wziął głęboki wdech.

– O miłość. Albo o tęsknotę.

– Zrobiło się cholernie romantycznie...

Słońce powoli znikало za widnokregiem. Niebo miało taki piękny, fioletoworóżowy kolor, stocznia tonęła w purpurze.

– Zuza była moją ucieczką. Ale droga okazała się niewłaściwa.
– Już ci to mówiłam – rzuciła z przekąsem. – Tuż przed tym, jak dałeś mi kosza.
Złapał ją za nadgarstek.
– Związek z Zuzą nie rozwiązał żadnego mojego problemu. A stworzył mnóstwo nowych.
Co to, do cholery, miało być? Jakiś rodzaj autoterapii?
– Dobra, Konrad, ale dlaczego właściwie mi to wszystko mówisz? – Uwolniła się z jego uścisku. – Nie jestem twoją przyjaciółką, psycholożką... kurwa! Na dobrą sprawę nawet nie jestem twoją eks!
– Masz rację. Powinniśmy się byli spotkać znacznie później. Na przykład dziś.
– Hej?
– Trafiłaś na wrak człowieka i musiałaś wyciągać mnie na powierzchnię. A to nie było fair.
– Luz. Nie mam o to żalu – skłamała. Wciąż coś do niego czuła.
– Dziękuję. Ale wiem, że kitujesz.
Szlag! Kroon zawsze potrafił ją rozgryźć.
– Słuchaj, nie musisz mi tu prokuratorować. Jeśli to ma być przesłuchanie przy użyciu wariografu...
Położył jej palec na ustach. Dokładnie tak samo, jak kilkanaście lat temu zrobiła to Zuza.
– Jestem dziś czystą kartą. Nieomal. Odciąłem się od tego, co było. Przestałem uciekać.
– Świetnie... – mruknęła wciąż nieco zła o to, jak zdominował ich rozmowę.
– Przestałem uciekać i chciałbym pójść dalej – kontynuował Konrad. – Ale nie chcę iść sam. – Wskazał palcem tam, gdzie właśnie zniknęło słońce. – Chciałbym to zrobić z tobą. A przynajmniej spróbować.

KONRAD KROON

Coś się zmieniło. Chyba na dobre, możliwe, że na lepsze. W końcu przestał uciekać. Przed odpowiedzialnością, przed pracą, przed własnym życiem. Po ostatniej rozmowie z Zuzą zrozumiał, że w końcu jest gotów ostatecznie uporządkować pewne kwestie.

Miał czterdzieści cztery lata, symboliczna liczba, zwłaszcza dla kogoś, kto nosił takie imię jak on. Idealny wiek, by zamknąć pewną epokę. Rozliczyć się z przeszłością.

Kroon uznał, że dorósł do nowego związku. Zaproponował Patrycji coś więcej niż tylko przyjaźń, a ona się zgodziła. Żadne z nich nie wiedziało, czy będzie to zwykłe *rebound relationship*, czy może prawdziwe uczucie. Ale zamierzali dać sobie szansę.

*

Po kilkunastu latach, jakie upłynęły od sprawy Brodowicza, Kroon wrócił na krętą ścieżkę, którą zaczął podążać tuż po skończeniu aplikacji. Tytułował się prokuratorem, cieszył opinią jednego z najlepszych w swoim fachu. I w końcu postanowił udowodnić, że jest godny nosić to miano.

Nikodem Rucki został oskarżony o dopuszczenie się dwóch gwałtów i skazany prawomocnym wyrokiem. Gdyby nie determinacja Kroona, zapewne uniknęłyby odpowiedzialności za swoje czyny.

Ale śledztwo przeciwko Nikodemowi Ruckiemu stanowiło jedynie punkt wyjścia do znacznie poważniejszego postępowania. Sprawa Drugiego Domu była wyjątkowo trudna w prowadzeniu, dotyczyła czynów z początku zeszłej dekady, wiele śladów zostało zatartych, sporo dowodów przykryła zasłona niepamięci.

Kroon postawił zarzuty Dominice Biedrzyckiej. Dzięki jej wyjaśnieniom, zabezpieczonym dokumentom, informacjom uzyskanym od Patryka Liedkego, a także mozolnej pracy operacyjnej, udało się ustalić tożsamość kilkunastu klientów klubu, którzy latem 2010 roku dopuścili się serii gwałtów na młodych dziewczynach. Od odpowiedzialności karnej nie uciekł praktycznie nikt. Również lokalni policjanci z Kaszub, którzy uczestniczyli w okrutnej zмовie milczenia, splamili swój mundur, zawiedli zaufanie do całego wymiaru sprawiedliwości.

Proces sądowy w pierwszej instancji toczył się przez dobre pięć lat. Kroon stawiał się osobiście na każdym terminie rozprawy, pilnował, by przeprowadzono wszystkie dowody, o które zawniósł w akcie oskarżenia. Po wyroku obrońcy złożyli apelację. Ale dzięki wytrwałości Kroona żadne z zarzutów nie zostały uwzględnione. Surowe wyroki skazujące utrzymano w mocy.

JUDYTA

Parę dni przed Bożym Narodzeniem wybrała się na grób Lili. Kilkanaście lat temu często spacerowały razem po gdańskim Srebrzysku; dwie nastolatki zafascynowane muzyką, piosenkami o końcu świata,

niedojrzałym romantyzmem, do którego cmentarny *entourage* pasował jak ulał.

Dziś tylko jednej z nich udało się wkroczyć w dorosłość. I nic nie wyglądało tak, jak planowały. Kiedy ma się niespełna dwadzieścia lat, świat zdaje się cudownym miejscem, marzenia są czymś realnym, nieodległym, możliwym do dotknięcia, spełnienia, zdobycia.

– Ktoś w końcu dokopał się do prawdy – powiedziała Judyta. Klęknęła nad grobem. – Pamiętasz tego młodego prokuratora, który próbował dorwać Alexa?

Naturalnie nikt nie odpowiedział.

– No to właśnie on. Nie zdążył cię uratować. Ale chyba udało mu się ciebie pomścić.

EPILOG

Był czerwiec, za oknem panował cholerny skwar. Grube mury starego budynku Prokuratury Okręgowej znakomicie chroniły przed spiekotą dnia, chiński wentylator wypełniał pokój przyjemnie chłodnym powietrzem.

Konrad kończył właśnie pisać wstępny projekt aktu oskarżenia w sprawie Drugiego Domu. W oknie internetowej przeglądarki miał otwarty artykuł, który tuż przed południem wskoczył na pierwszą stronę lokalnego portalu informacyjnego. TRAGEDIA NA STRZYŻY.

W drzwiach gabinetu stanął Krzysztof Kieltrowski.

– No co tam, kolego? Dłubiesz jak kornik...

– Nie wiem, czy korniki dokopują się równie głęboko jak ja – mruknął Kroon, ani na chwilę nie odrywając oczu od ekranu komputera.

– Prawda. Tak głęboko jak ty to nikt nie kopie. Dlatego cię tu ściągnąłem – przyznał naczelnik.

Konrad obrócił się w fotelu.

– Sam się tu ściągnąłem – rzucił, rozprostowując ramiona.

– No niby tak. Bo przecież z tobą nie można nic na siłę. Zawsze robisz wszystko na odwrót. Jak pierdolony Japoniec. – Kieltrowski podszedł do jego biurka. Spojrzał na gruby stos akt. – Kiedy to wreszcie skończysz?

– Za jakiś kwadrans.

Krzysiek usiadł naprzeciwko niego.

– I bardzo dobrze. Bo mam dla ciebie nową sprawę. – Położył na blacie cieniutką obwolutę. Tekturowa teczka już wkrótce miała urosnąć do kilkunastu opasłych tomów.

Konrad zerknął w stronę tajemniczej przesyłki. Na okładce wypisano pozornie nieistotną liczbę. Artykuł 151 Kodeksu karnego.

– Dzięki.

– Spodoba ci się – zapewnił naczelnik. – Ciekawe, medialne śledztwo. Potrójne samobójstwo. Trzy dzieciaki powieszane na bramie szkoły. Zbrodnia jak z filmu.

Kroon nie odrywał wzroku od zapisanej zielonym mazakiem wstępnej kwalifikacji czynu.

– Skąd wiesz, że to było samobójstwo? – spytał po chwili.

– No wisielcy...

Czytał o tym do porannej kawy. Troje uczniów gdańskiego ogólniaka, których powieszane ciała ujawniono chwilę przed szkolnym dzwonkiem. Od rana trąbili o tym w radiu.

– Samobójstwo – powtórzył Kroon. – Tak to może wyglądać z zewnątrz. Ale ja się nauczyłem, że nie wszystko jest tym, czym się wydaje. O której będzie sekcja?

KONIEC